

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



APULEJUSZ

**METAMORFOZY
ALBO ZŁOTY
OSIOŁ**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PRZEDMOWA

Proza i fikcja

Proza ma dziś inny status niż w starożytności. Nam wydaje się zupełnie naturalne, że pisarz, który chce przedstawić wymyśloną historię, tworzy opowiadanie, nowelę lub powieść. Teraz poezja to głównie liryka. Na epikę mają monopol prozaicy. Pan Tadeusz, gdyby powstał dzisiaj, musiałby chyba być powieścią. Tymczasem Grekom i Rzymianom nie przyszłoby w ogóle do głowy, że termin „epika” można stosować do prozy. Prozaiką Grecy określali mianem *syngrafeus* („spisywacz”), natomiast „twórcą” – *poietes* – nazywali jedynie poetę (rzecz jasna, polskie słowo „poeta” wywodzi się z tego terminu greckiego). W zasadzie zatem proza służyła do notowania faktów – pisania traktatów filozoficznych, dzieł historycznych, wspomnień – a pisarz, który chciał puścić wodze fantazji, układał poemat. W rzeczywistości jednak istniały i cieszyły się popularnością nowele i romanse, przedstawiające wymyślane dzieje bohaterów, najczęściej rozłączonych kochanków, przeżywających niezwykle przygody. Kilka takich utworów greckich zachowało się do naszych czasów. Miłośnik starożytnej literatury łacińskiej ma do dyspozycji tylko dwie powieści: zachowany w obszernych fragmentach *Satyrykon* Petroniusza i *Metamorfozy* Apulejusza.

Wydawałoby się, że trzeba niezwyklej łatwości, by uznać opisane w *Metamorfozach* przygody człowieka zamienionego w osła za zapis rzeczywistych przeżyć autora. Jednak wspomniany związek prozy z „literaturą faktu” oraz użycie przez autora narracji w pierwszej osobie sprawiły, że przez wiele wieków traktowano powieść Apulejusza jako utwór autobiograficzny. Przejawem tej postawy jest fakt, że w późnych rękopisach *Metamorfoz* i w ich dawnych wydaniach autor jest wspomniany jako „Lucjusz Apulejusz”. W rzeczywistości nie wiemy, jak brzmiało imię pisarza. W każdym razie Lucjusz, bohater powieści, odziedziczył imię po swym pierwowzorze literackim, bohaterze greckiej noweli „Lucjusz czyli osioł” zachowanej wśród dzieł Lukiana.

Na usprawiedliwienie dawnych czytelników trzeba powiedzieć, że sam Apulejusz zdaje sobie sprawę z niezwykłości połączenia fikcji z prozą i bawi się dwuznacznością tej sytuacji, pozostawiając nas w niepewności, co mówi żartem, a co serio. Spróbuję to pokazać w dalszej części tego wstępu.

Mag czy lowelas?

Znany nam dość dokładnie epizod z życia Apulejusza mógłby z powodzeniem stanowić temat Jednej z opowieści wplecionych w główny wątek *Metamorfoz*. Apulejusz (ok. 125 – po 170) urodził się w mieście Madauros w dzisiejszej Algierii. Studiował w Kartaginie i w Atenach, gdzie również nauczał jako filozof kontynuujący tradycję Platona. Mieszkał także w Rzymie. Gdy w wieku trzydziestu paru lat jadąc do Aleksandrii zatrzymał się w mieście Oja (dzisiejszym Trypolisie, stolicy Libii), spotkał tam swego dawnego ucznia i ożenił się z jego

matką, Pudentillą, bardzo bogatą wdową. Krewni kobiety oskarżyli go o to, że uwiódł ją przy użyciu magii. Zachowała się mowa obrończa, którą Apulejusz wygłosił przed sądem (wyszła ona po polsku pod tytułem *Apologia czyli w obronie własnej księga o magii* w przekładzie Jana Sękowskiego). Oskarżony filozof przekonuje w niej sędziów między innymi o tym, że nie musi być wcale magiem ktoś, kto zagląda czasem do lustra, i że nie ma nic podejrzanego w myciu zębów za pomocą proszku. Zawartą w mowie podniosłą i żarliwą pochwałę czystych zębów warto by zresztą od czasu do czasu czytać naszym dzieciom. Sędziowie potraktowali Apulejusza lepiej niż Ateńczycy Sokratesa i oczyścili go z zarzutu, grożącego mu śmiercią lub wygnaniem.

Kwieciste mowy

Zachował się również zbiór wygłoszonych przez Apulejusza popisowych deklamacji. Nosi on tytuł *Kwieciste mowy*. Oto typowa próbka ich stylu, w pełni uzasadniającego ten tytuł (rozdz. 13): „Filozofia nie obdarzyła mnie wymową w taki sposób, w jaki natura dała pewnym ptakom śpiew krótki i ograniczony w czasie: jaskółkom poranny, cykadom południowy, pójdzkom przedwieczorny, puszczykom wieczorny, puchaczom nocny, kogutom poprzedzający świt. Te bowiem istoty o różnym czasie i na różne sposoby pieją i śpiewają: koguty mają głos budzący, puchacze jękliwy, puszczyki narzekający, pójdzki zawodzący, cykady hałaśliwy, jaskółki przenikliwe. Natomiast filozof jest cały czas przebiegły w rozumowaniu i biegły w mowie dostojnej dla ucha, pożytecznej dla umysłu i na wszelkie sposoby wszechśpiewnej”.

Choć w *Metamorfozach* autor popisuje się chwilami kunsztownością frazy, jednak nie posuwa się w żonglerce słownej aż tak daleko. I całe szczęście, bo wówczas powieść nie nadawałaby się do czytania.

Apulejusz zostawił też po sobie kilka pism filozoficznych. Najważniejsze z nich to traktat o demonach zatytułowany *O bogu Sokratesa* oraz wykład filozofii Platona i platoników *O Platonie i Jego poglądach*.

Lucjusz czyli osioł

Wśród pism Lukiana z Samosat (ok. 120 – po 180) znajdujemy krótką nowelę *Lucjusz czyli osioł*, traktowaną na ogół przez uczonych jako skrót większego dzieła. Nie Jest pewne, czy autorem noweli jest rzeczywiście Lukian. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Apulejusz pisząc *Metamorfozy* oparł się na tej noweli lub na jej pierwowzorze.

Fabula *Lucjusza* jest w dużej mierze zbieżna z fabułą *Metamorfoz*. W greckiej noweli nie ma jednak luźno związanych z akcją opowieści, które występują u Apulejusza – przede wszystkim rzuca się w oczy brak zajmującej centralne miejsce w *Metamorfozach* baśni o Amorze i Psyche. Inne jest również zakończenie utworu. Bohaterowi *Lucjusza* nie przywraca postaci ludzkiej Izyda, lecz odzyskuje on dawny kształt zjadłszy kilka róż w teatrze, w którym ma wystąpić jako partner seksualny skazanej na śmierć zbrodniarki.

Wielu czytelników *Metamorfoz* spotyka zawód na samym końcu książki. Po emocjonującej scenie, w której osioł staje się na powrót człowiekiem, Apulejusz przedstawia nam dość nużący opis kolejnych wtajemniczeń bohatera w obrzędy egipskie. Nowela przypisywana Lukianowi ma w tym miejscu bardzo zabawną scenę, którą można uznać za puentę utworu:

„Postanowiłem pójść do kobiety, która mnie kochała, gdy byłem osłem. Sądziłem, że teraz, w ludzkim kształcie, wydam jej się piękniejszy. Przyjęła mnie z radością, zapewne ucieszona nieoczekiwanym obrotem sprawy. Poprosiła, bym z nią zjadł wieczerzę i spędził noc, a ja

doszedłem do wniosku, że byłoby karygodne, gdybym stawszy się człowiekiem wzgardził względami kobiety, która darzyła mnie miłością jako osła. Po wieczerzy namaściłem się więc obficie olejkami i włożyłem na głowę wieniec z róż – najmiłszych mi kwiatów, które przywróciły mi ludzką postać. Gdy była już głęboka noc i nadeszła pora spoczynku, wstałem i – uważając to za znakomity pomysł – rozebrawszy się stanąłem przed nią nago, przekonany, że bardziej jej się spodoba, gdy mnie porówna z tamtym osłem. Ona jednak, stwierdziwszy, że mam wszystkie członki ludzkie, splunęła i rzekła:

– Precz ode mnie! Wynoś się z mego domu i śpij jak najdalej stąd!

– A czym ci się tak naraziłem? – pytam.

– Na Dzeusa – odpowiada – nie z tobą sypiałam, ale z osłem, i nie ciebie kochałam, ale jego. Myślałam, że nadal zachowałeś i wleciesz pod sobą to jedno wielkie znamię osła. A tymczasem przychodzisz tutaj przemieniony w małpę z owego pięknego i pożytecznego zwierzęcia. Od razu wzywa służących i każe im wzięwszy mnie za kark wyrzucić z domu. Wypchnięty na zewnątrz, świecąc piękną golizną, pięknie uwieńczony i namaszczony obejmowałem gołą ziemię i z nią spędziłem noc”.

Żartem i serio

Zestawienie *Metamorfoz* z *Lucjuszem* wskazuje na to, że Apulejusz nieco zmienił charakter całej opowieści, wplatając do niej ustępy mające skłonić czytelnika do poważnej refleksji. Baśń o Amorze i Psyche to nie tylko pełen uroku mit. Jest ona również alegorią pouczającą, że miłość duszy do piękna może zapewnić jej boskość i nieśmiertelność. Platonik Apulejusz nawiązuje tu do wyводу wieszczki Diotymy, którą głosi taki właśnie pogląd w ostatniej części *Uczty* Platona. Dostojna kapłanka pouczająca Sokratesa przybiera jednak w *Metamorfozach* postać „starki zdziecinniałej i podchmielonej”, próbującej zabawić porwaną przez zbójców dziewczynę. Zresztą w samym micie możemy znaleźć wiele elementów żartobliwych, jak choćby list gończy, obiecujący jako nagrodę za znalezienie zbiegłej Psyche siedem pocałunków Wenus, lub obwieszczenie Jowisza, grożące bogom grzywną za nieobecność na zebraniu.

Takich żartów nie spotkamy w związanym z kultem Izydy zakończeniu *Metamorfoz*. Zakończenie to różni się od reszty utworu nie tylko powagą, lecz również obecnością bardzo osobistego tonu. Jak zauważyli ze zdziwieniem uczeni, bohater, który na początku książki jest Grekiem z dziada pradziada, tu (ks. XI, rozdz. 27) okazuje się – jak autor – Madaureńczykiem.

Podniosły koniec utworu skłania czytelnika do poszukiwania alegorycznego sensu całych *Metamorfoz*. Może każdy z nas jest głupim i lubieżnym osłem, dopóki poznanie tajemnic filozofii i religii oraz cnotliwe życie nie uczyni go godnym miana człowieka i nie zapewni mu nieśmiertelności?

Zwróćmy jednak uwagę na to, że pełne powagi obrzędy ku czci egipskich bóstw są w *Metamorfozach* lustrzanym odbiciem święta Śmiechu, w którym w dość niemiłej roli uczestniczy Lucjusz tuż przed swoją przemianą w osła. To święto, o którym nie ma mowy w noweli greckiej, wprowadził zapewne Apulejusz do utworu jako sygnał dla czytelnika, że nie powinien brać treści *Metamorfoz* zbyt poważnie.

Styl powieści

Choć żywa i dowcipna narracja sprawia, że powieść Apulejusza jest niezwykle atrakcyjna dla dzisiejszego czytelnika, nauczyciele łaciny zazwyczaj odradzają uczniom wczesną lekturę tego dzieła – i to nie ze względu na frywolne ustępy, lecz w związku z licznymi osobliwościami słownictwa i składni. Apulejusz wskrzesza wiele wyrazów używanych po raz ostatni kilkaset lat wcześniej przez Plauta, tworzy wiele innych, śmiało używając przedrostków i przyrostków. Czasem też dąży do podobnych efektów stylistycznych jak w przytoczonym wyżej ustępie *Kwiecistych mów*. Zacytujmy choćby opis dzika (ks. VIII, rozdz. 4): „Nabrzmiały był mięśniami twardego cielska, plugawy od kudłów nastroszonych na skórze, szorstki szczecią jeżącą się na grzbiecie, spieniony od głośnego zgrzytania kłami, płomienny groźnymi światłami ślepiów, a piorunowy cały od wściekłych rzutów dygocącej paszczy”. Mamy tu wrażenie, że autor nie tyle chce nam podsunąć obraz dzika, co popisać się talentem retorycznym. W przekładzie giną zresztą rozmaite gry słów, jak ta oto figura etymologiczna (ks. IX, rozdz. 35): *pollens factionibus et cuncta facile faciens* („trzęsąc różnymi klikami robił, co chciał, w kraju”).

Uczeni dawniej chętnie mówili o „łacinie afrykańskiej”, obejmując tym terminem język Apulejusza i urodzonego w Kartaginie wybitnego pisarza chrześcijańskiego Tertuliana, który również jest znany ze śmiałego i osobliwego stylu. Dziś jednak sądzi się raczej, że do ukształtowania prozy Apulejusza nie przyczynił się specjalnie fakt, że urodził się on w Afryce. Jego maniera stylistyczna jest dziedzictwem ruchu w kulturze greckiej i łacińskiej II w. n.e. zwanego „drugą sofistyką”. Przedstawiciele tego nurtu chętnie sięgali do dawnych, nawet przedklasycznych autorów i popisywali się umiejętnością tworzenia kwiecistych okresów retorycznych.

Przemiany Metamorfoz

Powieść Apulejusza nie była prawie znana w średniowieczu. Z tamtych czasów zachował się tylko jeden rękopis, sporządzony w XI wieku, który przeleżał trzysta lat w bibliotece klasztoru na Monte Cassino. Tam odkrył go wreszcie Giovanni Boccaccio i własnoręcznie sporządził jego kopię, przechowywaną dziś – podobnie jak tamten manuskrypt – we Florencji. Trudno o lepszy przykład korzyści, jakie może odnieść pisarz z prowadzonych przez siebie badań filologicznych. Włoski autor oparł dwie nowele *Dekameronu* (dzień V, opowieść 10 i dzień VII, opowieść 2) na opowiadaniach zawartych w IX księdze *Metamorfoz* (rozdz. 22–28 i 5–7). Poza tym w całym dziele Boccaccia często widać wpływ Apulejusza – mam na myśli zarówno formę nowel jak i użycie poszczególnych motywów.

Apulejusza można uznać za protoplastę całego gatunku literackiego – powieści pikaryjskiej (łotrzykowskiej) powstałej w XV wieku w Hiszpanii. Bohaterami tych powieści są słudzy, którzy – podobnie jak zamieniony w osła Lucjusz – wciąż zmieniają panów i mają wgląd w sekrety wielu kolejnych domów.

Wspomnijmy jeszcze ważne dzieło polskiego autora, zainspirowane przez opowieść o Amorze i Psyche. Chodzi mi, rzecz Jasna, o *Erosa i Psyche* Jerzego Żuławskiego, „powieść sceniczną” z 1904 roku, przedstawiającą dzieje ludzkości jako walkę ducha z materią.

Jak widać, echa *Metamorfoz* można znaleźć zarówno w literaturze plebejskiej, jak i u takich subtelnych erudytałów jak Żuławski. Wiąże się to z faktem, że książka Apulejusza jest atrakcyjna z jednej strony dla ludzi zainteresowanych starożytnością, ówczesnym życiem codziennym, filozofią i religią, a z drugiej dla czytelników, którym zależy po prostu na zbio-

rze ciekawych i zabawnych historii. Jak pisał w jednym z listów Gustaw Flaubert, „w tej książce czuje się zapach kadzidła i moczu, zwierzęce wyuzdanie idzie w parze z mistycyzmem”.

Mikołaj Szymański

KSIĘGA PIERWSZA

[1] Oto opowiem ci milezyjską modłą¹ bajeczki rozmaite i połączę twe łaskawe mi uszy wdzięcznym bajdurzeniem – jeśli tylko nie wzgardzisz przeczytaniem tego papirusu egipskiego, nilowej trzciny kończyścią pisanego. Wszystko to zaś, abyś się nacudował ludzkich losów i postaci przemianom w kształty inne i powrotowi we własne dzięki odwrotnemu rzeczy splotowi.

Zaczynam. Któż jednak jestem ja sam? Dowiedz się w kilku słowach.

Hymettos attycka i Istmos Efirejski, i Tenaron w Sparcie, ziemie szczęśliwe i uwiecznione w księgach, znakomitszych niż ta, są mego rodu kolebką. Tam, pierwszymi trudami młodości, mowy attyckiej zdobyłem znajomość. Wkrótce potem przybywszy do stolicy latyńskiej wziąłem się z rozmachem do języka tego kraju, języka, dzięki któremu dostępna mogła być jedynie nauka Kwiryków, i wyuczyłem się go w znoju ciężkim, ale bez pomocy nauczyciela. Oto dlaczego wprzód już proszę: wybaczone, jeśli w stylu mym, pisarza-niezgrabego, uderzy cię co obcego lub gminnego. A zresztą same te przemiany języka już stylowi tych przemianych historii, o których mowa, są odpowiednie. Zaczynamy tedy tę greczyńską opowieść. Słuchaj pilnie, czytelniku, a ucieszę mieć będziesz.

[2] Do Tesalii – szcycimy się bowiem, że i to są nasze miejsca rodowe przez matkę pochodzącą od sławnego onego Plutarcha i wnuka jego Sekstusa Filozofa² – do tej tedy Tesalii dążyłem w interesach. Skoro tak przebrałem się już przez wyniosłości górskie i spadziny dolinne, i mokradła polne, i przez skibiaste role, chcąc i sam ruchem marszu wypocząć sobie po zmęczeniu wskutek długiego siedzenia, i konia także bardzo zmęczonego mając – a jechałem na siwku krajowego chowu – zeskoczyłem na ziemię, konia troskliwie otarłem liśćmi z potu, po uszach go poklepałem, rozkiełznałem i prowadziłem stępa, powoli, ażeby mógł odlać wodę swą i tym naturalnym i zwykłym sposobem ulżyć swemu zmęczeniu. A kiedy on, na boki wyciągając szyję, skubał pyskiem swoje śniadanie podrózne: łąki, które mijał, stowarzyszyłem się na trzeciego do dwu podróźnych, którzy właśnie szli nieco przede mną. Kiedy zaś nastawiam ucha, o czym tam ciągle pytlują, słyszę, jak jeden z nich parszcząc śmiechem, woła:

– Ale przestańże już wyplatać takie duby smalone i historie niestworzone!

To usłyszawszy ja, którym zresztą zawsze ciekawy na nowinki:

– Ależ przeciwnie – powiadam – niech nie przestaje. Tylko mnie przypuśćcie do rozmowy, nie żebym już nie mógł zdzierżyć z ciekawości, ino ponieważ chętka jest we mnie okrutna, by poznać wszystko albo przynajmniej jak najwięcej. Zarazem zaś wdzięczne bajanie złagodzi nam znojęność wydzwigiwania się na ten stok, na który idziem.

[3] Ale ów, który przedtem był zaczął:

¹ m i l e z y j s k a m o d ł a – na wzór greckich, realistycznych, nieraz sprośnych *Opowieści milezyjskich* Arystydesa z Miletu.

² S e k s t u s – filozof platoński, nauczyciel cesarza Marka Aurelego.

– Nie! – powiada – te bajdy są taką samą prawdą, jak gdyby ktoś chciał twierdzić, że można czarnoksięskim wymrukiwaniem zawrócić wartkie rzeki, morze skępować, żeby się nie ruszyło, wiatry pozbawić dechu i zatłumić, słońce zastanowić, sprawić, żeby księżyc wyszumiał jak piana, gwiazdy zedrzeć z nieba, dzień usunąć, a noc na zawsze zatrzymać.

Wtedy ja wtrącam się już śmielej:

– Nuże, przyjacielu – ty, coś zaczął przedtem tamtą historię – wstrętów nie czyni i nie żałuj nam, ino ją dokończ. Ty bowiem – zwracam się do drugiego – masz uszy głuche, a umysł zawarty rzeczom, które może są i prawdziwe. Bo – dalibóg! – człowiek wbija sobie w głowę uprzedzenia co najgorsze i przez nie za kłamstwo bierze to, czego albo nie słyszał nigdy, albo co oczom wydaje się niezwykajne, albo przynajmniej dla myśli trudne do uchwycenia. A jednak jak tego będziesz dochodził dokładniej, to zobaczysz, że to są sprawy nie tylko dla pojęcia całkiem jasne, ale i całkiem możliwe.

[4] Bo ostatecznie zaraz wczoraj wieczór, kiedym na wyścigi z towarzyszami biesiady trochę bardziej nieostrożnie uwijał się, żeby uśmiercić potężną partykę placka serowego, ugrzązł mi w gardle sam miękusz kleisty tego ciasta i dech mi zatkał, żem o malusieńko się nie zadławił. A znowuż niedawno w Atenach i przed samym Portykiem Malowanym³ tym oto dwojgiem oczu widziałem kuglarza, który kańczasty miecz kawaleryjski połykał ostrzem na dół, a potem za nędzną zapłatę przebijał się na wylot śmiercionośnym końcem oszczepu myśliwskiego. Po drzewcu zaś tego pocisku, po tej jego części, która wysterczała z karku do góry obok potylicy, wspinał się mały chłopczyzna i w dziwacznych przegięciach podrygiwał z takim wdziękiem i zgrabnością ruchów, że zdało się, jakby nie miał w sobie kości ni niczego twardego. Z podziwem patrzyliśmy na to wszyscy tam obecni: nic, tylko jakby po takiej laseczce, jaką sękatą po gałęziach nieobciętych gładko nosi Eskulap, bożek lekarzy – jakby po tej laseczce wił się śliskimi splotami rzadki wąż. Ale ja już milknę, a ty, coś przedtem zaczął, kończ, jeśli łaska, twoją opowieść. Ja będę ci wierzył za dwu, bo i za tego tu, a w pierwszej karczmie, co nam na drodze stanie, bądźże moim gościem na obiedzie. Stoi, że to masz u mnie.

[5] Ów na to:

– Cenię sobie to, co obiecujesz, i biore to za dobrą monetę. Będę tedy prowadził dalej, com zaczął, ale wprzód muszę ci się zakląć na to boskie słońce, co na wszystko patrzy, że opowiadam rzeczy prawdziwe i sprawdzić się dające. Wy sami nie będziecie o tym niedługo wątpili, skoro tylko przybędziecie do niedalekiej już Tesalii, bo tam z ust każdego co krok o tym słychać; sprawy te bowiem działy się na oczach wszystkich. Lecz abyście się naprzód dowiedzieli, com ja sam za krajan i czym zarabiam: otóż jestem Eginetą, handluję miodem, serem i tym podobnymi smakołykami i kręcę się z tym ciągle tam i z powrotem po Tesalii, Etolii i Beocji. Dowiedziawszy się tedy, że w Hypate⁴, mieście w całej Tesalii najznacniejszym, można właśnie kupić ser świeży i przedniego smaku za psie pieniądze, polecałem tam czym prędzej, chcąc nabyć cały zapas. Ale widocznie ruszając tam zacząłem lewą nogą i – jak to w takim wypadku bywa – szczyła cała nadzieja dobrego interesu; dzień przedtem bowiem zdmuchnął mi wszystko sprzed nosa jeden wielki kupiec, niejaki Lupus. Ostatecznie tedy, zmordowany pośpiechem, który się i tak na nic nie przydał, poszedłem sobie zaraz z wieczora do łaźni.

[6] Po drodze spostrzegłem nagle mego kompana Sokratesa. Siedział na ziemi w jakiejś postrzępionej resztkę płaszczka na grzbiecie, sam jak ten szkielet, pożółkły taki, że nie do siebie, a raczej do tego żebractwa podobny, co żlamda o grosz w zaułkach. Kiedy go w takim

³ P o r t y k M a l o w a n y – (stoa pojki) na rynku ateńskim, ze sławnymi freskami Polignota, gdzie zbierali się stoicy.

⁴ H y p a t e – miasto w Tesalii, uważane w starożytności za siedzibę tesalskich czarownic.

stanie zobaczyłem, to choć on mi kum i stary znajomek, przeciwnie się dopiero po chwili wahań do niego zbliżył.

„Bój się Boga – powiadam do niego – Sokratesie mój, a to co znowu? Jakże ty wyglądasz? Aż wstyd! A w domu u ciebie to cię już oplakali jak straconego nieodwołalnie raz na zawsze, a dzieciom twoim sędzia obwodowy naznaczył już opiekunów! Żona twoja odprawiła już nabożeństwa żałobne za ciebie, długą żałobą i rozpaczą okropnie się zgryzła, omal że sobie oczu do ostatka nie wyplakała, aż ją nareszcie jej rodzina gwałtem prawie zmusiła do tego, by sobie rozweseliła jakoś dom nieszczęsny uciechami świeżego małżeństwa. A ty się tu pokazujesz jak straszdyło z tamtego świata, że aż mi wstyd, doprawdy”.

„Arystomenesie – powiada on mi na to – ani ty się nawet nie domyślasz, jakie bywają losów zasadzki podstępne a ciosy nieobliczalne, a ciągle przemiany”.

I to mówiąc strzępem swego łaichmana, na którym łąta na łacie siedziała, zakrył ze wstydu twarz szczerwienioną jak kartagińska ostryga, tak że nagle łysnął golizną od pępka poza podbrzusze. Ja tedy, nie mogąc już znieść widoku takiej nędzy i nieszczęścia, rękę mu podaję i staram się pomóc, by wstał.

[7] Ale on nie ruszając się, mówi z głową zakrytą:

„Daj pokój, daj! Niechże się nacieszy Los zdobyczą, jaką sobie we mnie ucapił”.

Dopiąłem wreszcie, że poszedł ze mną. Zaraz tedy ściągam jedną z dwu moich własnych szmat i prędko go ubieram – czy lepiej mówiąc: jako tako osłaniam – i na miejscu go oddaję do łaźni, sam krzątam się koło namaszczenia go oliwą i wytarcia, pracowicie zeskrobuję z niego grubą na palec skorupę brudu. Uczciwie go opatrzywszy, podpierając okrutnie zmordowanego, ciągnę go, sam zmachany, do gospody, daję mu się ogrzać w łóżku, daję mu jeść, daję mu pić, dobrym słowem go pocieszam. Powoli dał się wciągnąć do rozmowy i żartów, i trefnych historyjek, a nawet na dobre sam się rozochocił i rozkrzyczał, kiedy nagle jak sobie westchnie okrutnie z głębi serca i jak się nie palnie dłonią w czoło, aż klasnęło!

„A to przecie – powiada – trzeba bałwana na to niewydarzonego, żeby latając na te zachwalane igrzyska gladiatorские wpakować się w takie nieszczęście! Jak sam wiesz najlepiej, udałem się do Macedonii dla ubicia jednego doskonałego interesu. Otóż kiedy po dziesięciu miesiącach wracałem stamtąd z brzuchatą dzięki mej przemyślności kabzą, niedaleko od Larysy zebrała mnie chętką, żeby skoczyć na to widowisko, i to na krótsze drogi, przez jakiś wąwóz zakazany i bezludny. Tam się do mnie dobrały jakieś najgorsze rzezimieszki, obłupiły mnie z wszystkiego, ledwie im sam z życiem uszedł i wreszcie, oporzędzony w okropny sposób, dostałem się na nocleg do pewnej karczmarki, niejakiej Meroe, starki wprawdzie, ale jeszcze mocno jurnej, której opowiedziałem całą historię i długiej wędrówki, i niespokojnego powrotu, i nieszczęsnego ograbienia mnie. Ona – nie ma co gadać – obesła się ze mną bardziej niż gościnnie: przygarnęła za darmo do smakowicie zastawionego stołu, a potem – że ją to żądza ogniem przypiekała – i do swego łóżka. Ale jakem się z nią tylko przespał, od jednego razu potem wpakowałem się w niewolę bez końca, a gorszą od tej zarazy: toż nawet te szmaty musiałem jej oddać, które mi zostawiły tamte pocziwe lotrzyska dla zasłonięcia golizny – nawet te groszaki musiałem oddawać, którym, pókim miał jeszcze siły, zarabiał jako tragarz, aż ze mnie nareszcie udała niewiastka i nieudały los zrobiły tę figurę, którąś zobaczył sam przed chwilą”.

[8] „A, na Polluksa⁵ – odrzekłem mu – doprawdy, że zasługujesz na rzeczy najgorsze – na gorsze jeszcze od tego, co cię teraz spotkało – jeśliś taką wszeteczną dziewczkę przeniósł nad ognisko domowe i dzieci”.

A on przyłożył do ust palec wskazujący i z głuchym przerażeniem wokół się rozglądając, czyli nikt nie słyszy:

⁵ na Polluksa (i Kastora) zaklinali się Rzymianie dla zapewnienia o prawdomówności.

„Na miły Bóg, cicho! – szepnął. – Strzeżże się ty jej, bo to nie taka sobie zwykła kobieta! Żebyś sobie jakiej biedy nie napytał niepowściągliwym jęzorem!”

„Nie gadaj – mruknąłem – taka to mocarka ta królowa z za szynkwasu? Cóż ostatecznie w tej babie siedzi?”

„Czarownica – odpowiedział – wiedźma, co potrafiłaby ci niebo ściągnąć na dół, ziemię w powietrzu zawiesić, bijące źródło zakamienić, góry roztopić, duchy zmarłych wywołać, bogów zewlec na ziemię, gwiazdy pogasić, a sam Tartar rozjaśnić!”

„Mój drogi – powiadam mu – zrób mi to i daj sobie spokój z tymi dekoracjami jak z teatru, spuść już tę kurtynę tragiczną i powiedz rzecz po prostu”.

A on na to:

„Chcesz, żebym ci opowiedział jedną czy dwie, czy sto tych sztuczek, jakie potrafi? Bo to, że potrafi sobą rozpętać chuć miłosną nie tylko w swoich ziomkach, ale także w mieszkańcach Indii albo obu Etiopii, albo nawet w tych, co żyją na drugim końcu świata, to to są tylko pyłki jej sztuki i czyste dla niej fraszki. Ale posłuchaj tych jej sprawek, które wielu sprawdziło własnymi oczyma.

[9] Gacha swojego za to, że zajął się jakąś inną, zamieniła jednym otwarciem ust w bobra leśnego, ponieważ ono zwierzę w ucieczce przed myśliwcami ratuje się tym, że odgryza sobie swoje przyrodzenie i im je zostawia. Przemieniła go zasię tak, aby i on sobie musiał tak zrobić, a wszystko za to, że się zadawał z inną. Karczmarza znowu z sąsiedztwa – robiącego jej wskutek tego konkurencję – w ropuchę zamieniła i teraz ten staruch pływa w kadzi własnego wina i z mętów na dnie poleca się skrzeczące łaskawym względem swoich dawnych klientów. Innego jeszcze, z palestry, za to, że pono gębował przeciw niej, przemieniła w barana i on teraz w tej postaci urzęduje na terminach sądowych. Ona to także żonę jednego swego kochanka, która się przekąśliwie o jej cnocie wyrażała, kobietę brzemienną, ukarała w ten sposób, że zamknęła naturalne ujście jej ciąży i zatrzymała płód, tak że matka pozostała wieczyście ciężarną. Każdy ci wyliczy, że lat temu już ośm, jak tę niebogę brzemię jej rozpiera, z czym wygląda, jakby słońca miała porodzić.

[10] Kiedy takie sprawki raz po raz płała na szkodę setek ludzi, wezbrało przeciw niej wreszcie takie wszystkich oburzenie, że dnia pewnego postanowiono bez litości na niej postać wziąć i ukamienować ją nazajutrz. Ale ona uprzedziła ten zamiar dzięki swoim czarom i jak ta Medea – której wystarczył jeden dzionek zwłoki, pozostawiony jej przez starego Kreona, aby cały jego dom i córkę wraz z nim samym spalić pożogą, skrycie posłała w darowanym diademie – tak Meroe – co mi sama niedawno opowiadała podchmieliwszy sobie – nagadała ino krzynę zaklęć grobowych nad otwartą jamą i od razu zrobiło się tak, że wszyscy zostali zamknięci w swoich domach – bo bóstwa widać musiały znosić w milczeniu gwałty zadawane przez nią ich władzy. Trwało tak tedy caluśkie dwa dni, że nikt nie mógł ani wyłamać zamku, ani wywalić drzwi, ani nawet wybić dziury w ścianie, aż dopóki, porozumiawszy się jakoś, nie zaczęli jej jak jeden mąż krzyczyć, zaklinając się na wszystkie świętości, że nie podniosą na nią ręki, a nawet że pospieszą jej natychmiast z pomocą, gdyby ktoś się wyłamał spod tego zobowiązania. Tak dała się ułagodzić i wszystkich pouwalała. Tego jednak, który ludzi przeciw niej był podmówił, przerzuciła w ciemniuteńkiej nocy razem z całym jego domem, jak stal zamknięty, ze ścianami, podwalinami i nawet samym gruntem – o sto mil, do innego miasta, położonego na szczycie dzikiej góry, w okolicę w dodatku bezwodną. A ponieważ domy mieszkańców ściśnięte były tam tak gęsto, że dla nowego przybysza i miejsca nie stało, podrzuciła dom pod bramę miasta i poszła sobie”.

[11] „No, no – powiadam – cudaczne ty mi historie tu opowiadasz, mój Sokratesie, a i nie mniej straszne niż cudaczne. Teraz to i mnie niemałego napędził niepokój, a nawet, prawdę mówiąc, ciężkiego stracha, co mnie już nie jak ość kłuje, ale jak oścień dżga. To by była ładna zabawa, jakby się ta wiedźma zwiedziła przez takie swoje piekielne sposoby, cośmy tu o

niej gadali! Wiesz co, kładźmy się jak najprędzej spać, a krzynę się snem pokrzepiwszy, jeszcze po nocy czmychajmy stąd jak najdalej”.

Jeszcze nie skończył, patrzę, a pocziwota Sokrates, zmorzony całodziennym znojem i winem, od którego odwykł, chrapie już jak zarżnięty. Zamknąłem tedy drzwi, zasunąłem dobrze rygle, a nawet zaparłem wejście mocno łóżkiem, na którym się dopiero położyłem. Ale z początku strach mi nie dawał jakiś czas zasnąć, dopiero potem, dobrze już po północy, trochę się zdrzemnąłem na dobre, kiedy z łomotem – po którym poznać od razu, że to nie złodzieje – drzwi się otwierają, a właściwie nie otwierają, ino wylatują razem z połamanymi na kawałki zawiasami. Mój tapczanik, bez tego już kulawy na jedną nogę i zmurszały, wyrzucił się od tego gwałtownego uderzenia, ja wyleciałem, żem się aż po podłodze pokatulał, i uczułem tylko, że tapczan wali mi się na grzbiet i całkiem mnie przykrywa i przytłumia.

[12] Doświadczyłem wtedy, jak pewne uczucia zdolne są przerzucać się same z siebie w swoje przeciwieństwa. Bo jak radość – bywa to często – łyzy wyciska, tak ja, w tym strachu nie na żarty, nie mogłem powstrzymać śmiechu, z Arystomenesa uczuwszy się takim żółwiem. I kiedy tak, rzucony w śmieci, a zakryty przez usługne i chytne łóżko, zerkam, co się tam dalej stanie, widzę dwie niewiasty starsze; jedna trzymała w ręce świecącą latarnię, druga gąbkę i miecz. Tak uzbrojone stają przed Sokratesem śpiącym jak suseł. Wtedy ozwie się ta z mieczem:

„Ten ci to jest, siostrzyczko Pantio, ten mój słodki Endymionek⁶, ten mój pieścioszek, który dniami i nocami gził się czule z – och! – wiosną mych latek, ten, który wzgardziwszy moim żarem nie tylko pysk sobie strzepi na mojej cnotce, ale jeszcze chce czmychnąć! A ja naturalnie, jak ta Kalipso opuszczona przez oszukańczego Ulissesa, będę oplakiwać wieczne moje wdowieństwo!”

Tu wyciągnąwszy rękę pokazuję mnie tej swojej godnej Pantii i dodaje:

„A ten pocziwina, ten Arystomenes, co taki łepak do rady – bo to on obmyślił plan tej ucieczki, a teraz pod łóżkiem przywarował i aż się przylepił do ziemi, a ledwo zipie ze strachu i łypie ino ślepiami na to wszystko – on myśli, że mu tak na sucho ujdzie to, co na mnie napyskował! Wystroję ja mu kiedyś jeszcze...! E, i nie kiedyś – zaraz, zaraz teraz dam mu takiego łupnia, że pożałuje swego dawnego drwinkowania i terazniejszego wścibstwa”.

[13] Skórom to usłyszał, nieszczęsny, zimne poty na mnie uderzyły i taka mnie wzięła drżączka, że aż od niej tapczan na moim grzbiecie zaczął tańczyć jak opętany. I wtedy słyszę, jak milutka Pantia powiada:

„Siostruniu, to bierzmy się od razu naprzód do niego i rozszarpmy go jak bachantki albo skrepujemy i wyrznijmy mu jego męskie przyrodzenie”.

Na to Meroe – oczywiście bowiem wymiarkowałem, że wedle wszystkiego, co opowiadał Sokrates, do niej odnosi się to imię:

„Nie – mówi – niechże ten sobie przynajmniej pożyje, żeby mógł rzucić garść ziemi na ciało tego niebożątka” – i odgiąwszy głowę Sokratesa na prawy bok wbiła mu w lewą stronę szyi cały mieczyk aż po rączkę, a podstawivszy szybko mały mieszek skrętnie schwytała doń buchającą krew, tak że nawet jedna kropla jej nie uszła i nie zostawiła nigdzie śladu.

Na to wszystko patrzyłem własnymi oczyma. Widziałem nawet, jak ta czuła Meroe – zapewne, by nie uchybić w niczym temu swojemu obrządkowi mordowania – jak wsunęła przez tę ranę rękę aż do samych wnętrzności i pogmerawszy tam wyciągnęła serce mojego nieszczęsnego kompana, z którego gardzieli przerżniętej rzeźnickim ciosem wydobywał się ino jakiś głos, a raczej słabe charczenie razem z krwawymi bąblami powietrza. Tymczasem Pantia, zakładając gąbką cały otwór rany, mówiła:

„Ej gąbko, gąbko w morzu zrodzona, żebyś mi się przez rzekę nie puściła!”

⁶ E n d y m i o n – Arkadyjczyk słynny z piękności, którego Zeus uśpił, by go zachować w wiecznej młodości.

Tak się z tym wszystkim załatwiwszy, odchodzą, a na odchodnym jedna odsunęła mój tapczan, po czym obie przykucnęły rozkraczone nad moją twarzą i dały upust swoim pęcherzom, zalewając mnie strasznie smrodliwym moczem.

[14] Ledwie wyszły za próg, a już drzwi, jakby nigdy nie tknięte, wracają na swoje dawne miejsce, zawiasy wsuwają się w swe otwory, podwoje zahaczają się o swe rygle, zasuwki zapadają w zamki. Ja zaś, jak leżałem, ciągle jeszcze rozciągnięty na ziemi, tchu nie mogąc złapać, nagi, skostniały i zlany moczem, jakby mnie w tej chwili mać porodziła – a raczej jeszcze gorzej, bo jak na poły nieżywy, jak swój własny pogrobowiec, jak taki, co sam widział już własną śmierć, albo co najmniej kandydat na szubienicę, co gotowa ino na niego czeka – ja tedy pomyślałem sobie ino, co się też stanie ze mną, kiedy rano znajdą mego towarzysza zamordowanego? Kto uwierzy, że mówię rzeczy choć podobne do prawdy, kiedy ja będę mówił prawdę samą?

Powiedzą: „Mogłeś przynajmniej krzyczeć o pomoc, jeśliś już nie mógł – ty, taki drażal! – dać rady niewieście. Więc w oczach twoich rżną człowieka, a ty gęby nie otworzysz? Dlaczegoż zaś ty sam uszedłeś takiej rzezi? Dlaczegoż ta okrutnica miałaby oszczędzić kogoś, co widział zbrodnię na własne oczy i mógłby o niej w sądzie świadczyć? Ale skoroś się wtedy wykpił od śmierci, to idźże teraz za swym towarzyszem!”

Nad tym ino bez ustanku się głowiłem, a tymczasem mieć się zaczynało już ku dniowi. Doszedłem wreszcie do tego, że najlepiej zrobię wymykając się przed świtem chyłkiem w drogę, chociażby po omacku. Chwytam tedy mój tłumoczek i wsunąwszy klucz w drzwi usiłuję otworzyć zamek; ale te niezawodne drzwi chciały pokazać, że wiedzą, co to obowiązkowość: w nocy się wprowadzi same otwarły, ale za to teraz zaledwie ustąpiły, kiedym po jaki setny raz kręcił w zamku ich własnusięńkim kluczem.

Wyszedłem.

[15] „Hej, jest tam który? – wołam – Otwórz no mi wrota zajazdu, bo wyruszam przed świtem”.

Odzywa się na to nareszcie odźwierny z barłogu, gdzieś za bramą wjazdową, do pół jeszcze nieprzytomny ze snu.

„A tobie co? – powiada – ty nie wiesz, ile po drogach zbójów, że się teraz po nocy w drogę wybierasz? Ale jak ty masz na sumieniu jakieś takie sprawki, że ci i życie już niemiłe, to my tam dźwigamy jeszcze na karku głowy, a nie dynie! To ich za ciebie nastawiać nam nie ochota!”

„Dobrze – mówię – ale już przecie dzień niedaleko. A oprócz tego, co takiemu nędzarzowi, jak ja, mogą zabrać zbójce? Ty, głupcze, nie wiesz, że nawet dziesięciu, i to atletów, nie potrafi obedrzeć gołego?”

A na to on przewrócił się na drugi bok i wybełkotał już śpiący prawie:

„A skąd ja mogę wiedzieć, czyś ty nie poderznął gardła temu twojemu znajomkowi, któregoś tu wieczór przyprowadził, i teraz w nogach nie szukasz ratunku?”

W tej chwili – dobrze to mam w pamięci – zrobiło mi się tak, jakby się ziemia pode mną rozstąpiła i jakbym zobaczył samo dno Tartaru z psem Cerberem rozdziawiającym ku mnie nienasyconą paszczę. Zrozumiałem wtedy zaiste, że poczciwa Meroe oszczędziła moją gardziel nie z litości, ale z okrucieństwa: żeby mnie zachować cało dla stryczka.

[16] Wracam tedy do izby i zaczynam rozmyślać, jak by tu znaleźć jaką śmierć gwałtowną. Ale gdy los nie zostawił mi żadnego innego narzędzia do samobójczej śmierci, jak chyba tylko tapczan:

„Tapczaniku mój – powiadam – mój najdroższy, coś ze mną przetrwał tyle tarapatów, ty jedyny nieprzekupny świadku tego, co się stało tej nocy, ty jedyny, którego mógłbym przyzwać na świadka mej niewinności wobec oskarżenia, co na mnie czyha – ty dostarcz mi pewnego sposobu, żebym się prędko dostał do podziemia!”

Co mówiąc wydłubuję sznur, z którego była plecionka na tapczanie, zarzucam i umocowuję jeden sznura koniec na małej belce wystającej nieco spod okna, drugi koniec zwiążuję w mocną kluczkę, wylażę na tapczan – bo im wyżej, tym śmierć pewniejsza – i wkładam głowę w pętlicę. Ale kiedym podpore, która mnie dotąd podtrzymywała, nogą odepchnął, ażeby sznur wskutek ciężaru ciała zacisnął się koło szyi i udusił, nagle mój stryczek – stary widać i sparciwały – urywa się, a ja z wysoka spadając walę się na Sokratesa, który leżał blisko pode mną, i razem z nim staczam na ziemię.

[17] A właśnie w tej samej chwili wchodzi odźwierny i krzyczy na całe gardło:

„Gdzieżeś tam, ty, coś się o północy tak w drogę spieszył, a teraz chrapiasz pod pierzyną?”

Na to – nie wiem, czy wskutek mojego upadku, czy na ten ryk – budzi się Sokrates, wstaje pierwszy i powiada ze złością:

„Czy to może niesłusznie wszyscy goście klną tych karczmarzy? To przecie ten natręt wścibski, co tu wlaźł nie w porę – z pewnością, żeby coś zwędzić! – zbudził mnie, com taki zmęczony, swym wrzaskiem z najsmaczniejszego snu!”

Wylażę na to ja, ucieszony okropnie, rozpierany niespodzianą radością, i krzyczę:

„Patrz no ty, chlubo wszystkich odźwiernych, oto mój kum, mój tatuś, mój braciszek, ten, o którym w nocy po pijanemu pyskowałeś, zem go zabił!” – i między jednym słowem a drugim Sokratesa wycalowuję, wyściskuję! Ale on, odrzucony zapachem tej okropnej ciecicy, którą mnie owe jędze zakaziły, gwałtownie mnie odpycha:

„A idźże ty precz – parska – taż ty śmierdzisz jak ostatnia kloaka” – i z prześmieciami zaczyna się dopytywać o przyczynę tych zapachów. A ja, biedaczysko, musiałem wymyślać z miejsca jakiś głupi dowcip i odwracać rozmowę na co innego.

„A chodźmyż już – powiadam, łapiąc go wpół – i użyjmy sobie przechadzki o poranku”.

Wziąłem tłumoczek i zapłaciwszy karczmarzowi za mieszkanie wyruszyliśmy w drogę.

[18] Uszliśmy tak szmat drogi, a już też i słońce zeszło i wszystko oświeciło. Wtedy jałem bardzo uważnie przypatrywać się szyi mego towarzysza, temu mianowicie miejscu, gdzie widział grzęznący w niej miecz. Myślałem sobie:

„Ech, ty głupcze, coś się strąbił kilkoma kieliszkami wina i śniłeś okropności! Oto Sokrates idzie sobie obok cały, zdrów, nietknięty! Gdzież ta rana, gdzie ta gąbka? Gdzie w końcu blizna taka głęboka i taka świeża?”

A do niego powiadam:

„Nie bez kozery mówią poważni lekarze, że obżarstwo i pijaństwo ciężkie i okropne zmoiry senne sprowadza. Ja także, zem to sobie wczoraj wieczór nie żałował kieliszków, miałem noc paskudną, potworności mi się jakieś zwidywały i okropności – aż teraz jeszcze mi się zdaje, że jestem ludzką krwią zlany i zbezczeszczony”.

A na to on ze śmiechem:

„Krwia jak krwią, ale moczem toś chyba zlany. Co prawda, to i mnie się śniło, że mnie mordowano. Bo i taki ból w szyi, tutaj, czułem i tak mi było, jakby mi kto samo serce wyrwał, a i teraz jakoś mi tchu brak, kolana mi drżą i idę jakoś tak niepewnie, i chciałbym coś zjeść, żeby się pokrzepić”.

„Masz – powiadam na to – masz tu gotowe śniadanie” – i ściągam z pleców moją sakwę, podaję mu szybko chleb ze serem.

„O, pod tym platanem zaraz siadajmy” – proponuję.

[19] Tak robimy, po czym i ja sam posiłam się z tych zapasów i obserwuję przy tym jego łapczywie zajadającego.

W pewnej chwili widzę jednak, że jakoś się w sobie zapadł i zbladł jak bukszpan. Cera nagle zrobiła mu się tak trupia, że mnie, widzącemu w myśli przed sobą ciągle te dwie Furie z nocy, pierwszy kęs chleba, choć był maleńki, uwiązał ze strachu w gardle i nie chciał pójść ani w przód, ani w tył. Liczba zaś ludzi przechodzących drogą przydała jeszcze gwałtowności memu strachowi. Bo zechcą oni uwierzyć, że jak nas tu jest dwu, jeden ginie bez żadnego

przyczynienia się drugiego? Tymczasem Sokrates, który zjadł dość dużo – połknął łączywie większą część doskonałego sera – zaczął odczuwać gwałtowne pragnienie. A bardzo niedaleko od korzeni platanu płynęła spokojna rzeczka, leniwa jak stawek, jak srebro jasna, a jak kryształ przejrzysta. Mówię mu tedy:

„Ugaszę pragnienie w tej białej strudze”.

On wstaje i nieco poszukawszy mniej stromego zejścia, klęka na brzegu i pożądliwie pochyla się nad zaczerpniętym kubkiem. Ale jeszcze nie dotknął płynu warg końcem, kiedy na szyi jego rozdziawia się rana szeroka i głęboka, z której nagle wypada owa gąbka, a za nią mała strużka krwi. Zewłok to już był nieżywy, który byłby wpadł do rzeki, gdybym go nie był jeszcze zdołał przytrzymać za jedną nogę i nie bez wysiłku wyciągnąć na brzeg. Tu obżalowałam biednego towarzysza, jak można było w tych warunkach, pogrzebałam go w piaszczystej ziemi w wiecznym rzeki sąsiedztwie.

Sam, przerażony, drżąc ze strachu o siebie, uciekałem przez bezdroża i pustkowia i jakby sam mając na sumieniu morderstwo, wyrzekłem się ojczyzny i domu i poszedłszy na dobrowolne wygnanie mieszkam teraz w Etolii, gdzie się na nowo ożeniłem. To jest historia, którą nam opowiedział Arystomenes. [20] Wtedy ów jego towarzysz, który zaraz z początku ztwardziało wiary jego słowom nie dawał, powiada:

– A to dopiero bajda nad bajdami, a to łgarstwo nie do ładu i składu – i zwracając się do mnie: – Ty zaś, z którego miny i czupryny poznać, żeś nie prostak, ty takim bajdom wierzysz?

– Ja doprawdy – odrzekłem – sędzę, że nie masz rzeczy niemożliwych. Wszystko, co się ludziom wydarza, wedle zrządzenia losu się dzieje. Przecie i mnie, i tobie, i wszystkim ludziom przytrafiają się sprawy dziwne i prawie niesłychane; opowiedz je jednak takiemu, co ich nie zaznał, to pewno wiary u niego nie znajdą. Ale ja – na Herkulesa! – wierzę temu twojemu towarzyszowi i wdzięczne mu dzięki składam, że nas rozerwał miluchnej bajki uciesznością; za jej to sprawą umknąłem się zmudzie i znojowi długiej i przykrej drogi. Myślę także, że i ten mój podjezdek rad jest temu dobrodziejstwu, bo mnie tu, aż do bramy tego miasta, nie jego grzbiet, ale właściwie uszy moje podwiozły.

[21] I tu był koniec naszej rozmowy i drogi pospólnej. Towarzysze bowiem moi obaj wzięli się na lewo do najbliższych domków. Ja zaś wstąpiłem do pierwszej karczmy na drodze napotkanej i spytałem tam karczmarki – starki jakiejś – czy to jest miasto Hypate, a gdy przytaknęła, czy zna niejakiego Milona, jednego z pierwszych miasta. Zaśmiała się na to i powiada:

– Prawdziwie pierwszy on tu, ten Milon, bo siedzi na samym podwalu miasta, pierwszy z kraja.

– Żart na bok, mamusiu – powiadam – powiedz no łaskawie, co on za jeden i gdzie mieszka.

– Ano, widzisz – odrzeczę – tam, te ostatnie okna, które wyglądają na miasto, kiedy z drugiej strony drzwi wychodzą na zaułek? Tam to mieszka ten Milon, człek pieniądze srodze i ciężko bogaty, a często gęsto dobrą lichwę uprawiający, bo bierze w zastaw złoto i srebro. Dusi się na tych śmieciach siedząc okrakiem na swoim grosiwie z połowicą, godną kumą w tej nędzy. Jedną jedyną żywi tam ino służkę, a chodzi zawsze jak ten żebrak.

Wybuchnąłem śmiechem na ten opis.

– Bardzo to łaskawie i przezornie – powiadam – zatroszczył się o mnie miły mój Demeasz, dając mi w podróży polecenia do takiego człowieka, w którego gospodarstwie nie ma strachu przed dymem z ogniska ani przed parą z warzonki.

[22] To mówiąc poszedłem dalej do tego domu i zacząłem łomotać we wrota mocno zaryglowane, wołając przy tym głośno. Po dobrej chwili wyszła jakaś młódka.

– Ej tam, człowieku – powiada mi – co się tak do drzwi dobijałeś: na jaki zastaw chcesz pożyczyć? Gdzieś się taki uchował, co nie wiesz, że my dajemy tylko na złoto i srebro?

– Bądź no grzeczniejsza dla mnie – odrzekłem – i raczej powiedz, czy zastają w domu twego chlebowdawcę.

– Pewnie – odrzekła – ale dlaczego pytasz?

– Mam dla niego list od Koryntyjczyka Demeasza.

– Pójdę mu oznajmić – rzekła – a ty tymczasem tu poczekaj .

To powiedziawszy zaryglowała znowu drzwi i weszła do domu. Wkrótce wróciła i otworzyła drzwi, mówiąc:

– Pan prosi cię.

Wszedłem i znalazłem go siedzącego na wążiutkim tapczaniku i właśnie rozpoczynającego obiad. U nóg jego siedziała żona, stół zaś był nakryty, ale nie zastawiony. Wskazał nań i powiada:

– Oto zastawa, jaką mogę gościowi ofiarować.

– Pięknie – mówię i z miejsca daję mu list Demeasza. Przerzucił go prędko i powiada:

– Jaki to kochany ten Demeasz, że mi takiego gościa przysyła. [23] I kazał żonie ustąpić, a mnie na jej miejsce zaprasza.

A kiedy i teraz wzdragalem się z grzeczności, złapał mnie za suknię i pociągnął.

– Siadaj – powiada – tutaj, bo my, ze strachu przed złodziejami, nie mamy żadnych stołków ani nie możemy sobie sprawić potrzebnych sprzętów.

Usłuchałem. Wtedy rzekł:

– Zaraz bym sam się domyślił – i bez ochyby – z tej przystojnej ciała postawy i z tej dziewiczej zgoła skromności, żeś ty z dobrego domu. Ale i mój Demeasz to samo mi w liście pisze. Przeto racz nie wzgardzić biedotą tej naszej norki. Ta przylegająca izba będzie ci przystojną siedzibą. Rozgośćże się łaskawie w naszym domu, a i on urośnie twoim dostojstwem, i ty sobie zdobędziesz tytuł do sławy, jeśli, rad skromnemu schronieniu, współzawodniczyć będziesz z cnotami owego Tezeusza⁷, którego twój ojciec nosił nazwisko rodowe, a który nie pogardził ubożuchną gościnną staruchy Hekali.

Tu przywołał służkę.

– Fotis – powiada jej – zajmij no się pieczołowicie tłumoczkami gościa, złóż je w tej izbie, a zarazem wyjmij przedziuteńko ze skrzyni olej do namaszczenia i ręczniki, i wszystko, co potrzebne, i do łaźni najbliższej mego gościa zaprowadź; dosyć się strudził długą i ciężką drogą.

[24] Usłyszawszy to jużem się rozeznawał w ściśliwych obyczajach Milona, a chcąc go sobie pozyskać, odrzekłem:

– Zupełnie mi nie trza tych przyborów do kąpieli, bo zawsze w drodze mam je z sobą. A co do łaźni, to łatwo się do niej dopytam. Ale co mi najbardziej na sercu leży, to to, żebyś, Fotis, koniowi, co mnie dzielnie niósł, kupiła za te oto groszaki siana i jęczmienia.

Za czym złożywszy tłumoki moje w owej ofiarowanej mi izbie, po drodze do łaźni chcąc sobie upatrzeć coś na wieczrę, poszedłem na targ ze smakołykami. Tam zobaczyłem rozłożone pyszne ryby; zacząłem pytać o cenę i ze stu srebrników, które mi zaśpiewano, wytargałem za dwadzieścia denarów. Właśnie stamtąd wychodziłem, kiedy spotykam się z Pitiaszem, moim kolegą szkolnym z Aten. Ów ino przyjrzał mi się małowiele, a zaraz mnie poznał i rzucił mi się na szyję ściskając i wycalowując.

– A mój Lucjusz – wykrzykiwał – to dalibóg szmat czasu, jak cię nie widziałem! Toż to – na Herkulesa! – odkąd rozeszliśmy się ze szkoły mistrza Klitiasza! Cóż cię tu sprowadza?

– Jutro się dowiesz – odpowiedziałem. – Ale – a to co? No, cieszę się, że się spełniły twoje marzenia! Toż to widzę za tobą i pacholków, i pęki różg, i strój na tobie, jaki się godzi urzędnikom!

⁷ T e z e u s z – syn ateńskiego króla Egeusza. W drodze na jedną z wypraw zatrzymał się na nocleg u starszki Hekale. Poeta aleksandryjski Kallimach opisał to w utworze *Hekale*.

– A tak – powiada – urzędujemy tu na edylostwie i zajmujemy się aprowizacją. Chcesz może kupić jaki smakołyk, to ja ci to w tej chwili załatwię!

Wymawiałem się, ponieważ kupiwszy ryby przyłądziłem sobie dostateczną wieczerzę. Ale w tej chwili Pitiasz spostrzegłszy kosz potrząsnął rybami, żeby je lepiej zobaczyć, i pyta:

– A to śmiecie za ile kupiłeś?

– Ach – mówię – zaledwie wydarłem je rybakowi za dwadzieścia denarów.

[25] Na to porwał mnie w tej chwili za rękę i wlokąc z powrotem na targowisko smakołyków krzyczy:

– I który to z tej hołoty sprzedał ci te wybiórki? Pokazałem tego starowinę, co siedział gdzieś w kąciku. Na tego on natychmiast wsiadł – jak przystało na edyla – straszliwym głosem:

– To tak? – grzmiał – to już nawet nie macie względu na naszych przyjaciół ani na gością żadnego? Widać, że tak, skoro śpiewacie sobie takie niesłychane pieniądze za nędzne rybięta! Wy chcecie to miasto, ten kwiat Tesalii, zmienić na skalistą pustynię, wygłodzić? Ale to wam nie ujdzie bezkarnie! Ja cię tu tak urządzę, że się dowiesz, jak – póki ja tu urzęduję – jak łajdactwu zamyka się drogę! – i wysypawszy na środek placu mój koszyczek każe swemu rękodajnemu wszystkie ryby nogami potratować i porozdeptywać.

Teraz mój Pitiasz, zadowolony z tego aktu surowej sprawiedliwości, poradził i mnie, że bym sobie już poszedł.

– To mi wystarczy, Lucjuszu – mówił – żem tak tego starucha pohańbił.

Zbity tym wszystkim z pantafyku i zgoła ogłupiały ruszam znowu do łaźni, pozbawiony dzięki szczęśliwemu pomysłowi mego dawnego koleżki równocześnie i groszy, i wieczerzy, po czym wykapawszy się sunę z powrotem do domu Milona i do mojej izby.

[26] Właśnie jednak weszła Fotis, służąca, i powiada, że gospodarz mnie prosi. Ale ja, znając już wtedy oszczędność Milona, grzecznie się wyprosiłem, że to zmęczenie po podróży sen lepiej niż jadło usunie. Usłyszawszy tę odpowiedź przychodzi on sam, bierze za rękę i usiłuje łagodnie zniewolić. A kiedy się wahałem, kiedy się skromnie opierał, powiedział:

– Nie ustąpię, aż się zgodzisz – i poprzysiągłszy to zaciągnął mnie – gdyż musiałem już, choć niechętnie, ustąpić jego uporowi – do owego swego tapczanu, posadził i zaczął wypytywać:

– A jak się też miewa mój Demeasz? A jego żona? A dzieci? A domownicy?

Opowiadam więc wszystko. Wtedy bardzo ciekawie wypytuje się o przyczyny mej podróży. Skorom mu i to sumiennie wyluszczył, wypytywać mnie zaczął już z największymi szczegółami o moją ojczyznę, o jej możnych, a w końcu nawet o samego namiestnika. Wreszcie, skoro zobaczył, że zasypiam już w połowie zdań – a taki byłem zmordowany ciężką drogą, a także tym nie kończącym się łańcuchem pytań, że ze znużenia język potykał mi się na wyrazach i ledwie je bełkotałem – dopiero wtedy pozwolił mi pójść spać. Wyrwałem się nareszcie z tej głodnej, ale za to przegadanej wieczerzy u starego zgniłka, i obciążony nie jadłem, ale sennością i najedzony tylko jego gładzeniem, wróciłem do swej izby i udałem się na upragniony spoczynek.

KSIĘGA DRUGA

[1] Skoro tylko nowe słońce, noc rozpraszając, dzień uczyniło, ze snu równocześnie zerwałem się i z łóżka, niespokojny i znowu ponad miarę żądny poznania wszystkich osobliwości i dziwów, boć przecie – jak tom sobie ciągle powtarzał – byłem w samym sercu Tesalii, tu, gdzie się zrodziły zaklęcia sztuki czarnoksięskiej, w caluśkim świecie zgodnie sławione.

Stąd przecie wywiodła się ta historia, którą opowiadał ten zuch Arystomenes! W różnym tedy sposobie, powodowany i ciekawością, i chętką, chciwie na rzecz każdą spoglądałem. I nie było w tym mieście rzeczy, na którą bym patrząc wierzył, że jest tym, czym dla oczu była, lecz wszystko zgoła czarodziejskim zaklęciem w inną postać przemienione być się zdało, tak iżem w kamieniach nogą potraconych skłonny był widzieć ludzi w głąz zamienionych, w ptakach, których ćwierki słyszałem – ludzi z miejsca opierzonych, w drzewach otaczających podwale – ludzi takim samym sposobem uliścionych; podejrzewałem, że strugi źródlane tryskają z ciał ludzkich, patrzyłem, ino się ruszą z miejsca posągi i obrazy, przemówią ściany domów, wół i wszelkie takie bydłę ryknie wieszczby, a z samego nieba i płomiennej tarczy słonecznej sfrunie znak jakiejś wyroczni.

[2] Tak otumaniony i zgoła całkiem ogłupiały mordującą mnie ciekawością, kręcąc się, jednak nie znachodząc przy tym żadnego punktu wyjścia ani nawet poszlaki żadnej dla nasycenia mej żądy i włóczę się krokiem pijanego rozpustnika od bramy do bramy. Nagle, sam nie wiedząc kiedy, znalazłem się na targowicy smakołyków i tu właśnie widzę przed sobą niewiastę jakąś idącą wśród licznej gromady służby. Przyśpieszam kroku i mijam ją. Złoto na klejnotach i na sukniach – tam w oprawach, tu w tkaninach – zdradzało, jako żywo, damę. Przy boku miała starca w leciech już bardzo poważnych, który, jak tylko spojrzenie jego na mnie padło, zakrzyknął:

– Dalibóg, toż to Lucjusz! – i wraz mnie całuje, i coś, czegom nie słyszał, do ucha tej niewiasty szepce.

– A czemuż ty sam – powiada do mnie – nie zbliżysz się i nie przywitasz z twoją krewną?

– Nie śmiem, nie znam przecie tej pani – odrzekłem i przystanąłem, rumieniąc się i oczy spuszczać. A ona, przypatrując mi się, mówi:

– Toż to sama żywa poczciwość a rzetelność jego przezacnej matki Salwii! Ale i cieleśnie doskonalej jest urody: pomierny ma wzrost, wysmukły jest, choć nie chudy, w miarę rumiany, włosy jasne i bez jakichś misternych fryzur, oczy wprawdzie niebieskie, ale bystre i błyszczące, całkiem jak orle, oblicze całe hoże, chód pański a naturalny.

[3] Po czym dorzuciła:

– Ja cię, Lucjuszu, na moich rękach, tu, wyniańczyłam. Bo i jakżeby inaczej? Przecie ja twojej matce nie tylko krewna, ale nawet jakby jej mleczna siostra! Bo i obieśmy z rodziny Plutarchowej, i jedna nas mamka karmiła, i razem chowałyśmy się w stosunkach – jako kuzynki – bardzo bliskich. A i nic innego nas nie rozdzieliło, jak stanu i dostojności różnica, bo ona za męża świetnie wyszła, a ja ot tak sobie zwyczajnie. Ja to jestem owa Birrena, której imię pono nie raz i nie dwadzieścia słyszałeś w domu, u rodziców. Przyjmże przeto ufnie u mnie gościń – a raczej: chodź jak do własnego domu.

Na to ja – bo miałem czas podczas jej mowy ze zmieszania ochłonać:

– Nie może tak być – powiadam – ciotko, żebym tak opuścił mego gospodarza Milona, co mnie przecie nie ukrzywdził, ale ja to pewnikiem zrobię gorliwie, co ino się da zrobić z zachowaniem przyzwoitości wobec niego. A ilekroć mi tu przyjdzie podróżować, to nie będzie nigdy tak, żebym do ciebie nie zajechał.

Kiedy sobie tak i na tę modłę ugwarzamy, dochodzimy po paru zaledwie krokach do domu Birreny.

[4] W sieniach przedziwnej piękności wznosiły się tu na kolumnach, w czterech rogach, posągi bogini Zwycięstwa unoszącej palmę, nagrodę zwycięzców. Z rozwiniętymi skrzydłami, różowymi palcami stóp dotykały chwiejnego kształtu krągłej kuli, a przecie nie kroczyły po niej – tak, że zdało się, iż nie stoją, ale w przestwór ulatują. A dalej marmur paryjski, z którego wyłania się kształt Diany, wznosi się w samiuteńkim – jak odmierzył – środku przestrzeni. Dzieło to doskonale i świetne: bogini, której szatę wiatr odwiał, w rześkim ruchu zabiega jakby drogę wchodzącym, a korzy przed majestatem swej boskości. Z obu stron jej czujne psy, także z kamienia wykute; ślepia mają złe, uszy naszczurzyły, chrapy ich rozdęte, paszcze wściekłe, i gdyby skąd z sąsiedztwa doleciał właśnie psi jazgot, sądziłbyś, że dobywa się z tych kamiennych gardzieli. Znamienity ów ich rzeźbiarz najprzedniejszą tu okazał próbę rzemiosła swego i sztuki, odtwarzając psy na tylnych łapach, rzucające się przednimi i piersią w górę. Za plecami bogini wznosiła się kamienna grota obrosła mchami, zielskiem liściastym i krzewami, a gdzieniegdzie winną latoroślą i drzewkami, co na tym kamieniu się pieniły. Biel posągu rzuca we wnętrze groty swe łyskające, a nieuchwytnie odbicie. Pod samą krawędzią skały zwisają jabłka i winne grona tak kunsztownie wyrobione, że sztuka, z naturą tu współzawodnicząca, uczyniła je podobnymi do prawdziwych. Przysiągłbyś, że – kiedy jesień szumiąca winnym moszczem tchnie na nie barwy dostaje – że będzie można kiść jaką uszczknąć na pokarm; a kiedy pochylając się zajrzysz w strugę źródlaną, która się spod nóg bogini wymyka i marszczy leciuchną falą, to pomyślisz, że gronom tym, wśród innych pozorów prawdziwości, nie zbywa nawet na tym, iż mogą się chwiać z gałęzią, całkiem jak prawdziwe. Przez gałęzie widać kamiennego Akteona, który wychyla się ku bogini z oczyma pełnymi nienasyconej ciekawości i już w kształt jelenia dziczejący, w kamiennej swej postaci i jej odbiciu źródlanym czeka na Dianę, co zaraz zanurzy się w kąpielu.

[5] Podczas gdy się tym niepomiernie zachwycam, powiada mi Birrena:

– Wszystko, co widzisz, do ciebie należy – a zarazem pospiesznie oddała wszystkich innych z orszaku swego, poszeptawszy im coś tajemnie. Gdy się wszyscy rozeszli, powiada:

– Na tę tu boginię, mój Lucjuszu najdroższy – jak drzę o ciebie i jak chciałabym cię długo mieć w opiece, boś przecie mój miły chłopak! – tak cię zaklinam: strzeż się! Strzeż się co sił złych sztuczek i zbrodniczych wabików tej – tej Pamfili, co zameżna za owym sławetnym Milonem, u któregoś – jak mówisz – w gościnie. Toż to czarownica pierwszej próby! Mówią o niej, że jest we wszystkich cmentarnych zaklinaniach mistrzynią, taką, co dmuchając na jakieś kamyczki, patyczki i tego rodzaju głupstewka, potrafi cały ten jasny świat podgwiezdny pograć w przepaściach Tartaru i w pierwotnym chaosie. A jak tylko zobaczy jakiego gładkiego chłopaka, zaraz się do jego urody pali i wraz go już ani z oka nie spuści, ani mu chucią swą pofolguje. Zасыpuje go pieścizotami, owłada jego duszę, przykuwa do siebie więzami głębokiej miłości. Tych zasię, co mniej powolni i – że zbyt hardzi – mniej dla niej warci, tych przemienia w mgnieniu oka w głązy i w barany czy jakiegokolwiek bydlę; byli tacy, co ich z kretesem zamorzyła. O to srodze się dla ciebie lękam i mniemam, że strzec ci się tego należy. Bo i ona goreje w każdej porze, i ty – żeś młody i urodziwy – właśnie dla niej dobry.

[6] Tyle mi rzekła Birrena w niemałym niepokoju. Tymczasem ja, rozciekawiony inną tej rzeczy stroną, jakim tylko usłyszał to słowo: czarnoksiężstwo – zawsze mające dla mnie urok nieprzeparty – to już tak byłem daleki od wystrzegania się Pamfili, że aż mnie podcięło, żeby do niej samemu polecieć na naukę tej sztuki, co by to tam mogło i kosztować, i żeby się tak dobrowolnie rzucić co prędzej w samą przepaść. Jak nieprzytomny tedy i zadurzony, z ręki

Birreny – jak z łańcucha jakiego – się wydzieram i zaledwie szybko rzuciwszy jej „bądź zdrowa” – co tchu lecę do mieszkania Milona. A kiedy szaleńcowi podobien przyspieszam jeszcze kroku, myślę sobie:

No, Lucjuszu, czuj duch i uwaga! Złapałeś tę upragnioną sposobność: możesz, jak sobie od dawna życzyłeś, wypchać głowę najdziwniejszymi historiami. Do kaduka z dziecinnymi obawami, bierz tę sprawę od razu za gardziel, tylko wara od miłostek z twoją gospodynią! Trza, jak przystoi, uszanować łożę małżeńskie pocziwca Milona. Ale za to z tą małą Fotis, z tą służką, to co innego! Bo i gładka na liczku, i wesoła, i dowcipna szelmucha! Wczoraj przecie, kiedyś szedł spać, i uprzejmie cię do sypialni zawiodła, i przymilnie cię na łóżku położyła, i jużci wdzięcznie przykryła, i głowę twą ucałowawszy, oczyma wyraźnie zdradzała, jak jej nie w smak tak odchodzić, i potem jeszcze ciągle przystawała ku tobie się oglądając. Niechże ci się tedy darzy szczęśliwie.

[7] To w sobie rozważając, przybywam do drzwi Milona, jednogłośnie – że tak powiem – uchwalając swój plan. I nawet nie zastaję w domu Milona ani jego połowicy, tylko moją miłą Fotis: właśnie gotowała dla swych państwa flaczki z nadzianką, potrawkę mięsną ze sosem jarzynowym i nader smakowitą – co samym nosem już wyczuwałem – kiskę. Fotis sama, wdzięcznie odziana w lnianą tunikę, wysokuteńko ślicznie przepasaną rdzawą wstążeczką mieniającą się pod samymi czerwonymi jagodami piersi, obracała owo kuchenne naczynie rączkami jak kwiaty. Potrząsając je tam i sam częstymi ruchami, przeginała zarazem wężowo swoje członki, kołysała się łagodnie w biodrach i chwiejąc miękko giętkimi plecyma, wdzięcznie i płynnie się chylała. Stałem na ten widok jak wryty ze zdumienia i podziwu; stanęły i te niektóre członki, co przedtem spokojnie leżały. Wreszcie powiadam do niej:

– Fotis moja, jak ty pięknie i uroczo ruszasz i tym garnuszkiem, i kuperkiem! Jakaż ty słodką potrawę gotujesz! Dobrze to takiemu i pewnie niczego mu już do szczęścia nie potrza, takiemu, co mu pozwolisz tam palec umaczać.

A na to ta przylepna i dowcipna dziewczyna:

– Ejże – powiada – uciekaj, ty nieboraczku, jak najdalej od mego piecyka, ej, uciekaj! Bo jak ciebie choć troszeczkę sparzy mój ognek, to do cna zgorzejesz i nikt nie ugasi tego twojego pożaru – chyba ino ja, co słodko kucharząc umiem rozkosznie zatrząść i garnuszkiem, i łożeczkiem.

[8] Tu popatrzyła na mnie i zaśmiała się. Jakoż nie pierwej od niej odszedłem, zanimem się dokładnie przyjrzał całej jej postaci. Ale co mam tu mówić o innych jej wdziękach, kiedy najbardziej o to mi zawsze szło, żeby i na ulicy naprzód skrętnie napatrzeć się głowie i włosom niewiasty i tym się potem, w cztery oczy, naprzód nacieszyć. Tego zaś szczególnego upodobania u mnie niech to będzie wielce uzasadnionym wytłumaczeniem, że najdostojniejsza ta część ciała, co taka jest widoczna i jawna, naprzód nam w oczy wpada, i to, co zawdzięczają inne członki żywej barwie sukni kwiecistych, to zawdzięcza głowa jedynie wrodzonej urodzie. A wreszcie zważyć należy i to: jest-ci niemało niewiast, które, iżby swych przyrodzonych wdzięków dowiodły, z szatek się wyzuwają, zasłonki wszelkie precz odrzucają i nagą swą urodę skwapliwie okazują, wiedząc, że więcej upodobania wzbudzą ciała różowym połyskiem niż złotem na sukniach wszystkim. Ale gdyby tak – czego aż mówić się nie godzi i na co niechże przykładu nigdy nie będzie! – gdyby tak głowę wdzięcznej jakowej i choćby najpiękniejszej niewiasty огоłocić z włosów i tym sposobem twarz jej przyrodzonej ozdoby pozbawić, to choćby ona istotą była, co z nieba zesła, choćby ją morze wydało było, a fale ukształtowały, choćby, powiadam, była ona samą Wenus we własnej osobie i choćby w orszaku wszystkich Gracji a w towarzystwie całego tłumu Kupidynów kroczyła przepaską swą opasana, cynamonem woniejąca a balsamy wokół prósza, ale łysa – nie mogłaby się spodobać nawet jakiemuś swemu Wulkanowi.

[9] A cóż porównać można z włosami o barwie pięknej i przedziwnym wdzięku, kiedy pod słońce wspaniale błyskają czy cicho lśnią albo mamią oczy zmiennością swych uroków, bo

raz iskrzą się złotem, co ścisza się w miękki odcień barwy miodu, albo są tak krucze, że zawiadzą granatowemu puchowi na szyjach gołębi, to znów – olejkami Arabii namaszczone, wąskim zębem szepcącego grzebienia przedzielone, a w węzeł z tyłu głowy zebrane – przed oczyma kochanka jak zwierciadło się zjawiają i podają mu jego własne odbicie – o ileż piękniejsze? A jakżeż to, gdy w gęstym zwoju licznych warkoczy spiętrzają się na szczycie głowy albo szerokim prostym strumieniem spływają na plecy? A i z tego wreszcie widoczne, czym są włosy dla niewiasty, że gdyby się ona ustroiła piękną suknią, złotymi klejnotami i wszystkim, co kosztownego jest jeszcze w świecie, a włosów pięknie by nie utrefiła, prawdziwie strojną nazwać by jej nie można. Lecz co do mojej Fotis, to tę upiększał strój włosów nie można staranny, lecz właśnie z wdziękiem zaniedbany. Bujne jej bowiem włosy ze szczytu głowy, gdzie je ujmował jeden węzeł, miętko były puszczone i opadające na szyję, gdzie układały się, dalej na karku, jak odrobinę marszczona kreza zakończona lekkimi lokami.

[10] Nie mogłem tedy dłużej wytrzymać już tej rozkosznej tortury, lecz pochyliwszy się nad Fotis, wycisnąłem tam, gdzie nasada włosów, najśłodszy ów pocałunek. Wtedy ona głowę odwróciła i strzelając ku mnie zabójczo zalotnymi oczkami powiada:

– Ej, ej, ty uczniaczk! Coś ty smakujesz w rzeczach, co są i słodkie, i gorzkie zarazem! Ej, uważaj no, żebyś się zbytnią słodkością tego miodu nie dowojował długiej a żółciowej gorzkości!

– Cóż stąd – odpowiem – moje ty wesele, kiedy mi tymczasem jeden twój całus tyle doda życia, żem gotów dać się na tym tu ogniu jak długi przysmażyć – i bliżej ją przygarnawszy zacząłem wycalowywać. A kiedy i ona już, chwycona żądzą równą mojej, jak ja zapłonęła, gdy – gięta już obezwładniającą lubieżą – owionęła mnie cynamonowym dechem rozchylnych warg, które podając, podcinała mą namiętność nektarowym dotknięciem języka, krzyknąłem:

– Gorzeję – nie, jużem się przepalił w tym żarze bez ratunku – chyba że mi będziesz skłonna!

A na to ona, okrywając mnie wzajemnie pocałunkami, szepce:

– Bądź dobrej myśli, bom ci wzajemną chęcią oddana, a chwila naszej rozkoszy już się nie odwróczy, bo zaraz o zmierzchu przyjdę do twej sypialni. Teraz więc idź i przygotuj się, bo przez nockę całą wojować z tobą będę na zabój a z całego serca.

[11] Tak tedy ze sobą się nagadawszy rozstaliśmy się. A właśnie zaszło już południe; Birrena przysłała mi w podarunku tucznego prosiaka i pięcioro kurcząt, i dzban wina czcigodnego wiekiem.

Zawołałem tedy Fotis i powiadam do niej:

– Patrz no, oto sam, nie wołany, przybywa Bakchus, ten, co Wenus podbechtuje i broń jej kuje! Wysączmy dziś to wszystko wino, żeby rozpuściło w nas chłody wstrzemięźliwości, a rozpałiło lubieży moc ognistą. Bo przecie błędzący po Morzu Cypryjskim statek Wenery takiej tylko potrzebuje spiżarni: by podczas bezsennej nocy nie zbrakło oliwy lampie, a kielichom wina.

Reszta dnia zeszła w łaźni, a potem w jadalni, bo na zaproszenie Milona przyszedłem do jego misternego stolika, chroniąc się, jak tylko mogłem, od spojrzeń jego połowicy, bo pamiętałem dobrze przestrogi Birreny; z taką przeto właśnie zgrozą rzucałem na nią oczyma, jakbym spozierał w Awerneńskie Jezioro⁸. Za to spoglądałem ciągle na usługującą nam Fotis i tym się krzepiłem na duchu. Wieczór już zapadł, kiedy Pamfila patrząc w lampkę rzekła nagle:

– Toż to będzie jutro deszcz!

⁸ A w e r n e ń s k i e J e z i o r o – w wygasłym kraterze w Kampanii; Grecy i Rzymianie widzieli w nim jedno z wejść do królestwa zmarłych.

A gdy ją mąż zapytał, skąd to wie, odparła, że lampa jej to przepowiedziała. Roześmiał się na to jej powiedzenie Milon i mówi:

– No, no, to my tu w postaci tej lampy nie byle jaką Sybillę żywimy, kiedy ona ze swego miejsca na lichtarzu przeziera wszystkie sprawy niebieskie, a nawet samo słońce.

[12] Tu i ja wmieszałem się do rozmowy.

– Są – powiadam – dawno przykłady takiej wieszczby; nic też nie ma w tym dziwnego, że taki ognik, choć maleńki i choć rękami ludzkimi zapalony, jednak pamięta – jako o swym pierwszym sprawcy – o owym wielkim ogniu na niebie i że sam wie i nam może powiedzieć w boskiej wróżbie, co z tamtego na sklepieniu eteru ma się począć. Toż i u nas teraz, w Koryncie, chodzi wszędzie jeden przybysz, Chaldejczyk, który zadziwia całą ludność zdumiewającymi wróżbami i żyje z tego, że tłumowi zdradza takie tajniki losu, jak: w którym dniu szczęśliwie zawiera się małżeństwa, a w którym można dom budować, żeby nieprędko zniszczał – w którym dobrze robić interesy, a znowu kiedy podróżnik znajdzie drogę ludną czy kiedy pomyślnie się żeglują. Mnie także, kiedy się go wypytywałem, jaki będzie tej mojej podróży wynik, wywróżył wiele najróżniejszych i bardzo cudacznych rzeczy: to rozgłos niemały, to, że się stanę bohaterem historii długiej i zgoła do uwierzenia trudnej, o której nawet w książkach będzie pisane.

[13] Uśmiechnął się na to Milon i spytał, jak też wygląda i jak się wabi ten Chaldejczyk.

– Szczupły – odpowiedziałem – i ogorzały na obliczu, a wołają go Diofanos.

– Ten ci to sam – mruknął znowu – i nie może być kto inny. Trza ci bowiem wiedzieć, że on i tu, u nas, zbił niemały grosz, ba, nawet dobry majątek takim wróżeniem różności różnym ludziom, aż mu się nieborakowi szczęście obróciło czy – lepiej powiem – przewróciło.

Pewnego dnia mianowicie, kiedy wśród gęstego tłumu wróżył całemu kołu otaczających, przystąpił do niego niejaki Cerdon, wielki kupiec, z prośbą o oznaczenie mu dnia pomyślnego do podróży. Tamten dzień wybrał i oznaczył, a ów Cerdon już dobył mieszka, już wysypał z niego groszaki, już odliczył sto denarów, aby zapłacić za wróżbę, kiedy nagle jakiś młodzian, z dobrego – jak widać było – domu, wpada z tyłu na Diofanosa, łapie go za suknie, obraca, chwyta w objęcia i ścisną co sił. Wróżbita, skoro tamtego także ucałował i usadził obok siebie, powiada do niego, taki oszołomiony nagłym a niespodziewanym spotkaniem, że zapomniał o swoim w tej chwili zajęciu:

„A kiedyżeś ty nareszcie przybył? Toż ja cię wyczekuję. Bóg wie, jak dawno już!”

Na to tamten:

„Właśnie teraz wieczór! Ale ty mi nawzajem, braciszku, opowiedz, w jakżeś ty sposób, po tym spiesznym odjeździe z Eubei, odbył drogę po lądzie i morzu?”

[14] Na to ów Diofanos Chaldejczyk, poczciwisko, palnie całkiem bez głowy i nie panując nad sobą:

„A, żeby wróg, żeby wszyscy nasi nieprzyjaciele mieli takie podróże! Toż to była odyseja, nie podróż! Bo i sam statek, cośmy nim płynęli, nadszarpany wirami najróżniejszych burz, stracił oba stery i ledwo się dokołałał do drugiego brzegu, i tu jak kamień poszedł na dno – i my sami ledwośmy się wpław uratowali utraciwszy wszyscyuteńko! A to, czym nas później obdarzyła litość ludzi nieznanych lub przyjaciół życzliwość, to wszystko wydarła ręka zbrojaka. Tą to ręką zamordowany padł w tych moich oczach Arygnos, brat mój jedyny, gdy zuchwałości zbrojów siłą chciał się oprzeć”.

I jeszcze on tego nie skończył żałośnie opowiadać, a tu ów kupiec Cerdon jak nie złapie za swoje groszaki, które miał za wróżbę zapłacić, jak nie czmychnie z miejsca! Dopieroż Diofanos się ocknął i zmiarkował, w co go wpakowała jego nieroztropność, zwłaszcza gdy widział, jakeśmy wszyscy, widzowie, parsknęli wielkim śmiechem.

Tobie jednak, Lucjuszu, panie mój, tobie jedynemu niechże on prawdę wywróży i niechże ci się darzy, i droga niech ci się wiedzie.

[15] Pojękiwałem ino z cicha podczas tego Milonowego gładzenia bez końca i nie na żarty kłamię siebie, że dobrowolnie spowodowałem gadanie o tych wszystkich bajdach, najniwgodniejsze dla mnie samego, bo przez nie tracę dobrą część wieczoru i tych jego najśłodszych owoców, które na mnie czekają.

Wreszcie przemógłszy nieśmiałość powiadam do Milona:

– No, niechże sobie ten sławetny Diofanos sam daje radę ze swoją dolą i niech to, co złupił z ludzi, znowu powierza lądom i morzom, mnie zaś, który mam jeszcze kości połamane z wczorajszego utrudzenia, wybac, że wcześniej pójdę na spoczynek.

Co rzekłszy ulatniam się i pędzę do mojej sypialni, gdzie natykam się na ucztę, wcale jak się patrzy przygotowaną. I czeladzi bowiem posłano jak najdalej od mych drzwi –juści po to, by była daleko od naszych nocnych rozmówek – i przy łóżku moim stał stolik zastawiony uczciwymi resztkami całego obiadu, i kielichy zacne do połowy już wina pełne i czekające ino na domieszkę ciepłej wody, i butla z szerokim gardzielem – szyjkę jej bowiem obtłuczono, by łatwiej było nalewać – wszystko przystawki do tej uczy, gdzie władza Wenus wojownicza a nieustępliwa.

Ledwo legnałem, a oto Fotis moja, ułożywszy już swą panią, wbiegła radosna w wieńcu z róż i z obsypaną ich płatkami bujną piersią. Wśród pocałunków szybkich w wieńce mnie stroiła i kwieciami osypała, za czym chwyciwszy kielich dołała doń ciepłej wody i podała mi do picia. Ale wcześniej jeszcze, nim zdołałem wypić cały, sięgnęła poń miękką dłonią i resztę powoluteńko, strzygąc ku mnie oczyma, rozkosznie w drobnych łyżkach wychłęptała. Tak krążył między nami i drugi kielich, i trzeci, i dalsze. Wtedy ja, już podchmielony, i nawet nie tyle sercem, co ciałem rozkoszy żądny, choć znowu i swawolą rozochocony, i prawie zgorączkowany, obsunąłem Fotis szatę na biodrach, by jej niecierpliwość mej żądzy okazać.

– Zlitujże się – prosiłem – i co prędzej mi ulżyj! Bo, jak widzisz, wyteżyłem wszystkie siły w sobie, gdy się tylko zbliżała ta wojna, coś mi ją wypowiedziała bez pośrednictwa fecjała; a kiedym poczuł, że już mi ugrzęzła na dnie serca pierwsza strzała okrutnego Kupidyna, sam tak potężnie łuk mój napiąłem, że wielce się boję, by cięciwa tak przeciągnięta nie pękła. A żebyś mi jeszcze była łaskawsza, rozpuść włosy i w ich powodzi zatop nasze miłosne uściski!

Ona tedy bez zwłoki już w mgnieniu całą zastawę stołu usunąwszy, z sukien obnażona ukazała się w grzywie włosów do hucznej swawoli miłosnej rozpuszczonych – pięknymi kształtami Wenerze wynurzającej się z morskich fal podobna. I nieco tylko różową łapką wdzięki niewieście raczej z rozmyślnej zalotności przysłaniając niż zakrywając je ze wstydu:

– Ano – powiada – do walki! A mężnie walc, bo na krok ci nie ustąpię i tyłu nie podam! Dalej naprzód, jakeś chłop, bij co sił wręcz i sam zabijany morduj! Dzisiejsza bitwa będzie bez pardonu!

To mówiąc do łóżka weszła i tuląc się do mnie, i odrywając, chutnymi ruchy potrząsająca dygocącymi łędźwiami, syciła mnie miłosnym owocem, aż bez ducha, z omdlałymi członkami obojeśmy legli w uścisku wzajemnym dyszący. Takeśmy się aż do świtu bezsennie zmagali, pucharami niekiedy zmęczenie odganiając a podcinając żądze i rozkosz wznawiając. Na podobieństwo tej nocy zgotowaliśmy sobie takich więcej.

[18] Zdarzyło się przypadkiem, że dnia pewnego Birrena okrutnie na mnie nastawała, bym do niej na jakąś odświętną biesiadę przybył, a gdym się co sił wypraszał, powiedziała, że mych usprawiedliwień nie przyjmuje. Trza mi się tedy było udać do Fotis i wedle jej woli – bo była mi jak wyrocznia – powziąć postanowienie. Ona tedy, choć niechętnie na to patrzyła, bym się od niej bodaj na krok ruszał, jednak mi udzieliła pobłażliwie krótkiego urlopu z owej miłosnej wojaczki.

– Ino – powiedziała mi – uważajże ty, byś z przyjęcia odszedł wcześniej, bo zuchwała kupa różnych złotych młodzików dobrze na szwank naraża spokój publiczny; na środku ulic widzieć możesz tu i ówdzie pomordowanych, a zbrojne oddziały wielkorządcy są daleko i nie mogą obywatelstwa uwolnić od tej ciężkiej plagi. A na ciebie dopiero czyhać by mogły za-

sadzki dla świetnego twego stanu i mienia, tym bardziej że z obcym i podróżnym nikt się nie liczy.

– Bądźże bez troski, Fotis moja – odrzekłem. – Bo i bez tego, że przenoszę moje rozkosze z tobą nad biesiadowanie z innymi, nie sprawię ci tego niepokoju, ile że wczas wrócę. A nie pójdę także sam, bo z moim mieczykiem, towarzyszem stałym, to jakoś całości skóry mej upilnuję.

Tak się ubezpieczywszy idę ja na tę ucztę.

[19] Mnogo tam było biesiadników i – jako że u damy z wielkiego świata – sam kwiat obywatelstwa. Stoły bogate z drzewa cytrynowego, inkrustacjami połyskujące z kości słoniowej, łoża biesiadne zaślane złotogłowiem, puchary wspaniałe, na rozmaitą modłę piękne, ale jednakowo cenne. Tutaj widziałeś szkła misternie pisane, tam kryształły nieskazitelne, ówdzie jeszcze przezyste srebro i złoto aż bijące blaskiem i naczynia do picia z bursztynu i kamieni kunsztownie rzezanych, i rzeczy w ogóle do wiary niepodobne. Chmara stolników, wspaniale odzianych, sprawnie i gładko obnosiła stopy potraw, a chłopcy o włosach trefionych, w pięknych szatkach, raz po raz nalewali stare wino do waz z cennego kamienia. Skoro wniesiono już światło, rozwiązała się gawęda biesiadna, popłynął już śmiech i żarty swobodniejsze i dowcip zabłysnął.

Wtedy powiada do mnie Birrena:

– No, jakże się czujesz w naszym kraju? O ile wiem, to żadne nam miasto nie dorówna świątyniami, łaźniami i innymi gmachami, a i wszelkich wygod żywota mamy do sytości. I to pewne, że znajdzie tu wszelką swobodę przybysz, czy szuka wczasów, czy interesów – bo ruch tu jak w Rzymie – a skromny znowu gość znaleźć może spokój zgoła wiejski. Słowem, dla każdego z prowincji pobyt u nas bardzo miły.

[20] Na to ja:

– Szczerą mówisz prawdę, bo ja się nigdzie na świecie nie czułem tak swobodnie jak tu. Sporego tylko mam stracha przed tymi niewidocznymi i nie do uniknięcia zasadzkami sztuk czarnoksiężskich. Wszakże tu pono nawet groby zmarłych nie są bezpieczne, bo jeszcze ze stosów pogrzebowych porywa ktoś szczątki zmarłych i kawały ciał, by ich użyć na zgubę żywych! Stare więdźmy już w chwili przygotowań do pogrzebu unoszą ciała, uprzedzając z błyskawiczną szybkością innych w odbyciu pogrzebu.

Na to ktoś dodaje:

– Ba, co gorsza, to to, że tu nawet żywych nie oszczędzają. Już nie wiem komu to, ale komuś tu się taka rzecz przydarzyła. Gębę mu całą tak porzezano, że go do cna odmieniono.

Na to całe zebranie wybuchnęło pustym śmiechem i wszystkich twarze i oczy skierowały się na pewnego jegomościa, który leżał sobie z boku w kącie. Ów, zmieszany tymi upartymi spojrzeniami wszystkich, zaczął coś pomrukiwać o niegodziwości i chciał się już wynosić.

– Ależ, mój Telefronie – zawołała doń Birrena – zostańże jeszcze trochę i – wiem przecież, jakiś jest uprzejmy – powtórz tę swoją historię, aby i to chłopczysko moje, ten Lucjusz, ubawił się dowcipem twego opowiadania.

Na to ów:

– Twoja, pani, dobroć zawsze jest taka sama, ale trudno już znieść zuchwałość niektórych ludzi.

Powiedział to do żywego obruszony. Jak Birrena jednak zaczęła prosić a zaklinać na jego szczęście i zdrowie, a nakłaniać, by opowiedział – bo nie chciał – tak sprawiła, że się zgodził.

[21] Naskładał tedy na kupkę kobierce, wsparł się na nich na łokciu i uniósłszy się na łożu, wyciągnął prawicę, której palce jakby jaki mówca ułożył, bo dwa ostatnie przymknął, inne wyprostował, a wielki palec, groźnie wytknięty, lekko zgiął – i tak rozpoczął:

– Jeszczem był chłopakiem nieletnim, kiedy wybrałem się z Miletu na igrzyska olimpijskie. Zachciało mi się wtedy zwiedzić i te strony tego rozgłośnego kraju, więc przewędrowawszy całą Tesalię przybyłem – w złą godzinę – do Larysy. Kiedy się tu włóczę tak tedy i

owędy i rozmyślam, czym by tu nakarmić znowu mój mieszek podróżny, który był już bardzo schudł, spostrzegam na rynku jakiegoś starucha, wysokiego jak tyka. Stał na kamieniu i głośno wykrzykiwał, że jeśli kto chciałby iść pilnować umrzyka – to niech się o zapłatę umawia. Zaczepiam tedy jakiegoś przechodnia i pytam go, co to ma znaczyć i czy tu może umrzyki uciekają, jak się ich nie pilnuje?

„Milczałbyś – odpowie mi tamten na to – boś jeszcze wielki dzieciuch, a zresztą obcy tu, to pewnie i nie wiesz, żeś w Tesalii, gdzie czarownice odgryzają umrzykowi kawałki twarzy, których potrzebują do swoich praktyk czarnoksięskich”.

[22] „Powiedzże mi, jeśli łaska – mówię na to – na czymże to polega takie strażowanie przy umrzyku?”

„Przede wszystkim – powiada – całutką noc okrutnie czuwać trzeba, a ślepiów nawet nie zmrużyć, ino wytrzeszczać co sił na trupa. Głowy nie można odeń odwrócić, ba, nawet jej schylić nie można, bo te ohydne odmienne zaraz ci się przemienia w byle jakie stworzenie i tak zakradnąc potrafią, że oszukałyby chyba bez trudu oczy samego Słońca, samej Sprawiedliwości. Bo taka to ci się przierzuci i w ptaka, i znowu w psa, i w mysz, ba, nawet i w muchę, a potem tymi swymi okropnymi zakłęciami uśpi stróża. Nawet by nikt nie zgadł, co ci takie bezecne jędze nie potrafią wyśpekulować, żeby ino dogodzić swoim obmierzłym chuciom. A za taką psią służbę nawet ci nie dadzą więcej jak cztery albo najwięcej sześć złotych. Aha, i co bym ci był jeszcze zapomniał powiedzieć: jak taki stróż nie odda rano umrzyka nienaruszonego, to to, co umrzykowi odcięto i zabrano, musi z własnej gęby dać se wyrznąć, żeby tamtemu załatać”.

[23] Usłyszawszy to dodaję sobie ducha i z miejsca walę do owego, co wykrzykiwał:

„Już nie krzycz – powiadam mu. – Jest tu stróż: zapłatę możesz sam oznaczyć”.

„Dostaniesz – zawołał – tysiąc złotych. Ale, chłopcze! mówię ci, miej ty się na bacności i strzeż uczciwie ciała od tych wściekłych Harpii! Bo to syn jednego z dostojników w mieście!”

„Ale – powiadam – głupstwo! To są fraszki dla mnie. Masz przed sobą człowieka z żelaza, co nie potrzebuje snu, przenikliwszego z pewnością od samego Linceusza⁹ i Argusa! A co do oczu – ja mam oczy wszędzie.

Ledwie skończył, wiedzie on mnie z miejsca do jakiegoś domu, do którego główne wejście było zamknięte, wpuszcza do środka przez jakąś małą furtkę, wprowadza do izby ciemnej – bo okna były zasłonięte – i wskazuje jakąś matronę zapłakaną, w żałobnej sukni. Zaraz się przysiadł do niej i rzekł:

„Przyszedł tu zuch, co się najął do strzeżenia ciała twego małżonka”.

A owa odgarnęła na obie strony włosy opadłe na policzki i okazując twarz nawet w tej żałości piękną, spojrzała na mnie i rzekła:

„Błagam cię, dołóż starania i wypełń jak najczujniej ten obowiązek!”

„Nie troskaj się – odpowiedziałem – tylko przygotuj mi jeszcze jaki sprawiedliwy upominek na przydatek”.

[24] Ugodziliśmy się co do tego, po czym ona powstała i zaprowadziła mnie do drugiej izby. Tam, przywiódłszy jeszcze siedmiu jakichś świadków, odsłoniła ciało, przykryte śnieżnymi całunami. Wybuchnęła nad nim znowu płaczem, po czym, do rzetelności obecnych się odwołując, z lękiem zaczęła sprawdzać wszystko, a ktoś z obecnych skrzętnie zapisywał to na tabliczkach.

„Widzicie – mówiła – że nos cały, oczy nienaruszone, uszy nietknięte, wargi całkowite, brodzie nic nie brak. Zaświadczyć to waszym świadectwem, zacni obywatele”.

To powiedziawszy, gdy ów protokół podpisano, chciała odejść. Ale ja ją zatrzymałem.

„Każ – rzekłem – pani, aby mi dostarczono wszystkiego, czego mi potrzeba”.

⁹ L i n c e u s z – mityczny jasnowidz.

„A cóż to – odpowie – takiego?”

„No – mówię – latarnia, i to jak największa, i oleju do świecenia tyle, by starczyło do świtu, i ciepła woda z kilku butlami wina i pucharkiem, i jaki półmisek napełniony resztkami obiadu”.

Ale na to ona potrząsnęła ino głową:

„A idźże, idź, ty chłystku jakiś – powiada – co wężysz za ucztami i korzyściami w domu pełnym żałoby; gdzie od calusieńkich dni nawet dymu z komina nie widziano! Co tobie się zdaje, żeś tu na wyzerki przyszedł? Żebyś ty lepiej tu zapłakał i posmucił się, jak przystało na tym miejscu!”

I to mówiąc rzuciła ino spojrzenie na służkę i rzekła do niej:

„Mirreno! Przynieś no tu latarnię i olej, zamknij tu tego stróża i zaraz mi się kładź sama!”

[25] Tak pozostawiony dla uprzyjemnienia towarzystwa umrzykowi, przecierałem oczy, aby je uzbroić do czuwania, i zabawiałem się podśpiewywaniem sobie. A tu zapadł już zmierzch i noc, i ciemna noc, i głęboka noc, a nawet i niemiła północ. Mnie zaś strach zaczynał brać coraz mocniejszy, kiedy nagle patrzę, a tu łasiczka, która się skądś wśliznęła, staje naprzeciw mnie i wpija we mnie takie przeszywające ślepka, że mnie to zuchwalstwo takiego małego stworzonka aż niepomału zmieszało. Wreszcie, otrząsnąwszy się z tego przykrego wrażenia, odzywam się do niej:

„A pójdziesz ty sobie, nieczyste bydlę, do takich jak ty sama szczurów? Chcesz, żebym na twojej skórze próbował mojej siły? Pójdziesz!”

Odwróciła się i natychmiast znikła z izby. I w tej chwili zapadłem w sen głęboki, jak w bezdenną czeluść, że nawet sam bóg delficki niełatwo by zgadł, który z nas dwu tu leżących był bardziej bez życia. Taki nieprzytomny i sam znowu innego stróża potrzebujący tam leżałem, że tak to było, jakby mnie tam wcale i nie było.

[26] Już wołanie koguciej rzeszy oznajmiało schyłek nocy. Budzę się wreszcie i nieprzytomny ze strachu lecę do umrzyka, i odkrywszy jego głowę przysuwam światło, i badam każdy szczegół, czy jest, jak był przedtem, w porządku. A tu już i żona, biedactwo, wpada z wczorajszymi świadkami, z lękiem i ze łzami, rzuca się na ciało i długo je pocałunkami okrywa, za czym przy świetle wszystko sprawdza. Potem obróciwszy się, woła włodarza swego Filodespotusa i poleca, aby sumiennemu stróżowi bez zwłoki wypłacił nagrodę.

Gdy się to zaraz stało, zwraca się do mnie:

„Bardzo ci – powiada – chłopcze, dziękujemy, a za tę skrzętną służbę toż to – dalibóg – za domownika cię odtąd swego będę uważać”.

Na to ja, ucieszony co niemiara zarobkiem, na który już straciłem nadzieję, i oszołomiony tymi złocistymi monetami, które raz po raz w palcach przesuwałem, powiadam:

„Pani moja, uważaj mnie za jednego ze swych sług i ile razy zechcesz, abym ci tak usłużył jak dziś, to tylko śmiało rozkazuj”.

Ledwom to wyrzekł, kiedy natychmiast domownicy klnąc mnie za złą wróżbę rzucają się na mnie z czym kto miał pod ręką: ten mi pięściami dobiera się do szczęki, tamten łokciami obrabia łopatki, ów kułakami wierci mi boki; kopią mnie, wydzierają włosy, targają suknie. Wreszcie wyrzucają mnie z domu pokiereszowanego i poszarpanego jak pyszny młodzieńczyk Adonis albo pieśniarz pimplejski¹⁰.

[27] Kiedy w najbliższej ulicy zdołałem złapać oddech i zdałem sobie sprawę – co prawda trochę za późno – z niebacznego i nieszczęsnego mego powiedzenia, musiałem uznać, że zaśłużyłem na gorsze jeszcze cięgi. Ale właśnie wyniesiono już nieboszczyka, po raz ostatni oplakanego, i – wedle rodzimego zwyczaju – niesiono go, jako jednego z możnych i dostojnych, w uroczystym, publicznym orszaku pogrzebowym przez rynek. Wtem nadbiega jakiś

¹⁰ p i e ś n i a r z p i m p l e j s k i – (od Pimplei, góry lub źródła Muz w pn. Tesalii) śpiewak Orfeusz, rozszarpany przez trackie niewiasty.

starzec w żałobie i z rozpaczliwymi łzami, rwąc sobie piękny siwy włos, rzuca się ku marom i chwyta je obiema rękami, i krzyczy głosem wprawdzie donośnym, lecz przerywanym ciągłym łkaniem:

„Na waszą cześć, obywatele, stańcie w obronie ziomka zamordowanego i pomścicie surowo ten potworny czyn na tej tu niegodziwej i zbrodniczej niewieście. Ona to bowiem, a nie kto inny, zamordowała trucizną tego biednego miedziaka, siostrzeńca mego – a uczyniła to, aby zagarnąć po nim spadek i aby zrobić miejsce swemu gachowi”.

Takie to ów staruch żalosne skargi kładł w uszy każdemu z osobna. Tłum tedy zaczął się burzyć, bo prawdopodobieństwo rzeczy sprawiało, iż poczęto dawać wiarę w zbrodnię. Rozlegają się wołania o ogień na nią, tłum szuka kamieni, szczuje psy na jej zgubę. Ona zaś z płaczami – przygotowanymi na taki wypadek – zaklina się, jak najuroczyściej może, na wszystkie świętości i wypiera tak ohydneho czynu.

[28] Więc ów starzec powiada na to:

„Zdajmyż dowód prawdy na opatrność boską! Jest tu znakomity prorok, Zatchlas Egipczyk, który się ze mną już dawno za niemałą nagrodą ugodził, że na chwilę ducha z podziemia wywoła, a i to ciało już na zaprozu śmierci ożywi”.

To mówiąc, wyprowadza na środek jakiegoś młodzieńca w lnianych szatach i w sandałach z liści palmowych, z głową do skóry wygoloną. Tego ręce długo całował i za kolana go oblał.

„Zlituj się, kapłanie – błagał – na gwiazdy niebieskie, na bóstwa piekielne, na żywioły przyrodzone, na milczenie nocy i na koptyjskie miejsca najświętsze, i na podnoszącą się w zalewie wodę nilową, i na tajemnice memfijskie, i na grzechotki święcone w Faros – zlituj się! Pozwól mu na chwilę ujrzeć jasność słońca i w tych źrenicach zamkniętych na zawsze skrzesać iskrę światła! Wszakże się nie wzbraniamy i nie odmawiamy ziemi tego, co jej, a tylko błagamy o mały strzęp życia, by pomstą się pocieszyć!”

Ujęty tym błaganiem prorok dotknął ust zmarłego jakąś roślinką, a inszą znowu położył mu na piersi. Za czym ku wschodowi zwrócony cichą postać modlitwę ku wyjeżdżającemu na niebieskie sklepienie rydwanowi słońca. Ta scena przedziwna tak przejęła serca obecnych, że stali bez tchu czekający na cud niesłychany.

[29] Wśliznąłem się w tłum i tuż za samymi marami wylazłszy na jakiś większy kamień, patrzyłem na wszystko zachłannymi ciekawością oczyma. Patrząc tedy, a tu pierś owego podnosić się już poczyniła i w żyłach życie tętnić, a zewłok duchem się napelnia – i powstaje on człowiek umarły, i przemawia młodzieniec:

„Przeczę mnie, którym letejskiej już zażył wody, którym w styksowych rozlewiskach już się zanurzył, przeczę mnie przywołujecie do życia przez błysk chwili? Ostawcie mnie, tak błagam, ostawcie i do mego ukoju wrócić pozwólcie”.

Takie słowa z ciała onego się dobyły. Lecz prorok podniósłszy nieco głos rzekł:

„Czemuż nie chcesz wyjawić ludowi tajemnic twej śmierci? Czy nie wiesz, że zaklęciami mymi mogę Furie przywołać, mogę ci ciało znużone katować?”

Przemówił tedy ów z mar i tak się z jękiem do ludu zwrócił:

„Zabił mnie zły podstęp nowej małżonki; śmiertelny napój śmierci mnie przysądził, a łożę ciepłe jeszcze gachowi zostawiłem”.

Na to godna małżonka uzbraja się w zuchwałą przytomność umysłu i bezbożnie przecząc oskarżeniem męża, kłótnię z nim wszczyniła. Tłum burzy się, miotany sprzecznymi uczuciami; jedni chcieliby tę straszną zbrodniarkę natychmiast żywą zakopać z ciałem męża, inni nie chcą wierzyć bajaniom umrzyka.

[30] Lecz nowe słowa młodzieńca rozcięły tę wątpliwość; z ponownym bowiem i boleśniejszym jeszcze jękiem rzekł:

„Dam wam dowody, że prawdę nieskażoną mówię: wyjawię jasno jak na dłoni to, czego nikt nie może wiedzieć”. Tu pokazując palcem na mnie mówił dalej:

„Oto kiedy ten czujny bardzo stróż ciała mojego straż przy mnie sprawował walną, więdźmy czarnoksięskie, które chciały dostać w swe szpony mój zewłok i dlatego wielokrotnie – a zawsze na próżno – w różne postacie się przerzucały, nie mogąc podejść wytrwałej onego czujności, w końcu otoczyły go mraką snu i pograżyły w głębokim bezwładzie. Wtedy tak długo mnie po imieniu wabiły, aż zimne członki i obumarłe stawy – po ciężkich wysiłkach – zakłębom sztuki czarnoksięskiej posłuszne się stały. Ten zaś oto, co mu na imię jak i mnie, wstał na dźwięk swego imienia – ile że żywy, bo ino obezwładniony głuchym snem – i, choć i nie wiedząc o tym, dobrowolnie – jakby sam był już cieniem – podszedł do drzwi izby. A choć one mocno były zamknięte, to przecież przez szparę w nich jakoś urżnięto mu naprzód nos, a potem uszy. Tak w moim zastępstwie wycierpiał takie jatki. Aby zaś upozorować swe szalbierstwo, przylepiają mu uszy z wosku całkiem na kształt dawnych i akuratnie przypawiają nos podobny do jego własnego. A teraz stoi tu biedak, co nie dostał nagrody za swą czujność, ale pokaleczenie za nagrodę”.

Przerażony tymi słowami, co prędzej chcę wypróbować kształty tych moich członków. Łapię ręką za nos – zostaje mi w palcach; pociągam za uszy – odrywają się. A kiedy wszyscy obecni palcami mnie wytykają i na mnie pokazują, kiedy śmiech huczeć zaczyna dokoła, zlanym zimnym potem wymykam się między nogami ciżby. Nie mogłem też potem tak okaleczony i ośmieszony powrócić do rodzinnych kątów, lecz poszlachtowane uszy zataiłem pod włosami zaczesywanymi na oba boki, a haniebny brak nosa przystojnie zakryłem tym nosem płóciennym, dokładnie przylepionym.

[31] Skoro tylko Telefron skończył tę opowieść, wśród biesiadników, podpitych, znowu prześmiechy wybuchnęły. Kiedy zaś wołali, by wedle zwyczaju wypić na cześć boskiego Śmiechu, rzekła do mnie Birrena:

– Jutro jest tu uroczyste święto, obchodzone od założenia tego miasta, kiedy – sami jedni na całym świecie – wesołym i radosnym obrządkiem czcimy i dopraszamy się łaski najprzedniejszego z bóstw: bóstwa Śmiechu¹¹. Umilisz je nam twoją obecnością. Ach, żebyś też to z własnego dowcipu uciesznego co wymyślił dla uczczenia tego bóstwa, aby się przez to uświetniło nasze wdzięczne dla niego ofiarowanie!

– Dobrze – odrzekłem – stanie się, jak każesz. I chciałbym, dalibóg, wpaść na jaki pomysł, który by dobrze i bez ochyby przypadł tak możnemu bóstwu.

Po czym, że to mi przypomniał mój chłopiec, iż noc już, a i ja sam dobrze miałem już w czubku, wstałem zaraz i co prędzej pożegnawszy Birrenę chwiejnym krokiem puściłem się do domu.

[32] Ale na pierwszym zaraz placu zgasił nagły powiew wiatru latarnię, co nas wiodła, tak że z biedą radząc sobie z niespodziewaną nocną ciemnością i obtłukując palce nóg o kamienie wracaliśmy, do cna zmordowani, do domu. I kiedyśmy się tak do niego, wzajemnie się podpierając, już zbliżali, patrzymy, a tu trzech jakichś zuchów, chłopów jak tury, co sił dobija się do naszych drzwi. I ani na włos ich obecność nasza nie odstraszyła, bo na prześcigi mocniej jeszcze się dobierali. Nie dziwne tedy, że się nam – a mnie szczególnie – wydało, iż to łotrzykowie jacyś, i to z tych najgorszych. Z miejsca tedy chwytam za miecz, com go pod suknią niósł na taki właśnie przypadek, i z zanadru go wyciągam. Bez wahania wpadam między zbójów i, jak mi stawali na drodze opornie, każdego żgam, jak mogę, najgłębiej, że wreszcie u moich stóp ducha wychnęli posiekani jak rzeszota ogromnymi ranami. Po tej potyczce, której zgielkiem obudzona Fotis już nam drzwi otwarła, zdyszany i spocony wtaczam się do domu i natychmiast wpadam na łóżko i w sen, zmordowany walką z trzema łotrzykami, wartą morderczego boju z Gerionem.

¹¹ b ó s t w o Ś m i e c h u – było poetycką personifikacją „karnawałowej” wesołości.

KSIĘGA TRZECIA

[1] Jutrzenka na purpurowym rydwanie właśnie na pola niebieskie wyjeżdżała, różowe ramiona prężąca, gdy i mnie, wyrwanego ze słodkiego spoczynku, noc dniowi wydała. Gorąco mi się zrobiło, gdym sobie przypomniał wieczorną awanturę; siadłem w kucki na skrzyżowanych nogach i zaplótłszy palcami dłonie na kolanach rozchlipałem się rzewnie, już sobie wyobrażając plac sądowy i trybunały, już słysząc wyrok, już nawet samego widząc kata. Naderżyż mi się jaki sędzia na tyle łagodny i życzliwy, aby mnie mógł uwolnić, mnie, com splamiony potrójnym mordem i zboczony krwią tylu obywateli? Ani chybi, to to ma być ta moja sławna podróż, którą mi z taką pewnością przepowiadał Diofanes Chaldejczyk!

O tym bez przerwy rozmyślając, zawodziłem nad dolą moją nieszczęsną. A tu do bramy ktoś się dobija i przy drzwiach krzyki gęste się rozlegają.

[2] Za czym w tej chwili otwierają się podwoje wywalone i dom się napełnia urzędnikami i ich pacholkami, i tłumem wszelkiego rodzaju i z miejsca, na rozkaz urzędników, dwu liktorów kładzie na mnie łapy i wlec mnie zaczyna ze sobą, choć-em się zgoła nie opierał. A ledwośmy tylko weszli w uliczkę, już cała ludność na miasto wyległa zbitym tłumem idzie z nami. Ale tu, chociaż szedłem w rozpacz, z oczyma wbitymi w ziemię – ba, właściwie to już w samo podziemie – to jednak kątami oczu spostrzegłem rzecz nie do wiary dziwną: oto wśród tyłotysięcznego tłumu otaczającego mnie nie było dosłownie nikogo, kto by nie pękał ze śmiechu. Wreszcie przewędrowawszy wszystkie ulice i oprowadzony po każdym kącie jak te ofiary, które przeznaczone były – w obrzędach przebłagalnych i oczyszczających składanych po wszystkich kątach miasta – do odwrócenia przez śmierć swą złych wróżb, staję na forum i przed trybunałem. I kiedy już sędziowie zasiedli na swych wysokich siedziskach, kiedy już woźny wołał o uciszenie się, nagle cały lud jednogłośnie żąda, aby z powodu takiego tłumnego zebrania – gdzie nawet okrutna ciżba może spowodzić nieszczęście – aby proces tak niezwykły odbyć w teatrze. Za czym niezwłocznie zaczął cały tłum biec tam na wyprzódki i z podziwu godną szybkością wypełnił przegrody widowni; przejścia nawet i wierzch cały szczelnie zapchano.

Wielu wylażyło na kolumny, inni wisieli na posągach, niektórzy przechylali się do połowy tylko widoczni, przez okna i stropy, wszyscy zaś, ogarnięci żądzą widzenia na własne oczy, lekceważyli sobie bezpieczeństwo własne. Teraz mnie powiodły pacholy miejskie przez środek proscenium – jak to bydlę ofiarne – i postawiły w środku orchestry. I znowu woźny ryknął wielkim głosem, wzywając oskarżyciela.

[3] Wstaje na to jakiś staruch i – z naczyńkiem takim, co to do odmierzania czasu ma, jakby lejek, misterną dziurkę, przez którą woda kroplami ścieka – tak przemawiać do ludu zaczyna:

– O sprawę niemałą, spokojność państwa całego i wielki przykład dla czasów przyszłych na względzie mającą, idzie tu dziś, cni obywatele. Tym bardziej tedy się godzi, by skrzętnie każdy z was z osobna, i wy wszyscy razem, byście się zatroskali o godność obywatelską, o to, by zbrodniarzowi i mordercy nie uszły bezkarnie te krwawe jatki, które tu z takim okrucieństwem urządził. I nie sądźcie, że unosi mnie tu nienawiść osobista i rozrachunki prywatne: jestem bowiem naczelnikiem straży nocnej i do dnia dzisiejszego nikt, jak sądzę, nie mógł

zarzucić niczego mej czujnej pilności. Ale – opowiem wiernie rzecz samą i to wszystko, co w nocy się zdarzyło.

Oto kiedy czasu trzeciej już prawie straży nocnej jak najdokładniej każdy dom obchodziłem, na rzecz każdą pilnie bacząc, spostrzegłem tego oto krwiożerczego młodzika, jak z nagim mieczem rzeź szerzył wokół i trzech oto już szaleństwem jego zgubionych tarzało się, choć jeszcze zipiących, u stóp jego w lachach krwi. On sam zaś, snadź przejęty sprawiedliwym przerażeniem z powodu tak potwornej zbrodni, umknął pod osłoną ciemności do jakiegoś domu i tam noc całą się ukrywał. Lecz dzięki woli bogów, którzy zbrodniarzom niczego bezkarnie nie przepuszczają, dobrałem się do niego o świcie, zanim zdołałby wymknąć się tajemnie, i postarałem o to, by go przyprowadzono przed wasz sąd uświęcony. I oto macie przed sobą oskarżonego tyłu mordami skalanego, schwytanego na gorącym uczynku, oskarżonego, który u nas człkiem z obcej ziemi. Stateczny tedy wyrok wydajcie na obcego za zbrodnię, za którą byście nawet własnego obywatela surowo pokarali.

[4] Po tych słowach umilkł straszliwy głos srogiego oskarżyciela. Mnie zasię woźny rzekł, iżbym – jeśli mam na to co odpowiedzieć – zaraz zaczynał. Ja zaś w onej chwili do niczego więcej, jak tylko do płaczu byłem zdolny – już dalibóg nie tyle ze względu na owo straszliwe oskarżenie, ile na moje własne nieszczęsne sumienie. A jednak ze śmiałością, przez jakiś głos boży wzbudzoną, tak na to wszystko odrzekłem:

– Nie tajne mi samemu, jak trudno jest oskarżonemu o morderstwo – choćby mówił prawdę i sam wszystko o czynie swym wyznał – przekonać tak wielką ciżbę narodu, że jest niewinny, gdy tu oto wystawione leżą trzy ciała zabitych obywateli. Lecz jeśli mi wasza ludzkość da tu publicznie chwilę posłuchu, to łatwo wam wykażę, że nie przez prawdziwą przewinę wpakowałem się w tę sprawę gardłową, ale że trafunkowe następstwo słusznego oburzenia przywaliło mnie takim przewiny nienawistnym brzemieniem, że nie mogę mu podołać.

[5] Było bowiem tak, że z uczty nieco później wracałem, podchmielony zresztą – bo tej prawdziwej przewiny mej tać nie będę. Przed samymi drzwiami mego domu – a mieszkam u poczciwego Milona, waszego obywatela – widzę kilku okrutnych zbójów, jak się dobierają do bramy i wyłamując zawiasy, drzwi usiłują wywalić. Już i rygle wszystkie, choć mocno zasunięte, przemocą wyszarпали i już sobie zgubę mieszkańców domu układali. Jeden mianowicie – i cielskiem ogromniejszy, i bardziej rezolutny – tak innym przymawiał i zachęcał:

„Hola, chłopy, ino śmiało a mocno się do nich dobierajmy, póki śpią! Do licha z namysłami, z wszelkim niedołęstwem! Niech no mord z nagim mieczem przez dom powędruje! Po gardle nożem tym, co we śnie, a jakby się kto opierać próbował – w łeb go! Zdrowo wrócimy, jak nikogo w domu przy zdrowiu nie zostawim!”

Przyznaję, cni obywatele, że na tych wywłoków zbójceckich – za obowiązek to dobrego obywatela uważając, a zarazem w strachu nie miałym o siebie i gospodarzy mych – rzuciłem się z mieczem, com go z sobą na takie wypadki nosił, by ich zbrojną ręką rozprószyć i rozmieść. A te chłopy ordynarne i nieokrzesane ani myślą w nogi, a kiedy zobaczyli mnie z mieczem, jeszcze zuchwale się stawiają!

[6] Formuje się regularna walka. Wreszcie sam wódz i prowodyr tamtych rzuca się na mnie i z miejsca co sił porywa mnie oburącz za włosy, w tył przegina i chce zatłuc kamieniem. Ale kiedy już krzyczy, by mu go podano, zwałam go pewnym ciosem i szczęśliwie na ziemi rozciągam. I zaraz drugiego, co mi się nóg czepiał i zębami je gryzł, kładę ciosem między łopatki wymierzonym, a także trzeciemu, co wpadł na mnie z nienacka, piersi przeszywam. Tak tedy przywróciwszy spokój, chroniąc dom gospodarzy mych, a i dobro powszechności, sądziłem, iż nie tylko bezkarność mam zapewnioną, ale chyba i publiczną pochwałę. Bom też nie był pozwany nigdy przed sąd ni o najmniejsze przestępstwo, lecz żyłem w poczciwej sławie u ziomków moich; zawsze też niewinność nad wszelkie dobra przenosiłem. Nie mogę sobie też wytłumaczyć, czemu bym miał za słuszną pomstę, jaką wzięłem na zbójach tych ostatnich, być tu teraz do odpowiedzialności pociągany, gdy nikt mi udowodnić nie

może, że między mną a owymi ludźmi kiedyś przedtem prywatnie były nienawiści i że w ogóle tyle łotrzyków kiedy osobiście znałem; z pewnością też nikt nie może wykazać jakiegokolwiek osobistej korzyści, takiej, iż byłoby rzeczą wiarygodną, że jej to żądzą powodowany dopuściłem się tak wielkiej zbrodni.

[7] Po tych słowach znowu ze łzami w oczach i błagalnie wyciągniętymi dłońmi to do tych, to do owych wokół się zwracałem, zaklinając w rozpacz na miłosierdzie całej powszechności, na to, co mają najdroższego. I kiedy już myślałem, że dostatecznie poruszyłem w nich wszystko, co ludzkie, i że już ich zdjęła litość nad mymi łzami, i kiedy – zaklinając się na oko Słońca i Sprawiedliwości i całą mą sprawę oddając opatrności bogów – podniosłem nieco w górę oczy, patrzę, a tu cały naród pęka od śmiechu; a razem z innymi i ten mój gospodarz, ten poczciewicz, ten tatuś mój, Milon, pokłada się od okrutnego rechotania.

To wierność, to sumienie – pomyślałem sobie wtedy – ja tutaj, zem w obronie gospodarza mego stawał, zabójcą się stałem i sprawę mam gardłową, a on – nie dość, że mnie nie pocieszył swym wstawiennictwem, ale jeszcze ze zguby mej chichota.

[8] Tymczasem niewiasta jakaś w żałobnej sukni, płacząc i jęcząc, z maleństwem przy piersiach biegnie przez środek teatru, za nią zaś druga, starucha, okrutnymi łachmanami okryta, tak samo rozpaczliwie zawodząca. Obie potrząsając gałązkami oliwnymi mary – na których leżały przykryte zwłoki zabitych – okrążają, ręce łamią i wyją rozpaczliwie:

– Na litość pospólną – krzyczą – na wszystko, co w was ludzkie, zlitujcie się nad tymi niewinnie pomordowanymi młodziakami i dajcie pociechę pomsty naszemu wdowieństwu i osamotnieniu! Wspomóżcież przecie to maleństwo od najwcześniejszych lat na nędzę skazane i z krwi tego zbója złożcie ofiarę przebłagalną waszym prawom i porządkowi publicznemu.

Teraz powstaje urzędnik co najstarszy wiekiem i tak odzywa się do narodu:

– Tak tedy jest, że tej zbrodni, którą surowo ukarać trza, zaprzeć się nie może nawet jej sprawca. Ale jedna nam, jedyna jeszcze troska została: oto, by wykryć współników tak strasznego czynu. Bo i niepodobne to do wiary, żeby człek jeden, w pojedynku, dał radę trzem takim walnym chłopcom. Męczarniami tedy trza z niego prawdę wyciągnąć. Bo to i parobek, który mu towarzyszył, potajemnie uszedł, i na to rzecz zesła, że trza podsądnego wziąć na spytki, aby wskazał współników swej zbrodni i aby można do cna usunąć lęk przed taką zbójcecką spółką.

[9] Za czym przynoszą bez zwłoki – wedle obyczajów sądowych greczyńskich – węgle żarzące i koło, znoszą wszelkich rodzajów bicze i kańczugi. Rośnie moja rozpacz, ba, podwaja się, że nie wolno mi umrzeć przynajmniej z całą skórą. Ale ta starka, co przedtem swoim zawożeniem wszystko w zamieszanie wprawiała, wola teraz:

– Panowie wy moi najlepsi! Naprzód, nim tego zbója, tego mordercę dzieciaków moich biedneńkich na krzyż przybijecie, pozwólcie odsłonić ciała zabitych, aby widok ich wieku młodzieskiego i ich gładkości podjudził w was sprawiedliwe oburzenie, żebyście srodzy byli dla takiej zbrodni bezecnej, tak jak się jej to patrzy.

Oklaskiem przyjęto te słowa i z miejsca każą mi urzędnicy, bym własnoręcznie odkrył ciała złożone na marach. Gdym się wzdragał i długo nie chciał odnawiać takim widokiem okropnej sceny z poprzedniego dnia, przynaglają mnie do tego, na rozkaz urzędników, jak najnatarczywiej pachoły sądowe – ramię moje wreszcie nawet, którym do siebie cisnął, ciągnąc i ku trupom je wypychając. Wreszcie siłą zmuszony uległem i, choć po niewoli, szarpnąłem płaszcz i odkryłem ciała...

Bogowie dobrzy, co się to nie dzieje?! Co to za dziwy? Co to za nagła przemiana mego losu? Bo chociaż przed chwilą jużem prawie należał do trzódki Prozerpiny i już był domownikiem na łonie rodzinnym piekła, to teraz, skamieniały ze zdumienia – choć w sposobie najzupełniej innym – stałem jak kół, nie mogąc znaleźć słów dla zdania sobie sprawy, co znaczy ta zmieniona postać rzeczy. Bowiem owe trupy pomordowanych ludzi to były trzy wydęte wory

skórzane, tak i owak porznięte i – o ile sobie przypominałem moją nocną bitwę – w tych miejscach dziurawe, gdzie zadałem rany owym łotrzykom.

[10] Wtedy ten śmiech, co go dotąd za sprawą różnych przecherów poniekąd tłumiono, swobodnie już przewalać się zaczął przez tłum. Jedni z nadmiaru uciechy życzenia sobie składali, inni rękami ściskali bolące od śmiechu brzuchy. I dalibóg, że chyba pijani od wesołości wszyscy z teatru wychodzili, jeszcze się za mną oglądając. A ja od chwili, gdy wyciągnąłem dłoń po tę szmatę, stałem jak przemieniony w zimny kamień i taki, jak jedna z tych wielu innych kolumn i posągów w teatrze. I nie pierwej wróciłem z podziemia, gdzie już przebywałem, aż przystąpił do mnie mój gospodarz Milon i położył mi rękę na ramieniu. Opierałem się z początku, a łzy już teraz stanęły mi w oczach i szlochać zacząłem; łagodny tedy gwałt mi zadając, pociągnął mnie za sobą co najbezludniejszymi uliczkami i zaułkami jakimiś do swojego domu, zagadując na wszelki sposób i pocieszając mnie i teraz ciągle jeszcze zgnębnego i roztrzęsionego. Nie zdołał jednak na żaden sposób ukoić wzburzenia z powodu krzywdy, wzburzenia, które mnie żarło głęboko w sercu.

[11] Ale oto i sami urzędnicy miasta wchodzą z oznakami swej władzy do naszego domu i usiłują mnie ułagodzić takim gadaniem:

– Znamy my dobrze, panie Lucjuszu, godność twoją, a nawet i twoich przodków, bo w całym przecie kraju znana jest dostojność waszej rodziny. I nie dla wyrządzenia ci zniewagi urządzono ci to, co cię tak bardzo rozżala. Otrząśnijże przeto z serca cały ten smutek i utrapienie. Zawsze bowiem jakiś zgoła nowy wymysł musi uświetnić tę zabawę, którą rokrocznie uroczyste obchodzimy na cześć najmilszego boga Śmiechu. Ten zaś bóg będzie zawsze łaskawie i miłościwie z tym, który takiego wymysłu był bohaterem, który w nim główną odegrał rolę; ten bóg nie dopuści nigdy, aby ci się ból zbyt głęboko wżarł w serce, lecz czoło twe otaczać będzie zawsze pogodą i urokiem wesołości. A za tę uciechę, którąś nam sprawił, cała społeczność miejska zaszczytami cię nie lada jakimi darzy: i w dobrodziejów bowiem swoich poczet cię zapisała, i postanowiła, by twój posąg stanął odlany ze spizu.

Na to znowu ja odpowiedziałem:

– Ja zaś dla ciebie, najświetniejsza gmino Tesalii, gmino jedyna, zachowam równą wdzięczność za tak niezmierne zaszczyty, ale radziłbym, abyście pomniki i posągi zachowali dla większych ode mnie.

[12] Tak im umiarkowanie powiedziałem, rozpogadzając na chwilę oblicze i robiąc minę, jak potrafiłem tylko, najweselszą, po czym uprzejmie pożegnałem odchodzących urzędników. Aż tu wbiega jakiś sługus i powiada:

– Twoja krewniaczka Birrena zaprasza cię i przypomina, że to już niedługo czas na ucztę, na którą się na wieczór obiecałeś.

Na to ja z lękiem, ba, z odczuwanym już na odległość przerażeniem przed samym tym jej domem:

– Powiedz mej krewniaczce – mówię – że bardzo bym chętnie poddał się jej rozkazom, gdyby nie to, że mi nie pozwala słowo dane komu innemu. Milon bowiem, gospodarz mój, tak mnie zaklinał na samo owo bóstwo opiekuńcze dzisiejszego dnia, że zobowiązałem się z nim dziś zjeść obiad; on zaś ani sam nie wychodzi z domu, ani nie chce się zgodzić, żebym ja wychodził. Wobec tego odłożmy chyba termin tego przyjęcia.

Jeszczem to mówił, kiedy na mnie położył swą ciężką łapę Milon i każąc nieść za nami przybory łaźiebne powiódł do najbliższej łaźni. Sunąłem tam w jego cieniu, unikając oczu wszystkich; ściągałem bowiem na siebie śmiech przechodniów, ten śmiech, który sam niedawno tak rozkiełznałem. Ale wstyd mnie zalewał tak, że nie pamiętam nic, w jaki sposób się umyłem, jak wytarłem, jak do domu wróciłem. Wytykany wszystkich oczyma, skinieniami głowy, rękami wreszcie – wpadłem w stan zupełnego osłupienia.

[13] Ostatecznie co prędzej załatwiwszy się z biedniutkim obiadem u Milona i zmyśliwszy gwałtowny ból głowy, spowodowany jakoby długim płaczem, uciekłem – łatwo otrzymawszy

zwolnienie – by spocząć. Rzuciłem się na mój tapczanik i pograżyłem w niewesołym rozpa-
miętywaniu wszystkiego, co się stało. Trwało to dopóty, póki wreszcie, ułożywszy do snu
swoją panią, nie przyszła Fotis, zmieniona zresztą do niepoznaki. Przyszła nie z buzią wesołą
i prześcipnym słówkiem, ale chmurna, z surowymi zmarszczkami na czole. Z wahaniem
wreszcie i niepewnie przemówiła:

– Ja to – rzekła – ja, przyznaję ci się sama, ja to stałam się przyczyną twego utrapienia.

To mówiąc wyciągnęła zza pazuchy jakiś rzemień i podając mi go mówiła:

– Weź to, sama cię proszę, i zemścij się na zdradzieckiej niewieście – a nawet zadaj mi
choćby cięższą jeszcze jakąś karę! Tylko, błagam cię, nie myśl, że ja dobrowolnie wpakowa-
łam cię w to utrapienie. Niechże mnie bogowie chronią, żeby ci przeze mnie miał choćby tyci
kamyczek obrazić nogę. A jeśli co złego grozi twej głowie, to niechże ja to przebłagam moją
krwią. Tutaj zaś zła jakaś dola moja sprawiła, że obróciło się przeciw tobie to, co kazano mi
przygotować dla innej całkiem sprawy.

[14] Obudziła się na te słowa przyrodzona mi ciekawość; żądny mocno odkrycia tajemnej
mi przyczyny całej sprawy, tak zaczynam:

– Pierwej szczenie – bo go porwę i podrę – sam ten nikczemny i zuchwały rzemień jakiś,
któryś sama przeznaczyła na ochłostanie siebie, zanim dotknie twojej skóry mlecznej i jak
puch miękkiej. Wiernie mi jednakże opowiedz: jakież to czyn twój obróciła na niedolę moją
losu złośliwość? Klnę ci się bowiem na twoją najdroższą mi głowę, że nikomu zgoła, a nawet
tobie samej, choćbyś o tym zapewniała, nie mógłbym uwierzyć, żeś to ty coś na zgubę moją
umyśliła. Kiedy bowiem kto nie miał złego zamiaru, to nie można go obwiniać, choć nie-
przewidziany jaki czy nawet wrogi trafunek wszystko pokrzyżuje.

To powiedziawszy przypiąłem się nienasyconymi pocałunkami do oczu mej Fotis, zwil-
gotniałych i namiętą żądzą przymglonych, a do pół przysłonionych drżącymi powiekami, i
począłem je pić łakomie.

[15] Wtedy jej wróciła pogoda.

– Pozwól – rzekła – że naprzód starannie zamknę drzwi; wielką bowiem winę wzięłabym
na siebie, gdyby przez nieuwagę wymknęło się coś z tego, o czym będziemy mówili, i poszło
między ludzi.

Mówiąc to zasunęła rygle i mocno haczyk zacisnęła, po czym zwróciła się do mnie i za-
rzuciwszy mi obie ręce na szyję, rzekła głosem bardzo stłumionym i cichym:

– Boję ja się i lękam mocno odkrywać ci tajniki tego domu i wyjawiać wielkie tajemnice
mojej pani. Ale mam nie byle jakie mniemanie o tobie i twoich zasadach, bo ty przecie nie
tylko z domu wyniosłeś szlachetne poczucie czci, nie tylko serce masz wspaniałe, ale także –
wtajemniczony w liczne święte wierzenia i obrzędy – poznałeś święty zakon milczenia. Co-
kolwiek tedy powierzę głębiom sumiennego twego serca, to – błagam cię – zachowaj zawsze
pod siedmioma pieczęciami i za otwartość mego wyznania zapłać mi wytrwałością twego
milczenia. Bo to miłość moja dla ciebie każe mi wyznać to, o czym wiem sama jedna z
wszystkich ludzi. Zaraz się dowiesz o wszystkim, co dzieje się w naszym domu, zaraz do-
wiesz się o przedziwnej, czarnoksięskiej władzy mojej pani, władzy, której słuchają umarli,
która narusza spokój gwiazd, zniewala bóstwa, rządzi żywiołami. A nigdy usilniej nie posłu-
guje się pani moja potęgą tej sztuki, jak kiedy jej oczy padną z upodobaniem na jakiego ład-
nego chłopaka, co się zresztą często przytrafia.

[16] Teraz także na zabój się rozkochała w Beotczyku jednym, okrutnie gładkim, i porusza
wszystkie moce i wszystkie sprężyny swej sztuki. Dziś nad wieczorem słyszałam – na te wła-
sne moje uszy, powtarzam, słyszałam – jak groziła samemu Słońcu, że jeśli co prędzej nie
zesunie się z nieba i nie ustąpi jak najwcześniej miejsca nocy, podczas której można przyła-
dzać zdradzieckie sztuki czarnoksięskie – to ona je okryje mgłą i wiecznymi ciemnościami.

Tego młodego człowieka zobaczyła ona przypadkiem wczoraj, wracając z łaźni, jak siedział w balwierni, i kazała mi przynieść potajemnie jego włosy, które, skoszone nożycami, leżały już na ziemi.

Kiedym je skrzętnie a ukradkiem zbierała, przydybał mnie balwierz, a że to z innych już sposobności szerokośmy tu osławione z naszej sztuki czarnoksięskiej, złapał mnie i niesłodko wrzeszczeń poczał:

„A ty, taka i owaka, to ty nie przestaniesz wykradać loków najpiękniejszych chłopców? Jak mi nie skończysz wreszcie z tym łajdactwem, to cię z miejsca pociągnę przed urząd!”

I popierając słowa czynem, wepchał mi garść za pazuchę, zaczął buszować i rozzłoszczony wydarł włosy, które tu ukryłam. Mocno mnie to wszystko zmartwiło, a dumając nad humorami mojej pani, którą nieudanie się takiego przedsięwzięcia zazwyczaj doprowadzało do niebyle jakiej złości i która mnie za to niemiłosiernie tłukła, już rozmyślać zaczęłam o ucieczce, ale porzuciłam natychmiast ten pomysł przypomniawszy sobie o tobie.

[17] Ale kiedy żałosna stamtąd już odchodziłam, spostrzegłam jakiegoś jegomościa, który strzygł nożycami wory z kozłej skóry. Przyglądałam się, jak je nadymał mocno, zawiązywał i wieszał. I wtedy, aby nie wracać do domu z pustymi rękami, pozbierałam garść kozlich kędziorów leżących na ziemi, żółtych i dzięki temu bardzo podobnych do włosów owego Beotczyka, i te, zatajając prawdę, zaniiosłam mojej pani. Z nimi tedy, gdy tylko noc zapadła, a zanim ty z uczty wróciłeś, sunie moja pani Pamfila – już oszalała z żądy – do takiego pawiloniku na dachu, o który w skrytości wielkie ma staranie, ile że – mocno przewiewny, bo bez drzwi i otwarty na wszystkie strony świata – dla tych jej sztuczek czarnoksięskich dobrze się nadaje. I naprzód na zwyczajną modłę urządza tu swoją kuchnię piekielną: więc układa wonne zioła wszelakiego rodzaju i skorupy metalowe pogryzmołone tajemniczymi znakami, i resztki nieszczęściu potopionych statków, i szczątki ciał umarłych, świeżo oplakanych, a nawet bardzo liczne członki ciał już pochowanych; tu leżą nosy i palce, tam gwoździe, którymi byli przybici ukrzyżowani, z przyschniętymi jeszcze do nich szczątkami ciała, gdzie indziej przechowywana krew pomordowanych i pogruchotana zębami dzikich bestyj czaszka.

[18] Potem zawodzi nad dymiącymi trzewiami zwierzęcia ofiarnego swoje czarnoksięskie zaklęcia i składa ofiarę z różnych płynów, więc i z wody źródlanej, i mleka krowiego, i górskiego miodu. Ofiaruje i miód pitny. Następnie owe kudły przeze mnie przyniesione zaplata w węzły i warkoczyki, kładzie na rozżarzone węgle i spala z licznymi kadzidłami. Jakoż natychmiast, przez nieprzemoloną moc sztuki czarnoksięskiej i ślepą siłę ujarzmionych potęg, nabierają te wory, których kudły skwierczały na węglach, ducha ludzkiego, zaczynają czuć, słyszeć, chodzić i biegać tam, gdzie je ciągnął swąd ich runa, i – miasto owego młodego Beotczyka – z rozmachem biorą się do wywalania drzwi.

Wtedy to właśnie ty, podchmielony i zmylony ciemnością ślepej nocy, z nagim mieczem zuchwale rzuciłeś się i – na kształt szalonego Ajaksa – zamordowałeś, tylko nie jak tamten, co zawzięty okrutnie na życie baranów całą trzodę zmasakrował, ale jeszcze bardziej bohaterko – zamordowałeś trzy wydęte wory kozłe. A niechże cię uściskam, ciebie, co potrafiśz kłaść pokotem wrogów, a nie splamisz się sam i kroplą krwi! Mój ty – teraz już nie: mężobójco, ale workobójco!

[19] Tak mnie wzięła swoim dowcipem Fotis, że i mnie się zebrało na żarty.

– To i ja tedy już bym mógł – powiadam – ten pierwszy tryumf mojego męstwa policzyć za pierwszy w szeregu czynów dokonanych na podobieństwo dwunastu prac Herkulesa; albo to nie można porównać zwycięstwa nad Gerionem o trzech cielskach albo nad potrójnołbowym Cerberem z zabiciem trzech worów? Ale abym ci ze serca już odpuścił tę przewinę, przez którą się tyłem strachu najadł, spełnij mi jedno, o co okrutnie gorąco proszę: pokaż mi panią swoją, jak czyni jakie praktyki tej swojej boskiej sztuki, jak zaklina bóstwa, a przynajmniej niechże choć zobaczę, jak sobie wszystko do tej sztuki przyładza; bo okrutnie chciałbym własnymi oczyma poznać sprawy sztuk czarnoksięskich. Co prawda, to – widzi mi

się – że i ty sama nie jesteś tych rzeczy nieświadoma ani w nich nie wyznająca się. Doskonale ja to czuję i wiem; nigdy mnie bowiem nie nęciły uściski wielkich dam, a ty zrobiłaś ze mnie niewolnika tymi twymi jasnymi oczkami i różowym pysiakiem, i ślicznymi włosami, i półrozchylonymi wargami, i pachnącymi piersiami i trzymasz mnie tak zniewolonego, a przecie powolnego. Ani już nawet nie myślę o domu mym, ani o powrocie do siebie, a już nic mi milszego nad tę noc idącą.

[20] – Jakżebyś chciała – odrzekła Fotis – zrobić ci, Lucjuszu, to, czego sobie życzysz! Pani moja jednak – zazdrosna o swój kunszt – w zupełnej samotności zawsze i nieobecności wszystkich zwykła dokonywać tych swoich spraw tajemniczych. Ale więcej mi niż moja własna bezpieczeńność znaczy to, że sobie tak tego życzysz, więc będę skrzętnie upatrywała dogodnych okoliczności i sprawię to, czego chcesz, byleś tylko, jakem ci już na początku powiedziała, dochował mi słowa i milczenia.

A gdyśmy tak gadali, żądza wzajemna dusze nam i ciała płomieniem zażęgła. Tedy szaty wszelkie precz odrzuciwszy, kiedyśmy się nareszcie nadzy znaleźli i przed sobą niczym nie zasłonieni, szaleć poczęliśmy w swych objęciach. [.....]. Potem oczy nasze czuwaniem znużone ogarnął sen, który nas aż późnym dniem opuścił.

[21] W ten sposób rozkosznie przepędziliśmy kilka nocy. Aż pewnego dnia przybiega zwawo Fotis i dosyć poruszona opowiada, że pani jej, ponieważ dotychczas nic wskórać nie mogła w swoich amorach innymi sztukami, tej nocy opierzy się na kształt ptaka i tak przemieniona frunie do swego wybrańca; niechże się tedy przygotuje, by się zasadzić na czatach i zobaczyć takie niezwykle widowisko. Jakoż dobrze jeszcze przed północą wieździe mnie sarna bezszelestnymi i czujnymi krokami tuż pod ów powietrzny pawilon i każe zaglądać przez jakąś szparę. I oto, co widzę:

Naprzód rozdiewa się Pamfila zupełnie z szat, po czym otwiera małą skrzyneczkę, z której dobywa liczne puszcзки i pudełeczka. Z jednego z nich zdejmuje nakrywkę, wygrzebuje z niego jakąś maść, którą długo w dłoniach rozcierała, i wreszcie wysmarowuje nią siebie całą od paznokci nóg aż do koniuszków włosów na głowie; wreszcie długo i potajemnie szepce coś z latarnią swą i poczyną wstrząsać się w dygotaniach i dreszczach. Rozpływają się jakoś miękko kształty jej członków, ocieniają się gładziuchnym puszkciem, okrywają się potem tęgimi lotkami, twardnieje dziób zakrzywiony, ściągają się szpony ostre jak haki – i oto staje się puszczykiem Pamfila. Teraz wydaje żaloszny krzyk i zrazu próbując lotu od ziemi się odbijać zaczyna, po czym, w powietrze się wzbiwszy, co siły już w skrzydłach na świat wylatuje.

[22] Ona tedy przekształciła się z dobrawoli, dzięki swym sztukom czarnoksięskim – ale ja, choć żadnym zaklęciem nie zaczarowany, a tylko do cna osłupiały tym, czegom był świadkiem, do wszystkiego raczej innego byłem podobny niż do Lucjusza. Tak nieprzytomnemu, ogłupiałemu do obłędu, było mi tak, jakbym śnił na jawie, i długo sobie musiałem trzeć powieki, żeby się upewnić, że nie śnię. Na koniec wreszcie przyszedłszy do siebie, chwyciłem rękę Fotis i przycisnąłem do mych oczu.

– Dajże ty mi – zawołałem – błagam cię o to, skoro nadarza się sposobność, dajże mi wielki i niezwykle dowód twojej miłości: uszczknij ze mi dla niej tej maści szelmowskiej! Na te twoje piersi cię proszę, moja ty słodzieńka! Na zawsze mnie sobie zobowiążesz – jak swoją rzecz! – tym nie dającym się opłacić dobrodziejstwem, ino to zrób, żebym już był takim skrzydlatym, takim Kupidyńcem, koło ciebie, mojej Wenus!

– Takieś to – przerwała mi – lisie nasienie jedno? To ty byś, kochaneczku, chciał, żebym sama pchała się w biedę? I tak cię już, jakieś bezbronny, ledwo ustrzeżę przed wilczymi apetytami Tesalek; a gdzieżbym ja cię dopiero miała szukać, jakbyś miał skrzydła? I kiedybym cię to zobaczyła?

[23] – A niechże mnie bogowie chronią przed takim bezeceństwem – odpowiem – abym ja, choćbym tam na podniebnych skrzydłach samego orła po całym niebie latał i Jowisza

wszechwładnego był niezawodnym posłańcem albo wiernym giermkim – abym nie wrócił przecież do tego mojego gniazdka natychmiast po tych wspaniałych wędrówkach powietrznych. Klnę ci się tu na ten słodki węzeł twoich włosów, którymeś mi serce przywiązała, że mi żadna insza nie milsza nad moją Fotis! A i to mi zresztą teraz do głowy przychodzi, że jak się raz przemaszczę na takie ptaszysko, to mnie pewnikiem z każdego domu będą pędzili! Bo i nadobny by to był i przedni kochanek dla dam, taki puchacz! Alboż to nie wiemy, jak się to wszyscy starają złapać takiego nocnego ptaka, jeśli wpadnie do czyjego domu, i przybić go na drzwiach, ażeby na nim samym, na jego męczarni, spełniło się to nieszczęście, którym domowi zagroził jego lot złowróźbny? Ale o co się niemal zapomniałem spytać: jakichże to trza zaklęć i co trza zrobić, żebym znowu wrócił do mojej Lucjuszowej skóry?

Na to ona:

– Jeśli o to ci ino idzie, to bądź dobrej myśli. Moja pani pokazała mi te wszystkie środki, które takim odmieńcom przywracają znowu kształt ludzki. Ino sobie nie myśl, że to zrobiła z jakiejś życzliwości dla mnie, nie, tylko abym mogła jej, kiedy wraca, pomagać potrzebnym do tego lekiem. I pomyśl zresztą, jakimi to zwykłymi i lada jakimi ziółkami takiej rzeczy niesłychanej się dokonuje: trochę anyżku dodanego z liśćmi bobkowymi do wody źródlanej; w tym się trzeba skąpać i tego napić.

[24] O tym kilkakrotnie mnie zapewniając, przecież mocno zakłopotana, wbiegła do izby i ze skrzyneczki wyciągnęła jakąś puszkę. Tę ja obiema rękami pochwyliłem i naprzód wycalowałem prosząc, aby mi dała szczęśliwe latanie, po czym, szybko zrzuciwszy z siebie wszystkie łachy, łakomie w niej dłonie zanurzyłem i zaczerpnąwszy garścią maści, natarłem nią całe ciało. I już z miejsca zacząłem próbować raz po razu chwycić ramionami równowagę na kształt lecącego ptaka: ale ani żadne lotki, ani zgoła żadne pierze na mnie się nie pokazuje! Za to włosy na ciele moim gęstnieją w sierść, delikatna skóra twardnieje w rzemieńne łyko, a na końcach rąk i nóg zatracą się wielkość wszystkich palców, które ściągają się w pojedyncze kopyta; od końca zaś moich krzyżów wyłazi wielki ogon. Już i łeb mam wydłużony, i pysk szeroki, i rozwalone chrapy, i zwisające wargi; już i strzygę olbrzymimi kłapouchami. I tę jedną tylko widzę pociechę w tej nieszczęsnej przemianie, że mi i wszelkie przyrodzenie wyogromniało; cóż, kiedy i objąć Fotis już nie mogę.

[25] Ale kiedy tak beznadziejnie przyglądałem się całemu memu cielsku i widziałem, że przemieniłem się nie w ptaka, ale w osła, oburzyłem się srodze na ten czyn Fotis. Ale żem to już nie miał ani ludzkich ruchów, ani ludzkiego głosu, więc tak, jak jedynie potrafiłem, z opuszczoną żałośnie dolną wargą, strzygłem na Fotis wilgotnymi oczyma i użalałem się jej milcząco.

Ona zaś, skoro tylko w tym stanie mnie zobaczyła, tłuc się zaczęła rękami po twarzy.

– Zgubiona jestem, nieszczęsna! – wołała. – W pośpiechu i zmieszaniu zwiodło mnie podobieństwo puszek! Ale dobrze przynajmniej, że całkiem łatwe jest lekarstwo na tę przemianę. Trzeba tylko, żebyś zjadł garść róż, a z miejsca zrzucisz z siebie osłą skórę i w mgnienie zamienisz się znowu w mego Lucjusza! Ach, czemużem ja tego wieczora nie przygotowała dla nas kilku wieńców z róż – jak zawsze to robię! Nie byłbyś musiał czekać tak nawet jednej nocy! Ale niech tylko świtać zacznie, migiem będziesz miał lekarstwo na czary!

[26] Tak to ona lamentowała; ja zaś, jakkolwiek osieł, jak się patrzy, i – miasto Lucjusza – bydlak, uczucia jednak zachowałem człowiecze. Długo tedy i szeroko sobie rozważałem, czybym nie powinien tej szelmy i łajdackiej baby zakatrupić, zatłuc ją ciężkimi kopytami i poszlachtować zębami. Lecz od tego nierozważnego zamiaru powstrzymał mnie lepszy rozmyśl, że karząc śmiercią Fotis zniweczyłbym znowu możliwość niezbędnej mi pomocy. Przełknąłem tedy na razie obelgę i chwiejąc opadłym łbem, poddałem się twardemu mojemu losowi i poczłapałem do stajni, do tej mojej szkapy poczciwiny, co mnie tu przyniosła. Tam spotkałem też innego osła, zadomowionego już, należącego do Milona – tego Milona, co kiedyś był moim gospodarzem... I tak sobie myślałem, że jeśli jest co świętego pozbawionemu

mowy bydlęciu – jeśli jest w sposób przyrodzony, choć ono tego i nie wygada – to to konisko moje jakosi mnie i wywęszy, i zlituje się nade mną, ofiaruje mi gościnę i godne miejsce.

Ale – na Jowisza Gościnnego i tajemne bóstwa Wierności! Toż ten sławetny mój biegus z osłem się zwachuje i z miejsca spika na moją zgubę; w strachu widać o swoje zarcie, jak ino ujrzeli oba, że się do żłobu zbliżam –jak nie stulą uszu, jakże na mnie nie wsiądą jak szalone kopytami! Odeгнаły tak mnie jak najdalej od jęczmienia, od tego, który własnymi rękami podsypałem poprzedniego wieczora temu niewdzięcznemu memu służce.

[27] Tak przyprawiony i na samotność skazany schroniłem się do kącika stajni. I kiedy tak rozmyślałem sobie o nieprzystępności moich towarzyszy, i kiedy ino sobie układam, jak to nazajutrz, stawszy się dzięki różom znowu Lucjuszem, zemszczę się na wiarołomnej szkapie, spostrzegam nagle w połowie środkowego słupa, co podtrzymywał belkowanie stajni, posążek bogini Epony¹² w małej niszy – posążek ozdobiony pieczołowicie wieńcami różanymi, i to świeżymi. Raz zobaczywszy ten zbawienny środek, już nadziei pełen wspinam się co sił, wyrzucając, jak tylko mogę, przednie kopyta, wyginam szyję, wyciągam co niemiara wargi i z wysiłkiem, na jaki mnie tylko stać, staram się pochwycić wieniec.

Aliści spostrzega mnie przy tym nagle – ani chybi, złe się na mnie zawzięło! – przyjemny mój pacholeczek, który o konia zawsze miał mieć staranie, zrywa się oburzony i wrzeszczy:

– A dopokądże znosić tego zwałozanego bydlaka, co się przed chwilą dobierał do obroku gadziny, a teraz to do samych posągów bóstw? Czekaj no, już ja tu temu bezbożnemu ścierrwu sumiennie kikuty poprzetrącam.

I od razu, rozglądając się za czymś do bicia, natknął się przypadkiem na naręcze gałęzi; za czym wydarłszy z niego co najsporszego kijaszka, jeszcze z liścia nie obłupionego, nie pierwej mnie biedaka okładać przestał, aż go wystraszył i przepłoszył gwałtowny zgiełk i hałas ogromny, co o drzwi buchnął; wraz bowiem w sąsiedztwie niepokój uczynił się okrutny i krzyki się rozległy:

– Zbóje!

[28] Jakoż w okamgnieniu przez drzwi pięściami wywalone zgrają łotrzyków wdziera się wszędy i zbrojne szajki obsadzają wszystkie części domu; stąd i zowąd nadbiegają wprawdzie z pomocą sąsiedzi, ale osadza ich w miejscu opór napastników rzucających się natychmiast tam, skąd grozi niebezpieczeństwo. W nocnym mroku miecze i pochodnie w rękach wszystkich rozjaśniają ciemności, jak blask wschodzącego słońca połyska ogień i stalowe klingi. Teraz do pewnego lamusa, pełnego skarbów Milonowych, zamkniętego na potęgę co najtęższymi zamkami, i mieszczącego się w środku zabudowań domowych – toporami się zbóje dobierają i rozwalają go. Tak go sobie na ścieżaj otwarłszy, wszystkie bogactwa rabują i obdzielają się nimi ładując co prędzej w toboty. Ale ilość tłumoków przewyższała liczbę tych, co nieść mogli. Tedy tym nadmiarem bogactwa zmuszeni chwytają się środków, jakich ino można, wyprowadzają ze stajni nas: oba osły i mego konia, obładowują, ile się wlezie, co cięższymi tłumokami, i podpędzając kijami wyganiają z domu już wylupionego do cna. Jednego z bandy zostawiają na czatach, aby doniósł o tym, jak się rozwinęły poszukiwania w sprawie napadu, nas zaś, tłukąc co niemiara, galopem gnają przez bezdroża gór.

[29] Ledwo już zipałem pod gniotem takich ciężarów, zmuszony drapać się w tym długim marszu po stromych górach. Przyszło mi jednak do głowy – późno, po prawdzie, ale nie próżno – aby uciec się pod ochronę praw obywatelskich i powołując się na dostojne imię władcy, uwolnić się od tyła utrapień. Skoro tedy, już po dniu, mijaliśmy miejscowość pewną ludną i sławną swym targiem, chciałem pośród licznych przechodniów Greków wykrzyknąć w rodzinnym języku święte imię Cezara. Ale ryknąłem tylko tak wymowne i wyraziste:

– O! – reszty imienia Cezara wymówić już nie potrafiłem.

¹² E p o n a – celtycka opiekunka stajni i koni.

Zniecierpliwione moim głosem – zgoła nie śpiewackim – łotrzyki okładać znowu jęły nie-szczęsną skórę moją tak, że i sita nie zrobiłby chyba z niej potem.

Przecież wszakże zesłał mi Jowisz niespodziewany środek ocalenia. Kiedy bowiem mijaliśmy liczne dworki i proste chaty, spostrzegłem pewien wcale miły ogródek, w którym, krom innych wdzięcznych ziółek, lśniły się w porannej rosie dziewicze róże. Stęskniony za nimi, radośnie podbiegam, bo nadzieja wybawienia sił mi dodała, ale kiedy już ślinkę łykając wargi do nich wyciągam, przychodzi mi myśl o wiele bardziej zbawienna. Oto, że jeśli zrzuciwszy skórę osła zamienię się znowu w Lucjusza, zguba mnie pewna czeka z rąk zbójów, bo mnie posądzą już to o czary, już to o chęć zdradzenia kiedyś ich zbrodni. Takem się tedy od róż z konieczności powstrzymał i znosząc przypadłą mi niedolę, oślim pyskiem żulem siano.

KSIĘGA CZWARTA

[1] Prawie koło południa, kiedy już słońce okrutnie paliło, zajechaliśmy we wiosce pewnej do staruchów jakichś, moim łotrykom znajomków i swojaków. Mogłem to bowiem, choć osioł, wymiarkować z pierwszego ich spotkania i gadania poufnego, i tego, jak się w gęby całowali. A i rzeczami różnymi, które z grzbietu mego zdjęli, ci zbóje moi ich obdarowali i tajemniczymi szeptami widno wyjaśniali, że z rabunku pochodzą. Wreszcie i nas, z ładunku wszelkiego uwolnionych, na łąkę najbliższą precz puścili, na swobodne pastwisko. Ale mnie tam nie mogło nęcić towarzystwo biesiadne osła ani mojego konia – jeszcze przy łykaniu siana, do czego też dotychczas i nie przywyknął. Zaraz jednak za pastwiskiem spostrzegłem ogródek. A że już z głodu ginąłem, dufnie tam pomaszerowałem i choć tylko surowymi jarzynami, do syta sobie jednak napchałem kałdun. Zarazem modląc się do wszystkich bóstw rozglądałem się wszędy, czy aby w ogródkach sąsiednich nie zobaczę bielejącego krzaka róż. A samotność moja już dodawała mi otuchy, że jeśli tu z dala od drogi i zasłonięty krzakami, przełknąłbym lekarstwo i z bydłęcia czworonożnego przyziemnej postawy dźwignąłbym się znowu w wyniosłą postać człowieka – to nikt by tego nie zobaczył.

[2] Skoro tedy tak nurzam się w tym morzu rozmyślań, spostrzegam nieco dalej, w cieniastej kotlinie, bujny gaj, w którym – między ziołami różnymi i rozkosznymi krzewami – pali się ciemna purpura błyszczących róż. I już w sercu moim, niezbydłciałym jeszcze całkowicie, marzyłem sobie, że to samej Wenus i Gracyj ten gaj, w którego cieniastych tajnikach lśni królewski blask rozkosznego kwiatu. Zawezwawszy tedy imienia radosnego i pomyślnego Przypadku, tak się puszczałem z kopyta, że – dalibóg, sam to czułem – gnałem nie jak osioł, ale jak sam koń wyścigowy. Ale żartki ten i zwinny wysiłek nie mógł przemóc srogości mego losu. Skoro się bowiem tylko przybliżyłem, spostrzegam nie owe róże rozkoszne i delikatne, wilgotne boską rosą i nektarem, na krzewach ciemnistych wśród kolców wytwornych zrodzone, ani nawet kotlinki owej już nie widzę – tylko wybrzeże rzeki, gęsto drzewami wysadzone. Były to te drzewa, co, obficie ulścione i bardzo podobne do wawrzynów, mają kielichy lekko różowe, wydłużone jak kwiaty pachnące, wszelako choć te są całkiem woni pozbawione, nazywa je nieuczone pospólstwo we wiejskim języku różami laurowymi. Spożycie ich powoduje u wszelkiej żywizny otrucie.

[3] Wplątany w tak okrutną niedolę – nie myśląc już nawet o wybawieniu – chciałem dobrowolnie zjeść te trujące róże. Ale gdy niespieszący podchodzę, aby ich uszczknąć, nadbiega z wielkim kijem rozjuszony okrutnie jakiś chłop młody – jak sędzę, ogrodnik, któremu wszystkie jarzyny przedtem wyżarłem, a który pewnie właśnie spostrzegł swą szkodę – i dopadłszy mnie walić zaczyna, że duszę chyba byłbym wyzionął, gdybym wreszcie nie poszedł do łba po rozum i sam sobie nie poradził. Zad mianowicie do góry wyrzucając, tylnymi kopytami wierzgać weń raz po raz zacząłem, a kiedym go dokumentnie przetrącił, tak że się rozciągnął na pochyłości pagórka tuż obok – uciekłem. Lecz właśnie wtedy niewiasta jakaś, pewno żona tamtego, skoro go ze wzgórza zobaczyła leżącego bez życia, podbiegła doń z okrutnym lamentem, widno, aby litość sąsiadów nad nim obudzić, a mnie tym zgubę zgotować. Wszyscy bowiem wieśniacy, jękami jej poruszeni, natychmiast psy skrzyknęli i ze wszystkich stron szcuć poczęli, aby się na mnie rozjuzzone rzuciły i rozszarpały. Jużem ani

wątpił wtedy, że śmierć nade mną, skórom zobaczył, jak szczują i puszczają na mnie te kundle i ogromne, i taką ich zgrają; a takie były, że mogłyby stanąć i niedźwiedziowi, i lwu. Chwytam się tedy myśli, jaką mi położenie podsuwa, i zaprzestając ucieczki cofam się szybkim krokiem do stajni w domostwie, gdzieśmy zajechali. Chłopi zaś, z trudem psy powstrzymawszy, łapią mnie i tęgim rzemieniem do pierścienia w murze przywiązawszy, walić znowu poczynają, że byliby mnie chyba tam dokończyli, gdyby nie to, że brzuch mój, ściśnięty bólem razów, a pełen owych nie strawionych jarzyn i opływający z nich śliską biegunką – bryznął na nich przez rzyć gnojem i tak jednych odpędził od moich obtłuczonych żeber natryskiem paskudnej cieczy, a innych zaduchem okrutnego smrodu.

[4] Za czym bez zwłoki, ile że słońce od południa zniżać się już poczęło, wyprowadzają owi zbóje ze stajni nas, a zwłaszcza mnie, o wiele jeszcze srożej obładowanego.

Kiedy tak już przeszliśmy dobry kęs drogi i kiedy i wyczerpany obfitym marszem, i zgnieciony ciężarem juków, i zmordowany razami kijów, zataczałem się kulejąc – bo i kopyta na nic sobie już starłem – doszedłem nad jakąś rzeczkę wijącą się leniwymi skrętami. Tak szczęśliwie doszedłszy do nie byle jakiej sposobności, pomyślałem sobie, że tu, podginając ostrożnie kikuty, rozciągnę się jak długi, zdecydowany jak najmocniej, że żadnymi batami nie dam się zmusić do powstania, przeciwnie, że prędzej dam się ubić nie tylko kijami, ale nawet nożem. I tak se powiedziałem, że już chyba – wycieńczony i ledwo żywy – zasłużyłem na dyplom inwalidy i że chyba zbóje, bądź to zniecierpliwieni zwłoką, bądź to chcąc przyspieszyć ucieczkę, rozdziela juki z mojego grzbietu na dwa inne bydłeta, a mnie zostawia na los straszniejszej jeszcze kary, bo na łup wilkom i sepom.

[5] Ale fatalny los zniweczył ten taki piękny mój zamiar. Ów drugi osioł mianowicie, odgadując i uprzedzając od razu mój pomysł, niby to ze zmęczenia z całym ładunkiem się wyrócił i leżał jak ścierwo. Mimo kijów, mimo ościenia, mimo że go na wszystkie możliwe strony ciągnięto za ogon, za uszy, że mu podnoszono nogi – nie próbował nawet wstawać. Aż wreszcie znużeni tym robieniem sobie nadziei na nieboszczyka pogadali ze sobą i zgodzili się, żeby nie opóźniać tak bardzo ucieczki tymi zabiegami koło osła zdechłego, a w każdym razie nieruchawego jak kół. Rozdzielili tedy jego juki na mnie i na konia, po czym dobywszy mieczy poprzerębywali mu podkolanka i odciągnawszy nieco z drogi cisnęli na łeb i dobrze z wysoka, dychającego jeszcze, w wąwóz tuż obok. Wtedy ja rozmyślając nad dolą nieszczęsnego towarzysza postanowiłem, skorom już osioł, wyrzekłszy się zdrad i podstępów służyć moim panom sumiennie i po dobremu. Wymiarkowałem zresztą z ich gadania, że już nas niedaleko czeka gospoda i całej drogi koniec spokojny i że dochodzimy do ich kryjówki i kwatery. Istotnie, przebywszy jeszcze łagodny stok przybyliśmy na miejsce przeznaczenia. Tu zdjęto z nas wszystko, cośmy nieśli, i poukrywano; uwolniony od ciężaru wytarzałem się w prochu, aby tak – w zastępstwie kąpieli – otrząsnąć się ze znużenia.

[6] Z kolei czasu wypada tu teraz opisać to miejsce i tę kryjówkę, która służyła zbójom za mieszkanie. Albowiem tak i mój talent wypróbuję, i sprawię, że i wy także będziecie musieli zdać sobie sprawę z tego, czy osłem się stałem także i w umyśle mym, i w dowcipie.

Była tedy groźna góra, zacieniona leśnymi gąszczami i – co najważniejsze – okrutnie wysoka. Przez jej stoki, przegrodzone bardzo stromymi i przeto niedostępnymi skałami, biegły poprzecznie wąwozy głęboko wyżłobione, najeżone co niemiara cierniskami; one to, otaczając ją ze wszystkich stron, tworzyły jej naturalne środki obronne. Bijące na samym szczycie źródło tryskało wielkimi chlustami i lecąc po stoku wyrzucało srebrne fale. A potem rozbijało się w wiele strug i zalewało owe wąwozy cichymi wodami, otaczając wszystko jakby małym morzem czy leniwą rzeką. Ponad kryjówką, u stóp góry, wznosiła się wyniosła wieża. Po obu stronach był koszar, warowny dzięki mocnemu ostrokołowi, sposobny na owczarnię, bo ze wszystkich stron zagrodzony. Do bramy prowadziła wąziutka ścieżynka przez cały labirynt płotów. Możesz przyznać, na wiarę tego mojego świadectwa, że to była gospoda w sam raz dla zbójów. A naokoło pustkowie i tylko jedna mała chatynka, jako tako trzcina pokryta,

gdzie, jak na czatowni, zawsze dwaj zbóje – jak się potem dowiedziałem – wylosowywani, przez noc strażowali.

[7] Skoro tedy zbóje kurcząc się poprzeciskali się do kryjówki, przywiązali nas tęgim rzemieniem przed samymi drzwiami. Wtedy na staruchę jakąś latami ciężkimi przygarbioną, która sama jedna, jak widać, troskać się musiała o gospodarstwo i wygodę tyłu tych młodych chłopów, tak poczęli rubasznie wrzeszczeć:

– To ty, pogrzebowy niedoskwarku starych gnatów, ty najgrubsza zakało żywota, a dla Orkusa nawet obrzydlistwo –jedyne bogdaj? – to ty w chałupie tak się wałkonisz i bawusiasz? A nam po takiej harówce ryzykanckiej, po takiej mitrędze, nam dać co na wzmocnienie przetrącić, to nie łaska? Jużci, to ty ino umiesz – insze nic, ino to – dniami i nocami wińsko chlać i spuszczać do tego nienasyconego bandziocha!

Na to wystraszona i dygocąca starucha skrzeczy cichutko:

– Toż was tu, moje wy zuchy młode, paniska wy moje najlepsze, toż was tu ino czeka jadło wszelakie, co najsmakowiciej wypitraszone: i chlebusia, ile ino serce zapragnie, i wina po brzegi w szklaniczkach dokumentnie wyszorowanych; a tum i wody przyładziła cieplej, żebyście się podle zwyczaju raz dwa ochlapali.

Ledwo skończyła, a oni się w tym mgnieniu rozdiewają, przy wielkim ogniu się grzeją, w wodzie cieplej kąpią, po czym oliwą się wzymaściwszy legają przy stołach jadłem suto zastawionych.

[8] Ino się rozłożyli, a tu wraz nadchodzi jeszcze większa kupa innych takich młodych chłopów, co ino na nich spojrzeć, a bez chyby poznać, że także zbóje. Bo i oni dźwigali łupy w pieniądzech złotych i srebrnych i w naczyniach kosztownych, i w tkaninach cieniuchnych i złotą nicią przetykanych. Ci tak samo kapiółką się orzeźwiwszy między legowiskami towarzyszy się pokładli; obsługiwali przy stole ci, których do tego wylosowano. Jadło się tam i piło bez ładu i składu, jak stały rzędami potrawy, kupami chleby, kolejną szklenice. Odchodzi zabawa w krzykach, śpiewy w rozgwarze, prześmiechy we wrzawie – wszystko już chyba jak na zabawie półdzikich Lapitów tebańskich z centaurami.

Wtedy jeden ze zbójów, który innych krzepkością przewyższał, powiada:

– My to zdobyliśmy zuchwale dom Milona w Hypate. A oprócz kupy majątności, któreśmy naszym męstwem zyskali, jeszcześmy w nie umniejszonej liczbie do obozowiska wrócili i jeszcześmy – jakby już o to szło – przyszli na ośmiu nogach więcej. A wy, coście się na beockie miasta wyprawili, wróciliście mocno przerzedzeni i straciliście samego herszta waszego, tego zucha Lamachusa; a ja bym tam – i sprawiedliwie – te tłumoki wszystkie, coście przywlekli, oddał za to, żeby on był cały i zdrow. Ale jego to – i zawsze tak z nim było – jego to własna odwaga zgubiła. Takiego pamięć to będzie sławiona tak, jak tych wielkich królów i wodzów. Bo wy, toście tam pocziwe złodziejaszki: na paluszkach się wybieracie na te kieszonkowe nędzne złodziejstwa i z duszą na ramieniu się skradacie po łązniach, po izdebkach staruszek, żeby zwędzić jakie fatałaszk.

[9] Poderwał się na to jeden z tych, co później przyszli:

– A gdzieżeś ty – powiada – taki się uchował, że nie wiesz, iż im większy dom, tym go łatwiej zdobyć? Jużci, bo przecie choć tam i mieszka wielka gromada domowników w wielkim domu, to przecie każdy o własną skórę bardziej dba niż o pana dostatek. Ale te gospodarne ludziska, co same siedzą na swoim obejściu, te skrzętnie chowają i ochraniają swój dobytek – co to niewielki niby, a przecie często dobrze spory – i bronią go zaciekle, ryzykując i głowę. Jak wam opowiem całą sprawę, to was to przekona.

Jakieśmy tylko przyszli do tych siedmiobramnych Teb, zaraz – ile że to w naszym zawodzie rzecz pierwsza – jeliśmy się troskliwie wypytywać o to, kto tam znany z grosiwa. Takeśmy się wreszcie dowiedzieli, że jest tam niejaki bankier Chryzeros, co siedzi na ciężkich pieniądzech, a który siłą przemysłu zużywa, aby ino, ze strachu przed powinnościami a urzędami publicznymi, bogactwo swoje zataić. Sam tedy, samiuteńki, zadowalał się małym, lecz

dość warownym dworkiem i tam w łachmanach i brudzie siedział na tych swoich worach ze złotem. Postanowiliśmy tedy naprzód zająć do niego, aby – żeśmy se to lekceważyli rozprawę z jego jedną parą rąk – aby bez trudu a wygodnie dobrać się do jego całego skarbu.

[10] Nie zwlekając tedy zaczajamy się nocą przed jego bramą. Ale się nam nie widziało, żeby ją wyważyć z zawiasów albo wygnieść, albo zgoła wywalić, aby trzask wrótni nie pobudził całego sąsiedztwa na naszą zgubę. Tak tedy nasz przedni Lamachus, nasz wódz, dufny ino w swoje męstwo, wsadza powolutku rękę w otwór zamka i usiłuje wyszarpać rygle. Tymczasem ten Chryzeros, ten łajdak pewnikiem najgorszy z wszystkich, co na dwu nogach chodzą, dawno już, na palcach się ruszając, czatował i w największym milczeniu każdy nasz ruch śledził. Teraz przyczołguje się on i nagle z okrutnym rozmachem przybija ogromnym ćwiekiem do drzewa bramy dłoń naszego dowódcy, po czym tak go – śmiertelnym spoidłem przywiązanego – zostawiając, drapie się na strych swojej rudery i zaczyna stąd wrzeszczeć co tchu w piersiach a zwoływać i wyskomliwać sąsiadów, po imieniu każdego, zaklinając na dobro wspólne, ile że – tak wywrzaskiwał – w domu jego nagły pożar wybuchnął.

Wszyscy tedy najbliżsi sąsiedzi przerażeni bliskością niebezpieczeństwa zbiegają wystraszeni na pomoc.

[11] Wtedy nam, cośmy znaleźli się wobec dwojakiego niebezpieczeństwa, że albo nas tu wygniotą, albo trza nam towarzysza opuścić, samo rzeczy położenie walną nasunęło radę, na którą i Lamachus przystał. Rękę naszego herszta aż potąd, gdzie ramię łączy się z obojczykiem, odrąbaliśmy w stawie całkowicie, jednym ciosem, i na drzwiach ją zostawili; owinąwszy zaś ranę wieloma łachami, aby krople krwi nie zdradziły śladu, unieśliśmy co prędzej resztkę naszego Lamachusa. Ale kiedy się tak w wielkim pomieszeniu biedzimy, iżby wiernie wypełnić święty obowiązek wobec towarzysza, mamy niebezpieczeństwo na piętach, a strach nas pogania; tu zaś on ani za nami spieszenie nie może podążać, ani bezpiecznie pozostać. Wtedy ten chłop bohaterski, ten zuch nad zuchy, wieloma słowami i wieloma błaganiami nas zaklina na prawicę Marsa, na świętość przysięgi kiedyś sobie składanej, abyśmy go, jak dobrzy towarzysze, nie dali w niewolę i zarazem na męczarnie. Po cóż zresztą ma dzielny zbój żyć dłużej niż jego ręka, jeśli jedynie ona rabować i mordować potrafiła? Szczęśliwy ten – powiedział – co może zginąć dobrowolnie z ręki druha. Ale kiedy mimo namów nikogo z nas nie mógł skłonić do takiego dobrowolnego bratobójstwa, ujął dłonią, która mu pozostała, swój miecz; długo go całował, a potem jednym zamachem wbił go sobie w środek piersi. Wtedy my, pełni uwielbienia dla bohaterstwa naszego przywódcy, zewłok jego troskliwie lnianą owinęliśmy suknią i morzu oddali, by go skryło. I teraz leży nasz Lamachus pogrzebion w niezmiernym żywiole.

[12] Tak to on żywot swój zakończył – tak, jak przystało jego męstwu. Atoli Alcymusowi, choć zręcznie sobie poczynął, los poskąpił tej srogiej łaski. Włamał się on do klecionki pewnej staruchy, gdy spała, dostał się do jej sypialni na piętrze i zamiast ją – jak trza było – z miejsca za gardziel ścisnąć i zakatrupić, zaczął naprzód wyrzucać przez szerokie okno po jednemu jej rzeczy na dwór, niby w nasze ręce. I kiedy tak już gorliwie wszystko wyrzucił, nie chciał podarować starce i łóżka, na którym leżała; zewłókl ją tedy z tego jej tapczanika i chciał właśnie jakąś podściółkę z niego tak samo wyrzucić, kiedy ta szelma obłapia go za kolana i sklamrzy:

„I czemuż ty, synu, tymi biedneńkimi gałganami, tymi łachami starej żebraczki obdarzasz sąsiadów bogaczy, na których dom to okno wychodzi?”

Tymi chytrymi słowami podstępnie zmylony Alcymus, myśląc, że powiedziała prawdę, zląkł się, ażeby i tych rzeczy, które wyrzucił przedtem, i tych, które chciał wyrzucić, nie podać, zamiast towarzyszom, na cudze podwórze – i to mimo że już uprzedzony był o pomyśle. Wy chylił się tedy przez okno, aby się dobrze wszystkiemu przyglądać, zwłaszcza zaś, aby rozpatrzeć położenie owego sąsiedniego – o którym mówiła starca – domu. Ale kiedy to – żwawo, ale dość nieostrożnie – zrobić usiłował, w chwili kiedy zawisnął chwiejnie zajęty

całkiem wypatrywaniem, ta stara wiedźma pchnięciem może i słabym, ale nagłym i niespodzianym zepchnęła go na dół. A było tam bardzo wysoko; prócz tego zaś spadając rznął o ogromny głaz leżący pod ścianą: pogruchotał sobie tedy klatkę piersiową ł rzygając strumieniami krwi z głębi piersi, umarł po krótkiej męczarni, opowiedziawszy nam przedtem, co się stało. Sprawiliśmy mu pogrzeb taki, jak przedtem Lamachusowi, któremuśmy go posłali jako godnego towarzysza.

[13] Tak dotknięci podwójną klęską i stratą wyrzekliśmy się dalszych przedsięwzięć w Tebach i poszliśmy do sąsiednich Platejów. Trafiliśmy tam na to, jak nie mówiono o niczym innym, tylko o jakimś Democharesie, który właśnie urządzał igrzyska z walkami gladiatorów. Był to bowiem mąż i znamienitego rodu, i bogacz całą gębą, i szczodry jak rzadko, a te uciechy dla narodu urządzał sposobem godnym swego bogactwa. Kogóż stać na tyle fantazji, na tyle wymowy, aby mógł dosadnymi słowy opowiedzieć o wszystkich rodzajach różnorodnych przygotowań? O tych gladiatorach, chłopach na schwał, o tych myśliwcach, co mieli walczyć ze zwierzętami, a odznaczeni się wypróbowaną zwinnością, o tych znowu skazańcach, co stracili już wszystko i co mieli pójść na karmę dla dzikich zwierząt; to znowu o tych wieżach połączonych z maszynami na walcach, wieżach pobudowanych z desek jak domy, ozdobnie pomalowanych, co miały służyć za urocze trybuny podczas łowów. A prócz tego jakaż ilość dzikich zwierząt, jaka różnaitość! Demochares bowiem ze szczególnym staraniem posprowadzał nawet z obcych krajów owych szlachetnych (w swych żołądkach) grabarzy ciał skazańców. Lecz oprócz inszych rzeczy, którymi wyposażył wspaniałą zabawę, przygotował także wielkie stada olbrzymich niedźwiedzi, na które bodaj zrujnował cały majątek rodzinny. Oprócz tych, które schwytał na łowach u siebie, prócz tych, które kupował za ciężkie pieniądze, dostawał je często od przyjaciół, którzy się w tym prześcigali. Wszystkie te bydłta nie małym kosztem żywił i hodował.

[14] Ale ta świetność i przepych w urządzaniu publicznych zabaw ściągnęła na siebie urzekające oczy Zawisici. Albowiem zwierzęta zmordowane długą niewolą, a zarazem wyczerpane letnimi upałami, osowiałe wreszcie w bezruchu, zaczęły nagle chorować na jakąś zarazę i prawie wszystkie wyginęły. I można było oglądać wszędzie po placach masę dogorywających cielsk – strzępy z tego pogromu zwierząt.

Wtedy nikczemny motłoch, który ohydna nędza popędza, iżby wygłodniały brzuch zapychał bez wyboru choćby i czym obrzydliwym i żeby szukał strawy z darmochoy jakiej – rzucił się na ucztę do tego leżącego wszędzie ścierwa. Ta okoliczność nasuwa mnie i temu tu Babulusowi taki przemyślny plan. Jedną niedźwiedzicę przewyższającą inne ogromem cielska zanosimy do naszej kryjówki – niby to na zjedzenie. Tu ściągamy rzetelnie skórę z mięsa, troskliwie zachowując łapy z pazurami, a także cały łeb zwierza aż do końca karku. Całą skórę dokładnie oskrobujemy, aż zmiękła, nacieramy mialkim popiołem i rozpinamy na słońcu, aby wyschła. A kiedy w ognistej słońca gorącości się prażyła, my tymczasem mięsem jej tego się opychając, taki sobie tej wyprawy plan – pod słowem żołnierskim – układamy:

Jeden z nas, i to taki, co nie tyle siłą pięści, ile odwagą innych przewyższa, i taki, co by przede wszystkim poszedł na ochotnika, zakradnie się, okrywszy się ową skórą i tak postać niedźwiedzicy przybierając, do domu Democharesa i korzystając z dogodnej ciszy nocnej ułatwi nam wejście tam.

[15] To myślne przebranie niejednego z tegich zuchów naszej szajki nęciło do podjęcia się tego zadania. Ale spośród wszystkich wybrała gromada jednogłośnie Trazyleona, który też wziął na siebie losy ryzykownego podstępu.

Ze śmiechem tedy wdziewa na siebie skórę, która już zmiękła i giętka i poręczna się stała. Wtedy drobnym ścięciem zeszywamy jej brzegi, a szparę w miejscu połączenia, choć nieznaną, zakrywamy zwisającymi z obu stron gęstymi kudłami. Pod samą gardzielią, tam skąd się wycięło szyję zwierza, wtłaczamy głowę Trazyleona i zrobiwszy koło nosa, a także koło oczu kilka dziurek, aby mógł oddychać, wpuszczamy do klatki – cośmy ją tanio kupili – tego

naszego walnego kamrata całkiem już w drapieżne bydlę przekształconego; poczłapał do niej zuch-chłop co żywo. Tak sprawę zaczawszy bierzemy się do wykonania reszty fortelu.

[16] Wywiedziawszy się o nazwisku niejakiego Nikanora, Traka rodem, który z owym Democharesem związany był węzłem najściślejszej przyjaźni, podrabiamy list, w którym niby to on, z obowiązku dobrego przyjaciela, ofiarowuje dla uświetnienia uroczystości pierwociny swego polowania. I kiedy już dobrze zaszedł wieczór, dostawiamy, korzystając z ciemności, Democharesowi kłatkę z Trazyleonem i owym sfalszowanym listem. Demochares, pełen podziwu dla wielkości zwierza i ucieszony hojnością – tak na czasie! – swego towarzysza, każe nam – tej radości sprawcom – z miejsca wyliczyć dziesięć dukatów ze swego skarbczyka, ile że to taki był ukontentowany.

Zaraz też – jako że to nowość ludzi zazwyczaj natychmiast nęci do zobaczenia jej – zaraz też ściągają się jęli tłumnie ludziska, aby się nadziwować zwierzowi. Ale nasz Trazyleon zmyślnie raz po raz powstrzymywał groźnymi łapami ich ciekawe zapędy. Mimo to jednogłośnie sławiono wciąż w tłumie szczęście i powodzenie owego Democharesa, że to po tak wielkiej szkodzie, jaką poniósł w tych zwierzętach, przecież przez ten nowy nabytek jakoś sobie stratę powetował. Demochares zaś rozkazuje zaraz zwierzę odstawić z jak największą troskliwością do swoich zwierzyńców. Ale wtedy ja zabieram głos:

[17] „Bacz – powiadam – panie, aby zwierzęcia zmordowanego skwarem i długą drogą nie puszczają w całe stado innych, w dodatku, jak słyszę, niezbyt zdrowych. Może by się raczej oglądnać za jakim miejscem cienistym a przewiewnym na twym obejściu, gdzie by była i jaka łąka wody, co by zwierzę odświeżyła? Wszakże wiesz, że te zwierzęta wybierają sobie zaw sze legowisko w gęstych gajach, w wilgotnych jaskiniach, a blisko rzeźwiących źródeł”.

Nastraszony tymi przestrogi, bo pamiętający dobrze, ile zwierząt stracił, przyznał mi Demochares bez sprzeciwu słuszność i chętnie zgodził się, byśmy, wedle naszego mniemania, kłatkę gdzieś umieścili.

„Ale my sami także – dodaję wtedy – gotowiśmy tu przy tej klatce strażować po nocach, żebyśmy mogli tym troskliwiej i w należytej porze podać zwierzęciu, zmordowanemu skwarem i utrudzeniem, strawę i napój, jakie mu zwyczajne”.

„Nie ma potrzeby – odpowiada on na to – żebyście się przy tym trudzili. Cała już bodaj służba moja nabyła przez długą wprawę umiejętności w karmieniu niedźwiedzi”.

[18] Pozdrowiliśmy go tedy i odeszli. Wyszedszy za bramę miasta spostrzegamy opodal od drogi jakiś wielki grobowiec, odsunięty i mało widoczny. Tam to otwieramy wiele można trumien przeżartych i tak już do połowy starościami i zgnilizną, trumien, w których mieszkały umrzyków próchna i nawet już prochy, otwieramy, aby służyły na schowki dla spodziewanej zdobyczy. Następnie wykorzystując, wedle obyczaju naszego, tę porę bezksiężycowej nocy, kiedy to pierwszy sen najmocniej opada na dusze ludzkie i opanowuje je, stawiamy się całą naszą szajką, w żelazo zbrojną, przed samymi drzwiami Democharesa – stawiamy się, jakbyśmy sami byli zakładem na to, że go obrabujemy. Tak samo i Trazyleon. dokładniusięńko tej samej nocy na rozbój oznaczonej, upatrzawszy chwilę stosowną z klatki się wymknął i w tym mgnieniu zadźgał dozorców pogrążonych we śnie, a potem zaraz samego nawet odźwiernego, któremu porwał klucz i bramę otworzył. Przylatujemy na to co tchu i już jesteśmy wewnątrz domu! Teraz pokazuje nam Trazyleon lamus, gdzie – jak to z wieczora bystrze podpatrzył – siła srebra chowano. Natychmiast rozbijają go przemocą pięści całej gromady, za czym rozkazują każdemu z kamratów zabierać, ile kto może, złota i srebra, chować co prędzej w kryjóvkach owych najdyskretniejszych umrzyków i co tchu wracać po nowe łupy, ja sam zaś – tak im powiedziałem – zostanę dla dobra wszystkich przy bramie domu, by troskliwie czuwać nad wszystkim, aż oni wrócą. Wydawało mi się także, że przyda się, aby i ta postać niedźwiedzia włóczyła się po wszystkich kątach domu i napędzała strachu tym ze służby, którzy by przypadkiem nie spali. Któż bowiem, choćby był nielekliwym zuchem, nie rzuciłby się co

tchu do uciezki spostrzegłszy potworny kształt takiego straszego zwierzęcia, i to po nocy jeszcze? Któż by nie zaryglował się w izbie i dygocąc z przerażenia nie przycupnął tam?

[19] Ale te wszystkie roztropne i celowe zarządzenia zniweczył nieszczęsny zbieg wypadków. Albowiem gdy ja, cały w ucho zamieniony, powrotu moich kamratów oczekuję, jakiś pacholik, widno hałasem czy też przecuciem jakimś zaniepokojony, wychyla się po cichutku i zobaczywszy zwierzę, które wolne całkiem człapało po całym domostwie – na palcach, milczkiem wraca i gdzie kogo dopadnie, opowiada, co w domu zobaczył. I niezwłocznie napęlnia się dom cały tłumną bieraniną domowników. Rozstępują się ciemności pod światłem łuczyw, latarni, świec woskowych i łożowych i tym podobnych przyrządów do rozjaśniania nocy. W całym zaś tym tłumie nie było nikogo bezbronnego, lecz każdy z drągiem, spisą, nagim wreszcie mieczem w garści stawał, by bronić dostępu zwierzowi. Psy także myśliwskie, te bestie długouche i o kudłach zjeżonych, podszczuto na zwierzyne.

[20] Wtedy ja cichaczem, kiedy ów zgiełk coraz się wzmaczał, wycofuję się i wymykam z domu; widziałem jednak jeszcze, ukrywszy się zaraz za drzwiami, jak Trazyleon bronił się przed psami, aż dziw brał patrzeć. Bo chociaż przyszła na niego już ostatnia godzina, to jednak pamiętny na swą dawną sławę zbójceją i męstwo, pamiętny na nas, bronił się zażarcie samej już ziejącej nań paszczy Cerbera. I aż do ostatniego tchu utrzymując się w roli, którą dobrowolnie na siebie przyjął, już to uciekając, już to grożąc różnymi cielska swego ruchami i zwrotami, zdołał wreszcie wymknąć się z domu. Nie mógł jednak ocalić się ucieczką, choć wydostał się na swobodę, w ulice. Wszystkie bowiem kundły z najbliższego zaułka – a dzikie były bestie i była ich kupa – stowarzyszyły się teraz gromadnie do tych gończych, które właśnie na piętach Trazyleona z domu wypadły. I żalosne tam miałem, i okropne widowisko, jak Trazyleona naszego stada kundłów rozżartych osaczyły i tysiącem kłów rozszarpały.

Wreszcie znieść nie mogąc takiej boleści wmieszałem się w skupiające się gromadki ludzi i starając się pomóc dzielnemu druhowi, jak mogłem tylko bez zdradzenia się samemu, przedstawiałem przodownikom nagonki, jaka to wielka i niepowetowana będzie szkoda, jeśli stracimy takie wielkie i tak bardzo kosztowne zwierzę.

[21] Ale cała sztuka mojej wymowy nie pomogła nieszczęsnemu chłopcu. Właśnie jakiś tęgi drab wybiegł z domu i w mgnieniu oka utopił włócznię w piersiach niedźwiedzicy. Za nim drugi i zaraz tłum cały, że to pierwszy strach już minął, dźga go, jeden przez drugiego, z bliska mieczami. I tak tedy Trazyleon, chluba naszej bandy, wyzionął duszę godną nieśmiertelności, nie tylko nie zdradziwszy, dzięki swemu męstwu, zaprzysiężonej swej roli żadnym krzykiem, żadnym jękiem nawet, ale co więcej – zginął zdobywając sobie jeszcze chwałę bohaterską mocą, z jaką męczarnię swą znosząc jeszcze wył i ryczał jak niedźwiedź, choć go już rozszarpywały kły psów i miecze na sztuki siekały. I taki lęk, i takie przerażenie rzucił w ten tłum, że aż do świtu – co mówię! – nawet do późnego dnia nikt się nie odważył dotknąć, choć palcem, zwierza, co przecie leżał martwy. Wreszcie jakiś rzeźnik, zuchwalszej nieco natury, rozpruł – choć po wielkich wahaniach i ze strachem – brzuch zwierzęcia i tak odkrył bohaterskiego zbójnika. Tak tedy straciliśmy Trazyleona, lecz nie straciła go Sława.

Teraz co prędzej powiązawszy tłumoki, których nam wiernie strzegły umrzyki, opuściliśmy szybko ziemie platejskie, powtarzając sobie często w duszy, iż niedziwne to, że w naszym życiu nie znachodzi się wcale wierności; jeśli bowiem jest, to wywędrowuje – jak Trazyleon – w kraj cieni i zmarłych, by nie widzieć naszego wiarołomstwa.

Tak do cna zmordowani ciężarem tobołów, a zarazem uciążliwą drogą, przenieśliśmy tę zdobycz, którą widzicie – ale opłakując trzech towarzyszy.

[22] Po tym opowiadaniu lali zbójce na ofiarę wino nie mieszane ze złotych pucharów dla uczczenia pamięci zabitych kamratów; następnie śpiewali kilka piosenek na cześć Marsa. Wreszcie z wolna się pospali. Co do nas, to owa starucha nasypała nam świeżego jęczmienia,

ile wlażło i bez żadnej miary, tak że koń mój chwalił se to, jak ucztę klechów salijskich¹³, używając w tej obfitości sam w dodatku. Ja bowiem, który zresztą nie smakuję zbytnio w jęczmieniu, chyba że potłuczony w moździerz i porządnie na miękko ugotowany, zacząłem gospodarować w kacie, gdzie leżała kupa ułamków chleba nie dojedzonych przez całą gromadę, i użyłem se tam, jak się patrzy, pyskiem, co mi się ściągnął od głodu, i gardziela, w której mi już do cna zaschło.

Tymczasem, gdy nocy dobry kęs minął, zbudzili się zbóje i zaczęli sposobić do wyruszenia. Wreszcie na różną modłę opatrzeni, częścią w żelazo uzbrojeni, częścią za różne straszidła przebrani, spiesznie wyruszają. Co do mnie, tom się co sił a walecznie obzerał, tak że mi tego sen nawet, co mnie dobrze morzył, przerwać nie potrafił. I choć przedtem, kiedym był jeszcze Lucjuszem, odchodziłem od stołu po jednej lub dwu kromkach, to teraz, żem to miał taki obszerny brzuch, żułem już prawie trzecią koszałkę z chlebami. Tak mnie w tej pracy całkowicie zatopionego zastał jasny dzień.

[23] Wtedy dopiero, z właściwym rodowi oślemu umiarkowaniem, oderwałem się i poszedłem zaspokoić pragnienie w pobliskiej rzeczce.

Niedługo wracają zbóje, ale strwożeni mocno i skłopotani, nie przynosząc też żadnego tłumoka ani nawet łacha choćby nędznego, a tylko prowadząc jedną jedyną dziewczynę, strzeżoną mieczami wszystkich, pięściami wszystkich, w ogóle wszystkimi siłami całej bandy – dziewczynę o szlachetnych rysach i, jak całe jej wzięcie wskazywało, z dobrego bardzo domu – dziewczynkę taką, że aż takiemu jak ja osłu ślinka szła na nią. Ale ona zawodziła i rwała włosy i suknie. Wprowadzili ją zaraz do jaskini i aby złagodzić jej rozpacz, tak do niej przemawiają:

– Bądźże ty spokojna o swoje życie i swój wstyd i trochę nam cierpliwości użycz, byśmy z tej sprawy zarobek nasz mieli. Bo nas to przymusza do tego zawodu twarda bieda; rodzice zasię twoi to – chociaż chciwcy nie lada – przecie z tej kupy swoich pieniędzy bez zwłoki okup nam wyliczą i to, ma się wiedzieć, taki, jaki się patrzy ich rodzonej córeczce.

[24] Ale te i tym podobne gadania całkiem nie uśmierzyły rozpaczy dziewczuchy (jakżeż mogłoby być inaczej?), bo oparłszy na kolanach głowę łkała bez pamięci. Zbóje tymczasem przywoławszy do jaskini starą przykazują jej, aby była przy dziewczynie i pocieszała ją, jak ino potrafi, pieszczotliwymi słówkami; sami udają się do swych zwyczajnych zajęć.

Ale żadne przygadywania staruchy nie potrafiły ukoić płaczu dziewczęcia, które zawodziło głośniejsze jeszcze i aż się zanosilo od ciągłego szlochania. Aż mnie samemu łzy się do oczu cisnęły.

– Bo jakże ja mogę, biedneńka – tak się to żaliło – przestać płakać, jakże ja mogę tu w ogóle żyć wydartą z takiego świetnego domu jak mój, spośród tych domowników, spośród tak miłych mi służek, porwana od najdroższych rodziców? Ja, com tu, nieszczęsna, jak łup rabunku, jak ta niewolnica, i w tym kamiennym więzieniu zamurowana i pozbawiona rozkoszy wszelkich, wśród którychem urodzona i wychowana, i życia niepewna w tej rzeźni katowskiej, wśród takiej bandy strasznych zbójów i okrutnego narodu bandytów!

Gdy się tak wyżaliła, zaczęły się ciężące powieki do snu kleić zmordowanej i rozpaczą, i tym ściskającym gardło szlochaniem.

[25] Ale ledwie je zamknęła, aż tu zaraz jak szalona się wstrząsnęła i ze snu wyrwała i gwałtowniej jeszcze rozpaczać ją, i dłońmi piersi sobie szarpać, i tłuc się po tej jasnej buzi. A kiedy starka nalegała z pytaniami, jaka tam świeża przyczyna tej nowej rozpaczy – z okrutnym westchnieniem tak jęknęła:

– Teraz tom już na pewne, jużem do cna zgubiona, teraz mi nawet nie myśleć już o ratunku! Teraz mi się patrzy bez ochyby powróż albo nóż, albo ze skały w przepaść się rzucić!

¹³ k l e c h o w i e s a l i j s c y – łatyńscy kapłani Marsa tworzący bractwo tzw. *Salii* (Skoczków), którzy wykonywali rytualne tańce w zbroi ze śpiewem. Sławne z wystawności były ich ucztę.

Na to starka, gniewna już, krzyczy na nią głosem krzywą rozeźloną, co za nieszczęście się stało? Że ledwo zasnęła, na nowo zaczyna swoje płacze bez miary i składu?

– Pewnikiem – powiada – chciałabyś moich chłopców wykiwać na tym zarobku, jaki będą mieli z okupu za ciebie? Jak mi nie przestaniesz, to już ja zrobię, że razem z tym całym smarkaniem, co nim zbóje – nie bój się! – głowy sobie nie kłopotą – że cię żywą na ogniu upieką!

[26] Tymi słowy wystraszona dziewczyna ręce starki całuje:

– Mamusiu ty moja – powiada – nie gniewajże ty się i jak masz trochę litości dla ludzi, to mi ulżyj w mej okrutnej niedoli! Bo przecie, tak se myślę, choć-eś się zestarzała, to ci pod tą świętą siwizną wszelkie miłosierdzie nie wygasło. I tylko posłuchaj o mym nieszczęściu: prawdziwa to tragedia!

Byłam zaręczona z młodzieńcem pięknym, pierwszym spośród swych rówieśników, który został jednomyślnie okrzyknięty i przyjęty za dziecko miasta. Był to nawet mój krewniak, starszy ode mnie tylko o jakieś trzy lata, z którym od dzieciństwa razem się wychowywałam i rosłam, pod jednym dachem spałam. Gorąca miłość wzajemna nas łączyła i małżeństwo nasze za zgodą rodziców z dawna było już ułożone. Już dopełniono nawet obrzędów publicznych, dzięki którym narzeczony mój zostawał uznany za mego męża, już on sam w licznych orszaku ślubnym znajomków i krewnych składał publicznie w świątyni ofiary obrzędowe – już dom cały szumiął gałęzmi laurowymi, połyskał od pochodni, brzęczał piosenkami weselnymi. I już matka nieszczęsna, tuląc mnie do piersi, w weselne stroiki pięknie mnie ubierała i okrywając słodkimi pocałunkami snuła już w czułych życzeniach marzenia o przyszłych wnukach – gdy nagle: napad bandytów! Groza jak podczas wojny: połyskują straszliwe, nagie miecze! Ale zbóje nie rzucają się do rzezi ani do rabunku, lecz zwartą i gęstą kupą prą prosto do naszej sypialni. Nikt z naszych domowników się nie opierał, nikt na obronę mnie nieszczęsnej nawet palcem ruszyć się nie odważył i tak mnie dygocącą, nieżywą z okrutnego lęku, porwali z ramion matki. Tak przerwano i zniweczono to wesele jak wesele Protesilasa¹⁴ albo córki Adrastosa.

[27] I w tej właśnie teraz tu chwili straszny sen odnowił mi, ba, jeszcze wyolbrzymił moje nieszczęście: śniło mi się bowiem właśnie, że mnie porywają przemocą z domu, z sypialni, z łóżka nawet mojego, że mnie wloką po pustkach i bezdrożach, a ja wołam po imieniu mego męża, który, skoro się tylko dowiedział, że zabrano mnie jego uściskom – jeszcze pachnący perfumami weselnymi i pokryty wieńcami gna moimi śladami, gdy ja uciekam po niewoli. I kiedy on strasznym głosem rozpaczy krzyczy, iż żonę mu najpiękniejszą porwano, i kiedy wzywa pomocy ludzi, jeden ze zbójów, rozwścieczony tą niebezpieczną dla nich pogonią, porywa z ziemi wielki głaz, wali nim w chłopca nieszczęsnego, w męża mojego, i zabija go! Na ten potworny widok drżąca cała ocknęłam się z okropnego snu.

Jęła teraz razem z płaczącą wzdychać starka i tak powiada:

– A nie frasujże się, paniusiu ty moja, i nie strachaj próżnymi marami sennymi. Bo nie tylko powiadają: zełgane to, co się śni za dnia – ale ja ci powiem, że i co się śni w nocy, to często ino sprawy akurat przeciwne wróży. Śni ci się, że płaczesz, że cię biją albo nawet zabijają, a to wróży właśnie coś wesołego i pomyślnego; a na opak znowu śni się, że się śmiejesz, że się objadasz słodkimi smakołykami albo że se używasz uciech miłosnych, to ani chybi będziesz miała z tego żalność w sercu, choróbsko i jakie tam jeszcze pakości. Ale ja tu ciebie zaraz rozerwę ślicznymi historyjkami i bajkami, co tylko staruchy takie umieją.

I tak zaczęła:

[28] – Był sobie raz w jednym kraju król i królowa. Mieli oni śliczne trzy córki, ale na urodę tych dwu starszych, choć kształtnych wielce, przecie starczyło pochwał ludzkich; dopiero tej dziewczynki najmłodszej taka była nieporównana, taka nad wszelką miarę uroda, że jej ten biedny język ludzki nie mógł nawet opisać, a cóż dopiero wychwalić, jak by się patrzyło.

¹⁴ Protesilaos – król tesalski, zaraz po weselu z Laodamią musiał iść na wojnę trojańską.

Liczni tedy mieszkańcy tego kraju i wielu przybyszów, których tłumami widzenia żądnymi ścigała sława takiego niespotykanego widowiska, stawali jak osłupieni w podziwie tej piękności – takiej, że ci aż lęk, człowieku, przybliżyć się do niej – i podnosząc do ust prawicę z wskazującym palcem ku wyprostowanemu kciukowi przygiętym, cześć jej boską, jak samej Wenerze, oddawali. I już poszła wieść po krajach ościennych i ziemiach sąsiednich, że bogini, w łonie niebieskiego oceanu poczęta i z białej piany fal zrodzona, dostojność swe boże całkowicie odłożywszy, pośród człowieczej społeczności przebywa; albo przynajmniej, że nowym zarodem niebiańskiego nasienia zapłodnione nie morza już, ale ziemię zrodziły nową Wenus w dziewiczości kwiecie.

[29] I tak ta wiara z dnia na dzień coraz dalsze kręgi zataczała, tak poszła już po wyspach najbliższych i dalej po lądzie i, z rosnącą rzeczą sławą, po wszystkich bodaj krajach. Już wędrując przez drogi dalekie, przez morz przepławiając się bezmiary, nadpływać jęły tłumy ludzi, aby ino oglądać ten największy dziw pokolenia. Nikt nie żeglował do Pafos, nikt do Knidos, nikt do samej nawet Cytery, aby móc oglądać Wenus boginię; w odwłokę idą jej święta, niszczej świątynie, obojętnie mija się jej wezgłowia, zaniedbuje jej święte obrządki; ogołoczone z wieńców jej posągi, a zimne popioły zohydżają tylko opustoszałe ołtarze. Dziewczyna natomiast ściga modły ku sobie i w jej to człowieczym obliczu czczony jest majestat tamtej wszechpotężnej bogini. A kiedy rankiem wychodzi dziewczyna, gdy Wenery imię sławią ofiary i zastawiane biesiady przebłagalne, to nie o Wenerze myślą ofiarnicy, i bywa tak, że gdy idzie ulicami, to lud obrzuca ją od stóp do głów kwiatami i wieńcami i do niej się modli.

Owo bez miary wszelkiej przenoszenie czci bożej na dziewczynę śmiertelną głęboko prawdziwej Wenus serce uraziło; i oburzenia zdzierżyć nie mogąc, tak w sercu sobie mówiła, głowę gniewnie wyrzucając:

[30] „Jaż to – odwieczna wszechrzeczy rodzicielka, ja, praźródło żywiołów, ja, Wenus, żywicielka świata, mam z dziewczką śmiertelną dzielić cześć memu bóstwu powinna? Mojeż to imię w niebie zrodzone – w prochu ziemi ma być plugawione? Juźci – gdy majestat nas obu cenią tak samo, przyjdzie mi jeszcze na to, że mnie to w zastępstwie tamtej z łaski czcić będą, a postać moją weźmie na się dziewczka śmiertelna! I po cóż mnie pasterz¹⁵ ów, którego sprawiedliwości i sumienności Jowisz sam przyświadczył, po cóż mnie dla zwycięskiej mej urody przeniósł nad tamte cudne boginie? Ale nie będzie ona, kimkolwiek by była, tak tryumfować i czci mej sobie przywłaszczać. Juź ja to uczynię, że ona sama pożałuje swej urody niegodziwej!”

Za czym woła spieszenie chłopca swego, tego łobuza skrzydlatego i nicponia, co nałogami swymi złymi obyczajność publiczną obrażając, w strzały i żagwie zbrojny, po cudzych domach nocami się szasta, każdego małżeństwa wiązadła psowa, bezkarnie tyle hultajstw broi, dobrego zasię niczego nie wymyśli. Jego to, choć już z przyrodzonego zuchwalstwa wyuzdanego, jeszcze słowami podjudza i do kraju onego wiedzie, i Psyche mu – bo takie tej dziewczki było miano – pokazuje, i opowiedziawszy całą ona historię o tym, jak to owa z jej pięknnością współzawodniczy, tak dodaje, aż się z gniewu zachłystując:

[31] „Na te węzły miłości matczynej cię zaklinam, na rozkoszne rany, jakie swymi strzały zadajesz, na słodkie pożary żagwiami twymi wzniecane: pomścij swoją mać, ale pomścij jak trza i tę piękność obelżywą pokarz, i to jedno jedyne z wszystkiego mi zwól: niech ta dziewczka zapłonie miłością najgorętszą dla ostatniego z ludzi – takiego, którego los pozbawił i czci, i ojcowizny, i bezpieczeństwa osobistej, i tak nędznego, aby na całym świecie nie znalazł równego sobie w niedoli”.

Tak powiedziała i lekko rozchylonymi wargami syna długo i czule ucałowawszy dąży, gdzie najbliżej do wygiętego wybrzeża morskiego, i różowymi stopami musnąwszy piany przelewających się fal, na morza głębinie osiada, na kręgu suchym, i ledwo sobie zamyśliła,

¹⁵ p a s t e r z – Parys.

już – jakby dawno to rozkazała – zjawia się cała jej morska służba. Wypływają w śpiewnym chórze Nereusza córki i Portunus niebieską brodą okudłaczony, i ociążała rybami w suknie jej wplątany Salacja, i małe Palemon¹⁶ powożący delfinem, i pokazują się chlapiące się wszędy w morzu stada Trytonów: ten na dźwięcznej muszli słodko wygrywa, ów jedwabną tkaniną boginię osłania od skwaru słonecznego, tamten przed jej oczyma zwierciadło podtrzymuje, inni nurkują w podwójnym jej zaprzęgu. Taki to orszak towarzyszy Wenerze udającej się do Oceanusa.

[32] Tymczasem Psyche, co wszędy ino o piękności swojej słyszała, żadnego z tej urody nie miała zysku. Wszyscy się jej dziwowali, wszyscy ją wysławiali, ale nikt, ani król, ani królewicz, ani nawet człek pospolity – żaden jako zalotnik do jej ręki nie wystąpił. Podziwiają boską jej urodę, ale podziwiają wszyscy jak posąg ręką rzeźbiarza ukształtowany.

Dawno już dwie siostry starsze, o których zwyczajnej piękności nie gadały aż narody, dawno zalotnikom z królewskich rodów zrękwione w szczęsnym żyły małżeństwie – Psyche ino, samiotka doma siedząc, nad swym ciężkim opuszczeniem sobie się żali, aż z tego chorzejąca i w sercu zdręczona okrutnie, i ona, co ją narody całe uwielbiały, nienawidzi sama tej swojej piękności.

Tak tedy najbiedniejszej córki najnieszczęsniejszy rodzic – podejrzewający tu zawiść bogów, a w lęku przed ich gniewem – udaje się do starożytnej wyrocni w Milecie i modły i ofiarami błaga bóstwo ono tak potężne o małżonka i małżeństwo dla dziewczyny, co nie ma szczęścia do zalotników. Ale Apollo, choć to on Greczyn i Jończyk, ale ze względu na twórcę fabuły milezyjskiej łacińską mową tak odpowie:

[33] Królu, dziewczynę na górę zaprowadź i każ jej tam zostać,
Oblubienicy śmierci, w żalobny ubranej strój;
Nie myśl, że zięć twój nasienia człeczego mleć będzie ci postać:
Pomiot to będzie drapieźny, zły jak węzowisk rój;
Ten, co na skrzydłach nad ziemią polata i wszystek świat morzy,
Ognia i miecza zniszczeniem każdy swój znacząc krok,
Przed którym dygoce sam Jowisz i cały majestat drży boży,
Straszą się rzeki podziemne i sam stygijski mrok.

Król, niedawno jeszcze tak szczęśliwy, otrzymawszy tę odpowiedź świętej wyrocni powraca do domu markotny i smutny wielce: małżonkę swą wyluszcza zlecenia nieszczęsnego wyroku. Rozpacze, jęki, płacze przez dni wiele. Ale rzecz pili do wypełnienia potwornego wyroku okrutnego przeznaczenia. Już się gotuje wszelki sprzęt do tego śmiertelnego wesela najnieszczęsniejszej dziewczyny, już światło pochodni weselnych przyćmiewa się sadzą i popiołem, już melodia fletu weselnego przechodzi w żalospną tonację lidyjską, radosne pieśni weselne zachodzą się rozpaczliwym łkaniem, a ten ognistoczerwony welon ślubny to na tym weselu służy ino do otarcia łez panny młodej. Całe miasto użalało się ciężkiemu losowi tak ciężko dotkniętego domu i niezwłocznie nakazuje publiczną żalobę.

[34] Ale konieczność posłuchu dla rozkazów niebieskich przynaglała Psyche biedneńką do poddania się karze wyznaczonej. A przeto z żalospnią okrutną odprawia się obrzędy tego pogrzebowego wesela; lud cały idzie za tymi żywymi marami i odprowadza Psyche na jej nie małżeństwo, lecz na pochowanie.

A gdy rodzice zgębieni i tak strasznym nieszczęściem zrozpaczeni jeszcze się wahają, by okropnej sprawy dopełnić, sama córka takimi ich zachęca słowy:

¹⁶ P a l e m o n – Melikertes, wnuk Eola, syn Atamasa i Ino. Uciekając przed oszalałym mężem Ino wskoczyła z Melikertesem do morza. Odtąd czczono ją jako boginę morską, Leukoteę, a Melikertesa jako Palemona.

„Czemuż nieszczęsną starość waszą trapiacie płakaniem bez końca? Czemuż ten żywot wasz, co raczej moim jest, szlochaniem a szlochaniem utrudzacie? Czemuż łzami daremnymi oszpecacie czcigodne mi wasze oblicza? Czemuż wypłakujecie w waszych oczach moje źrenice? Czemuż targacie włos siwy? Czemuż szarpiecie piersi święte, co mnie wykarmiły? Takież to mają być dla was nagrody chlubne mej urody nie lada jakiej? Śmiertelnym ciosem zbrodniczej zawiści jesteście ranieni; za późno ino tę ranę czujecie. Kiedy ludy i narody boską mi cześć oddawały, gdy wołaniem jednogłośnie nową ze mnie Wenus czyniły, wtedy trza było jęczeć, wtedy płakać, wtedy żalić się jak nad skonem moim! Już ja to czuję, już widzę, że ginę za to nadane mi Wenery imię.

Wiedźcie mnie i stawcie na tej skale, którą los mi wyznaczył. Spieszno mi do tego szczęsnego małżeństwa, spieszno do zobaczenia tego wspaniałego małżonka mego. Czemuż się waham, czemuż ociągam od spotkania z nim, co się urodził na zgubę całego świata?”

[35] Umilkła po tych słowach dziewczyna i pewnym już krokiem wmieszała się w uroczysty pochód tłumu, który ją odprowadzał. Idą na oznaczony szczyt stromej góry, na którego wierzchołek najwyższą dziewczynę prowadzą; tam ją wszyscy opuszczają i tam zostawiwszy łzami własnymi zagaszone pochodnie weselne, którymi sobie przyświecali, z głową spuszczoną do powrotu się gotują. Nieszczęśni zasię jej rodziciele ciosem takim zmiażdżeni pogrążają się w mrokach zawartego na głucho domu, w nocy bez końca.

Psyche zaś, drżąca i strwożona, na samiusieńkim szczycie skały, we łzach cała, czuje nagle, że łagodny dech lekkiego zefiru w szatki jej ze stron wszystkich zawiewa i wydymając je leciuchno, całą ją dźwiga i w spokojnym ciągu unosi tak, że powolutku, wzdłuż zboczy wyniosłej skały się osuwając, miękko opada na łono kwietnej murawy w jakiejś dolinie.

KSIĘGA PIĄTA

[1] Psyche, lekko złożona w miłym i cienistym miejscu, spoczywała słodko na rośnym wezłowniu trawnika, po takiej burzy serdecznej wreszcie ukojona. Tak snem się dostatecznie skrzepiwszy, zbudziła się rześka. Rozgląda się i widzi gaj zarosły wysokimi i rozłożystymi drzewami, widzi źródło przezroczyste jak kryształ. Nad jego zwierciadłem, w samiuteńkim środku gaju, stoi pałac królewski, i widno, że nie człeczce ręce go tworzą, lecz że sztuką zbudowany bożą. Od wejścia już samego poznasz łąco, że patrzysz na zajazd rozkoszny i świetny boga jakowegoś.

Bo oto kolumny złote dźwigają stropy drzewem cytrynowym i kością słoniową – aż dziw! – wykładane. Na ścianach wszystkich rozmaity zwierz dziki i inne takie stworzenie wszelakie w srebrze wyrzeźbane w oczy cię uderza, gdy wchodzisz. Dziwny to zaiste i ogromnej sztuki człowiek czy półbóg chyba albo pewnikiem i bóg sam, co taką wielkiego kunsztu subtelnością tak łudzaco w srebrze wydał te dzikie zwierzęta. Na posadzkach zasię nawet drobnutkie kosztowne kamyczki układają się w obrazy rozmaite. O jakże szczęśni, po wielekroć razy szczęśni ci, co mogą stąpać po perłach i klejnotach! A i inne części pałacu ogromnego i szeroko rozłożonego bezcenną mają cenę; calutkie tam ściany, złote na wskroś, własnym połyskują światłem, że – gdyby słońce zawiodło – pałac sam światła dziennego dostarczyłby sobie: tak się tam jarzą sypialnie, portyki, podwoje nawet. A temu przepychowi pałacu godnie odpowiadają i wszelkie inne jego dostatki, że zaiste, nie bez kozery pomyślałbyś, iż niebiański dwór ten wielkiemu chyba zbudowany Jowiszowi na jego z ludźmi spotkania.

[2] Cudnością taką tego miejsca zwabiona podchodzi Psyche bliżej i śmielej już próg przestępuje, a niedługo, pod czarem tych dziwów i piękności, już tu i ówdzie zagląda. Spozstrzega w innej znowu części pałacu przedziwnej budowy komory, skarbami wypełnione. Jestli rzecz taka, której by tam nie było? Od wszelakiej jednak cudowności tak niesłychanych bogactw to było jeszcze cudowniejsze, że całego tego skarbu nie strzegł nigdzie strażnik żaden ni zamknięcia żadne i żaden rygiel.

Gdy się tak temu wszystkiemu z okrutną uciechą dziwuje, głos ją jakiś dochodzi bezcieleśny zgoła:

„Przecżże się to cudujesz, pani, tym dostatkom? Twoje to wszystko. Do sypialni tedy się udaj, w łóżeczku się po zmęczeniu pokrzep i łaźni zażyj, jeśli-ć wola. My, których głosy słyszysz, służki twoje, troskliwie ci usługiwać będziemy; a kiedy se odpocznesz, nie będziesz czekać długo na królewską ucztę”.

[3] Zrozumiała Psyche słysząc głosy bezcieleśne, że jest, szczęśna, pod opieką boskiej jakiejś opatrności i jej rozkazów, i naprzód snem, a potem kąpielą ze zmęczenia się pokrzepiła, a zoczywszy właśnie tuż obok półkoliste podwyższenie, po zastawie biesiadnej wraz wymiarkowała, że to dla jej posiłku przyładzone, i legła tam co żywo. Za czym natychmiast wnosić się zaczynają – jakby je wlew jakiś ino podsuwał, bo żywa dusza nie usługiwała – wina, jak sam ten nektar, i sute dania potraw najrozmaitszych. I istotnie nikogo zobaczyć nie mogła, a tylko słowa słyszała skądsiś się wymykające i ino te głosy służek. Po sutej uczcie wszedł ktoś niewidoczny i śpiewał, ktoś zasię inny potraçał struny liry, niewidocznej jak i

muzykanci. Wtedy o uszy jej uderzył zwarty i harmonijny śpiew wielu głosów: oczywiście było, choć człeka żadnego nie dojrzałeś, iż to chór śpiewa.

[4] Kiedy się te rozrywki skończyły, poszła Psyche – ile że wieczór nadchodził – na spoczynek. Noc już była głęboka, gdy odgłos jakiś łagodny ją zbudził. Wtedy o dziewiczość swą w samotności tak ogromnej trwożna, złękła się i wzdrygnęła; a bała się tym bardziej, że nie wiedziała, czego. A to już nadchodził nieznany małżonek i w łóżce jej zstąpił, i Psyche małżonką swą uczynił; przed świtem zasię spiesznie zniknął. I natychmiast głosy owe, co w sypialni kornie czekały, pocieszają małżonkę młodą po utracie wianka.

Tak się działo przez czas długi. I, jak to jest w rzeczy naturze, nowe owo życie przez nawyk do niego wielce jej miłe się stało, a dźwięki niewidzialnych głosów były pociechą w samotności.

Tymczasem rodziciele jej starzeli się nieutuleni w smutku i rozpacz. Gdy tedy wieść o całej rzeczy szerzej się rozeszła i starsze owe siostry o wszystkim się dowiedziały, odjechały swoich domów i co prędzej pospieszyły, żalu i smętku pełne, aby rodziców zobaczyć i pocieszyć ich dobrym słowem.

[5] Tej samej zaś nocy tak powiada do Psyche jej małżonek – bo tylko oczyma go nie widziała, ale zresztą słyszała i dotykała rękoma:

„Psyche, żono najśłodsza i najdroższa, zgubą i nieszczęściem ci grozi dola okrutna. I powiem ci, że strzec się jej trzeba czujnie wielce. Oto siostry twoje, wieścią o twej śmierci poruszone, już za twym śladem dążą na ów szczyt górski; gdybyś tedy przypadkiem usłyszała jakowe ich wyrzekania, to ani nie odpowiadaj, ani nawet okiem nie rzuć w tamtą stronę; inaczej mnie ból srogi sprawisz, a sobie nieszczęście okrutne”.

Zgodziła się i obiecała, że zrobi, jak mężowska wola, ale gdy on tylko zniknął wraz z nocą, dzień cały biedna we łzach i narzekaniach przepędziła, to ino powtarzając, że teraz to już jej całkiem przyszło na koniec. Bo i jakże? To ona zamurowana i strzeżona w tym, choć lubym, ale zawsze więzieniu, gdzie ani się z człkiem jakim rozmówić może, ani sióstr swych, co za nią rozpaczają, pocieszyć, ani nawet zgoła ich zobaczyć? I ani łaźni nie użyła, ani pokarmem czy jakimkolwiek posiłkiem sił nie wzmocniła i, płacząc rzewnie, na spoczynek się udała.

[6] Stało się tedy, iż niedługo potem małżonek, co nieco wcześniej dziś wszedł w jej łóżce, wziął ją w objęcia jeszcze całą od łez wilgotną. Powiada tedy do niej:

„Toś ty. Psyche moja, to mi obiecywała? I czegoż to mam, małżonek twój, po tobie się spodziewać, czegoż od ciebie oczekiwać? I w dzień, i w nocy, i w ramionach męża dręczyć się nie przestajesz. Róbże sobie teraz, jak ci wola, i słuchaj serca, co samo pcha się w nieszczęście. Przypomnisz sobie, gdy przyjdzie żal po szkodzie, że mi nie było do żartów z mymi przestrogami”.

Wtedy ona błaganiami a zakłęciami, że inaczej to pewnikiem zamrze, wymusza na mężu zgodę na swe zachcianki: aby to mogła siostry zobaczyć, żal ich ułagodzić, z nimi się ugadać. Przystał tedy na prośby młodej żonki, a nadto zezwolił, aby im dała, ile zechce, złota czy klejnotów. Zarazem jednak ją pod groźbami wielkimi napomina, aby nie zechciała kiedy, zgubnym radom sióstr uległszy, dowiedzieć się, jak też małżonek jej wygląda; taka świętokradcza ciekawość zrzuciłaby ją ze szczytu szczęścia w padół niedoli i z ramion jego wydarła. Podziękowała Psyche mężowi i powiada weselsza już:

„Pierwej bym ja sto razy umarła, niżbym żyć mogła bez ciebie. Bo cię też kocham gorąco, kimkolwiek ty jesteś, i miłuję jak duszę własną i sam Kupido za nic mi przy tobie. Ale w tym ty mej prośbie ustąp, o to cię błagam, i temu słudze twemu Zefirowi rozkaż, aby mi siostry me takim sposobem tu dostawił, jak kiedyś mnie samą”.

I pocałunkami go uwodzicielskimi okrywała, i słówka miłe szeptała, i cała się doń tuląc pieszczotliwie mówiła: „Mój ty słodziuśki, mój mężu, duszo droga twej Psyche” – że choć niechętnie, uległ mąż przemocy i potędze miłosnych słówek i obiecał, że wszystko uczyni, i znowu, gdy świt się zbliżał, z ramion żony zniknął.

[7] Tymczasem siostry wypytały się o tę skałę i miejsce samo, gdzie Psyche porwano, i spiesznie tam podążyły; tam sobie oczy wyplakiwały i piersi szarpały, że aż od ich bezustannego zawodzenia echa szły od turni i wierchów. Już i po imieniu siostrę nieszczęsną wołały, aż doszły w dolinę te przenikliwe dźwięki zawodzących głosów.

Wypadła tedy na oślep z pałacu Psyche wstrząśnięta i woła:

„Po cóż się, biedaczki, męczycie na próżno tymi rozpaczami? Tak mnie oplakujecie, a ja tu! Przestańcie się ino już żalić, bo przecie możecie już uściskać tę, którą oplakiwałyście”.

I zaraz woła Zefira i wedle mężowskich wskazówek rozkazy mu wydaje. Za czym w okamgnieniu ów, rozkazowi posłuszny, najłagodniejszym wiewem znosi w dół siostry w nieszkodliwym opadzie.

I już się ściskają wszystkie i sycą na prześcigi pocałunkami, a owe łyzy, właśnie ukojone, od razu wracają, znów radością wyciśnięte.

„Ależ i pod dach mój wejdźcie – prosi je Psyche – i bez troski już do mego domu, i po utrapieniu takim serca z Psyche waszą rozradujcie”.

[8] To powiedziawszy pokazuje im bogactwa niesłychane złotego pałacu, uszom ich zaś pozwala słyszeć liczną gromadę głosów służebnych, ugaszczą je wspaniale kąpielą wyśmienitą i wystawnością stołu zgoła nie ludzkiego, lecz boskiego – tak że kiedy opływały i syciły się tak dostatkiem tych bogactw niebiańskich, już zawiść w sercach ich kielkować zaczynała. Wreszcie jedna z nich zaczęła wypytywać Psyche okrutnie ciekawie a szczegółowo, któż to jest właścicielem tych boskich cudowności; kto i co za jeden jest ten jej małżonek. Ale Psyche żadną miarą naruszyć nie chciała owego nakazu mężowskiego i zdradzić serdecznej tajemnicy, ino z miejsca taką se bajeczkę zmyśliła, że młodzian to pewien i gładki wielce, że puszek zarostu ledwo mu twarz ocienia, że często w polu i w górach bawi na łowach; wreszcie zląkwszy się, by tak od słowa do słowa przecież nie wysnęło się jej coś wbrew zamiarowi milczenia, obdarzyła je, że się ugiwały pod złotym naczyniem wszelkim i klejnotami, krzyknęła zaraz na Zefira i odstawić z powrotem mu je kazała.

[9] Jakoż w mig się to stało. A tym miłym siostrzyczkom, gdy tak do domu wracały, a już je zawiść gorzka jak ogniem poczynała przypiekać, gęby się od wygadywania nie zamykały. W końcu tak powiada jedna:

„Sierocąż ta nasza dola! Dola okrutna i niesprawiedliwa! Jakże ci się to patrzy, że nam to taki inny los pisany, choć-eśmy przecie tych samych rodziców dzieci? I to nas, cośmy starsze, to jak te niewolnice za jakichś przybłędów zza morza wydali, że z dala od ziemi rodzinnej i domu, z dala od rodziców żyć nam trza jak wygnankom, a tej najmłodszej, co, ostatnio urodzona, maści płodność zabrała, tej się dostał taki majątek i jeszcze bóg za męża? Toż ona nawet nie wie, jak użyć dobrze tylich bogactw! Toś ty przecie widziała, siostruniu, co się tam w domu wala klejnotów i jakich, jakie tam kraśne suknie, jak się palą drogie kamienie, ile się złota depce nogami! No, jak ona ma jeszcze takiego, jak opowiada, gładkiego męża, to nie masz drugiej takiej szczęśliwej na świecie całym! Jeszcze może ten jej boski małżonek, jak się przez nawyk jego czułość wzmocni, jeszcze może i ją zrobi boginią! Dalibóg, że to tak będzie: ona już się tak nosi i puszy! Już teraz ino głowę zadziera niewiastka, a boginią to aż od niej jedzie. Abo to jej nie usługują głosy służek niewidzialnych, abo to same wiatry jej nie słuchają? A mnie, biedaczkę, wydali za męża za takiego, co naprzód starszy od mego ojca, a potem łysy taki, że niczym dynia, kusy jeszcze jak dziecko, a dom cały to trzyma pod dziesięcioma ryglami i zamkami!”

[10] Na to druga:

„A ja to znowu tańczyć muszę koło takiego męża, co go podagra w dziesięcioro pokręciła. Myślisz, że taki cię często upieści? Za to ja nic, ino rozcierać muszę jego paluchy pokręcone i na kamień zesztyniałe, muszę sobie parzyć te ręce delikatne cuchnącymi naparami i szpetnymi okładami i walać brudnymi szmatami, i być nie żoną, ale harować jak ta dozorczyni chorych! No, ty się, siostrzyczko, troskaj, jak tam cierpliwie czy raczej służalczo – bo ja mó-

wię szczerze, co myślę – to zniesiesz; co do mnie, to ja nie potrafię dłużej spokojnie patrzeć na to, że taki nadzwyczajny los przypadł takiej niegodnej go. Przypomnij sobie tylko, jaka ona była dla nas pyszałkowata, jaka wyzywająca! Jak już to przechwalanie się bez miary, to, żeby się ino pokazać, zdradzało, jak ona się nadyma! A z takich bogactw to nam te ochłapy – i jak niechętnie! – rzuciła i zaraz, bo to jej tak ciążyła nasza obecność, kazała nas przepędzić, wywiać, wydmuchać! Ale niech nie będę niewiastą i niech zamrę! –jeśli nie utracę tych majątkości. Ale jeśli i w tobie siedzi jak ździara ta obelga, co nas dotknęła, to rozglądnijmy no się obie za jakim silnym sposobem na nią. Przede wszystkim nie pokażemy ani rodzicom naszym, ani nikomu tego, co niesiemy; potem zaś: nie wiemy nic zgoła o jej ocaleniu! Wystarczy chyba, żeśmy same widziały to, na co nam gorzko było patrzeć; żebyśmy jeszcze miały obwieszczać i rodzicom, i każdemu, kto żyje, o tym, jak się jej pysznie powodzi? Boć przecie nie jest szczęśliwy ten, o którego bogactwie nikt nie wie. Dowie się ona, żeśmy nie jej służki, ale siostry, i starsze. A teraz trza nam wracać do mężów i do tych naszych skromnych, nie! – biednych chałup, ale się zobaczymy, rozmyśliwszy sobie rzecz długo i czujnie, i wtedy już ostatecznie przystąpię do pokarania pyszałkowatej”.

[11] Zgodziły się obie jędze na ten szpetny zamysł i pochowawszy skrętnie wszystkie owe takie kosztowne podarunki zaczynają na nowo włosy sobie targać, łzami niby to się zalewać i lica sobie kaleczyć – co im się po prawdzie należało. I tak ból rodziców jeszcze na nowo rozjątrzywszy, opuszczają ich co rychlej i nieprzytomne z wściekłości, spieszą do swych domów, i knują zbrodniczy podstęp, ba, zbrodnię krwawą przeciw niewinnej siostrze.

Tymczasem Psyche tak znowu przestrzega podczas ich nocnych spotkań ten jej małżonek, którego nie widziała:

„Czujesz ty, jakie ci grozi niebezpieczeństwo? Harcuje jeszcze z daleka los i wygraża, ale jeśli strzec się okrutnie nie będziesz, wkrótce wręcz uderzy. Jędze przewrotne zasadzki niecne gotują, co im sił ino starczy; najgorsza zaś z tych zasadzek to ta, że namawiać cię będą, byś chciała zobaczyć moje oblicze, które – jak ci to nieraz mówiłem – jeśli ujrzysz, to nigdy go już nie ujrzysz. Jeśli tedy przybędą tu kiedyś jeszcze czarownice owe przekłete, najgorszymi zamysłami zbrojne – a wiem, że przybędą – to albo się całkiem z nimi w rozmowy nie wdawaj, albo przynajmniej, jeśli byś tego po sobie znieść nie mogła z wrodzonej ci prostoduszności i delikatności, przynajmniej ani słówka nie słuchaj, ani nie odpowiadaj, jak ci o mężu będą gadać. Bo wiedz, że rodzina nasza w niedługim już czasie się powiększy, bo żywot ten twój, sam dziecinny dotąd, inną dziecinę w sobie nosi, jeśli naszej tajemnicy dochowasz – boską, śmiertelną tylko, jeśli ją zdradzisz”.

[12] Pokraśniała z radości Psyche na tę nowinę i w dłonie klasnęła na wieść ucieszną, że zrodzi boga, i już się nosiła pełna chwały przyszłego potomka, i radowała się dostojnością imienia: matka. I z niepokojem ino liczy dni wstające i upływające miesiące, i dziwuje się pierwiastkom nie znanego sobie brzemienia i temu, że krótką chwilą powstałe, takim się wzrostem w żywocie wzbogaca.

Ale tymczasem już ta zaraza, już te jędze ohydne ziejące żmijowym jadem, ze zbrodniczą szybkością zeglując, już się zbliżyły. Wtedy znowu tak napomina swoją Psyche ów, znany tylko z chwil nocnych, małżonek:

„Oto nadchodzi dzień ostateczny, chwila próby ostatniej: już chwycił za broń wraży rodzaj i plemię nieprzyjacielskie – już obóz zwinął i szyki ustawił, i zagrał pobudkę. Już mieczem nagim siostry twe niegodziwe gardła twego szukają. Jakież to niedole nad nami. Psyche moja najśłodsza! Przez litość dla siebie samej i dla nas zbożne milczenie zachowaj i ochroń dom, męża i siebie, i to małeństwo nasze od grożącej niedoli i nieszczęścia. A na te niewiasty zbrodnicze – których ci siostrami zwać się nie godzi, skoro tak śmiertelną nienawiścią same podeptały związki krwi – na nie ani nie patrz, ani ich nie słuchaj, kiedy jak te Syreny ponad skały się wychylając będą swymi żalonymi wrzaskami budzić górskie echa”.

[13] Na to Psyche głosem przerywanym przez łkanie:

„Widzi mi się, że już od dawna masz dowody mojej słowności i małomówności; a tym razem tak samo się przekonasz, że jestem twardego serca. Żebyś tylko kazał temu naszemu Zefirowi, aby posłusznie zrobił, co do niego należy, i żebyś zwołał zobaczyć siostry przynajmniej, kiedy twój boski widok jest mi zabroniony. Na te loki twoje cynamonem pachnące, na te policzki miękkie i delikatne jak moje, na tę pierś, którą nie wiem jakie żary rozplamieniają – zaklinam cię, jak pragnę w tym maleństwie przynajmniej moim oblicze twe poznać: daj się ubłagać kornym prośbom i nieśmiałym błaganiami i daj zażyć rozkoszy uścisków siostrzanych, i rozraduj serce twej Psyche, co ci tak oddana. Ja nigdy już nie będę chciała ujrzeć twego oblicza i już mi nic nie będą szkodziły nawet same te nocne ciemności: bo przecież cię tu obejmuję, życie moje”.

Tymi słowy i uściskami rozkosznymi oczarowany mąż otarł swymi włosami jej łzy i obiecał, że spełni prośbę, po czym zniknął, uprzedzając światło wstającego dnia.

[14] Tymczasem to zbrodnicze stadło, ta parka siostrzyczek, nie wstępując nawet do rodziców, prosto z okrętu leci na łeb na szyję na ową górę; tutaj nie czekając nawet, aż się zjawi ten wiatr, co by je zniósł, rzuca się w dół z bezczelną lekkomyślnością.

Ale Zefir, pamiętny rozkazu swego władcy, pochwycił je – choć mu to nie w smak – ramieniem wichru i zniósł na ziemię. One zaś bez wahania z miejsca do pałacu się pakują, ofiarę swoją ściskać poczynają i – ciągle ino to słowo „siostry” w gębach obracając, a przyjemnym obliczem maskując bezmiar zdrady głęboko w sercu ukrytej – tak się do niej przymilają:

„Jużes ty nie taka dziewczynka. Psyche, jak przedtem –jużes ty matka. Co też ty –jak myślisz? – za skarb nam nosisz w tym łonie? Jakaże ty uciechą cały nasz dom rozweselisz! Jakież to szczęście dla nas, że będziemy piastowały to złote dziecko, które jeśli – jak należałoby – po rodzicach weźmie urodę, to chyba z niego będzie sam Kupido”.

[15] Tym sposobem, czułość udając, powoli serce siostry omamiała. Za czym zaraz zaprasza, by usiadły i po zmęczeniu drogą odpoczęły, zaraz się troska o ciepłe dla nich kąpiele i uraczają wspaniale w jadalni owymi przedziwnymi i obfitymi smakołykami a pasztetami. Rozkazuje, aby zabrzmiała cytra – i już dzwonią jej tony; aby zagrały flety – i już rozlega się ich głos; aby zaśpiewały chóry – i już śpiewają. A wszystko to się działo, choć grajków żadnych nie było, i wszystko serca słuchaczy słodko i rozkosznie lechtało. Ale i miodowa słodycz tej muzyki nie ułagodziła złości zbrodniczych niewiast, które rozmowę ku założonym sidlom nakierowując, nieznacznie wybadywać poczynają, co za jeden ten jej mąż, jaki on kraj, z jakiej rodziny. Wtedy ona, w naiwności swej okrutnej już o tej pierwszej gadce, którą im dawniej spłotła, zapomniawszy, nową bajeczkę zmyśla, że ten jej mąż to wielki kupiec ze sąsiedniego kraju, człek w średnim już wieku i siwizną krzywą przyprószony. Za czym przy tym temacie dłużej się nie zatrzymując, znowu je obławowuje wspaniałymi dary i oddaje powietrznemu rumakowi.

[16] Ale gdy łagodnym tchem Zefira uniesione do domu wracały, tak sobie wraz przygadując jeły:

„No i cóż tu mówić, siostrze, na te bezecne łgarstwa tej błaźnicy? Niedawno był młodziak, co mu się ledwo pierwszy puch na brodzie sypał, a teraz już mąż w średnim wieku, posrebrzony siwizną. Więc któż to właściwie jest ten jegomość, którego w tym króciutkim czasie przemieniła taka nagła starość? Nic to innego, siostrzyczko, jak tylko, że albo ta szalbierka łgarstwa zmyśla. albo nie wie sama, jak jej mąż wygląda. Cokolwiek z tych dwu rzeczy jest prawdą, trzeba ją co rychlej wyzuć z tych jej wspaniałości. Jeżeli nie zna oblicza męża swego, to zaiste chyba boga poślubiła i boga nam ta jej ciąża przyniesie. To pewne, że jeśli to ją zyczną sławić jako matkę boskiego bębna – czego niechbym nie doczekała! – to ja sobie sznur o szyję okręcę i powieszę się! Ale tymczasem wracajmy do naszych rodziców i na początek tej rozmowy puśćmy jaką baję, co by wyglądała na prawdę”.

[17] Tak rozzarte zaledwie się raczą do rodziców odezwać i, po nocy bezsennie strawionej, rano jak szalone lecą na górę. Stąd dzięki zwyczajnej pomocy wiatru szybko na dół się dostają i, lży gwałtem z ślepiów wyduszając, tak podstępnie do niewiastki się dobierają:

„Tobie to – skrzeczą – dobrze, bo, że to sama nic nie wiesz o tej okropności, toś szczęśliwa i niefrasobliwa o to, co ci grozi, ale nam, co z troski o twą dolę spać nie możemy, nam twoje nieszczęście żyć spokojnie nie daje. Bo posłuchaj, czegośmy się to z największą pewnością dowiedziały i czego przed tobą zataić nie możemy, bośmy ci druhny w boleści i nieszczęściu twoim. Oto wąż okrutny, smok o cielsku kłębiącym się w stu skrętach, którego szyja ocieka od zabójczego, krwawego jadu, którym zieje ze straszliwej gardzieli – ten potwór z tobą nocami potajemnie sypia. Przypomnij no sobie teraz o wyroczeni pytyjskiej, co dość głośno gadała o tym, że ci przeznaczone zaślubić ohydneho potwora. A tego to widziało wielu mieszkańców i myśliwców okolicznych, i sąsiadów co niemiara, jak wieczór wraca z żerowiska i chłapie się na mieliznach pobliskiej rzeki.

[18] Wszyscy też powiadają, że niedługo ty będziesz tak tuczyć się i napychać smakołykami, ale że skoro ino dojrzeje brzemię w twym żywocie i będziesz mu tłustym kąskiem, wtedy cię pożre. A to już twoja w tym głowa, czy chcesz usłuchać sióstr, co troskają się o twoje, drogie dla nich dobro, i umknąwszy się śmierci żyć z nami w bezpieczeństwie, czy też wolisz znaleźć grób we wnętrzościach najstraszniejszego potwora. Ale jeśli ci tak dobrze w ciszy tego pustkowia wiejskiego, gadającego nieznanymi głosami, albo z tymi tajemniczymi miłostkami w ohydnych i zabójczych objęciach i uściskach jadowitego smoka – to przynajmniej my obowiązek nasz spełniłyśmy, jak dobrym siostrom przystało”.

Wtedy Psyche biedactwo – naiwniutką taką a wrażliwą okrutnie – przejmują grozą te straszne słowa: całkowicie z równowagi wytrącona, z miejsca zapomina o wszystkich przestrogach męża i swoich obietnicach; bezdennie nieszczęśliwa, drżąca, bledziutka jak płótno, tak do nich urywanym głosem, ledwo dosłyszalnymi półsłówkami szepce:

[19] „Pewno, że wy, siostrzyczki najdroższe, takeście zrobiły, jak wam miłość wasza kazała, ale bodaj że i ci, co wam te rzeczy mówili, także się z prawdą nie minęli. Bo to już wiem, że ani nie widziała nigdy oblicza męża mego, ani wiem, co by on był za jeden. To ino wiem, że słyszę po nocy jego głos i że niewiadomego stanu mi przypadł małżonek, co przed światłem dziennym się umyka; i już wy chyba dobrze gadacie, że to potwór jakowyś. Bo to jeszcze akuratnie on mnie zawsze odstrasza, żebym go ino kiedy zobaczyć nie zechciała, i grozi, że okrutne by mi było nieszczęście z tej ciekawości na jego oblicze. A teraz wy, jeśli możecie zbawienną jaką pomoc dać siostrze waszej w takim niebezpieczeństwie, to zróbcie to od razu, bo jakbyście o mnie teraz dbać przestały, to na nic całe dobrodziejstwo poprzedniej waszej troskliwości”.

Wtedy, wdarłszy się tak już przez otwarte bramy do bezbronnej duszy siostry, opuszczają zbrodnicze jędze kryjówki swych podstępów i wręcz już, z nagą w dłoni bronią swej złości, rzucają się na wystraszone myśli naiwnej niewiastki.

[20] Za czym tak powiada pierwsza:

„Ten związek krwi z tobą doprawdy to sprawa, że my nawet nie myślimy o jakimś niebezpieczeństwie własnym, kiedy chodzi o twoje dobro; zatem drogę ci wskażemy jedynie zbawienną, nad którą długośmy, okrutnie długo rozmyślały. Weź ostry sztylet, wygładź jeszcze ostrze pociągnięciem go po dłoni i ukryj go potajemnie po tej stronie łoża, gdzie zwyczajnie legasz; weź potem poręczną latarkę, pełną oliwy a jasno świecącą, i zakryj ją całkiem jakim garnkiem. Wszystko to przygotuj w największej tajemnicy. A kiedy on wlokąc zbrudzone kłęby wtoczy się, jak zazwyczaj, na legowisko, kiedy się już rozciągnie i w pierwszym śnie pogrążony mocno już chrapać zacznie, wtedy ty z łoża się ześlijnij i boso, cichutkim krokiem, powolutku uwolniwszy latarkę od ciemnej pokrywy, skorzystaj z mocy światła i z tej sposobności do wykonania tego chlubnego czynu: śmiało się tym dwusiecznym nożem naprzód zamachnij i jak najtęższym ciosem przetnij jadowitemu smokowi ten węzeł, co łączy

łeb z karkiem. Ani ci też naszej zabraknie pomocy; jak się tylko sama ocalisz przez zarżnięcie onego, to już my, pełne niepokoju o ciebie, przy tobie wraz się zjawim, wszyściutkie te skarby z tobą razem wyniesiem i za człowieka cię jakiego, co ci się nada, wydamy, boś i sama człowiek”.

[21] Takich słów żagwiami zażegnawszy pożar w siostry sercu i tak już zgorączkowanym, dobrego zresztą mając stracha przed pozostaniem w pobliżu miejsca takich okropności, co prędzej siostrę opuszczają; skrzydlaty wiatr wynosi je, jak zazwyczaj, wiewem swym na górę, skąd co tchu uciekają, na okręty wraz siadają i odjeżdżają.

A tymczasem Psyche, sobie sama pozostawiona – o tyle chyba nie sama, że wściekle Furie ją napastują – w rozpacz swą jak morze burzliwe się szarpie: już rzecz w sobie postanowiła, już się w niej zaciekla, już do zbrodni nawet to i owo przyładza, a przecież jeszcze jest niepewna i waha się, a sto różnych uczuć nieszczęsną jej dolą miota.

Spieszy się i zwleka, ośmiela się i waha, wątpi i szaleje, i – co już najstraszniejsze – w tym samym stworzeniu nienawidzi potwora, miłuje męża. Wreszcie, gdy wieczór w noc już przechodzi, nagle powzięła postanowienie i przysposabia wszystko do ohydnej zbrodni.

Nadeszła noc, przybył małżonek i po pierwszych harcach miłosnych w sen zapadł głęboki.

[22] Wtedy to Psyche, której – choć dusza w niej zamiera, a ciało się ślania – jednak groza losu sił dodaje, wyciąga latarkę i porywa nóż; zuchwałość zmienia jej płeć. Ale skoro tylko światło przybliżone rozjaśniło tajniki łoża, spostrzega ze wszystkich potworów najmilszego i najśłodsze potworka, bo samego Kupidyna, boga cudnego, wdzięcznie rozciągniętego, na którego widok nawet światło latarki weselej zajaśniało i żywiej rozblęsnęło ostrze owego świętokradzkiego sztyletu. A Psyche wstrząśnięta i obezwładniona takim widokiem, zabijającym lękiem podcięta, na kolana upadła rozdygotana i żelazo zatopić chciała, ale we własnej piersi; i byłaby to zaiste uczyniła, gdyby ono ze strachu przed takim uczynkiem z rąk jej lekkomyślnych nie było wysliznęło się i wypadło. Ale już znowu rośnie jej serce, choć tak zgębione chwilę i beznadziejne, gdy dłużej patrzy na piękno tego boskiego oblicza. Widzi cudne włosy onej słonecznej głowy, przesiąknięte ambrozją, widzi śnieżny kark i promienne lica, po których błędzą urocze splecione kosmyki włosów na tę i na tę stronę opadające; a taki blask szedł od nich, że samo światło latarki przyćmiewać się jęło. Na barkach lotnego bóstwa bielą się w rośnych połyskach skrzydła, a choć one same bezwładne, to mięciutki i delikatny puszek, co je obrzeża, drży ciągle i faluje. Całe zaś ciało gładziuchne i błyszczące i takie, że nie żał pewnikiem Wenerze, iż takiego urodziła. U stóp łożka leżał łuk i kołczan, i strzały, broń miłościwa potężnego bóstwa.

[23] Kiedy na to tak patrzyła w pożądlivej ciekawości nienasyconymi oczyma Psyche, kiedy dotykała i podziwiała tę zbroję małżonka, zdarzyło się, iż wyjęła jedną strzałę z kołczanu i koniuszkami palca spróbować chciała jej ostrza. Ale że to i teraz jeszcze dygotały jej członki, więc się uklęła zbyt silnie, tak że po skórze pociekło kilka kropelek różowej krwi. Tak nieświadoma tego, z własnej woli uwikłała się Psyche w miłość dla boga miłosnego. Wtedy zaś, coraz gorętszą żądzą do Kupidyna płonąca, pochyla się nad nim dysząca, z rozchylonymi ustami, i okrywa – bez tchu – pożądlivymi i długimi pocałunkami, drząc zarazem, by snu jego nie skrócić. Ale gdy rozdygotana cała z rozkoszy ślania się odurzona, latarka owa – czy to z haniebnej przewrotności, czy z jądliwej zawiści, czy też dlatego, że sama pożądała dotknięcia tak cudnego ciała i, żeby tak powiedzieć, pocałowania go – latarka owa prysła od ognia swego kroplą wrzącego oleju na prawy bark boga...

O latarko zuchwała i płocha, zła służko miłości, tyś to samego boga wszelkiego płomienia sparzyła? Ty, którą przecież chyba wynalazł jakiś kochanek, by i w nocy nawet mógł dłużej sycić się przedmiotem swych pożądań?!

Sparzony takim sposobem zerwał się bóg, a zobaczywszy, jak zuchwale zdradzono jego tajemnicę, natychmiast bez słowa uleciał z oczu i ramion najnieszczęśliwszej małżonki.

[24] Ale Psyche pochwyciła jeszcze, gdy się podnosił, obiema rękami jego nogę prawą i nieszczęsna, wisząca i przyczepiona doń podczas jego jazdy powietrznej, towarzyszy mu tak przez najdalsze, przez obłoczne szlaki, aż zmordowana osuwa się na ziemię. Bóg zaś, ciągle ją miłujący, nie opuścił jej, gdy legła na ziemi, ale wzleciał na pobliski cyprys i z wyniosłego jego wierzchołka tak do niej, sam głęboko wzruszony, przemówił:

„O Psyche, ty najnaiwniejsza z naiwnych! Jaż to niepamiętny poleceń matki mej, Wenery, która mi przykazała, bym w tobie zażegł namiętność do najnędniejszego z ludzi i w zamęście dał cię najhaniebniejsze – jaż to sam jako kochanek do ciebie przyleciał. Teraz wiem, jak lekkomyślnie to uczyniłem ja, łucznik ów przesławny, którym się sam pociskiem swym zranił i ciebie poślubił! A tyś widać myślała, że jestem potworem, i chciałaś nożem odciąć głowę moją, z której patrzą te oczy ciebie miłujące. A wszakżeż tylekroć cię przed tym właśnie przestrzegałem, o tym przypominałem! Ale zaiste odpokutują mi bezzwłocznie za tę zgubną naukę te twoje życzliwe doradczynie; ciebie zaś ukarzę jedynie – mym odejściem” – i domawiając tych słów wzbił się na skrzydłach w górę.

[25] A Psyche na ziemi rozciągnięta patrzyła, jak długo mogła, za ulatującym mężem, jęcząc i płacząc w okrutnej rozpacz. A skoro powietrzną żegluga skrzydeł uniesiony małżonek zniknął w bezmiarze przestrzeni, rzuciła się do rzeki płynącej nieopodal. Ale rzeka litościwa, z czci zapewne dla boga, który nawet w falach umie pożogę swą wzniecać, a także z lęku przed nim, natychmiast ją zdrowo na falach wyniosłszy, złożyła na brzegu trawiastym i kwietnym.

A właśnie przypadkiem Pan, polny bóg, na grobli siedział nadrzecznej i górską boginkę, co jej na imię Echo, w ramionach trzymając, uczył ją głosy wszelakie odśpiewywać. Nad brzegiem baraszkowały, pasąc się swobodnie, kozy i skubały zielska nadrzeczne. Przywołał łagodnie koźli bóg do siebie Psyche zrozpaczoną i nieszczęsną i – że to dobrze po niej widział, jak jej na sercu – tak ją pociesza słowy kojącymi:

„Dziewczyńko urodziwa, chłop ze mnie ino i koźlarz, ale że mi to roków już mnogo, tom już i doświadczeniem bogaty. Jeżeli se tedy dobrze dumam – mądrzy ludzie to wieszczaniem nazywają – to z tego chwiejnego a zataczającego się kroku, z tej okrutnej bledziutkości gębusi a tego jęczenia bez przerwy i z tych ślipków zapłakanych – jedno widno: żeś na kochanie chora. Tedy mnie pilnie posłuchaj: nie rzucajże mi się znowu do wody albo jakiej innej śmierci gwałtownej nie szukaj. I żalić się przestań, i przestań rozpaczać, a raczej Kupidyna, największego z bogów, uczcij i – że on to młodziak czuły a jurny – to se go ujmij pochlebliwą powolnością”.

[26] Tak mówił bóg pasterski, a Psyche nic mu nie odrzekła, a ino cześć oddała bóstwu życzliwemu i w drogę się puściła. Wielki kęs drogi już przewędrowała stopy utrudzonymi, kiedy dnia pewnego, drogą idąc całkiem nie znaną, doszła o zachodzie do pewnego miasta – tego właśnie, w którym mąż jednej ze siostr jej panował. Gdy się o tym Psyche dowiedziała, co prędzej chce siostrze oznajmić o swym przybyciu. Jakoż wprowadzono ją tam niedługo, a kiedy się już obie wyściskały i siostra o przyczyny przybycia pytać ją, tak rozpoczyna Psyche:

„Pamiętasz ty wasze słowa, kiedyście mi to radziły, bym potwora, co pod skłamanym imieniem małżonka legał ze mną, abym go dwusiecznym sztyletem zabiła, zanim mnie nieszczęsną sam żarłoczną gardzielią pożre? Ale – pomyśl ty sobie ino – kiedym jakieśmy uradziły, że światłem zagładnęła w jego oblicze, przedziwne i boskie doprawdy ujrzałam dziwo: samego tego syna Wenery, samego, mówię ci, Kupidyna, słodko śpiącego. Lecz kiedym trwała w zachwycie nad tym cudem i, zbytkiem rozkoszy oszołomiona, trawiłam się w żądzy nienasyconej, trafem jakimś nieszczęsnym prysnęła olejem latarka rozgrzana na jego ramię. Ten ból ze snu go zaraz wyrwał, a kiedy zobaczył mnie tak z ogniem i żelazem, zawołał: «Ach ty – za taką zbrodnię natychmiast z łoża mego ustąp i, co twoje, weź sobie; ja zaś z sio-

strą twą – i wymienił imię, którym ty się wołasz – natychmiast się zrękowię i ją poślubię”. I zaraz kazał Zefirowi, aby mnie wyniósł za granice jego obejmia”.

[27] Jeszcze Psyche mówić nie skończyła, a już tamta, z żądy oszalała a jadowitymi zębami zawiści kāsana, oszukawszy męża łgarstwem podstępny, jakoby o śmierci rodziców czegoś się dowiedziała, wsiada na okręt i z miejsca na górę ową co tchu leci. Wiatr wiał właśnie zgoła inny, ale ona nadzieją całkowicie zaślepiona woła Zefira:

„Ponieś, Zefirze, panią twą, a ty, Kupidynie, bierz, bom ci też małżonką godną siebie!”

I na łeb ze skały skoczyła. Ale nawet jej ciało nie doleciało na dół, tak się potrzaskała i w strzępy podarła na głazach stromych zboczy. Tak tedy zginęła, jak zasłużyła, a poszarpane jej wnętrzności strawą się stały dla ptaków i dzikiego zwierza.

Nie odwlekła się i słuszną karą drugiej siostry. Przybyła bowiem Psyche tułaczym swym szlakiem do innego kraju, gdzie znowu mieszkała ta siostra druga. I ta tak samo zwiedziona bajką siostrzaną, jak najprędzej ino chcąc w takim małżeństwie, choć zbrodniczym, z siostrą współzawodniczyć, na górę poleciała i podobną śmiercią zginęła.

[28] Tymczasem gdy Psyche Kupidyna jeno szukając świat cały obchodziła, ów okaleczony przez latarkę i chory w łożu samej matki leżał i jęczał. Wtedy mewa, ten ptak bieluški, co skrzydłami muska fale morskie, zanurza się szybko w otchłanne tonie Oceanu. Tam Wenere, co właśnie się pluska i kąpie, odszukuje i wyćwierkuje wszyściuchno, jak to jej synalek się poparzył, jak to teraz sklamrzy z bólu od tej rany ciężkiej, jak zgoła nie wie, czy ozdrowieje. A tu tymczasem już o tym gadają i plotkują wszystkie narody i źle się mówi o całej rodzinie Wenery, że to synalek zniknął dla jakichś podejrzanych mocno miłostek w górach, a ty znowu – trzepała mewa – chlapiasz się w morzu. A z tego wszystkiego to ani rozkoszy żadnej nie ma, ani wdzięku, ani uroku, ale wszystko jest grube, nieokrzesane, potworne. Ani spotkać małżeńskich godów, ani przyjaźni, ani miłości rodzinnej. Jeden zalew paskudztwa; plugawe związki, a zarazem haniebne nimi pogardzenie.

Takie to sprawy ten świągotliwy i ciekawski ptak do uszu Wenery naćwierkał, opinię jej syna mocno nadwyrężając. Więc Wenus jak nie zakrzyknie wreszcie, dobrze już rozjedzona:

„To ten miły mój synalek już sobie znalazł jakąś gamratkę? To mi ino zaraz powiedz, ty jedyna moja wierna służko, imię tej, co potrafiła opętać gołowasa i smarkacza! Pewnie to jakaś z plemienia nimf albo jedna z Hor, albo z drużyny Muz, albo spośród Charyt mego domu?”

Nie zamilczał gadatliwy ptak, ale paple:

„Nie wiem ja tam na pewno, pani moja; ale tak mi się widzi – jeśli se dobrze przypominam – że tej dziewczynie, w której się na zabój zakochał, jest: Psyche”.

Zagotowało się wszystko w Wenerze.

„Psyche? – wrzasnęła. – No, jeśli on się naprawdę zadurzył w tej Psyche, co moją piękność podrabia, a z moim imieniem rywalizuje, to jużci chyba mnie ten chłystek za rajfurkę bierze, z której narajenia tamtą dziewczkę poznał!”

[29] Z takimi lamentami co prędzej z morza się wynurza i prosto do swego łoża złotego sunie, a znalazłszy tam – całkiem tak, jak jej opowiadano – chorego chłopaka, już od drzwi nań z wielkim wpada krzykiem:

„A to ślicznie! – woła. – To tak przystało naszej rodzinie i twojej przyzwoitości? To na-przód sobie przechodzisz do porządku nad poleceniem twej matki – co matki? – twojej pani: żeby zadręczyć jej nieprzyjaciółkę jaką plugawą miłością – a potem jeszcze, taki smarkacz, w przedwczesne i wyuzdane miłostki się bawisz, po to oczywista, żebym ja jeszcze miała w synowej znosić wroga? Ty sobie dufasz pewnie, ty nicponiu, ty bałamucie, ty obrzydliwce, że tylko ty sam możesz mieć dzieci, a ja tom już taka stara, że żadnego nie urodzę? To się dowiedz, że sobie urodzę syna innego, o wiele lepszego, a nawet, żebyś dotkliwiej jeszcze został pokarany, wezmę za syna któregoś z moich pacholików i im dam te skrzydła i tę pochodnię, i ten łuk, i strzały nawet, i wszelki ten sprzęt, który do mnie należy, bo ja ci tego nie

dałam, żebyś z tego taki użytek robił! A czy to może z majątności twojego ojca łożono co na to twoje śliczne wychowanie?

[30] Tyś w ogóle nie był nigdy dobrze wychowany! Od dziecka! I łokcie miałeś zawsze spiczaste, i zawsześ starszych zuchwale popychał, i nawet matkę swoją, wyraźnie mówię: mnie samą, ty bezbożniku, codziennie obdzierasz i bijesz nieraz i, zaprawdę, jak tą wdową mną pomiatasz, i nawet się nie boisz twego ojczyrna, tego największego wojownika! A może nie? A może mu to na utrapienie moje nie raisz dziewczek i dziewczynek? Ale już ja się o to postaram, żebyś ty tych figłów pożałował i żeby ci się kwaśno i gorzko zrobiło od tych twoich zeniaczek!

Ale cóż ja, na pośmiewisko podana, mam teraz począć? Gdzie sobie pójść? Jak poskromić tego tu gada małego? Mamże iść o pomoc do mojej nieprzyjaciółki, tej Wstrzemięźliwości, z którą tylekroć zadarłam, pobłażając swawoli tego małego? Aż mnie dary przechodzą na myśl, że trzeba by gadać z tą babą nieokrzesaną i niechlujną. Ale co tam, nie trza pogardzać pociechą zemsty, gdziekolwiek by jej przyszło szukać. Tak, tak: do żadnej innej, tylko do niej trza mi się udać, ona da najdotkliwszego łupnia temu nicponiowi, wypróżni jego kołczan i rozbroi pociski, obluzuje cięciwę łuku, pochodnię zgasi, a i na jego skórę znajdzie ostrzejsze lekarstwa. A ja wtedy dopiero będę uważała, że krzywdzie mej zadość uczyniono, aż mu zgoli tę jego czuprynę, którą tymi oto własnymi dłońmi złotym blaskiem mu przetykałam, i aż obstrzyże te loki, które na łonie mym przesyciłam nektarem”.

[31] To powiedziawszy wypada za drzwi gniewna i rozjątrzona, aż się jej żółć wzburzyła. Ale zaraz się do niej zbliżyły Ceres i Juno, a zobaczywszy jej twarz wzburzoną pytać ją, czemu to ta chmura na czole gasi całą uroczą świetlistość jej oczu.

„Ach – odpowie – dobrze, że się nadarzacie, to może choć przemocą jakoś uspokoić to moje serce zgorączkowane. Ale was błagam, szukajcie mi tylko, ile wam sił starczy, tej Psyche, co mi uciekła i ulotniła się. Boście już pewnikiem słyszały te bajki rozgłosne o mej rodzinie i o sprawkach mego synka – niewartego tego imienia!!!”

Wtedy one wiedząc dobrze, co się stało, tak zaczynają uspokajając gwałtowny gniew Weneru:

„Cóż to takiego, pani nasza – powiadają – przeszkrobał twój synek, żeś taka zaciekła na to, co mu przyjemność sprawia, i że tę, którą on pokochał, koniecznie chcesz zgubić? Cóż to doprawdy za przestępstwo znowu takie, że czułe robi oczy do ładnej dziewczynki? Cóż to, nie wiesz, że to chłopczysko i już młodziak? Pewność też już zapomniła, ile to już ma lat? Czy też ciągle ci się dzieckiem wydaje, dlatego że z takim wdziękiem wiek swój nosi? I czy ty, coś matką, a prócz tego niewiastą rozumną, zawsze chcesz tak ciekawie wypatrywać jego figłów i wyrzucać mu jego swawolę, i wojować z jego miłośkami, i twoje własne rozkoszne sztuki ganić w ładnym chłopaku? A któż z bogów, kto z ludzi ścierpł ciebie, co wszędy wśród ludów namiętności rozżagwiasz, kiedy ty we własnym domu miłości miłować nie pozwalasz i zamykasz ten wszelaki warsztat grzeszków kobiecych?”

Tak to one przypochlebiali się swoją obroną uroczemu Kupidynowi – choć go przy tym nie było – a to z lęku przed jego pociskami. Ale Wenus rozdaśana tym, że ze śmiechem mówiły o zniewagach, jakich doznała, przeszła koło nich i ku morzu szybko się puściła.

KSIĘGA SZÓSTA

[1] Tymczasem Psyche nogi krwawiła w wędrówkach bez końca a w nieustannym za małżonkiem szukaniu. A im większa w sercu jej rozpacz, tym bardziej chciałaby go – choć tak rozgniewany – ubłagać, jeśli już nie pieszczotami małżeńskimi, to choćby łaski się, jak niewolnica, dopraszając. Raz zobaczyła jakiś chram na szczycie stromej góry.

„Któż może wiedzieć – pomyślała sobie – może to tam pan mój mieszka?” – i skierowała tam szybkie kroki. A choć utrudzona srodze już była nieustanną tułaczką, gnała ją nadzieja i śluby serca. I już z zapalem wspiawszy się na wyniosłe -wzgórze, wdarła się aż w pobliże siedziska bóstwa. Widzi tu kłosa zboża w snopie, a inne znów splecione w wianki. Widzi kłosa jęczmienia. Leżą tu i kosy, i wszelaki sprzęt żniwiarski, lecz wszystko porozrzucone tam i sam i bez troski o porządek, zasię jakby – jak się to w upał przygodzi – z rąk spracowanych żniwiarzy co ino wypadło. Wszystko to Psyche troskliwie rozdziela i porządnie sprzątając układa, jak się patrzy, tak się myśląc, że nie trza jej lekce sobie ważyć ani świątyni, ani obrzędów żadnego bóstwa, lecz ubiegać się o życzliwość i miłosierdzie wszystkich.

[2] Kiedy się tak pilnie a ochotnie krzątała, zaszła ją przy tym macierz-karmicielka Ceres i aż krzyknęła:

„Tyżeś to, Psyche, niebożę? To Wenus, zziajana z uganiaczki po całym świecie, jak szalona szuka śladów twoich i nad mękami najstraszniejszymi dla ciebie się głowi, i pomsty na ciebie wzywa ze wszystkiej swej mocy boskiej, ty zasię krzątasz się tu koło sprzętów moich i cokolwiek innego ci w głowie niż twoje ocalenie?”

Wtedy Psyche do stóp jej przypadła i potokami łez stopy bogini zlewając, a ziemię włosami zamiatając, wielorakimi prośby wybuchła i tak zmiłowania błagała:

„Na tę twoją prawicę płododajną cię zaklinam, na żniwa obrzędy radosne i na ciche koszów ci poświęconych tajemnice, na skrzydlate zaprzęgi smoków, parobków twoich, na bruzdy sykulskiej gleby¹⁷ i na wóz twój polotny, i na mocarną Ziemię; na zstąpienie Prozerpiny w kraj mrocznego zamęścia i na świetlisty powrót wasz po odnalezieniu córki, i na to wszystko, co w milczeniu ukrywa misterium attyckiej Eleuzis – na to wszystko zaklinam – użyż wspomżenia Psyche niebodze, błagalnicy twojej! Niechże się wśród tych zboża snopów choć dzionków parę zatają, aż czas ułagodzi straszliwy gniew potężnej bogini, albo przynajmniej skrzepię spoczynkiem siły moje, wyczerpane długim trudem”.

[3] Na to Ceres:

„Wzrusza mnie, doprawdy, twój płacz i prośby twoje i pomoc bym ci rada. Cóż, kiedy znowu nie mogę się narażać mojej krewniacze, dobrej zresztą kobiecie, z którą mnie prócz tego łączy związek bardzo dawnej przyjaźni. Musisz sobie tedy pójść co rychlej precz z tego obejścia; bacz jeszcze, żebym cię tu nie zatrzymała pod strażą”.

Odepchniętą tak wbrew nadziei i podwójnie zgnębiona dąży Psyche z powrotem. W dolinie, u stóp swoich, spostrzega przeglądającą przez gałęzie gaju kształtną świątynię, a nie chcąc opuścić żadnej, choćby i wątpliwej możliwości lepszej nadziei, ale raczej do łaski wszelakiego bóstwa zastukać – zbliża się do świątych podwoi. Spostrzega zaraz dary dzięk-

¹⁷ s y k u l s k a – sycylijska.

czynne kosztowne i suknie złotymi haftowane literami, a rozwieszono na gałęziach drzew i na dźwierzach; świadczyły one o łasce otrzymanej i wymieniały imię bogini, której je poświęcono. Wtedy ugięła kolana, a ramionami ołtarz, ciepły jeszcze, objęła i tak się modliła, łyż przedtem otarłszy:

[4] „Wielkiego Jowisza siostrzyco rodzona i małżonko – czy mieszkasz w chramie starożytnym na Samos, która się pyszni, iż ona tylko widziała twe urodziny, słyszała twoje kwilenie dziecinne i iż ona cię wykarmiła, czy przebywałeś w radosnych siedzibach wyniosłej Kartaginy¹⁸, co cię czci jako dziewicę przez lwa do nieba unoszoną, czy blisko wybrzeży Inachusa, co opowiada o tobie już jako małżonce Gromowładnego i królowej bogiń, czy tam opiekujesz się sławnymi murami Argiwów – ty, którą Wschód cały uwielbia jako Kojarzycielkę małżeństw, a cały Zachód zowie Lucyną – ty mi w mej doli okrutnej bądź Junoną Wybawicielką i mnie, zmordowaną przejściem takiej niedoli strasznej, wybaw od trwogi przed zwiastającą nade mną grozą. A wszakże, ile wiem, zwykłaś sama nieść pomoc niewiastom brzemiennym, przez nieszczęście zagrożonym”.

Na takie jej błagania objawiła się jej zaraz Juno w całym dostojnym majestacie swej boskości.

„Na pocziwość – powiada – jakżebyś chciała spełnić ci twoje prośby. Ale przystojność mi nie pozwala postępować wbrew woli Wenery, synowej mojej, którą zawsze jak córkę miłowałam. A teraz także – uważasz – nie pozwalają mi te prawa, co to zakazują dawania przytułku zbiegłym obcym poddanym, wbrew woli ich panów”.

[5] Zmiażdżona tym jeszcze ciosem doli Psyche, nie mogąc już znaleźć małżonka skrzydlatego i utraciwszy wszelką ocalenia nadzieję, tak sobie sama rozmyślać poczęła:

„Jakiejże ja mogę już innej w nieszczęściach mych pomocy szukać i na jaką się spuścić, ja, której nie mogą pomóc nawet najlepsze chęci bogiń? I gdzież mam znowu ja – zamknięta w takich obierzach – kroki skierować, w jakich to kątach czy nawet kryjówkach ciemnych się skryć, aby ujść wielkiej Wenery oczom nieuniknionym? Czemuż wreszcie po męsku nie wyrzec się tej pustej, wątłutkiej nadziei, dobrowolnie władczyni swej w ręce się nie oddać i tą prośbą, choć spóźnioną, nie przebłagać jej okrutnego gniewu? Któż zresztą wie, czy tego, którego tak długo szukam, nie znajdę tam, w domu matki jego?”

I tak przygotowana na poddanie się, w skutkach wątpliwe, ba, nawet do pewnej zguby wiodące, rozmyślała, od czego zacząć przyszłą pokutę.

[6] A Wenus, odrzucając ziemskie środki poszukiwań, do nieba chce się udać. Więc wóz każe przyładzić, który jej złotnik Wulkan kunsztownie zbudował i troskliwie wypolerował i który jej ofiarował jako dar ślubny, nim się w małżeństwo pojęli – dzieło wspaniałe dzięki delikatnemu wykończeniu i kosztowne przez samą stratę złota, jakie przy tym wykończeniu odpadło. Ze stada gołębi, co się pasą wokół sypialni władczyni, wylatują cztery śnieżyste i przekrzywiając lśniące szyjki, wtykają je w jarzmo błyskające od klejnotów; wsiada we wóz władczyni, a one radośnie ulatują. W świegotliwej wrzawie swawolą za wozem bogini wróble, a inne ptactwo wdzięcznie śpiewające zapowiada przejazd bogini w słodkich trylach i dźwięcznych harmoniach. Rozstępują się chmury i otwiera dla córki swej niebo, i sfery najwyższe radośnie przyjmują boginię, a rozśpiewany orszak wielkiej Wenery nie obawia się spotkania orłów ni jastrzębi drapiezców.

[7] Teraz kieruje się Wenus wprost do siedziby Jowisza i z dumną prośbą żąda przydania jej ku koniecznej pomocy Merkurego, boga o głosie donośnym. Nie ściągnęły się odmownie ciemne brwi Jowiszowe. Wtedy tryumfalnie wraca Wenus z niebios w towarzystwie Merkurego i tak do niego układnie powiada:

¹⁸ Mowa o Nowej Kartaginie, gdzie czczono fenicką boginię Tanith jako Juno Caelestis lub Virgo Caelestis.

„Bracie Arkadyjczyku¹⁹, ty przecie dobrze wiesz, że twoja siostra Wenus bez pomocy Merkurego nigdy niczego nie dopięła; nie tajne ci także, od jak dawnego już czasu nie mogę odnaleźć ukrywającej się przede mną niewolnicy. Nic mi tedy nie pozostaje, jak za twoim, jako herolda, pośrednictwem naznaczyć publicznie nagrodę za jej wydanie. Nuże tedy polecenia moje spiesznie wypełnij i wyraźnie opisz znaki szczególne, po których poznać ją można, ażeby – gdyby ktoś dopuścił się zbrodni niedozwolonego ukrywania jej – ażeby nie mógł się zaśłaniać i wymawiać, że jej nie poznał”.

I równocześnie daje mu kartę, gdzie zapisano imię Psyche i inne dane, po czym wraca do siebie.

[8] Jakoż Merkury posłusznie rzecz spełnił. Albowiem wszystkie narody przebiegając wypełniał włożony nań obowiązek ogłaszania, tak wywołując:

„Kto by mógł schwytać w ucieczce albo wskazać kryjówkę zbiegłej królowny i niewolnicy Wenery, Psyche imieniem, niech o tym doniesie za roгатkę Murcyjską²⁰ Merkuremu, który o tym zawiadamia; w nagrodę za doniesienie ono otrzyma od samej Wenery siedem słodkich pocałunków, a jeden najśodszy, bo z pieścziotliwym języka przytknięciem”.

Kiedy to tak Merkury ogłaszał, żądzą uzyskania takiej nagrody podnieciła okrutnie gorliwość wszystkich śmiertelnych. I ta to okoliczność teraz ostatecznie rozstrzygnęła wszelkie wahania Psyche. A kiedy się już tak zbliżała do wrót przybytku władczyni, zabiegła jej drogę jedna z czeladzi Wenery, Nawyczka Imieniem, i z miejsca co sił wrzeszczeć poczyną:

„Toś ty, słuęo nikkczemna, teraz sobie dopiero przypomniała, że masz jakąś panią? Czy – jakieś we wszystkim beczelna – tak i w tym udajesz, że nie wiesz, cośmy się to nie natrudziły szukając ino za tobą? Ale dobrze, żeś to w moje łapy wpadła, bo tak siedzisz już w samych obierzach Orkusa; teraz to sobie już bez ochyby bekniesz za taką beczelnością”.

[9] I łapę zuchwale we włosach jej uwikławszy wlokła ją za sobą, choć się tamta wcale nie opierała.

Skoro tylko Wenus Psyche spostrzegła – kiedy ją wprowadzono i przed nią postawiono – parsknęła okrutnym chichotem, takim, jakim się czasem śmieje ktoś szalejący z gniewu, i potrząsając głową i trąc sobie ucho prawe powiada:

„O, toś dopiero teraz raczyła pozdrowić swoją świekrę? Czy też może raczej przysłałaś w odwiedziny do twego małżonka, chorzejącego i poranionego dzięki tobie? Ale już ty się nie bój, już ja ciebie przyjmę tak, jak się godzi przyjąć miłą synową – i woła: Hola! A gdzie tam służki moje Opuszczenie i Zgryzota?”

Za czym przyzwawszy je, oddała im ją na męki. Te zaś wedle rozkazu pani Psyche niebożę wychłostały, wszelkimi męczarniami wydręczyły i taką ją znowu przed oczy władczyni odwodzą. Wtedy znowu śmiechem wybuchnęła Wenus.

„Patrzcie – powiada – toć ona mnie wzrusza tym swoim wydętym, rufiańskim brzuchem! Bo to przecie ona mnie zrobi szczęśliwą babcią dzięki jego przesławnemu płodowi. Jakaż to ja szczęśliwa, że, choć-em jeszcze w samym kwiecie wieku, a już się będę babcią nazywała, a nędznej słuęi bęben będzie się wabił wnuczkiem Wenery! Chociaż głupiam, że go – całkiem niepotrzebnie – nazywam „synem”: to był przecie mezalians! A oprócz tego nie można uważać za prawowite małżeństwa zawartego w jakiejś dziurze wiejskiej, bez świadków, bez zgody ojca! To żaden syn nie będzie, tylko bękart, jeśli ci w ogóle pozwolę donosić płód”.

[10] Po tych słowach rzuca się na nią, szarpie na niej w strzępy suknie, wydiera jej włosy, bije po głowie i okrutnie dręczy. Potem bierze ziarna zboża i jęczmienia, i prosa, i maku, i cieclerzycy, i soczewicy, i bobu i razem to wszystko przemieszawszy zgarnia na jedną kupę i tak do Psyche mówi:

¹⁹ A r k a d y j c z y k – Merkury, urodzony w Arkadii.

²⁰ r o g a t k a M u r c y j s k a – (*meta Murcia*) znajdowała się w Rzymie, w obrębie *Circus Maximus*, gdzie stała stara kapliczka Murcji utożsamianej z Wenerą.

„Taka szpetna sługa, jak ty, to już ci niczym innym łaski swych gachów sobie nie skarbi, ino tym, że im we wszystkim, co ino zechcą, powolna. Ano, wypróbuję ja, coś ty sama warta: przebierzesz mi tę całą pomieszaną kupę tych nasion, każdy rodzaj ziaren jak się patrzy wydzielisz z osobna i ułożysz – i żebyś mi się przed tym wieczorem wykazała, żeś pracę wykonała”.

I wskazawszy jej kupę tych najprzeróżniejszych nasion, sama poszła na jakąś ucztę weselną.

Psyche zaś nawet ręką nie ruszyła ku tej pracy tak zawiłej, że zgoła nie do wykonania, ale zmiażdżona potwornym zadaniem patrzyła zmartwiała w milczeniu. Wtedy to malutka polna mróweczka, widząc niesłychaną trudność tej pracy, a ulitowawszy się tej, co łoże dzieliła z potężnym bogiem, do żywego oburzona okrucieństwem świekry, krzątać się co żywo poczyną i zwolywać, i zbierać cały naród mrówek w sąsiedztwie zamieszkałych.

„Ano, zlitujcie się – woła – my skrzętne wychowanki wszechmacierzy Ziemi, zlitujcie się i małżonce Amora, takiej wdzięcznej niewiastce, srodze utrapionej, pomóżcie co żywo!”

Nadpływają na to nowe i ciągle nowe fale szczęśliwych ludów i wszystkie jak najskrzętniej po ziarenku całą kupę rozbierają i osobno rozdzielwszy i rozłożywszy wszystkie nasion rodzaje, co prędzej z oczu znikają.

[11] A tu, pod noc już, wraca Wenus z biesiady weselnej. Wino jej szumi w głowie, a wonnościami ocieka całe ciało opasane setką kraśniejących róż. Zobaczywszy, z jaką skrzętnością pracy dokonano, mruczy:

„Ej, nie twoja to, ty ladaco jedno, ani twoich dłoni praca, ale tego, któremuś do serca przypadła na twoje, ale i na jego nieszczęście” – i cisnąwszy jej glonek chleba uschłego spać se poszła.

Tymczasem Kupidyna zamkniętego samiuteńkiego w jednej izdebce, w głębi pałacu, strzeżono surowo i dlatego, by sobie – w rozpuście i swawoli – znowu rany nie rozjadził, i dlatego, by się nie spotkał ze swą miłą. Tak przecierpeli ciężką noc kochankowie oderwani od siebie i oddzieleni, choć pod jednym dachem.

Ale za ledwie znowu Jutrzenki rumaki na niebo wyjechały, każe Wenus wołać Psyche i tak jej powiada: „Widzisz ty ten gaj, co ciągnie się daleko wzdłuż brzegów rzeki, a spływa z tej góry niedalekiej? Tam, w nim, chodzą sobie i pasą się nie strzeżone przez nikogo owce, których runo lśni się i połyskuje złotem. Ja ci rozkazuję, żebyś mi natychmiast z tej wełny drogocennej jeden kosmyk tu przyniosła; jak go tam dostaniesz, to twoja rzecz”.

[12] Puściła się Psyche chętnie w drogę – choć nie dlatego, by się posłuszną okazać, ino żeby się tam rzucić ze skały nadrzecznej i znaleźć ukojenie dla swych mąk. Ale wtedy z rzeki tak się proroczym głosem odzywa zielona trzcina, narzędzie wdzięcznej muzyki²¹, w którą cichym poszumem zadął łagodny a wieszcz wiew wiatru:

„Psyche – choć takaś niedolą ciężką skołatana, nie plam ty moich wód świętych nieszczęsną swą śmiercią; nie szukaj także w tej chwili przystępu do tych potwornych owiec. Gdy słońce zlewa na nie strumienie swego żaru, budzi się w nich dziki szał i wtedy srożą się one na zgubę ludzi ostrymi rogami i twardym jak kamień łbem, a czasem i jadowitymi ukąszeniami. Skoro jednak minie południe i uśmierzy się skwar słoneczny, uspokaja je łagodny, chłodny dech rzeki; wtedy możesz się ukryć pod tym najbliższym platanem, co ze mną pije z jednej strugi. A skoro tylko całkiem minie szał owiec i gdy całkiem przyjdą do siebie, przetrząśnij gałęzie tego gaju, a znajdziesz złote kudły, które się pozaczepiały na wystających pędach”.

[13] Tak to po prostu trzcina – ludzkości pełna – nieszczęsnej Psyche drogę do ocalenia wskazała. Posłuchała tedy – a nie miała tego posłuchu pożałować – i nauczona należycie ode-

²¹ trzcina, narzędzie... muzyki – z trzciny pasterze sporządzali tzw. multanki (po grecku: *sy-rinks*).

szła Psyche. Dochowała wszystkich poleceń i przyniosła Wenerze cały podolek pełen miękiego, lśniącego złota, zdobytego nietrudną kradzieżą. Ale nie dosłużyła się przecie pochwały u władczyni i tą niebezpieczną, a pomyślnie spełnioną pracą, bo Wenus brwi ino ściągnęła i cierpko się uśmiechając, tak powiada:

„Mnie się tam nie utai przewrotny twój i w tej sprawie pomocnik. Ale już ja się teraz wywiem sumiennie, czyś to taka bohaterka i taka przemądrała. Widzisz ty na szczycie tej wielgachnej góry tę stromą turnię, z której – z mrocznego źródła – wytryskają czarne wody, wpadają w zagłębienie sąsiedniej doliny, wpadają do bagien styksowych i zasilają posepnie huczące strugi Kocytu? Stamtąd ty mi, z głębi samiuteńkiego źródła, zaczerpniesz płynu zimnego jak śnieg i natychmiast przyniesiesz w tej flasce”. – To mówiąc wręczyła jej naczynko w kryształ wyrzeźbione, dodając groźby kar jeszcze straszniejszych.

[14] Za czym Psyche znowu skwapliwie i spiesznie dąży na najwyższy szczyt góry, aby tam już przynajmniej znaleźć koniec straszego życia. Ale dopiero gdy doszła w pobliże wskazanego jej grzbieciska, zobaczyła, jakie są naprawdę śmiercią grożące przeszkody tego przedsięwzięcia. Turnia bowiem wysoka, ze szczytu nie dojrzeć, niedostępna, stroma i śliska, ze środka skalnej rozpadliny wodami strasznymi jakimiś rzygała. Wody te, zaledwie wypadły z koryta spadzistego wyłomu, rzucały się ze stoku i w wąskim kanale wydrążonego przez siebie żlebu ukryte, oczom niewidoczne, wpadały do najbliższej doliny. Z prawej i lewej strony wypelzają ze szczelin skalnych potworne smoki długie szyje prężące, o ślepiach nigdy się nie mrużących i zawsze czuwających żrenicach. A i wody same się przez się broniły, różne głosy wydając. Z nagła z nich bowiem zrywały się krzyki, jak: „precz!” i „co robisz?” – „uważaj!” i „co z tobą?” – „strzeż się!” – „uciekaj!” i „śmierć ci!”. Tak tedy Psyche, jak skamieniała na widok samej niemożliwości przedsięwzięcia stała tam, ciałem wprawdzie obecna, ale nieobecna duszą i całkiem przytłoczona potwornością niebezpieczeństwa bez ratunku, nie miała nawet ostatniej pociechy: pociechy płaczu.

[15] Ale cierpienie niewinnej duszyczki nie uszło mądrym oczom dobrej Opatrzności. Albowiem najwyższego Jowisza ptak królewski, ów orzeł drapieżny, nadpłynął nagle na rozpiętych szeroko skrzydłach. Przypomniawszy sobie, jak raz dawno, spełniając dany rozkaz, dostawił – dzięki temu, że drogę mu wskazywał Kupido – jak dostawił Jowiszowi pewnego Frygijczyka²², który mu miał być podчасzym. Teraz chcąc uczcić majestat owego pomocnego mu wtedy bóstwa przez to, że małżonce jego w niebezpieczeństwie użył potrzebnej pomocy, opuścił boskie ścieżki wysokich sfer i krążąc koło twarzy niewiastki tak rzekł:

„O ty, głupiutkie stworzenie, rzeczy tak strasznych zgoła nieświadome – ty myślisz, że ci się uda zabrać, a nawet choćby tylko dotknąć jednej kropli tego źródła najświętszego, ale i niemniej straszliwego? Słyszałaś ty przynajmniej kiedy, że bogowie, a nawet, sam Jowisz drży przed tymi wodami styksowymi? Że jak wy na majestat bóstw zwykliście przysięgać, tak bogowie na majestat Styksu? Ale dawaj no tę flaszeczkę!”

Za czym natychmiast chwytając ją, ścisnęła w szponach i spiesznie wając się na ogromnych skrzydłach i sterując to na prawo, to na lewo, przelatuje mimo paszcze najeżone kłami i trójskrętnie pierścieniące się odwłoki smoczycielskich. Krzyczy nań woda, by poszedł precz, póki cały, ale jemu udaje się jej naczepić; zmyśla przy tym, że bierze ją z rozkazu Wener, której tym służy; dzięki temu mógł nieco łatwiej wymknąć się z powrotem.

[16] Z radością okrutną wzięła odeń Psyche pełne naczynko i co prędzej Wenerze odniosła. Ale nawet i teraz nie mogła przebłagać rozszalonej bogini. Ta bowiem, złowrogo się uśmiechając, tak do niej powiada z groźbą większych jeszcze i straszniejszych udęczeń:

„Już ja to widzę, że z ciebie kuta i nie byle jaka czarownica, żeś to tak skoro wypełniła takie moje zlecenie. Ale mi jeszcze w tym, moja córeczko, usłuzysz: Weź no se tę skrzyneczkę – tu ją jej podała – i jazda mi teraz z miejsca do podziemia i do piekielnych penatów samego

²² Frygijczyk – Ganimedes, syn trojańskiego króla Laomedonta.

Orkusa. A jak będziesz podawała tę skrzyneczkę Prozerpinie, to tak jej powiedz: -Wenus cię prosi, żebyś jej posłała krzynekę ze swej gładkości, odrobinę – tyle, żeby na jeden dzionek starczyło. Wszystko bowiem, co miała, zużyła do cna, pielęgnując chorego synka”. Ino mi się spiesz, bo już tym wymaszczona muszę pójść na teatr, co go bogowie urządzają”.

[17] Teraz uczuła Psyche jak nigdy, że tu już jej koniec, i odrzuciwszy osłonki złudzeń jasno sobie powiedziała, że teraz już ją na pewną zgubę posyłają. Bo i jakże? Przecie to ją zniewolono, żeby na własnych nogach, dobrowolnie, do Tartaru szła i w kraj cieni! Za czym bez wahania już biegnie na pierwszą lepszą spostrzeżoną wysoką wieżę, aby się stamtąd rzucić; pomyślała se bowiem, że i do piekła najprościej i najgładziej tym sposobem zajdzie. Ale wieża z nagła ludzkim głosem przemówiła:

„Czemuż ty, nieboże – powiada – chcesz sobie głowę rozbijać? Czemuż się tak nierozważnie uginasz przed tą ostatnią niebezpieczną pracą? Albowiem wiedz, że gdy się dusza twa raz rozłączy z ciałem, to zaiste dostaniesz się wprawdzie od razu do Tartaru, ale już żadnym sposobem stamtąd ci nie wrócić. Posłuchaj no mnie.

[18] Lacedemon, zacny gród achajski, jest stąd niedaleko; w jego to sąsiedztwie trza ci poszukać przylądka Tenaron, w bezdrożnych okolicach zatajonego. Tam to jest otchłań Disa, przez ziejące zaś wejścia widna droga bezdrożna. Tę granicę przejdiesz i tą puścisz się drogą, za czym już prościutko dojdiesz do samego pałacu Orkusa. Nie możesz tylko iść przez te mroczne krainy z pustymi rękami, ale musisz nieść w obu rękach placki jęczmienne, z miodem wypiekane, a w samych ustach dwa miedziaki. Kiedy zaś już przebędziesz dobry szmat śmiertelnej drogi, spotkasz kulawego osła dźwigającego drwa i tak samo kulawego oślarza, który cię prosić będzie, byś mu podała kilka drewek, które wyleciały z jego brzemienia; ty jednak nie mrukuj i słoweczka, ale miń go w milczeniu. Za czym już bez przeszkody dojdiesz do rzeki zmarłych. Rządzi tam Charon, co przede wszystkim zapłaty za przewóz żąda i tak dopiero na drugi brzeg przewozi wędrowców w wątlym czółnie. Widno, że chciwość żywa jest i między umarłymi, skoro nawet ten Charon – ojciec samego Disa – bóg tak znaczny, a nic za darmo nie robi; toż to jak biedaczysko jakiś umiera, to trza mu szukać miedziaka na przewoźne, a jak przypadkiem nie ma go pod ręką, to nikt choremu umrzeć nie pozwoli. Temu plugawemu staruchowi dasz za przewoźne jednego miedziaka z tych, które będziesz niosła, tak jednak, aby go sam swoją dłonią z ust ci wyjął. Tak samo, kiedy cię podczas przeprawy przez tę samą falę będzie błagał jeden starzec umarły wpław płynący, kiedy cię będzie błagał dłonie do ciebie wznosząc spróchniałe, byś go wciągnęła do czółna – nie daj się unieść niedozwolonej litości.

[19] Gdy się przez rzekę przepawisz i znów kawał drogi ujdiesz, będą cię prosić staruchy płótno tkające, byś im nieco własnymi rękami pomogła; ale tobie nie godzi się tego dotknąć. Wszystko to bowiem i wiele jeszcze innych różnych rzeczy – wszystko to są sidła na ciebie przez Wenere zastawione, abyś choć jeden placek z rąk wypuściła. I nie myśl, że ten marny placuszek to by była niewielka strata: jeślibyś bowiem jeden tylko taki zaprzepaściła, to już byś zaiste nie ujrzała tego słońca. Pies bowiem olbrzymi, z trzema niemalymi paszczami, potworny i straszliwy, oszczekuje warczącymi gardzielami umrzyków strasząc ich niepotrzebnie, bo im i tak nic już złego zrobić nie może; on to przed samym progiem mrocznych komnat Prozerpiny, nie znający spoczynku, strzeże pustego pałacu Disa. Jemu dasz na pożarcie jeden placuszek, a gdy się na niego rzuci, miniesz go łatwo i wejdiesz już do izby samej Persefony. Przyjmie cię ona łaskawie i gościnnie, tak że zaprosi nawet, byś se legła wygodnie i zjadła obfite śniadanie. Ale ty usiądź na ziemi, poproś ino o skibkę razowca i to zjedz; potem zaś powiedz, z czym przyszedłeś, weź to, co ci da, a wracając ulagodź rozszalonego psa drugim placuszką. Następnie daj chciwcowi przewoźnikowi drugiego miedziaka, któryś przechowała, przepraw się przez rzekę i idąc swoimi własnymi śladami, wracaj pod to niebo i korowód jego gwiazd. Ale przede wszystkim tego okrutnie musisz przestrzegać, by ci chętką

nie przyszła otworzyć ową szkatułkę, którą będziesz miała, albo zajrzeć do niej czy w ogóle na ten tak troskliwie ukryty skarb boskiej urody”.

[20] Tak to owa proroczy wieża dała folgę swemu darowi wieszczemu.

Bez zwłoki dąży tedy Psyche na Tenaros i jak przykazano, wzięwszy owe miedziaki i placuszki, puszcza się co żywo ścieżką piekielną. Jakoż minęła w milczeniu kulawego oślarza i dała przewoźnikowi miedziaka opłaty, nie uległa błaganiom starca wpław się przeprawiającego i odmówiła podstępnyim prośbom tkaczek, smakowitym placuszkiem ugłaskała wściekłą zajadłość psa i weszła do mieszkania Persefony. Nie przyjęła miękkiego siedzenia, jakie bogini gościowi ofiarowała, ani pysznego pokarmu, ale u stóp jej na ziemi usiadłszy, zadowolila się razowcem i tak spełniła poselstwo Wenery. Za czym bez zwłoki odebrała szkatułkę, w tajemnicy przez Prozerpinę napełnioną i zamkniętą, chytrze drugim placuszkiem zatkała ujadające psie paszcze i oddawszy przewoźnikowi pozostałego miedziaka – o ileż weselsza! – z podziemia pędem wróciła. A kiedy już zdażyła na ten jasny świat, kiedy nań z uwielbieniem spojrziała, to – choć jej spieszno było, by nakazaną pracę już ukończyć – nagle zdjęła ją płocha ciekawość:

„Jakaż ja głupia – pomyślała sobie – to ja niosę tu boską piękność, a ani odrobineczki sobie z niej nie uszczknę, choćby żeby kochankowi memu urodziwemu być miłszą” – i równocześnie skrzynkę otwarła.

[21] A w tej skrzynce piękności żadnej nie było ani nic innego. Ino sen śmiertelny i prawdziwie stygijski²³, który, ledwo uniosła nakrywkę, opadł na nią i mgłą ciężkiego bezwładu rozlał się po całym jej ciele, i wziął w posiadanie tak, że na tym miejscu od razu na tę ścieżkę osunęła się śpiąca. I leżała tam bez ruchu zgoła i taka jak ten trup śpiący.

Tymczasem Kupido odzyskał już siły, bo mu się rana całkiem zagoiła, a dłużej już rozłąki ze swoją Psyche znieść nie mogąc, wyfrunął z izdebki, gdzie go więziono, przez wysoko umieszczone okienko. A że to skrzydełka mu odpoczęły i dzięki długiemu odpoczynkowi o wiele chyżej latał, więc do Psyche swojej migiem się dostał. Sen z niej troskliwie obrał i znowu go do dawnego schowka w puszcze wtłoczył, po czym leciuchno ją dotknął ostrzem swej strzały i tak do niej powiada:

„Już by cię znowu, niebożę, była ta twoja ciekawość zgubiła! Ale teraz, nuże, wypełnij prędzej, co ci mać moja zleciła, a ja się o resztę zatroszczę”.

Po tych słowach uleciał lekki kochanek. Psyche zaś odniosła natychmiast Wenerze dar Prozerpiny.

[22] Tymczasem Kupido, trawiony zarem miłości, z buzią żalną, lękając się nagle obudzonej względem siebie surowości matki, wraca do swych dawnych sposobów: na chyżych swych skrzydłach na wierzchołek nieba się wzniósłszy uderza w prośby do Jowisza i przed nim sprawy swej broni. Wtedy Jowisz pod brodę go bierze, główkę jego dłonią do ust swych przygina, całuje i tak doń powiada:

„Już to ty mi, mój panie synu, nigdyś tej dostojności nie pozwolił zachować, którą mi bogowie zgodnie przyznali. Jużeś ty mi to serce moje, rodzące prawa, co rządzą żywiołami i ruchami gwiazd, jużeś ty mi je ciągle ranił swymi pociskami! Jużeś mi je mącił raz po raz nasyłaniem na nie ziemskich żądz, i to wbrew przepisom prawnym i nawet samemu prawu Julijskiemu²⁴, i wbrew obyczajności publicznej! Dobrą moją sławę dobrześ na szwank wystawiał tymi cudzołożnymi historyjkami, tym, że – a wszystko przez ciebie – że dostojną mą postać haniebnie przeobrażać musiał w smoki, w ogień, w potwory, w ptaki, w bydłota wszelkie! Ale – wiem to już, że za dobrotliwy – ale żeś mi na tych rękach moich wyrósł, to już ci wszystko daruję, żebyś się ino umiał sam obronić przed nieprzyjaciółmi i żebyś – jeśli

²³ sen... prawdziwie stygijski – tj. taki, w jaki zapadają krzywoprzysiężni bogowie na cały rok.

²⁴ prawo Julijskie – *lex Julia de adulteriis*, prawo o cudzołóstwach, wydane przez Augusta.

tam znowu jest gdzie na ziemi jaka śliczna dziewczucha – żebyś mi się nią odplacił za moją dobroć teraz dla ciebie”.

[23] To powiedziawszy rozkazuje Merkuremu natychmiast bogów wszystkich na wiec zwoływać i oznajmić, że gdyby się który z niebian nie stawił, zapłaci karę w wysokości dziesięciu tysięcy złotych. Wskutek tej groźby wypełnił się zaraz szczelnie niebiański amfiteatr. Za czym Jowisz potężny tak się z wysokiego siedziska odzywa:

„Bogowie, zarejestrowani²⁵ na tablicach Muz! Wszystkim wam zaiste wiadomo, że tu oto miedziaka na rękach mych wychował. Tedy postanowiłem, że zbyt gorące tej pierwszej jego młodości porywy okiełzać jakoś trzeba; dość on już osławiony codziennymi na całym świecie pogwarkami o cudzołóstwach i wszelkich sprośnych grzeszkach. Trza mu odebrać sposobność wszelaką, trza spętać małżeńskimi dybami swawolę jego chłopięcą. Wybrał sobie dziewczuchę i wianek jej zabrał: niechże ją sobie ma, niech ją sobie trzyma w objęciach i wiecznie się jej miłością cieszy”.

Tu zwrócił się do Wenery:

„Ty zasię, córeczko – powiada jej – zбайд obawy, iżby się w czym – skroś tego małżeństwa z ziemianką – przyćmił blask twojej rodziny. Już ja to sprawię, że to nie będzie meza-lians, ale małżeństwo prawowite i prawe”.

I z miejsca każe Merkuremu, aby wziął Psyche i do nieba sprowadził. Za czym, podając jej ambrozji puchar, mówi:

„Wypij to. Psyche, i nieśmiertelną się stań. I niech nigdy nie rozłączy się z tobą Kupido, ale niech te zaślubiny wasze na wieczność całą będą”.

[24] Za czym bezzwłocznie zastawiono wspaniałą ucztę. Legł na pierwszym miejscu małżonek. Psyche do piersi tuląc, a podobnie ułożył się z Junoną Jowisz, a potem kolejną należną wszyscy bogowie. Wtedy puchary nektaru, tego bogów napoju, podawał Jowiszowi jego podczaszy, ów chłopak wsiowy – innym zasię Liber. A kuchcił przy uczcie tej Wulkan, Hory szkarłatem róż i innych kwiatów wszystko stroiły, Gracje wonnościami wszystko zraszały. Muzy nuciły głosem wdzięcznym, Apollo śpiewał przy dźwiękach liry, Wenus do tonów skocznej muzyki pięknie tańczyła, tak sobie przyładziwszy orkiestrę, że Muzy tworzyły chór albo grały na fletach, a Satyr i jeden Faunik towarzyszyli na szałamajach²⁶. Tak to legalnie wyszła Psyche za Kupidyna. Urodziła się im potem urodziwa córka, którą zowiemy Rozkoszą.

[25] Taką to historyjkę opowiadała porwanej dziewczynie starca dzieciinniała i podchmielona; ja zasię, com tam stał nieopodal, żalowałem, dalibóg, że nie miałem ryłca i tabliczek, żeby tak uroczą bajeczkę sobie zapisać.

A tymczasem po jakiejś widno ciężkiej walce wracają zbóje obładowani zdobyczą; wielu z nich jednak, co odważniejszych, jest rannych. Tych w domu zostawiono, żeby się z ran lizali, inni zasię gotują się do wymarszu po resztę łupów ukrytych – jak powiadali – w jakiejś kryjówce. Przetrącili tedy ino coś łapczywie, po czym mnie i konia mego, z którym miałem dźwigać te rzeczy, wyprowadzili, kijów nam tam nie żalując na drogę. Wymordowali nas setnie po jakichś drogach górzystych i bez końca kołujących i pod sam już wieczór doprowadzili do jakiejś jaskini, tam obładowali, czym się dało, i nie dawszy nawet mgnienia czasu odpocząć, pognali z powrotem z takim pośpiechem, że mnie zagnali kijami na jakiś głąz podle drogi, na którym się przewróciłem; ale i wtedy mnie jeszcze bez przestanku tłukli i wstać zmuszali, choć-em sobie rozbił porządnie prawą nogę i lewe kolano.

[26] Jeden z nich powiada przy tym:

– A dokądże będziemy za nic żywić to zdychające oślisko, teraz jeszcze w dodatku kula-we? A drugi na to:

²⁵ b o g o w i e z a r e j e s t r o w a n i – tak nazwani przez analogię do rzymskich senatorów (*patres conscripti*).

²⁶ s z a ł a m a j a – pasterski instrument muzyczny.

– A pewno, bo to i złą chyba nogą w nasze wlażł obejście! Od tego czasu to nie tylkośmy nie mieli żadnego uczciwego połowu, ale same rany i stratę co najdzielniejszych kamratów.

– Niechże mnie powiesz – powiada trzeci – jeśli ja, skoro tylko te tłumoki, choć mu to nie w smak, do domu doniesie, jeśli ja go na łeb z góry nie strącę; będą miały z niego sępy smakowite żarcie.

Tymczasem, kiedy tak ci dobrzy ludzie ze sobą się kłócą, jak mnie zakatrupić, już i do domu przybyliśmy. Bo strach skrzydła mi do kopyt przyprawiał. Wtedy ściągnęli z nas spieszenie ciężary i co żywo, nie myśląc zupełnie o nas ani nawet o zatłuczeniu mnie, zabrali tych rannych towarzyszy, co przedtem w domu zostali, i znowu wracają, chcąc już sami – bo powiadali, że ich już mierzi nasza rozlazłość – zabrać resztę łupu do kryjówki.

A ja tam tymczasem niemało się biedziłem rozmyślając nad śmiercią, którą mi zagrozili. I tak sam do siebie powiadam:

No i cóż tak stoisz jak drag, mój Lucjuszu? Czego jeszcze nowego czekasz? Śmierć, i to okrutną, postanowili ci zbóje. Zrobią to bez wielkiego zachodu: widzisz te stoki skaliste tuż obok, najeżone ostrymi jak noże głazami? Na nich się poszarpiesz na strzepy, zanim doleczysz na dół. Bo i ta twoja przesławetna magia dała ci tylko kształty osła i jego nędzę, ale nie dała tęgiej osłej skóry, ino błonkę cieniutką jak u pijawki. Czemuż się tedy nie zdobędziesz wreszcie na męską stanowczość i, póki można, nie pomyślisz o swym ocaleniu? Jak długo zbójów nie ma, masz doskonałą sposobność do ucieczki! Boisz się może, że cię nie puści ta na pół uskwierkla starucha, z którą chyba jednym kopytem twojej łapy kulawej możesz skończyć sprawę? Ino gdzież tę ucieczkę skierować? Kto mnie przyjmie w gościnę? Ale cóż to znowu za głupie i doprawdy osłe rozmyślanie! Bo i jakież wędrowiec, znalazłszy sobie podjezdka, nie zabrałby go z sobą?

[27] Za czym jednym mocnym szarpnięciem zrywam rzemień, którym byłem przywiązany, i ruszam z miejsca co sił w czterech kopytach. Ale nie potrafiłem umknąć się sępiom ślepiom chytreńkiej staruchy. Gdy bowiem tylko zoczyła, że się urwał, chwyciła rzemień z odwagą, jakiej by się nikt nie spodziewał po jej wieku i płci – i usiłuje mnie zawrócić i odwołać. Ja tam znowu, pamiętny zabójczego zamiaru zbójów, nie dałem się powodować żadnej litości, tylko jakem w nią wierzgnął zadnimi kopytami, to ino o ziemię grzmotnęła. Ale choć się na ziemi rozciągnęła, to rzemienia trzymała się kurczowo, że ją, tak biegnąc, włókł za sobą kilkanaście kroków. Równocześnie poczęła z wrzaskiem i wyciem żlamdać o pomoc jakiejś mocniejszej dłoni. Ale na próżno pusty zgłębieniem swym czyniła, bo nikogo nie było, kto by jej mógł być pomóc, prócz owej dziewczyny branki, co krzykiem wywabiona wybiegła i spostrzegła widowisko pamięci godne: oto Dirkę²⁷ stuletnią, ale wleczoną nie przez byka, lecz przez osła! Ale w dziewczynie męska zbudziła się odwaga i tak zdobyła się na czyn nie byle jaki: wydarła starej rzemień z rąk i wstrzymawszy mnie pieścizłowymi słówkami w pędzie, co żywo na mnie wskakuje i teraz dopiero podpędza!

[28] Ja zaś i przeto, że sam chciałem uciec i że mi uwolnienie dziewczyny bardzo na sercu leżało, i że mnie kijaszek gęsto popędzał, leciałem jak rumak, tętniąc o ziemię czterema kopytami i usiłując rzeniem odpowiadać na jej słodkie zachęty. Czasem zasię – niby to, żeby sobie grzbiet poczochnąć – obracałem łeb i całowałem śliczne nóżki dziewczyny. Wtedy ona wzdychała głębiej i zalęknione oczy ku niebu wznosząc, szeptała:

– O bóstwa, wy mi wreszcie pomóżcie w strasznych tych niebezpieczeństwach, a ty. Dolo zbyt sroga, już się srożyć przestań! Już ci dostateczną złożyłam obiatę tymi moimi udęczeniami strasznymi. Tobie zaś, obrońco mej wolności i poręko mego ocalenia, jeśli mnie cało dowieziesz do domu i oddasz rodzicielom i memu urodziwemu narzeczonemu – jakżeż ja to-

²⁷ D i r k e – synowie Antiopy, mszcząc się za krzywdę swej matki, przywiązali Dirke do dzikiego byka, który wlokąc ją w biegu przyprawił o śmierć. Jest to tematem rzeźby znanej pod nazwą „Byk Farnezyjski”, zachowanej w muzeum neapolitańskim.

bie będę wdzięczna, jakżeż koło ciebie chodzić będę, jakimi przysmakami cię obsypię! Naprzód ci tę grzywę twoją ślicznie zaczeszę i ustroję moimi dziewczynskimi naszyjnikami, a przedtem jeszcze te kudełki na czole wdzięcznie ci we dwa warkoczyki zaplotę; koło włosienia zaś ogona skołtunionego i paskudnego – bo ci go nigdy nie myją – krzątać się będę troskliwie, aż zmięknie. Obwieszę cię chmurą złotych ozdób, że będziesz błyszczał, jakbyś miał na sobie wszystkie gwiazdy niebieskie, i będziesz chodził sobie tryumfalnie i uroczyście wśród radosnego zbiegowiska tłumów; ja zaś będę ci w fartuchu jedwabnym przynosiła ziarna i różne przysmaki i będę nimi ciebie, zbawcę mego, codziennie opychała.

[29] Ale oprócz tych smakołyków, prócz tego, że sobie będziesz ino wypoczywał, prócz tego królewskiego życia będziesz miał jeszcze i godną sławę. Albowiem ja świadectwem wieczystym utrwale pamięć obecnej mej przygody i poświęcę w atrium domu mego na tablicy malowanej obraz tej ucieczki. Będzie uwieczniona w piśmie i w słowach opowieści i rylcem kunsztmistrzów prosta historia „o księżniczce, co na osłe uszła z niewoli”. Będziesz jako jedno z tych cudownych wydarzeń, o których opowiada starożytność. Prawdziwość zdarzenia z tobą wiarygodna się stanie dzięki opowieści o Fryksosie, co pływał na baranie, o Arionie, co na delfinie żeglował, i o Europie, która na byku jeździła. A jeśli rzeczywiście pod postacią byka porykiwał Jowisz, to i skóra mojego osiołka pokrywa może jaką istotę ludzką czy boską.

Kiedy tak dziewczyna ciągle i ciągle paplała, z obietnicami westchnienia mieszając, przybyliśmy do jakiegoś rozdroża; tam ona, szarpiąc za uzdę, na wszelki sposób na prawo zawrócić mnie usiłowała, na drogę, która – widno – do rodziców jej prowadziła. Ale ja pamiętając, że to tamtędy właśnie poszli zbóje po resztę swej zdobyczy, co sił się opierałem i tylko w milczeniu tak się w sercu mym żaliłem:

– Cóż ty czynisz, nieszczęsna dziewucho, co robisz? Tak ci to spieszno do Orku? Czemuż to konieczne gwałt chcesz zadać moim kopytom? Toż na zgubę gnasz nie tylko samą siebie, ale i mnie!

A kiedyśmy się tak ze sobą zmagali, jakbyśmy się prawowali w jakim sporze o granice roli, o sprawę przynależności skiby czy raczej o oznaczenie drogi, zaskoczyły nas zbójaszki we własnych osobach, obładowane swymi łupami; z daleka już poznali nas przy świetle księżycy i powitali śmiechem złośliwym.

[30] Jeden z nich woła do nas:

– O, dokądże to wam tak spieszno tą drogą po nocy? Że się też to nie boi po ciemku duchów i straszdeł? Toś ty, panienczko poczciwa, pewno się tak śpieszyła, żeby tatusia z mamusią odwiedzić? Czekażże, już my się zaopiekujemy twoją samotnością i pokażemy ci drogę do mamusi!

A drugi, czynem to zatwierdzając, porwał za uzdę i zawrócił mnie nazad, nie żałując, jak zwykle, sękatego kija. Wtedy, po niewoli wracając ku czekającej mnie zgubie, przypomniałem sobie, że mnie przecie kopyto boli, i zaczynam kuleć a łbem przy tym kiwać.

– Dobryś – powiada na to ten, co mnie z powrotem ciągnął – teraz się znowu zataczasz i utykasz: to te twoje połamane kikuty tylko uciekać potrafią – chodzić to nie? A przed chwilką to byłbyś skrzydlatego Pegaza prześcignął!

I kiedy tak ze mną ten przyjemny towarzysz mile za pośrednictwem kija żartuje, mijamy już pierwszą palisadę obejścia zbójckiego.

A tu na jakiejś gałęzi wyniosłego cyprysu wisi na powrozie nasza starucha. Odciepli ją i od razu, jak była ze stryczkiem, od razu cisnęli w przepaść. Potem skrepowali zaraz postronkami dziewczynę i jak te dzikie zwierzęta rzucili się na jadło zgotowane jeszcze onej staruchy gorliwością, co śmierć przetrwała.

[31] A kiedy tak okrutnie żarłocznie wszystko pożerają, zaczynają już rozprawiać o tym, jak by to na nas pomstę wziąć i nas pokarać. I, jak to w niespokojnym tłumie, różne pojawiają się zdania: jeden chciałby dziewczynę żywcem spalić, drugi bestiom dzikim rzucić, trzeci

ukrzyżować, inny jeszcze wolałby ją okrutnie zamęczyć, wszyscy jednak chcieli na jakikolwiek sposób jej śmierci. Wtedy jeden z nich, zgiełk uciszywszy, tak ze spokojem zaczął:

– Nie byłoby to – widzi mi się – ani wedle obyczaju całej naszej bandy, ani wedle tego miętkiego serca, co je każdy z nas ma, ani wedle mojego własnego pomiarkowania, żebym się godzić miał na wymyślanie jej takiego, co najokrutniejszego końca – gorszego, niż się ta patrzy jej przewinie: żeby na nią zwoływać a to bestie, a to krzyże, a ognie, a męki czy nawet omrok jakiejś bardzo pospiesznej śmierci. Posłuchajcie, co se myślę, i darujcie dziewczusze życie – ino takie, na jakie se zasłużyła. Pewnie wam to jeszcze ze łbów nie wyleciało, coście postanowili względem tego ośliska, zawdy leniwego okrutnie i jeszcze żarłoka, że niech bóg broni, a teraz jeszcze, jak widać, łgarza – bo udawał kulawca – i pośrednika, i pomocnika dziewczyny w ucieczce. Jego tedy jutro zatłumić, wypatroszyć z bebechów wszyckich, a do brzucha mu zaszyć nagusieńką dziewczynę – bo ją od nas wolał – tak żeby jej całe ciało siedziało w kałdunie bydłęcia, a ino głowa wystawała. Teraz to tak utuczone i nadziewane oślisko wyłożymy na jaki skalisty stok, aby je tam słońce przypiekało.

[32] A tak każdemu z nich dostanie się wszycko, czegoście – i sprawiedliwie – żądali: oślisku śmierć, na którą dawno zasłużyło, a jej rozszarpanie przez dzikie zwierzęta – gdy ją będą robaczyska toczyły, i kara ognia – gdy słońce skwarem rozparzy zewłok, i męki ukrzyżowania – gdy psy i sępy będą rozdzierały jej ciało. Ale uważcie i inne jej przykrości i dokuczności: jako że to, sama żywa, będzie tkwiła w kałdunie zdechłego bydłaka, a smród okrutny w upale nos jej będzie dławił, a że bez jadła będzie, z głodu se powoli uskwirknie, bo nie mając nawet tych rąk swobodnych, nie będzie się mogła sama zabić.

Na te słowa łotrzycka już nie głowami, ale całymi cielskami przytaknęli jego zdaniu. Ja zaś słuchając tego tymi tak długimi mymi uszyskami, oplakiwałem już nie co innego, ino mego własnego jutrzejszego truposza.

KSIĘGA SIÓDMA

[1] Skoro tylko otrząsnąwszy mroki rozbielił się dzień, a rydwan słoneczny wszystko rozświetlił, przybył do zagrody jakiś zbójów towarzysz; widać to było z tego, jak się nawzajem przywitali. Siadł sobie zaraz przy wejściu do jaskini i odsapnąwszy, bo był zdyszany, takie im wieści powiedział:

– Co się tyczy domu Milona z Hypate, któryśmy ostatnio obrabowali, to możemy się już nie niepokoić i czuć całkiem bezpieczni. Skoroście bowiem wy z natężeniem wszystkich sił całą zdobycz unieśli i do kryjówki wrócili, ja z miną pełną współczucia i oburzenia wmiechałem się w gromadki gapiów, aby was w myśl polecenia uwiadomić o wszystkim, co dotyczyłoby śledzenia sprawców czynu, i o tym, czy i jak dalece zechcą zbójów tropić. Tam tymczasem podniesiono w tłumie zgodnie oskarżenia – i to nie na podstawie wątpliwych przypuszczeń, ale, niby to całkiem prawdopodobnych poszlak – przeciw jakiemuś nie znanemu mi Lucjuszowi jako oczywistemu sprawcy zbrodni. Ten Lucjusz w ostatnich dniach na podstawie fałszywych listów polecających wkradł się, udając człeka pocziwego, w łaski Milona, tak że nawet w gościnę przyjęty, za zaufanego domownika był uważany. Bawił on tam dość długo i zawróciwszy służce Milona głowę nieszczerymi miłostkami, wybadał dobrze zamki wszystkich drzwi i skrętnie wypatrzył wszystkie schowki, w których mienie chowano.

[2] A jako niemały jego winy dowód podnoszono, że on właśnie tej samej nocy i właśnie w chwili zbrodni uciekł i od tego czasu nigdzie go nie widziano. A tę ucieczkę bez trudności sobie zabezpieczył: aby mianowicie tym prędzej mógł się odsądzić od pościgu i udaremnić go ukrywając się – zabrał ze sobą tego swego białego konia, który go miał precz unieść. Jużci, znaleziono tam, w domu gospodarza, jego pacholka, który mógł złożyć świadectwo o zbrodniczych zamiarach swego pana; kazali go tedy urzędnicy zabrać do publicznego więzienia, a na drugi dzień wzięto go na ciężkie męki i prawie na śmierć zamęczono, ale nie zdradził się ani słowem. Wysłano jednak gromadę ludzi do ojczyzny tego Lucjusza, aby wytropili winowajcę i aby go pokarać można.

Kiedy on to tak wszystko opowiadał, ja, porównując szczęście tego dawnego Lucjusza z obecną niedolą nieszczęsnego osła, wzdychałem z głębi serca. I przyszło mi na myśl, że to nie tak bez kozery wystawiali starzy mędrcy Szczęście jako istotę ślepa i całkiem możliwości widzenia pozbawioną. Bo ona przecie zawsze złym służy a niegodnym i nigdy człeka żadnego sobie nie wybiera dla przyczyn rozumnych jakichś, ale raczej tym najwierniejszą jest druhną, od których by z daleka już – gdyby oczy miała – uciekać powinna. Ale, co od wszystkiego jest gorsze jeszcze, sprawia ona, że ludzie z różną chodzą sławą, ale zawsze z zupełnie niezasłużoną, tak że nicpoń sławą pocziwca się chełpi, a jak łza czystego szarpią złe języki.

[3] Ja wreszcie, którego zawzięte a okrutne jej prześladowanie w bydlę zmieniło i w najnikczemniejszego czworonoga, ja, którego niedoli i szelma największy sprawiedliwie by się użalił i ulitował, ja znachodziłem się pod oskarżeniem, że obrabowałem gospodarza, którego osoba święta mi była! Takiej zbrodni nie można by już nazwać rabunkiem, ale słuszniej daleko ojcobójstwem. A nawet mi nie wolno było sprawy mej bronić albo przynajmniej jednym słowem zaprotestować. Tak że wreszcie – gdym se nad tym rozmyślał – nie chcąc, aby mil-

czenie moje wobec tak zbrodniczych oskarżeń było poczytane za dowód złego sumienia, podrażniony krzyknąć przynajmniej chciałem: Nie winienem!

I pierwsze słowo raz, drugi i trzeci co sił wrzasnąłem, następnego jednak żadną miarą do być z siebie nie mogłem; jak utknąłem na pierwszej zgłosce, tak bez ustanku ryczałem tylko: „nie, nie!”, i nic więcej – jakkolwiek, jak mogłem, stulałem i wyciągałem obwisłe wargi.

Ale co ja się tu będę dłużej żalił na zawziętość losu, jeśli jemu nie wstyd było zrobić mnie stworzeniem niewolnym do pary z tym moim służką i podjezdkiem, z tym moim koniem!

[4] Gdy mi takie myśli po głowie chodziły, utknąłem nagle na trosce straszniejszej: przypomniałem sobie, że wedle planu mają ze mnie ręce zbójeckie zrobić bydlę ofiarne przy wyprawianiu dziewczyny na tamten świat; na brzuch mój raz po raz spozierając, jużem się czuł brzemienny tą niebogą. Tymczasem ów, co właśnie przyniósł te fałszywe o mnie wieści, wydubał tysiąc złotych, które w sukni miał zaszyte, a które, różnym wędrowcom złupione, przyniósł – że to był taki rzetelny, jak twierdził – do wspólnej skarby; potem zaczął się troskliwie wywiadywać, jak się tam też jego kamratom wiodło. Kiedy się dowiedział, że kilku, a raczej że z najwaleczniejszych wszyscy zginęli, w niejednakich wprawdzie, ale zawsze bohaterskich okolicznościach, uważał, że trza na czas jakiś w spokoju zostawić gościńce, zrobić – jeśli idzie o napady zbrojne – zawieszenie broni, a raczej przyłożyć się najbardziej do werbowania świeżych towarzyszy, do zaciągu nowych, młodych rekrutów, aby stan marsowej drużyny wzrósł do pierwotnej liczby; można siłą zmuszać do tego tych, co sami nie chcą, skłonnych zaś zwabiać nadzieją zysków; będzie takich niemało, co chętnie rzucą niewolniczy swój i nikczemny stan, przenosząc ten, gdzie się żyje jak król swobodnie. Jeśliby o niego chodziło, to on sam już kilka dni temu natknął się na człowieka pewnego – w pełni młodych sił i chłopca na schwał i bitnego – i tego namawiał i namówił w końcu, aby rąk, co mu się już zależały od długiej beczynności, przyłożył wreszcie do jakiej roboty zaniejszej i zuchowi przystojniejszej, żeby jak długo może, ze sił korzystał i ręki muskularnej nie wyciągał po żebraczy grosz, ale użył jej raczej na zdobycie sobie złota.

[5] Tym słowem przybysza wszyscy co do jednego przytaknęli i postanowili zaraz przyjąć owego, o którym była mowa, a który już się im wszystkim widział, poszukać zaś innych, którzy by szeregi ich uzupełnili. Wtedy ów przybysz poszedł i po czasie niedługim wrócił z jakimś młodym człekiem, istotnie – jak to zapowiedział – olbrzymem, z którym nikt z obecnych chyba równać się nie mógł; prócz tego bowiem, że barczysty był okrutnie, to o głowę jeszcze całą wszystkich przerastał, choć mu się szczeń na brodzie ledwo wysypywała. Ino okryty to był zaledwie łachem jakimś, ze stu strzępów ledwo jako tako ześcibanym, tak że spod nich łyskał brzuch i pierś, jak z dębu wyrobione.

Wprowadzony tedy tak powiada do zbójów:

– Witaj, drużyno najmeźniejszego boga Marsa, a moi już wierni kamraci! Przyjmijcie z sercem mnie, co z sercem do was przychodzę. Chłop jestem krwisty i taki, co łeb raczej nadstawia, gdzie biją, niż co rękę wystawia po złoto, i taki, co się w swojej skórze dopiero czuje, gdy śmierć na karku i gdy inni bledną. Żebyście też nie myśleli, że żebak jaki i wyskrobek, i żebyście z tych łachmanów nie oceniali, com wart, wiedzcie, że byłem hersztem tej potężnej bandy, z którą całą prawie Macedonię spustoszyłem. Ja to jestem owym słynnym zbójem Hemusem Tracyjczykiem, na którego imię drżą cale krainy, ja, syn Terona, także zbója sławnego, ja, com się wykarmił na ludzkiej jusze i w samych zbrojnych szeregach bandy wychował na dziedzica i współzawodnika ojcowskiego męstwa.

[6] Ale całą dawną gromadę chwackich kamratów i całą ową nie byle jaką potęgę utraciłem niedawno temu. Napadłem mianowicie na jednego podskarbiego cesarskiego, takiego, co to miał pensję dwustu tysięcy sestercjów, a potem popadł w niełaskę – na niego zrządzeniem złego losu napadłem, kiedy przejeżdżał – ale żebyście rzecz jak się patrzy poznali, opowiem po porządku.

Był na dworze Cezara człek niejaki znaczny i sławny swą działalnością, i przez władcę nawet samego poważany. Tego, oskarżonego podstępnie przez jakichś wrogów, zaciekle za-
wiść na wygnanie wypędziła. Ale małżonka jego, Plotyna, kobieta wierna jak rzadko i nie-
zwyczajnie cnotliwa, która darom dziesiątego już płodu powiększyła potomstwo swego męża,
wyrzekła się i wzgardziła rozkoszami zbytku wielkomięjskiego i poszła z mężem razem jako
jego niedoli towarzyszka. Z włosiem ostrzyżonym, w sukniach na wzór męskich szat skroj-
nych, przepasała się pasami napełnionymi złotymi pieniędzmi i co najkosztowniejszymi klej-
notami i – spokojna zawsze pośród żołdaków pilnujących ich i między nagimi mieczami –
uczestniczyła we wszystkich niebezpieczeństwach, nie знаła – w trosce swej o małżonka – co
sen i spoczynek, i po męsku znosiła ciągle przeciwności. Tak przebyli oni wiele uciążliwych
dróg, wiele strasznych chwil na morzu i dążyli już do Zakyntu, który im los okropny wyzna-
czył na czasowy pobyt.

[7] Lecz skoro tylko dobiegli do wybrzeża akcyjkiego – gdzieśmy właśnie, wypadłszy z
Macedonii, hulali – zaszli na nocleg, aby nie zostawać na morzu, do jakiejś maleńkiej kar-
czemki, najbliższej od wybrzeża i od ich okrętu. Tam to wpadliśmy i obrabowaliśmy ich z
wszystkiego. Uszliśmy jednak stamtąd nie bez wielkiego niebezpieczeństwa. Niewiasta owa
bowiem pobiegła, na pierwszy hałas w drzwiach, w głąb domu, krzykiem gwałtownym
wszystko poruszając. Po imieniu wołała na pomoc żołnierzy i sługi swe, ale wzywała też
wszystkich sąsiadów, tak że tylko dzięki powszechnemu przerażeniu, z jakim każdy, o skórę
swoją drżąc, siedział w swej dziurze, jedynie dzięki temu całośmy uszli. Ale teraz ta niewia-
sta – co prawda, to nie grzech: najzaczniejsza, najrzetelniejsza, cnotami swymi wdzięczna –
prośbę do majestatu cesarskiego wniosła i osiągnęła to, że przyzwolono na natychmiastowy
męża jej powrót i na to, by pomstę wziąć za ów na nich napad. Krótko mówiąc: nie chciał
Cezar, aby banda Hemusa istniała. Za czym natychmiast ją zniesiono; taką bowiem moc ma
skinienie jedno potężnego władcy. Całą tedy bandę naszą kolumny wojska otoczyły i w pień
wycięły. Ja samiuteńki z biedą wykradłem się już z paszczy Orkusa, i to w następujący spo-
sób.

[8] Wlazłem w kraśną suknię kobiecą, wielce fałdzistą, czepcem wyszywanym głowę
okryłem, wdziałem także białe delikatne sandały i przemieniony i zatajony w istotę płci słab-
szej, siadłem na osła obładowanego snopami jęczmienia i tak przejechałem sobie wskroś sze-
regów szukających mnie żołnierzy. Wzięli mnie bowiem za oślarzkę i pozwolili odejść swo-
bodnie: wszystko dzięki temu, że lica mam gołe i gładkie, ile że bardzo młode. Alem się i
teraz nie zapał owej sławy ojcowskiej ani męstwa mego, bo, choć szczuty, prawie między
mleczami wrogimi przemykający się, to sam jeden, pod tym obcym przebraniem ino, napa-
dałem na domy i zameczki i trochę sobie takich drobnych uciulałem – i odpasując swoje ła-
chy wysypał dwa tysiące złotych.

– Ten maleńki podarunek – dodał – czy raczej posag wnoszę całym sercem do waszego
zgromadzenia. A jeśli mnie nie odrzucicie, to się wam i na wodza ofiaruję, i to najwierniej-
szego, i za niedługi czas tę waszą kryjówkę kamienną zamienię w złotą.

[9] Jakoż bez zwłoki i wahania, zgodnie wszystkimi głosami przywództwo mu zbóje ofia-
rowują i przynoszą wspaniałą szatę, by ją ubrał zrzuciwszy poszarpane, choć złotem napchane
łachy. Tak przemieniony wycalaował wszystkich zbójów i na pierwszym miejscu przy ucztach
usadzony, wśród pijatyki na zbója został wyświęcony. W rozmowie, jaka się rozwinęła, do-
wiedział się wtedy o ucieczce dziewczyny na moim grzbiecie i o przeznaczonej nam obojgu
śmierci.

Spytał tedy, gdzie jest ta dziewczyna. Zaprowadzono go. Oglądał, jak była zgnieciona
powrozami, i wrócił z jakimś skrzywieniem jakby niezadowolenia na twarzy.

– Nie jestem ja – rzekł – taki głupi ani tak zuchwały, aby przeszkadzać temu, coście zamy-
ślili sobie, ale niepokoiliby mnie nieczyste sumienie, jakbym nie powiedział tego, co za
słuszne uważam. Ale przede wszystkim uwierzcie mi, że to z troski o was; nie będzie się wam

zaś widziało, co powiem, to zawsze możecie powrócić do pomysłu z osłem. Ja se bowiem myślę, że zbójce, tacy przynajmniej, co mają olej we łbach, to nie powinni niczego przekładać nad swój zysk – nawet swojej zemsty, która i nie-zbójcom nie zawsze na korzyść wychodzi. Otóż jeśli byście zakatrupili dziewczynę w osła, to nic byście z tego nie mieli, ino to, że byście złość swoją wywarli bez żadnego zysku. Ja bym tedy sądził, żeby ją zaprowadzić do jakiego miasta i tam sprzedać. Bo za taką młódkę to by można dostać dobre pieniądze. Ja sam znam z dawien dawna kilku rufianów, co by – jak se myślę – ciężkie talenty dać mogli za ową dziewczynę, jak się patrzyłoby za taką z dobrego domu; taki by ją zamknął do zamtuza, skądby już tak nie czmychnęła jak stąd od was. A jakby ona była w zamtuzie, to byście od razu i wy waszą pomstę nasycili. Z pełnego przekonania wam to radzę, ale wy róbcie, jak chcecie, boście panami waszych zamysłów i waszego mienia.

[10] Tak tedy adwokat i obrońca skarby zbójcekiej bronił i naszej sprawy – zbawca przeznaczony dziewczyny i osła. Ale tamci długo dopiero jęli rozprawiać nad tym, męczarniami tego odwiekanego wyroku trapiąc mi serce – ba, dech ze mnie już ostatni wyciskając. Wreszcie się przekonać dali i na zdanie nowego zbója zgodzili, za czym natychmiast z więzów dziewczynę uwolnili. Ta zaś, jak tylko zobaczyła tego młodzieńca i posłyszała o zamtuzie i rufianach, okrutnie chichotać zaczęła, zem – i nie bez kozery – z oburzeniem i potępieniem o całej płci myśleć poczęła!

Bo jakże! Tu dziewczyna niby to umiera z miłości do młodego narzeczonego i do zacnych ślubów małżeńskich – a tu wyskakuje z radości na wzmiankę o plugawym i nikczemnym zamtuzie! Tak to cały ród niewieści i jego cnota na ośli sąd wzięte zostały. Ale ten młody człowiek zakrzyknął znowu:

– Ale czemu my to nie złożymy Marsowi Druhowi ofiary, by pomógł dziewczuchę sprzedać, a równocześnie nowych kamratów zwerbować? Już ja widzę, że ani bydlaka żadnego do tej ofiary, ani wina nie mamy na pijatykę jak się patrzy. Hola! Dajcie mi tu ino wraz dziesięci chłopca, a już ja sobie z nimi radę znajdę, jak by się dostać do najbliższego dworzyszczca i stamtąd wam przynieść ucztę godną klechów salijskich!

Wyruszył tedy z nimi, a pozostali ogień niezmierny rozpalili, a bogu Marsowi zbudowali ołtarz z darni zielonej.

[11] Za czym po czasie krótkim wracają tamci z worami wina i pędzą przed sobą całe bydła stado. Wybrano z niego ogromnego kozła, starego i kudłatego, i zarżnięto na ofiarę dla Marsa Druha i Towarzysza. I z miejsca zabrano się do warzenia obfitego jadła. Wtedy powiada ów przybysz:

– Żebyście wiedzieli, że będziecie we mnie mieli nie tylko tęgiego herszta podczas wypraw i łupiestwa, ale także podczas hulatyki – i rękawy zakasawszy, migiem wszystko urządzi. Zamiatą, zastawia, gotuje, sieka podroby, umiejętnie na stół podaje, ale zwłaszcza leje w każdego częste i największe kielichy. W tym czasie jednak, pod pozorem szukania różnych potrzebnych mu rzeczy, co chwilę do dziewczyny zaglądał, przynosił jej kąski potajemnie ściągnięte z kuchni i podawał wesoło nadpite przez się szklanice. Ona zaś przyjmowała nader chętnie, a ilekroć ją przy tym chciał pocałować, sama mu usta nadstawiała, co mnie srodze oburzało.

Toś ty już, dziewczyno, zapomniała o swoim małżeństwie i o tym, co cię z wzajemnością kochał? Już nad tego jakiegoś swego młodziutkiego męża, któremu cię rodzice oddali, przynosisz tego zawołokę i krwawego rozbójnika? I nawet sumienie cię nie gryzie, ale tak od razu podeptawszy tamto uczucie gżisz się wśród włóczni tych i mieczów? – Ej, żebyś ty tylko znowu nie wróciła do oślego brzucha i mnie przy tym znowu zgubę gotując! Doprawdy, że się bawisz cudzą skórą.

[12] Ale kiedy się tak okrutnie w duchu oburzam tymi –jak się pokazało – oszczerczymi zgoła posądzeniami, dorozumiewam się z kilku ich słówek, nie domówionych wprawdzie, ale dla mądrego osła przejrzystych, że ten młodziak to nie żaden osławiony rozbójnik Hemus, ale

sam narzeczony dziewczyny, Tlepolemus! Kiedy bowiem już tak dłużej ze sobą poszeptywali, powiada on w pewnej chwili głośniejszym głosem i na mnie zgoła nie zważając, jakbym już naprawdę nie był żywy:

– Odwagi, Charyto najdroższa, za chwilę będziesz już miała w dybach całą gromadę tych twoich wrogów – i jeszcze żwawiej krzając się koło nich zaczął, bez przestanku lejąc im wino już zgoła niemieszane i ledwo letnie i – sam trzeźwiuteńki – tak ich już oszołomionych do reszty spijał, że bezprzytomni z nóg się walili. A, dalibóg, podejrzewałem go, że im mieszał do gąsiorów jakąś usypiającą trucie. Pod koniec leżeli tacy spici wszyscy – ale to bez wyjątku wszyscy – jak trupy. Wtedy bez trudu, jak mu się spodobało, powiązał ich jak barany i wsadzwszy dziewczynę na mój grzbiet skierował się do swego domu.

[13] Kiedyśmy się tam zbliżali, wyległo calusieńkie miasto, bo wszyscy ze serca nas ujrzyć chcieli. Wybiegli rodzice, krewniacy, znajomkowie, domownicy, słudzy – wszystko z twarzami rozradowanymi, uciechy pełne. Mogłeś widzieć w tym pochodzie uroczystym ludzi wszelkiego wieku i rodzaju i to zaiste nowe i podziwu godne widowisko: dziewicę odbywającą tryumfalny wjazd na ośle! Wreszcie i ja sam, wedle sił się weseląc, aby nie wpadało w oko, że nie biorę udziału w tej uciesze, zastrzygłem uszami, wydałem chrapy i zaryczałem co dechu w kadłubie – zaryczałem głosem grzmotu.

Tymczasem dziewczynę rodziciele w komorze przyhołubili, mnie zaś Tlepolemus natychmiast zawrócił i w niezmiernym tłumie bydła i mieszczan z powrotem poprowadził. Poszedłem chętnie: zawsze miałem do wszystkiego ciekawość, a teraz chciałem zobaczyć, jak łotrów wezmą na postronki. Zastaliśmy ich ciągle jeszcze obezwładnionych, i to bardziej winem niż więzami. Za czym wygrzebano i wyniesiono z jaskini wszyściutko, co tam było, i obładowano nas srebrem, złotem i innym mieniem; zbójów zaś samych, częścią, jak byli skrepowani, popchnięto na najbliższe skały i stamtąd na łeb strącono w przepaść, częścią na miejscu ścięto własnymi ich mieczami.

Uradowani co niemiara taką pomstą, wróciliśmy do miasta. Tu oddano owe bogactwa do skarbu państwowego i odprawiono legalne zaślubiny Tlepolemusa z jego odzyskaną dziewczyną.

[14] Młoda męzatka, zbawcą swoim mnie zowiąc, zajmowała się mną okrutnie troskliwie, a w samym dniu wesela kazała mi żłób wypełnić po brzegi jęczmieniem i dać siana tyle, że starczyłoby dla baktryjskiego wielbłąda. Ale ja, kiedy widziałem, jak się psy obżerały do pęknięcia obfitymi resztkami jadła i tym, co porwały, kłamiętano ino co się wlało Fotis, że mnie w osła przemieniła, a nie w psa przynajmniej.

Po nocy jedynej, która wtajemniczyła ją w związki miłosne, nie przestała młoda męzatka przypominać rodzicom swym i mężowi o całej wdzięczności, jaką mi winna – i to dopóty, aż jej obiecali, że mnie uczczą, jak można najgodniej. Zwołano tedy poważniejszych przyjaciół i złożono naradę, jak by mi się najlepiej odwdziaczyć. Więc jeden radził, żeby mnie trzymać w domu, całkiem pozwolić próżnować i tylko tuczyć najprzedniejszym jęczmieniem, bobem i wyką. Przeważało jednak zdanie drugiego, aby mnie raczej dano na wieś i tam pozwolono uganiać i dokazywać wśród stad koni; że tam, z klaczami się stanowiąc, wzbogacę właścicieli koni licznym przychówkiem rasowych mułów.

[15] Przywołano tedy zaraz koniucha, palnięto mu wielkie kazanie i polecono odprowadzić. I doprawdy biegłem wyskakując z radości, bo już teraz czułem lekkość na myśl, że na zawsze wolny jestem od juków i wszelkich ciężarów i że mając taką swobodę znajdę bez wątpienia teraz, z początku wiosny, jakie róże w rozkwitających polach. To mi nasuwało także inną myśl: że mianowicie, jeśli tyle dowodów wdzięczności okazano, tyłoma zaszczytami obsypano moje osielstwo, to chyba, gdy postać człowieka odzyskam, obsypią mnie o wiele, wiele większymi dobrodziejstwami.

Ale kiedy ów koniuch znalazł się tylko ze mną daleko od miasta, okazało się, że nie czekają mnie ani rozkosze, ani nawet jaka taka swoboda.

Natychmiast bowiem połowica jego, skapica i jędza, jakich mało, kazała mi w jarzmie obracać młyńskie kamienie i od pierwszej chwili sękatym kijem boki mi obrabiając, z mojej skóry chleb dla siebie i swoich wypiekała. I tym się nie zadowoliła, że mi harować kazała na chleb dla siebie, ale jeszcze, dreptanie moje przy młynie sąsiadom zajmując, ich zboże meła. Mnie zaś nieborakowi za taką ciężką harówkę nawet pokarmu nie dawała dla mnie przeznaczonego. Jęczmień mój bowiem, zmełty w tym samym młynku dzięki dreptaniu memu na mąkę, prawie pytlowaną, sprzedawała chłopom z sąsiedztwa, mnie zaś, którego dzień cały przykuwał do siebie ciężki młyn nie pozwalając na spoczynek, mnie dopiero wieczór dawała nie przesiane plugawe otręby, w których aż zgrzytał piasek.

[16] Nie dość, że takimi byłem okiełzany dolegliwościami, jeszcze mi nowe los wymyślił męczarnie, widać, abym – jak to mówią – w domu i poza domem mógł się poszczycić blaskiem sławy wojennej w całym tego słowa znaczeniu. Ten wierny koniuch mianowicie, posłuszny – co prawda trochę późno – poleceniom pana, puścił mnie pewnego razu do stada kłaczy.

Więc ja, swobody się wreszcie dorwawszy, w wesołych podskokach nogami przebierałem, już sobie kłacze co najgładsze na małżonki przyszłe wybierając. Ale i ta radosna nadzieja miała koniec fatalny. Ogiery mianowicie, długo i dobrze do stanowienia wypasane, groźne bez tego, a w każdym razie silniejsze od jakiegokolwiek osła, obawiając się mego współzawodnictwa i zapobiegając mezaliansom, rzuciły się jak wściekłe z okrutną nienawiścią na rywala, nie szanując nawet praw Jowisza Gościnnego. Jeden tedy stanąwszy dęba tak, że wysoko w powietrzu zawisły potężne piersi i łeb, i pyszna grzywa, walił we mnie przednimi kopytami. Ów, obracając się zadem tęgim nabitymi mięśniami, wierzgał tylnymi nogami, inny grożąc rzeniem zjadliwym, stuliwszy uszy i szczerząc zęby błyszczące i ogromne jak kielnie, gryzł mnie, gdzie popadło. O czymś w tym rodzaju czytałem w historii – mianowicie o tym królu trackim²⁸, co nieszczęsnych gości swych rzucał swym koniom na pożarcie; tak ten potężny tyran oszczędzał jęczmienia, że głód żarłocznych bydłał sycił szczodrze dawanym im mięsem ludzkim.

[17] Ja, szarpany podobnie ciągłymi napaściami ogierów, myślałem z tęsknotą o dawnym dreptaniu przy młynie. Los jednak nie nasycony moimi męczarniami wymyślił mi znowu świeże utrapienie.

Przeznaczono mnie do zwózki drzewa z góry i na poganiacza dano mi chłopaka, doprawdy największego potwora między wszystkimi chłopczyskami. I nie dość, że mnie męczył teraz stromy stok wysokiej góry, nie dość, że deptając po kamienistych grudach zbijałem sobie kopyta, ale jeszcze rżnięto mnie tak zabójczo kijem, że mnie ból przeszywał do szpiku kości; ten chłystek tłukł mnie stale po prawej łopatce w jedno i to samo miejsce, tak że obdarł mi tam całkowicie skórę i zrobił dziurę ogromnego jadzącego się wrzodu – co dziurę: jamę, całe okno! On jednak nie przestał walić mnie bez ustanku w tę krwawiącą ranę. Drew zaś ładował na mnie takie ciężary, że – jak by można było przypuścić – ogromne te brzemiona były dla słonia przeznaczone, nie dla osła. Ilekroć zaś ładunek przeważał mi się na jeden bok, to on – zamiast ująć drew z tej strony, na którą się przewalały, i ulżyć mi zmniejszając ciężaru albo przynajmniej przełożyć je na drugi bok i tak ciężary zrównoważyć – on, przeciwnie, tak zarażdał nierównomiernemu uciskowi brzemienia, że dodawał kamieni na stronę lżejszą.

[18] I nie dość mu jeszcze było, że na mnie przy takich udrękach walił niepomiarne ciężkie ładunki, jeszcze – gdyśmy się przez rzekę przeprawiali, co przecinała naszą drogę – żeby sobie swoich kolanek nie zamoczyć, jeszcze sam czepiał się moich łądzwi – bo cóż to taka drobnusieńka przywazka do takiego ogromnego ciężaru! Jeśli zaś przypadkiem pośliznąłem się w błotnistym namule rzeki na śliskim brzegu i nie mogąc utrzymać ciężaru upadłem, to ten przyjemny poganiacz zamiast mi podać rękę, podnieść uzdą, podźwignąć za ogon, ulżyć

²⁸ król tracki – Diomedes, który żywił konie mięsem ludzkim.

przecież części tego okrutnego ciężaru przynajmniej dopóki nie wstanę – on nawet w tej mordędze mi krzty nie pomógł, ale zaczynał szarpać za łeb, zwłaszcza za uszy, tłukł ogromnym drągiem, póki mi, miasto leków, same kije sił nie dodały.

I taką mi jeszcze wymyślił męczarnię. Wziął ostre jak igły ciernie, jadowicie i boleśnie kłujące, związał je w pęk i przywiązał mi je do ogona. Wisiało tak na mnie to udrczenie, kiedym zaś kroczył, wprawiałem to w ruch, a wtedy raniło mnie to bolesnymi żądłami.

[19] Czym tak się zachowywał, czy inaczej, zawszem miał udrcę: kiedym bowiem ruszał z kopyta, żeby uciec przed okropnymi prześladowaniami, rozchwiewały się ciernie i żgały mnie okrutnie; jeślim zaś, chcąc uniknąć bólu, zwalniał kroku, kije do biegu mnie przymuszały. Zdawało się, że ten łajdacki bęben nad tym ino się głowi, jak by mnie tym czy innym sposobem zakatrupić. Nieraz mi się zresztą tym odgrażał i to mi zaprzysiągł. I zaiste zaszedł przypadek, który jego przekłątą złośliwość podjudził jeszcze do gorszych wysiłków.

Dnia pewnego bowiem wyczerpała się cierpliwość moja wobec jego okrucieństwa: wierznałem w niego co sił. Teraz wymyślił na zgubę mą taką potworność. Naładował na mnie, ile wlażło, zgrzebia lnianego i przywiązał to mocno postronkami. Potem wywiódł mnie na drogę i ściągnawszy z najbliższego dworku jarzący się węgielek, wsadził go w sam środek tłumoku. Jakoż w mgnieniu zajęło się ogniem suchuteńkie zgrzeble, buchnęły płomienie, a ja cały stanąłem w zabijającym pożarze. A tu znikąd ani pomocy w tej męczarni okrutnej, ani żadnej deski ocalenia, a pożoga nie pozwala na zwłokę i uprzedza wszelkie rozmyślania nad sposobami ratunku.

[20] Ale w tej chwili ostatecznej uśmiechnął mi się przecie los – nie wiem, czy nie po to, aby mnie sobie zachować na późniejsze próby, w każdym jednak razie wybawiając od śmierci natychmiastowej.

Przypadkiem mianowicie tuż obok spostrzegam nie wyschłą po wczorajszej ulewie błotnistą kałużę; jednym skokiem dopadam do niej i zanurzam się cały. Płomienie zagasły natychmiast, a ja wylazłem z niej zwolniony od jednego zamachu i od ciężaru, i od brzemienia. Ale to łajdackie i bezczelne chłopczysko jeszcze tę swoją nikczemną psotę na mnie zwaliło, opowiadając wszystkim pastuchom, że ja przechodząc obok kuchni sąsiadów naumyślnie się zaczałem zataczać i upadłem na nią po to, żeby zapalić swój ładunek. I z kpinami dodawał:

– Ciekawym, pokąd my będziemy za darmo tkać żarcie w to ogniste bydlę?

Nie upłynęło kilka dni, a już się do mnie jął dobierać daleko jeszcze nieciernej i zdradliwej. Oto sprzedał w pierwszej lepszej chałupie mój ładunek drzewa i wiodąc mnie bez ciężaru wykrzykiwał, że on już sobie rady z łajdactwem mym dać nie może, że ma dość tej mojej służby.

[21] – Patrzcie – wrzeszczał piskliwie – na to leniwe, ciężkie, najgorsze z wszystkich oślisk oślisko! Oprócz wszystkich innych szelmstw teraz mnie jeszcze naraża na niebezpieczeństwa odmiennego zgoła rodzaju. Jak tylko zobaczy jakiego przechodnia, czy to urodziwą niewiastkę, czy dziewczynę dorosłą, czy gładkiego chłopaka, z miejsca zrzuca swoje brzemie, nierzadko nawet same burdy²⁹, gna jak wściekły, wpada na ludzi taki gamrat zatracony, obala ich na ziemię i rżąc z zakazanej i niezwyczajnej żądz do obłapiania się zabiera i sfolgowania jakiejś przewrotnej, bydlęcej rozkoszy. Bo nawet pocałunki udając szturka ł kasa tą szkaradną mordą. Będą z tego dla nas tysiącne skargi i zwady, a może i powody sądowe. I teraz także spostrzegłszy jakąś młódkę zaczął porozsypywał i pozrzucał drzewo, które niósł, rzucił się na nią jak szalony, rozciągnął niewiastę na ziemi i chciał – wdzięczny gaszek, nie ma co! – chciał ją wobec wszystkich obłapiać. I gdyby nie to, że płaczem i jękami niewiasty zwołani przylecieli z pomocą przechodnie i z kopyt jego ją wyrwali i uwolnili, to byłby ją roztratował i rozszarpał, byłaby zginęła w męczarniach, dla nas zaś zostałoby to, że za karę nałożylibyśmy głowę.

²⁹ b u r d y – juki, wory podróżne, przewożone na grzbietach zwierząt jucznych.

[22] Takimi łągarstwami, a także innymi bajdami, bardziej jeszcze obciążającymi przez to, że ją milczałem wstydliwie – podjudził przeciwko mnie gwałtownie pasterzy. Wreszcie jeden z nich wrzasnął:

– A czemuż my z tego gamrata gromadzkiego, z tego gacha zawsze ochotnego do wszystkich nie złożymy ofiary – jak mu się to patrzy za tę jego gotowość do wesel plugawych? Hejże, chłopcze, a zarznij go od razu, bebechy jego rzuć naszym psom, a całą resztę mięsa zostaw dla wyrobników. Bo skórę jego wygarbujemy popiołem i odniesiemy panu; wymyślimy tam łatwo jaką bajkę o tym, że osła wilk rozszarpał.

Ów mój bezecny oskarżyciel bez najmniejszego wahania zaczyna natychmiast z radością – jako wykonawca uchwały pasterzy – ostrzyć nóż na toczydle; chichotał przy tym ino z mej niedoli, wypominając mi owo moje wierzgnięcie w niego. Jakże wtedy żałowałem, że było takie mało skuteczne!

[23] Ale teraz powiada jeden z gromady pasterzy: – Szkoda tak zarznąć takiego dorodnego osła i dlatego, że rozpustny jucha i wszeteczny, pozbywać się takiej wydatnej pomocy w pracy. Przecie można by go zwałasyć, to by się do cna musiał wyrzec tych miłosnych zapędów, was by uwolnił od wielkiego strachu z powodu swych awantur, a prócz tego jeszcze by się spaś i stłusciał. Mnogo ja już widziałem nie tylko gnuśnych osłów, ale i najdzikszych ogierów, z nadmiaru jurności strasznych i groźnych, co jak się ich zwałasyło, łagodniały i obłaskawiały się; można ich było użyć do dźwigania ciężarów i do wszelkiej służby czyniły się znośne. Koniec końców, jeśli wam to nie jest nie w smak, mogą niedługo to zrobić: jak tylko będzie po najbliższym jarmarku, na który chcę pójść, wezmę z domu potrzebne do tego narzędzia, wrócę do was; rozłoży się kopyta temu gaszkowi zbyt jurnemu, a niezbyt wdzięcznemu, i od razu zwałaszę go tak, że się zrobi łagodniejszy od skopa.

[24] Tym pomysłem wydarty z samych szponów Orkusa, ale ocalony dla kary najokropniejszej, stałem zgębiony i w utracie najcenniejszego członka oplakiwałem całego siebie utratę. Potem począłem się głowić, czyby się albo nie zagłodzić na śmierć, albo nie zabić w przepaść się rzucając: umarłbym i tak, ale przynajmniej nieoberżnięty. Kiedy się tak waham co do wyboru mojej śmierci, na drugi dzień chłopczyśko owo, ten kat mój, znowu mnie pognał zwykłą drogą na górę. Przywiązał mnie tam do jakiejś obwisłej gałęzi olbrzymiego dębu, a sam odszedłszy nieco dalej wycinał siekierą drwa do zwózki. Aż tu nagle z jaskini tuż obok wyłazi straszliwa niedźwiedzica i łeb podnosi olbrzymi. Skorom ją spostrzegł, nagłą tą zjawą okrutnie przerażony, całym ciężarem ciała na zadzie przysiadłem, a zadzierając szyję, jak można najwyżej, zerwałem rzemień, na którym byłem uwiązany. I natychmiast rzuciłem się co tchu w nogi. tak żem przez stok nie tyle zbiegł nogami, co całym cielskiem migiem się skatulał. Tak się dostałem w pola pod stokiem i uciekałem co sił starczyło przed potworną niedźwiedzicą i gorszym od niej chłopakiem.

[25] Wtedy jakiś przechodzień, widząc, że tak całkowicie luzem chodzę, przychwytuje mnie, dosiada i kijem, który miał w ręce, tłukąc, popędza jakąś boczną nie znaną mi drogą. Ja zaś, bez niechęci, dałem się pędzić, skorom się oddalał tylko przez to od miejsca przyszłej rzeźni mojej męskości. Poza tym nie wzruszały mnie kije, bom przywykł, że mnie, jak wedle przepisu, tłuczono.

Ale ów los na nieszczęście moje zawzięty, z dziwną chyżością uprzedzając tak szczęśliwie się zapowiadającą ucieczkę, nowe mi gotował zasadzki. Oto bowiem moje pastuchy, szukając przepadłej im jakiejś krowiny i biegając za nią różnymi stronami, znachodzą się przypadkiem na naszej drodze. Poznają mnie od razu, łapią za uzdę i usiłują zatrzymać. Ale mój jeździec opiera się im zuchwale, bogów i ludzi na świadków sobie wzywając.

– Co to za rabunek i gwałt! – krzyczy. – Czemu mnie napadacie?

– Tak? – powiadają tamci – to to my tu grubianie? A to, że ty uciekasz na ukradzionym nam osle, to nic? Gadaj no ty lepiej, gdzieś to ukrył tego chłopaka, co chodził z tym osłem? Oczywiście zakatrupiłeś go gdzieś? – I z miejsca na ziemię go ściągają, pięściami obrabiają,

nogami depcą. On się z krzykiem przysięga, że żadnego poganiacza na oczy nie widział, ale że osła puszczanego całkiem luzem i samopas schwytał dla nagrody za przyprowadzenie go i aby go oddać właścicielowi.

– Żeby i sam ten osioł – jęczał – którego, zaiste, obym był nigdy nie ujrzał! – żeby on sam mógł człeczą mową przemówić i dać świadectwo mej niewinności, to zaiste żałowałibyście, żeście mnie tak pokrzywdzili!

Tak zapewniał, ale nic mu to nie pomogło. Z powrozem na szyi wiodą go bowiem pastuchy rozżarte ku głębokim borom tej góry, z której chłopak drwa zwyczajnie zwoził.

[26] Jakoż na polach nigdzie chłopca nie znaleziono; potem dopiero spostrzeżono w wielu miejscach poszarpane szczątki jego ciała. Ja ponad wątpliwość wszelaką jasno zrozumiałem, że było to dzieło zębów onej niedźwiedzicy, i dalibóg byłbym powiedział, com widział, gdybym mógł być gadać. Ale tak robiłem to, co mogłem: radowałem się z pomsty, choć tak późnej. Wreszcie poznachodzone wszystkie części poszarpanego trupa i z biedą złożonywszy go do kupy, pochowano na miejscu. Mojego zaś Bellerofonta³⁰ – okrzyczanego najniewątliwszym koniokradaem i krwawym mordercą – odprowadziły tymczasem pastuchy skrępowanego do swoich chałup, aby rankiem dnia następnego zaprowadzić go przed urząd –jak mówili – dla ukarania.

Tymczasem, podczas gdy rodzice owego chłopaka w jękach i płaczach go obżałowywali, nadchodzi ów konował wiejski, co całkiem nie zapomniał o swej obietnicy, i chce mnie rżnąć.

– Dzisiaj – powiada na to ktoś – nie z tym mamy kłopot; jutro jednak możesz urżnąć temu szelmowskiemu oślisku nie tylko przyrodzenie, ale nawet cały łeb. Nikt z nas tu pomocy ci przy tym nie odmówi.

[27] Tak się tedy stało, że okaleczenie mnie na dzień następny odłożył. Ja zaś dzięki składałem temu pocziwemu chłopaczkowi, że przynajmniej po śmierci odwlekl o dzionek jeden tę rzeźnię moją. Ale nie zostawiono mi tej odrobiny nawet czasu na tę uciechę i jakieś odsapnięcie. Przyleciała bowiem do mojej stajni matka tego chłopaka, rozpaczająca nad jego śmiercią straszną, we łzach i szlochaniach cała, w sukni żałobnej, I szarpiąc rękami obiema posypiane popiołem włosy jęczała, zawodziła i piersi sobie szarpała i tłukła.

– To teraz – wrzeszczała – on tu sobie jakby nigdy nic wlażł do żłobu i zre se ino, i napycha bez ustanku ten swój bezdenny i nienasycony bandzioch, że mało nie pęknie, a mojej zgryzocie nawet się nie uzali, nawet se nie pomyśli o nieszczęściu swego nieboszczyka pana! On tu pewnikiem jeszcze starość moją i niedołęstwo lekce sobie waży, jeszcze się pogardliwy robi i myśli se, że się będzie bezkarnie takim łotrostwem cieszył! Jeszcze tu pewnie czeka, żeby mówić o nim, że niewinny; a bo to tak nie bywa, że kto knuje co najgorszego, to się bezkarności spodziewa, by wyrzuty sumienia zagłuszyć? Bo jak mi bóg miły, gdybyś ty, bydlaku łajdacki, mógł na chwilę przemówić, to czybyś ty mógł przekonać durnia nawet największego, że w tym nieszczęściu winy twej nie było, kiedy mogłeś bić kopytami, bronić zębami nieszczęsnego chłopczyny? Na niego samego co chwila wierzgać potrafiłeś, ale jak przyszło od śmierci bronić, to ci zaraz tej chwackości ubyło? Z pewnością mogłeś na grzbiet go wziąć i unieść zaraz, i wydrzeć z rąk krwawego zbója, a nie zrzucić i porzucić tego twego druha, pana, towarzysza, chlebodawcę i sam się ulotnić! Nie wiesz to może, że kara czeka także tych, co odmówili ginącym pomocy zbawiennej, ile że to jest przeciw obyczajności pospólnej? Ale nie będziesz ty się, morderco, cieszył dłużej mym nieszczęściem! Już ja to zrobię, że poczujesz, jak to natura sił dodaje rozpaczy i bólowi!

Z tymi słowy szarpnęła rękami i zerwała swój pas, powiązała z osobna moje nogi i jak najciaśniej skrępowowała, oczywista, bym się w żaden sposób przed jej pomstą nie mógł bronić, po czym porwawszy drąg, którym wrótnie stajni podpierano, nie pierwej tłuc mnie i walić nim

³⁰ B e l l e r o f o n t – wnuk Syzyfa, który na skrzydlatym Pegazie chciał się dostać do nieba, ale spadł i jako żebrak włóczył się po ziemi, złorzecząc bogom.

przestała, aż się tak zmęczyła i zmordowała, że drąg własnym ciężarem z rąk się jej wysunął. Wtedy rozżalona, że się jej ramiona tak prędko zmęczyły, pobiegła do ogniska, wyciągnęła głównię rozżarzoną i w zad mi ją wraziła. Ocalałem się jedynym środkiem, jaki mi pozostał: chlusnąłem prosto w nią płynnym gnojem zapługawiając jej twarz i oczy. Oślepiąca i smrodem zdławiona, uciekła wreszcie ode mnie ta baba gorsza od zarazy: gdyby nie to, byłby ośli Meleager zginął przez głównię szalejącej Altei.

KSIĘGA ÓSMA

[1] Świt już kogucie piania zwiastowały, kiedy z miasta sąsiedniego młodzieniec pewien przybieżał, jak mi się zdało, jeden ze sług Charyty, dziewczynki onej, z którą to u zbójów wspólną niedolę znosiliśmy. On to, usiadłszy przy ognisku między ciżbą czeladzi, takie dziwne opowiadał i okropne rzeczy o śmierci jej i całej jej rodziny zatracie:

– Koniuchy, owczarze i wy, wolarze! Mieliśmy tu, mieli naszą Charytę, ale to niebożątko przez nieszczęścia okrutne poszło sobie już w cieni krainę, poszło, i nie samo. Lecz abyście dokładnie o wszystkim się dowiedzieli, od początku wam opowiem, co się stało, a co by, sprawiedliwie, raczej uczeńszym, takim, których rylce uzdolnienie szczęśliwe wodzi – w księgi historii wpisać się godziło.

Żył w mieście sąsiednim młodzieniec pewien, rodu świetnego, równie znamienity jak bogaty. Ale przez nieustanne po karczmach hulanki z dziewczkami wszetecznymi, przez całodzienne pijatyki zeszedł tak, że popadł w złe zbójów towarzystwa i nawet dłonie tam krwią ludzką sobie pokalał. Nazywał się Trazyllus. A gdy się tak działo, to i sława jego była nielepsza.

[2] On to, skoro tylko Charyta dorosła i dojrzała, o rękę jej się ubiegał między najprzedniejszymi zalotnikami z gorliwością okrutną. Ale chociaż między wszystkimi innymi takimi się wyróżniał i niezmiernymi podarunkami rodziców życzliwość sobie usiłował pozyskać, przecież dla obyczajów złych swoich zniewagi tej doznał, iż kosza mu dano. Kiedy zasię panielka nasza za mąż za zacnego Tlepolemusa poszła, wtedy, wzgardzonej miłości trawiąc się żarem i wściekłością za odrzucenie jego ręki, do pomsty krwawej szukał sposobności. Ułapawszy wreszcie dla pojawienia się blisko nich chwilę sposobną, gotuje się do zbrodni dawno obmyślanej.

W dniu mianowicie, w którym panielkę podstęp i męstwo narzeczonego uwolniły z pośredka mieczów zbójceckich, wmieszał się w tłum składających jej życzenia i – tak, by to wszyscy widzieli – głośno objawiał swą radość z obecnego ocalenia i życzył przyszłego potomstwa. Że to był z rodu świetnego, więc go wśród gości najprzedniejszych w dom nasz przyjęto; tu on, zbrodnicze swe zamiary zataiwszy, przyjaciela najwierniejszego udawał. I tak przez stykanie się nieustanne i ciągłe rozmowy, czasem nawet przez towarzystwo przy stole i przy pucharku stosunki z nim się zacieśniały, on zaś sam, nawet o tym nie wiedząc, grzązł coraz głębiej w bezdennej przepaści swego miłowania. Alboż to tak nie bywa? Okrutnej miłości zarzewie, gdy jeszcze małe, naprzód swym ciepłem zachwyca, gdy jednak, podsycone karmią nawyku, płomieniami ogromnymi buchnie, wtedy całego człowieka przepala.

[3] Długo się tedy głowił Trazyllus, ponieważ nie mógł znaleźć sposobności do porozumienia się tajemnego z Charytą, wszelką zasię możliwość cudzołożnych miłostek coraz mocniej udaremniała sama wielka ciżba czeladzi. Rozumiał także, że mocne nie do zniszczenia więzy pierwszej i gorącej miłości zerwać się nie dadzą i że niewiastce, gdyby nawet zechciała – choć zechcieć nie mogła! – nie dozwoli myśleć o małżeńskiej zdradzie samo niedoświadczenie. A przecież do tej rzeczy niemożliwej rwał się z uporem zgubnym, tak jakby była możliwa. Bo co się naprzód wydaje trudne do osiągnięcia, to dla miłości, która się miała czas

rozrość, rzeczą się widzi łatwą. Słuchajcie tedy ino – jeśli łaska – uważnie, do czego to oszalała żądza zawieść może.

[4] Pewnego dnia udał się Tlepolemus, dobrawszy sobie do towarzystwa Trazyllusa, na łowy na dzikiego zwierza – o ile tam jest co dzikiego w sarnach; nie pozwalała bowiem małżonkowi swemu Charyta uganiać się za zwierzem zbrojnym w kły lub rogi. I było tak, że na jednym pagórku, zagajonym gęstym gałęzi poszyciem, znikły sarny z oczu goniących myśliwych. Spuszczono tedy wspaniałe psy myśliwskie, aby ruszyły zwierza z kryjówek, one zaś, wyćwiczone doskonale w swej sztuce, zaraz się rozdzieliły, osaczyły wszelkie przejścia z głuchym ino naprzód warkotem; potem dopiero, na dany znak, dziaukotem wrzaskliwym i zapalczywym wszystko napelniły. Ale nie wypłoszyły ani sarny, ani wystraszonego daniela, ani łagodniejszej jeszcze od nich łani: wypadł odyniec tak olbrzymi, jakiego jeszcze nie widziano. Nabrzmiały był mięśniami twardego cielska, plugawy od kudłów nastroszonych na skórze, szorstki szczecią jeżącą się na grzbiecie, spieniony od głośnego zgrzytania kłami, płomienny groźnymi światłami ślepiów, a piorunowy cały od wściekłych rzutów dygocącej paszczy. I naprzód psy zuchwalsze, co mu w drogę włożyły, kilkoma rzutami ryja rozszarpuje, potem targa słabiutką sieć i odlatuje w tym kierunku, w którym naprzód uderzył.

[5] My zasię, od strachu zdrętwiali, bo do polowań zawsze zgoła nie niebezpiecznych przywykli, a teraz jeszcze bezbronni i z gołymi rękami, przycupnęliśmy w krzakach i utaili się za drzewami. Trazyllus zasię, czując tu sposobność do zdrady, tak się do Tlepolemusa chytrze odzywa:

„Jakże to? To my tacy ogłupiali czy też pustym lękiem przypodobnieni tym parobkom, co do ziemi przypadli, czy też zastrachani jak niewiasty wypuszczamy z rąk taką wspaniałą zdobycz? Czemuż nie skoczymy na koń! Nie popędzimy za nim co żywo? Chwytajże ten dzirynt, a ja biorę włócznię!”

Za czym w okamgnieniu wskakują na koń i co pary w koniach gnają za zwierzem. On jednak, dufny we wrodzoną moc, odwraca się dysząc dzikością i kłami zgrzytając waha się chwilę, na którego z nich naprzód się rzucić. Ale Tlepolemus uprzedzając go cisnął swoją włócznią w jego grzbiet. Trazyllus zaś nie bestię, ale konia, na którym siedział Tlepolemus, dźgnął włócznią i przebił mu kolana zadnich nóg. Rumak upada w łachę własnej krwi i przewalając się cały wstecz, mimochcąc zrzuca swego pana na ziemię. W tej chwili wypada na leżącego rozszrony odyniec i wielą kłów szarpie na nim odzież, a potem jego samego, kiedy podnieść się usiłował. I nie powstydział się dobry przyjaciel zbrodni, której oto dał początek, ani też nie było nawet takie niebezpieczeństwo należyłą ofiarą dla jego okrucieństwa: gdy Tlepolemus zrozpaczony usiłował osłonić swe pokrwawione uda i o pomoc jego co sił krzyczał, on jeszcze mu włócznią goleń prawy przeszył – o tyle siebie pewniejszy, iż wiedział, jak to podobne będą rany od grotu do ran zadanych kłami. Po czym z łatwością przebił także samego odyńca.

[6] Kiedy w ten sposób zginął młodzieniec, wypadamy wszyscy – czeladź stroskana – z naszych kryjówek, i zbiegamy się doń. A ten zbrodniarz tymczasem, jakkolwiek po spełnieniu tego, co sobie ślubował, wyskakuje z radości nad rozciągniętym wrogiem, to jednak radości w obliczu nie okazuje i – z czołem chmurnym – ból udaje, i trupa, w którego sam przyjaciela zamienił, łapczywie ściska i skrzętnie wszystkie ruchy rozpaczających naśladuje. Łzy jedynie płynąć mu nie chciały. Tak do nas, którzyśmy prawdziwie rozpaczali, przypodobniając się, zbrodnię rąk swoich zwał na bestię.

Jeszcze się prawie zbrodnia nie dokonała, a już wieść o niej się rozchodzi i pierwsze swe kroki do domu Tlepolemusa kieruje, i w uszy nieszczęsnej żony uderza. Skoro usłyszała tę wieść, gna jak szalejąca bachantka (czyż można inaczej wieść taką przyjąć?) nieprzytomna i bez zmysłów przez ludne ulice, przez pola i głosem strasznym i nieswoim rozpacza nad śmiercią męża. Zbiegają się gromady zasmuconych obywateli, przyłączają się współczujący przechodnie, opróżnia się miasto całe, bo wszyscy chcą zobaczyć zabitego.

A oto trup męża! Przybiega doń Charyta i bez tchu rzuca się cała na jego ciało; bardzo niewiele brakło, aby wytnęła tam duszę, którą mu poślubiła. Rękami swoich podniesiona, z trudem wielkim do życia przywołać się dała. Orszak żałobny zaś, któremu lud cały towarzyszył, odprowadził ciało na miejsce pogrzebu.

[7] A Trazyllus co niemiara i bez pomiarkowania ino jęczał a wykrzykiwał; nawet te łzy, które mu w pierwszej łganej rozpaczyci iść nie chciały, teraz – jużci, że to jego radość rosła – pociekły. Czującymi zaś imionami, którymi zmarłego przyzywał – samą Prawdę oszukiwał. Zrozpaczonym głosem wzywał go, zowiąc przyjacielem, rówieśnikiem, bratem wreszcie. Czasem znowu dłonie Charyty przytrzymał, by się nimi po piersiach nie tłukła, żal jej koł, jęki powstrzymywał, słowa pieszczotliwymi ostrze bólu tępić usiłował, rozwijał dla pociechy przykłady najrozmaitszych cudzych nieszczęść, wszystkimi wreszcie środkami kłamnego współczucia usiłował wdowę sobie pozyskać i haniebną miłość swą sycić plugawą uciechą. Ale niewiastka natychmiast po odprawieniu obrzędów pogrzebowych jedynie o tym myślała, by się z małżonkiem swym połączyć, i wszystkich ku temu szukała dróg, najbardziej ją zasię nęciła owa powolna i spokojna, i narzędzi żadnych zabójczych nie wymagająca, ale raczej do cichego zaśniecia podobna: śmierć głodowa.

Tak tedy skryła się nieszczęsna w głębi podziemia, zaniechawszy wszelkiej o siebie troski i kończąc wszelką sprawę z życiem. Lecz Trazyllus wytrwałością i uporem wymógł na niej wreszcie, częścią sam, częścią przez innych krewniaków i powinowatych, przez samych wreszcie niewiastki rodziców, że – zmarniała już prawie do cna z tej nędzy, z brudu – godzi się wreszcie na kąpiel, na przyjęcie posiłku. Tak tedy ona, co rodziców swych przecie miłowała, choć wbrew woli, powinności jednak się poddając, z obliczem wprawdzie nie wesołym, ale już pogodniejszym nieco, posłusznie, jak jej kazano, spełniała obowiązki żyjących ludzi, choć we wnętrzu, w głębi serca żal i smutek ją pożerał. Dnie całe i całe noce bolesnym trawiła się pożądaniem; kazała sporządzić, na kształt i podobieństwo boga Libera, wizerunki zmarłego i w służbę się im poświęciwszy, cześć bożą oddawała, dręcząc się tak tym, co jej pociechę sprawiało.

[8] Trazyllus zasię, człek w ogóle porywczy i – na co już samo imię jego wskazywać się zdawało³¹ – lekkomyślny, nie czekał, aż ból łzami się nasyci, aż się rozpacz rozszalałego serca ukoji i aż się znuży żal przydługim swym trwaniem – i nie wahał się napomknąć jej w chwili naglej nierozwagi o małżeństwie i tak wyjawić najgłębszych tajemnic swego serca i zdrady, o której mówić nie należało – jej, co jeszcze męża opłakiwała, jeszcze szaty rozdierała, jeszcze włosy sobie targała.

Wzdrygnęła się Charyta wszystka na te niecne słowa i jakby pod hukiem grzmotu i burzy zrodzonej przez złą konstelację albo nawet samego bożego piorunu – na ziemię runęła i przytomność utraciła. Ale gdy jej po pewnym czasie zmysły nieco wróciły, krzyki zwierzęce wydawać ją; przezierając już zasię całą grę nikczemnego Trazyllusa, kazała zalotnikowi poczekać; chciała bowiem namyślić się nad tym, co jej czynić wypadnie. W czasie tej to zwłoki cień owego haniebnie zamordowanego Tlepolemusa ukazał się jej podczas jej snu czystego i tak jego zwid, sinością zeszepecony i skrwawiony posoką, do żony przemówił:

„Małżonko moja, niechże cię nikt inny imieniem tym nie nazwie. A jeśliby już zawiędała w sercu twym pamięć o mnie lub jeśli gorzka śmierć moja rozerwała związek naszej miłości, to raczej bądź szczęśliwą żoną komu innemu, a tylko nie wejdź w świętokradzki dom Trazyllusa ani doń jak do małżonka nie przemów, przy stole jego nie zasiądź, w łożu jego nie legnij. Nie dotknij krwawej dłoni mego mordercy. Nie waz się zawrzeć małżeństwa pod wróżbą mordu. Te rany, których krew łzy twe obmyły, nie wszystkie kłami zwierza zostały zadane: to włócznia niegodziwego Trazyllusa wydarła mnie tobie”.

Po czym opowiedział wszystko i wyjaśnił całą grę zbrodni.

³¹ imię T r a z y l l u s pochodzi od greckiego *thrasos*, co znaczy: zuchwałość, bezczelność.

[9] Ona zasię jak przedtem w smutku leżała, twarz w łożo wciskając i we śnie ciągle po-
grążona, teraz łzami się zalała i jakoby męczarnią nagłą jakąś przeszyta krzyczeń poczęła
straszenie, i gżło rozdarłszy ramiona kształtne szarpać poczęła palcami jak szponami. Nie
szepnęła jednak nikomu o tym nocnym widziadle, ale całkowicie udając, że nie zna prawdzi-
wego zbrodni przebiegu, przysięgła sobie w milczeniu, że niecnego mordercę ukarze, a potem
nędznego życia się pozbawi.

Oto znowu przybył niegodziwiec, nieopatrznie rozkoszy spragniony, i uszy jej, słyszeć nie
chcące, trudzić ją namowami małżeństwa. Ale ona łagodnie, słów Trazyllusa nie słuchając i
na twarz nieprzeniknioną maskę wdziawszy, rzecze na jego nieustanne i korne gadania i proś-
by:

„Jeszcze mi w oczach stoi postać owa cudna twego brata a mego męża najdroższego, jesz-
cze czuję zapach cynamonowy jego boskiego ciała, jeszcze żyje uroczy Tlepolemus w moim
sercu. Tedy dobrze i jak najlepiej uczynisz, jeśli powinnemu żalowi żony najnieszcześniejszej
zostawisz czasu tyle, aż się dopełni rok resztą swych miesięcy. Będzie to miało na względzie
cześć moją, a nawet i twoje dobro i zdrowie: zbyt wczesnym małżeństwem bowiem mogliby-
śmy – i słusznie – oburzyć ku zgubie swojej i rozgoryczyć cień mego męża”.

[10] Ale i te słowa nie otrzeźwiły Trazyllusa ani go zadowolili obietnica rzecz odraczają-
ca: bez przerwy usty płonącymi, szeptań niepoczciwych pełnymi na nią nalega, aż pozornie
już uległa, rzekła mu Charyta:

„W tym jednym przynajmniej na prośby gorące moje koniecznie ustąpić mi musisz, Tra-
zyllusie, aby – tymczasem przynajmniej – miłość nasza tajemna była, iżby się nikt z domow-
ników jej nie domyślił, i to tak, aż cały rok od śmierci męża upłynie”.

Uległ Trazyllus, żądy swej zdzierzyć już nie mogący, podstępnej obietnicy niewiasty i
chętnie na tajemne miłości się zgodził. Jakże niecierpliwie czekał sam nocy i jej tajemnych
ciemności, o niczym nie myśląc poza jedną żądzą posiadania niewiasty.

„Bacz ino – przestrzegala go Charyta – byś się jak najdokładniej płaszczem owinął i bez
żadnego towarzystwa, cichutko, o pierwszej straży u drzwi mych stawił. Zaświstaj ino raz i
czekaj na tę moją piastunkę, która za zamkniętymi drzwiami wypatrywać będzie twego przy-
bycia. Ona też drzwi otwarłszy przyjmie cię i bez światła, co zdradzić by mogło, do mej sy-
pialni zaprowadzi”.

[11] Spodobała się Trazyllusowi taka ponura inscenizacja wesela. Jakoż nie podejrzewając
niczego złego i rady sobie dać nie mogąc z niecierpliwości, kłął jedynie dłużący się dzień i
wieczór, co nadejść nie chciał.

Lecz skoro wreszcie słońce nocy miejsca ustąpiło, płaszczem okryty, jak mu to Charyta
nakazała, wśliznął się – zmamiony do reszty chytrą usłużnością piastunki – wśliznął się do
sypialni, rozkosznej pełen nadziei. Wtedy starucha, w myśl rozkazu pani mu nadskakująca,
nieznacznie mu podsuwać jąła pucharki i dzban wina zmieszanego z nasenną truczką. A gdy on
bez wahania i chciwie raz po raz pucharki wychylał, tłumaczyła mu opóźnianie się pani ba-
jać, że siedzi przy chorym ojcu, i tak bez trudności spiła go i uśpiła. A kiedy tak leżał bez-
bronny wobec wszystkiego, co by mu złego uczynić chciano, zawezwała Charytę.

Weszła z męskim zdecydowaniem i dygocąc od strasznego podniecenia stanęła nad mor-
dercą.

[12] „Tuś to – rzekła – wierny druhu mego męża, tuś, przedni myśliwce, tu, kochanku
najdroższy. A tu jest ta prawica, co krew mą rodzoną rozlała, tu serce, z którego się podstępna
zdrada ku zgubie mej wylęła, tu te oczy, którym się – nieszczęsna – spodobałam, a które już
sposobem jakowymś przyszlą noc swoją przeczuwając, same już teraz karę swą uprzedzają.
Spoczywaj w pokoju, śnij słodko! Nie zabiję ja cię mieczem, nie zabiję żelazem; nie będzie
tak, byś się mógł poszczycić taką samą śmiercią jak ta, którą zginął mój mąż: będziesz żył z
umarłymi oczyma i nie ujrzysz nic, chyba we śnie. Zrobię ja tak, że śmierć twego wroga bę-
dziesz uważał za większe szczęście niż twe własne życie. Nie ujrzysz ty już światła, bez ręki

prowadzącej się nie obejdiesz. Nie będziesz ty miał Charyty, nie zaznasz tego małżeństwa i ani nie wythniesz w ukojeniu śmierci, ani rozkoszami życia się cieszyć nie będziesz, lecz będziesz – upiór posepny – błądził między Orkusem a światem słonecznym i długo szukać będziesz ręki, co ci źrenice wykłula, i – co jest w niedoli najstraszniejsze – nie będziesz wiedział, na kogo się skarżyć. A ja grobowcowi mego Tlepolemusa obiatę złożę krwią twych źrenic i świętym jego ceniom twymi oczyma zadośćuczynię. Lecz czemuż masz korzystać z odwlekania męczarni, na którą tak zasłużyłeś, i śnić teraz może o moich uściskach? Tych, które będą śmiertelne dla ciebie! Opuść mroki snu i zbudź się w innych ciemnościach – tych, co ci będą karą. Podnieś puste oczodoły, poznaj pomstę, zrozum całą niedolę, porachuj swe cierpienia. Oto jak się spodobały cnotliwej niewieście twoje oczy, oto jak pochodnie weselne oświetliły twe weselisko. Dziewosłębic ci będą Furie, a opuszczenie towarzyszyć i wieczyście zgać twe złe sumienie”.

[13] Tak mu wróżąc niewiasta wyciągnęła z włosów ostrą szpilkę i obie źrenice mu wykłula, po czym zostawiła go tak; i kiedy ból nieznany przemagał u oślepionego senność i odurzenie, sama, porwawszy nagi miecz, który nosił zwykle Tlepolemus, gna jak szalona środkiem miasta i – niewątpliwie o jakimś strasznym czynie myśląca – dąży wprost do grobowca męża. My zaś i cała ludność z domów swych wybiegłszy pędzimy za nią co tchu i wołamy do siebie, aby wydrzeć jej żelazo z szalonych rąk. Ale Charyta stanęła u grobu Tlepolemusa i ludzi błyszczącym mieczem odganiając – gdy ujrzała, jak cały tłum rzewnie płacze i nad nią się użala – zawołała:

„Precz z niewczesnymi łzami, precz z żalem, co duchowi memu nieprzystojny. Pomściłam się za męża mego na mordercy okrutnym, ukarałam plugawego rabusia naszego małżeństwa. A teraz już czas, by mi miecz ten otworzył drogę w otchłań, do mojego Tlepolemusa”.

[14] I opowiedziawszy po porządku wszystko, co jej we śnie obwieścił małżonek, i to, jak Trazyllusa – podstępnie zwabiwszy – dosięgła swą pomstą, wbiła sobie żelazo pod prawą pierś, runęła na ziemię i tarzając się we własnej krwi coś jeszcze niewyraźnie wyjąknęła i wyzionęła męską duszę. Za czym natychmiast krewniacy niebogi starannie ciało jej obmyli i złożyli tam, w tym samym grobie, mężowi na wieczną towarzyszkę.

Trazyllus zaś dowiedziawszy się o wszystkim, nie znajdując śmierci, która by była odpowiednim zadośćuczynieniem za straszne nieszczęścia – wiedział bowiem, że miecz nie odkupiłby tak okropnej zbrodni – sam zaprowadzić się kazał do grobowca tamtych.

„Oto w dobrowolnej – wołał – składam się wam, wrogie cienie, ofierze” – i rozkazawszy, by wejście do grobowca za nim zamurowano, postanowił głodową śmiercią zakończyć życie przez własne sumienie potępione.

[15] Taką to ów przybysz historię – głęboko wzdychając i popłakując niekiedy – opowiadał wiejskiej czeladzi wielce poruszonej. Za czym obawiając się tego, co może przynieść zmiana właściciela, i głęboko rozżaleni nieszczęściem pańskiej rodziny postanawiają uciekać. Ten tedy koniuszy, któremu kiedyś oddano mnie z owymi wielkimi poleceniami pod opiekę, załadował na grzbiet mój i innych bydłał wszystko, co miał w chacie cenniejszego, i razem z tym opuścił dawną siedzibę. Dźwigaliśmy tak niemowleta i niewiasty, dźwigaliśmy drób, ptactwo, koźlątko, szczeniaki; wszystko, co z powodu słabych nóg opóźniało naszą ucieczkę, maszerowało naszymi nogami. Ale mnie nie dokuczał nawet ciężar tłumoków, choć nadmierne, ponieważ w tej radosnej ucieczce uciekałem od owego nikczemnego rzeźnika mojej męskości.

Przemierzyliśmy tak stromy grzbiet lesistej góry i przejechali znowu rozłogi pól położonych po drugiej stronie. I już się ścieżka mroczyć zaczęła w wieczorze, kiedy przybyliśmy do pewnego warownego miasteczka, ludnego i bogatego. Mieszkańcy jego zatrzymywali nas radząc, byśmy nie wyruszali dalej w nocy, a nawet zbyt rano: wilki bowiem liczne, stare, o cielskach olbrzymich, srogie i okrutnie dzikie, zwykły się wszędy tu włóczyć za żerem, niepokojąc całą tę okolicę; już się nawet na drogach zasadzają i –jak zbóje – na przechodniów

napadają, ba, strasliwym głodem rozwścieczone, wdzierają się do bliskich miasta domów; ludziom już samym grozi od nich taka śmierć, jaką poginęło tyle bezbronych bydła. Opowiadali wreszcie, że na tej drodze, którą mieliśmy iść, leżą nie dogryzione ciała ludzkie i świecą kośćmi obżartymi z ciała; że z tego powodu z największą ostrożnością maszerować musimy na to przede wszystkim zważając, by iść po pełnym dniu – gdy jasno i słońce – i wielce się mając na baczności; światło dzienne zresztą onieśmiela te straszne bestie, a wtedy, nie rozpraszając się w grupki, ale idąc jedną zbitą kupą – przebijemy się przez te niebezpieczeństwa.

[16] Ale te łajdaki, co uciekały i nas ze sobą wiodły, w gorączce swego ślepego pośpiechu i ze strachu, czy pogoń za nimi nie idzie, nie usłuchały dobrej rady i nie czekając najbliższego dnia, wypędziły nas obladowanych na drogę już o trzeciej prawie straży nocnej. Wtedy ja w strachu przed niebezpieczeństwem, o którym mówiono, ukradkiem schowałem się – z troskliwości o moje poślaki, zagrożone zębami wilczymi – jak tylko można najgłębiej w środek stada bydła. I aż się dziwowali wszyscy szybkości, z jaką wszystkie konie wyprzedzałem. Ale ta rączność nie z nadzwyczajnej ochoczości pochodziła, tylko ze strachu; i sam sobie tak wtedy myślałem, że ten Pegaz osławiony to chyba taki był lotny ze strachu – i dlatego, jużci, sprawiedliwie go ze skrzydłami wystawiają – że mianowicie podskakiwał tak do góry i aż do nieba i opadał pewnikiem z trwogi przed ziejącą ogniem paszczą Chimery. Zresztą i te pastuchy, co nas wiodły, uzbroiły się jak na wojnę: ten z włócznią, ten z dzirytem, ów z grotem; inny jeszcze niósł drąg. Mieli także kamienie, których nierówna dróżka pod dostatkiem dostarczała. Jeszcze inni dźwigali zaostrzone na końcu koty, wielu zaś odstraszało zwierza płonącymi pochodniami. Brakło chyba tylko trąby wojskowej, abyśmy wyglądali jak gotowe szyki bojowe. Ale niepotrzebnie zgoła najedliśmy się tego czczego lęku, a za to wpadliśmy w daleko gorsze obierze. Wilki bowiem – może odstraszone zgiełkiem zbrojnej młodzieży albo pewnie jeszcze ogromnym światłem pochodni, albo też gdzie indziej żerujące – zgoła na nas nie napadły ani nawet nikomu się nie pokazały.

[17] W folwarku natomiast jakimś, któryśmy po drodze mijali, chłopci – widząc naszą kupę – wzięli nas za zbójców, a mocno zatroskani o swoje mienie i ciężko zastrachani, puścili na nas kundle wściekłe i olbrzymie, od wszelkich wilków i niedźwiedzi straszniejsze, a do obrony i walki starannie ułożone, i podjudzali je na nas zwyczajnym szczuciem i wszelkim możliwym wrzaskiem. Te psy, z natury już niesłychanie dzikie, a jeszcze wrzaskiem swoich podszczute – rzucają się w skokach na nas ze wszystkich stron, bez różnicy rozszarpując równocześnie bydła i ludzi; szalały tak dobry kęs czasu i niejednego rozciągnęły. I można tam było oglądać widowisko godne – dalibóg – nie tyle pamięci, co litości: rozżarte sfory psów, co bądź to gnały za uciekającymi, bądź to osaczały tych, co się z miejsca nie ruszali, bądź to rzucały się na leżących już na ziemi i kłami znaczyły ślady swoich biegów przez naszą gromadę.

Ale oto do tego niebezpieczeństwa przyłącza się rzecz o wiele gorsza jeszcze. Ze szczytu dachów mianowicie i z sąsiedniego pagórka zaczęli owi chłopci walić na nas nagle głązy, tak że zaiste wymiarkować nie było można, przed czym się naprzód bronić trzeba: czy przed rzucającymi się z bliska psami, czy przed lecącymi z daleka kamieniami. Jeden z tych kamieni uderzył nagle w głowę kobietę, co siedziała na moim grzbiecie. Uderzyła z bólu w krzyk i płacz i wzywać zaczęła pomocy swego męża, owego pastucha.

[18] Ów zasię bogów na świadków wzywając i krew żonie z twarzy ocierając, głośniejsze jeszcze ją wrzeszczeć:

– Czemu napadacie i tak okrutnie dręczycie biedaków i strudzonych podróżnych? Co z nas chcecie złupić? Za jakie krzywdy na nas się mścicie? Cóż to, czyście mieszkańcami jaskiń zwierzęcych albo jakichś skał, gdzie żyją dzicy ludzie, że się radujecie rozlewem krwi ludzkiej?

Zaledwie to powiedział, kiedy natychmiast ustał gęsty grad kamieni i uspokoiła się wściekłość rozszartych psów, bo je odwołano. Po czym odzywa się ze szczytu cyprysu jeden z tamtych:

– Doprawdy, my tu wojujemy, nie żeby was złupić, ale że się chcemy ubezpieczyć od tej właśnie klęski z waszych rąk. Ale teraz, skoro już pokój między nami, możecie odejść sobie spokojnie.

Tak to on se powiedział, ale my musieliśmy iść dalej w drogę dobrze postrzępieni: jeden raniony kamieniem, inny pokąsany, a wszyscy jakoś przetrąceni. Wreszcie odwaliwszy jeszcze szmat drogi przyszliśmy do jakiegoś gaju zarosłego wielkimi drzewami, a rozkosznego dzięki zieleniejącym trawnikom. Tu postanowili owi nasi poganiacze krzynkę spocząć i troskliwie opatrzyć swoje ciała na różne sposoby poszarpane. Przeto na ziemi naokół się porozkładawszy, naprzód nieco wytchnęli, potem zaś jęli leki różne do ran swych stosować: ten zmywał krew strugami wody obok płynącej, inny gąbką w kwasie zmoczoną opuchliny leczy, inny zawiązuje przepaskami szeroko rozdarte rany. Tak to każdy zajmował się swoją skórą.

[19] Tymczasem ze szczytu pagórka wyjrzał jakiś starzec; pasące się wokół niego owce zdradzały w nim owczarza. Do niego to zwrócił się jeden z naszych, czy tam nie ma na sprzedaż mleka, bądź to jeszcze płynnego, bądź w świeży ser zgęszczonego.

Ale tamten ino głową długo potrząsać począł:

– To wy – powiada wreszcie – teraz rozmyślcie o pokarmie czy napoju, czy w ogóle jakimkolwiek posiłku? Wy chyba zgoła nie wiecie, gdzieście się rozłożyli?

Po czym odwrócił się, popędził owce i odszedł daleko. Te jego słowa i szybkie odejście przeraziły naszych pasterzy nie na żarty. A kiedy wystraszeni chcieli odgadnąć, co by też to za miejsce być mogło, nikt zasię wyjaśnić nie potrafił, ukazał się na drodze zbliżający się ku nam inny jakiś starzec, postawy ogromnej, ale latami przygarbiony, który na kiju ciężko się wspierając włócił znużone kroki, a łzami się zalewał: gdy nas ujrzał, jał chyląc się z płaczem okrutnym do kolan każdego z młodych ludzi i tak błagał:

[20] – Na Dole wasze i waszych Geniuszów – abyście do tak późnych lat jak moje w zdrowiu i radości dożyli! – pomóżcie pokrzywdzonemu starcowi: wydrzyjcie podziemiom mego chłopaczka i zwróćcie go mej siwiźnie! Oto wnuczek mój i wdzięczny mej drogi towarzysz, właśnie gdy za ptaszkiem na płocie rozcwierkanym gonił, wpadł w wądół zakryty krzakami i w ostatecznym dyszy tam życia niebezpieczeństwie. Miarkuję jednak po jego płaczu i krzyku, którym dziadka ciągle przyzywa, że on jeszcze żyje; ale ja, com – jak widzicie – słaby i niedołężny, pomóc mu nie mogę. Wam zasię, dzięki młodości waszej i sile, łatwo będzie dopomóc nieszczęsnemu starcowi i ocalić mi tego chłopaczka, z mego rodu ostatniego i jedyne potomka.

[21] Wszystkich wzruszył, kiedy tak błagał i siwe swoje targał włosy. Ale jeden – i młodszy, i odważniejszy, i silniejszy od innych, i jedyny, który cało wyszedł z niedawnej bitwy – zerwał się żwawo i jał wypytywać, w którym to miejscu chłopak ów zleciał. A gdy starzec pokazał palcem niedaleko owe straszne krzaki, co żywo z nim tam podążył.

Tymczasem wszyscy pokrzepili się – my popasłszy sobie, pastuchy opatrzywszy swe rany – i każdy obładowany swymi tłumokami gotował się do drogi; zaczęto tedy naprzód wołać raz po raz owego młodziaka, po imieniu go wzywając. Wkrótce jednak zaniepokojeni, że się nie pokazuje, wysłali pasterze spośród siebie jednego, by go odszukał, powiadomił, że czas w drogę, i sprowadził z powrotem. Po niedługiej chwili wraca ów wysłannik zzieleniały ze strachu jak bukszpan i dziwy o towarzyszu swoim opowiada: widział go rozciągniętego na grzbiecie i już w sporej części zjedzonego przez niezmiernego smoka, który na nim legł i żarł go; z owego zaś starego nędznika nie było nigdzie ani śladu!

Dowiedziawszy się o tym i porównawszy to ze słowami pasterza, który pewnikiem o nim innym, ino o tym potworze jako o tych miejsc mieszkańcu wspominał, rzucają się wszy-

scy do ucieczki, by tę okropną okolicę co prędzej opuścić, i nas gnają tłukąc, ile wlezie, kijami.

[22] Tak w pośpiechu wielkim przebyliśmy duży szmat drogi i do wsi wreszcie pewnej przybyli, gdzieśmy całą noc odpoczywali. W niej to zdarzyła się rzecz wzmianki wielce godna, którą wam chcę opowiedzieć.

Pewien niewolnik, któremu pan oddał dozór nad całym mieniem i który sam gospodarował na owym ogromnym folwarku, cośmy na niego zajechali, miał za żonę niewiastę z grona tej samej czeladzi; zapalał on jednak namiętnością do pewnej obcej, wolnej niewiasty. Rozżalona tą zdradą żona jego wszystkie rachunki gospodarskie męża i wszystko, co się w lamusie znalazło, do ognia rzuciła i spaliła. Ale nie zadowolila się takim swego łoża wzgardzonego pomśczeniem, ale srożąc się już przeciw temu, co jej najdroższe było, przywiązała sobie powróż do szyi, do niego małe dzieciątko, które się jej niedawno z tego męża urodziło, i rzuciła się z tym maleństwem do bardzo głębokiej studni.

Ta śmierć okrutnie oburzyła ich pana; kazał porwać sługę, który spowodował żonę do spełnienia takiej strasznej zbrodni, kazał go całego nagiego miodem wysmarować i mocno przywiązać do pnia spróchniałego figowca, gdzie się roilo od mrówek gniazda swoje budujących i przelewających się jak woda we wszystkich kierunkach. Mrówki, jak tylko poczuły słodki i miodnisty zaduch ciała, okrywać jeły niewolnika caluteńkiego ukąszeniami drobnymi wprawdzie, ale licznymi i ciągłymi; zginął tedy ten człowiek w przewlekłych męczarniach, bo obżarty z niego mięso i wnętrzności i obłupiły wszystkie członki, tak że same kości odarte z mięsa i łyskające okropną białością tkwiły przy owym śmiertelnym drzewie.

[23] Opuszczając ten straszny dom zostawiliśmy w nim wieśniaków w żalości wielkiej pograżonych, a sami poszliśmy dalej. Po całodziennej wędrowce po drogach polnych przybyliśmy, zmordowani już, do miasta pewnego ludnego i znacznego. Tam to postanowili owi pastarze osiedlić się na stałe, bo widziało się im, że to i dość daleko od pogoni, i że tam znajdują pewną kryjówkę; zapraszała też do zostania urodzajność i żywności obfitość. Dano tedy bydłom trzy dni na wypoczynek – abyśmy wyglądały bardziej zachęcająco do kupna – po czym na targowisko nas wyprowadzono.

Tutaj woźny wywoływał wielkim głosem ceny, a różni bogaci kupcy wytargowywali konie i osły. Ja tylko sam zostałem, jak wybiórki: kupy ludzi mijały mnie, lekce mnie sobie ważąc. A że mi już do cna obmierzło to obmacywanie mnie przez tych, co mi na zębach wiek mój wyrachować chcieli, złapałem zębami jakąś łapę brudną i śmierdzącą, która mi znowu w dziąsłach cuchnącymi paluchami dłuwała, i zmiążdżyłem gruntownie. Odstraszyło to stojących naokół od kupowania mnie, bo mnie wzięli za bydłę okrutnie dzikie. Wtedy woźny rozdzierając sobie gardziel aż do zachrypnięcia, takie sobie zaczął na mój koszt wyrzaskiwać przekpinki:

– Pokądże my będziemy tu sprzedawali to bydłę zwałaszone, tego starucha ochwaconego, okaleczanego z różnych dolegliwości, a zdiczatego w tępym lenistwie i do niczego już niepodobnego, chyba tylko do starego sita? Z tej przyczyny to go już chyba darujemy komu, jeśli kto będzie chciał tracić swoje siano.

[24] Tak to ów woźny pobudził do śmiechu tych, co stali wokół. Ale owa moja Dola okrutna, przed którą przez tyle krajów uciekając uciec nie mogłem, ani jej tym przebłagać, co już wycierpiałem – znowu na mnie obróciła swe ślepe źrenice i znalazła mi kupca, aż dziw, jak w sam raz wyszukanego na moje nieszczęście. Dowiedźcie się, kogo: rozpustnika, i to starego rozpustnika, łysiego wprawdzie, ale jeszcze z wieńcem szpakowatych, zwisających loczków. Był to jeden z tego motłochu i z tych ulicznych mętów, jeden z tych, co obnoszą po ulicach miast Boginię Syryjską wśród dźwięku cymbałów i grzechotek i zebrać jej każę. Ten okrutnie mnie chciał wytargować; jął tedy woźnego wypytywać, co też za jeden ja jestem. Ów zasię opowiada, że jestem Kapadocyjczykiem i że osilek ze mnie nie lada. Więc tamten znowu o mój wiek wypytuje, woźny zasię, żarty se strojąc, mówi:

– Ten astronom, co mu horoskop stawiał, pięciu mu się roków doliczył, ale on tam sam pewnikiem lepiej jest poinformowany o swoich sprawach prywatnych. Ale jakkolwiek wiem, że popełniłbym zbrodnię określoną prawem Korneliuszowym, gdybym ci sprzedał w niewolę obywatela rzymskiego, to jednak pytam: czemu nie ubijasz tego dobrego i pożytecznego kupna? Ten osioł będzie ci pomocą w mieście i na wsi!

Ale obrzydły kupiec ciągle nie przestaje wypytywać o to i owo, a wreszcie wywiaduje się ze strachem, czym też aby dość łagodny?

[25] Na to woźny:

– Łagodny? Toż to baranka masz przed sobą, nie osła: zdatny do wszelkiego użytku – nie gryzie, nie wierzga! Nikt by nawet nie uwierzył, że to osioł, a nie skromniutki w osłej skórce człowiek! Łatwo to nawet sprawdzić: wsadź mu tylko gębę między pośladki, a zaraz się przekonasz, jaką ci cierpliwość wielką pokaże.

Takie to se prześmiejchy woźny czynił z owego hultaja, ów zasię na kpinach się poznając, wrzasnął z miną wielce oburzonego:

– Ażeby ciebie, ty zdechlaku głuchy i niemy, ty pomyłony krzykunie, żeby ciebie oślepiła wszechmocna wszechmacierz. Bogini Syryjska³² i święty bóg Sabadyjski³³, i Bellona, i Macierz Idejska³⁴, i władczy Wenus ze swoim Adonisem! Ty się tu będziesz ze mną przedierać błazeńskimi żartami? Cóż ty se, głupcze, myślisz, że ja mogę powierzyć boginię niesfornemu bydlakowi, żeby mi się spłoszył nagle, zrzucił święty posąg, a ja nieborak żebym musiał uganiać z rozburzoną fryzurą i szukać za jakimś lekarzem dla mojej bogini rozciągniętej jak długa na ziemi?

Kiedym to usłyszał, chciałem wierzgnąć nagle jak szalony, ażeby – widząc, jakim dziki i narowisty – dał sobie spokój z kupowaniem mnie. Ale uprzedził mój zamiar kupiec niespokojny i jako zapłatę zaraz wyłożył siedemnaście denarów, które mój dotychczasowy właściciel wziął z radością i bez targów, takem mu widać obrzydł; jakoż z miejsca mnie uwiązał na powrozie janowcowym i oddał Filebusowi, tym się bowiem imieniem wabił mój nowy pan.

[26] Ten zasię poprowadził nowo nabytego sługę do domu; tam, zaraz od progu, krzyknął:

– Hola, dziewczeczki, oto wam przyprowadzam służkę gładziutkiego, com go świeżo kupił!

A te dziewczeczki to była gromada rozpustników, którzy natychmiast, wyskakując z radości, drzeć się zaczęli głosami wytartymi, piszczącymi, kobiecymi, myśląc pewnikiem, że to naprawdę jakiś człowiek, co im usłużyć gotów w ich wszeteczeństwie.

Ale skoro ujrzeli, że to nawet nie łania zamiast dziewczyny, ale osioł miasto chłopca, mocno się skrzywili i swego mistrza na różne sposoby naciagać jęli: że to on sobie tego bydlaka przyprowadził nie na służkę, ale pewnikiem na męża dla siebie.

– Ej – piszczeli – ale ty ino sam nie straw tego urodziwego źrebaczka, ale i z nami, z twoimi gołabeczkami, czasem się podziel!

Z takimi i tym podobnymi bajdurzeniami przywiązali mnie do pobliskiego żłobu. A był tam młody chłop jeden, trębacz znamienity, za grosz składkowy kupiony na targu niewolników, który na ulicy grał tamtym na rogu, gdy boginię obnosili, w domu zasię bywał małżonkiem wszystkich na przemiany.

Ten skoro mnie tylko w domu zobaczył, chętnie mi i hojnie do żłobów żarcia nasypał, tak z uciechą mruczając:

³² B o g i n i S y r y j s k a – zwana też Astarte, była przez Greków zestawiana z Afrodytą. Apulejusz utożsamia ją z *Magna Mater*.

³³ b ó g S a b a d y j s k i – Sabazjos, bóg frygijski, którego kult przypominający orgie na cześć Bakchusa wprowadzono do Grecji i Rzymu cesarskiego.

³⁴ M a c i e r z I d e j s k a – (*Magna Mater Cybele*) zwana tak we Frygii, gdzie na górze Ida była ojczyzna jej kultu. Jej kapłani, trzebieńcy Galowie, włóczyli się po Grecji od III w. przed n. e., obwożąc w kapliczce jej posązek. Kult jej był także orgiastyczny.

– Nareszcie będziesz moim zastępcą w moim żalnym rzemiośle. A żyjże jak najdłużej i panom naszym bądź miły, i ulżyj moim nadwerżonym już bokom.

Jakem to usłyszał, zacząłem się gryźć tymi nowymi, czekającymi mnie tu utrapieniami.

[27] Następnego dnia, ubrani w różnobarwne suknie, z twarzami do niepoznaki zamazanymi kleistymi barwicznymi, z oczyma podmalowanymi – wychodzą w małych mitrach na głowach, w sukniach żółtych z płótna lub jedwabiu; niektórzy mieli białe tuniki pogwazdrane całe w czerwone strzały i przewiązane paskiem, a na nogach żółte trzewiki. Postawili na mnie okrytą jedwabnym płaszczem boginię, którą miałem nieść, a w rękach aż po ramiona obnażonych podnosząc ogromne miecze i topory, wyskakują jak wściekli podług dźwięków fletu, co jeszcze ich szaleńczy tan bardziej podniecał. Minąwszy tak wiele chałup przybyli do dworu jakiegoś bogatego posiadacza i zaraz od wejścia wyjąc nieludzkimi głosami rzucali się fanatycznie i długo – głowę spuściwszy – w śliskich ruchach karkami wykręcali, aż im zwisające loki dookoła głowy wirowały; raz wraz gryźli swoje ciało, a w końcu nożem dwusiecznym, jaki dźwigali ze sobą, począł każdy rżnąć swoje ramiona. Wśród tego jeden z nich szaleć poczyna jeszcze mocniej i dobywać z głębi wnętrzości okrutnych wzdychań: tak – niby to duchem bożym natchniony – straszliwe szaleństwo udaje: jakby, doprawdy, obecność bogów robiła ludzi nie lepszymi, niż są, ale gorszymi albo chorymi.

[28] Popatrzcież wreszcie, jaką za to, dzięki boskiej opatrności, dostał nagrodę. Zaczął tedy wrzaskliwie wieszczyć, gnąc niestworzone baję, i siebie samego napadać i oskarżać, jakoby przeciw świętym obrzędom czymś zgrzeszył; krzyczał, że sam własnymi rękami musi się za tę przewinę, jak się godzi, pokarać. Chwyta tedy za kańczug – przyrząd, który ci półmężczyźni stale ze sobą noszą – grubo spleciony z poskręcanych włókien wełnianych, nawęzłonych raz przy razie kańczastymi kostkami owczymi, i od razu chłostać się tym poczyna, z dziwnym hartem znosząc ból uderzeń. Widać było, jak na ziemi tworzyć się jeły małe kałuże z plugawej juchy tego trzebieńca, ściekającej z nacięć nożami zadanych i z ran od kańczuga. Kiedym tak patrzył, jak obficie lała się krew z tyłu ran, zacząłem się nie na żarty niepokoić, żeby też przypadkiem żołądkowi wędrownej bogini nie przyszła ochota – jak niektórym ludziom na osłe mleko – tak jej na osłą krew. Skoro wreszcie pobożne istoty, zmordowane, a w każdym razie nasycone tymi jatkami, przerwały katownię, poczęły zbierać w głębokie podółki sukni miedziaki, a nawet i srebrniki. Bo ludziska dawali na prześcigi – co niektórzy i gąsior wina, i mleko, i sery, i zboże, i przednią mąkę pszenną, a czasem i jęczmień dla podjezdka bogini. To wszystko tamci drapieźnymi paluchami zgarniali i ładowali do worów, na ten zarobek już przezornie przygotowanych, potem zaś na mój grzbiet, tak że pod tym podwójnym ciężarem maszerowałem jak jakiś spichlerz chodzący, a równocześnie jak wędrująca świątynia.

[29] W ten sposób włócząc się obłuskiwali całą okolicę. Raz, w pewnym warownym miasteczku, ucieszeni obfitszą żebraniną urządzili z radości ucztę. Od jakiegoś chłopca wyludzili zełganym wieszczaniem co najtlustszego barana, z którego ofiara miała nasycić głód Bogini Syryjskiej; potem przygotowawszy wszystko jak się patrzy do biesiady, urządzili sobie kąpiel. Po niej sprowadzili sobie jakiegoś tegiego parobka, który się im widział w sam raz na towarzysza do uczy, bo kształtny był i mocne miał boki. Toteż zaledwie skosztowali trochę jarzyn – i jeszcze przed jedzeniem nawet – ohydne ich żądze tak ich podjudziły, że plugawemu bezeceństwu swemu folgę dali, do sprośności zakazanych się cisnąc: rzucili się z wszystkich stron na tego parobka, zdarli z niego łachy, rzucili go na grzbiet i obrzydłymi gębami do gzów go namawiali. Nie mogły oczy moje patrzeć spokojnie na taką ohydę.

Ależ, Kwiryaci! – chciałem wrzasnąć, ale wyszło z tego tylko „O!” – wyraźne wprawdzie i donośne, i całkiem osłe, ale znów zgoła nie w porę.

Właśnie bowiem gromada parobczaków z sąsiedniej wsi szukała osła, którego im w nocy ukradziono, i gorliwie przeglądała za nim wszystkie zajazdy. Ci usłyszawszy mój ryk wewnątrz domostwa sądzili, że to ich własność, i znienacka gromadą tam wpadli łapiąc tamtych

na gorącym uczynku ich plugawych sprośności; poczęli tedy zewsząd sąsiadów zwoływać, by im całą ohydną sprawę pokazać, przy czym z kpunami wychwalali wstydlivość i czystość owych osób duchownych.

[30] Ci zmieszani i przestraszeni fatalnym rzeczy rozgłosem, co – z ust do ust idąc – w pogardę i nienawiść u wszystkich ich podawał, zebrali wszystkie graty i wymknęli się koło północy z miasteczka.

Ubiwszy tak przed wschodem słońca dobry szmat drogi, o jasnym już dniu doszli do okolic pustych i bezdrożnych. Tutaj – po długich ze sobą o tym gadaniach – zabrali się do zakatrupienia mnie: zdjęli ze mnie boginię i położyli na ziemi, ściągnęli wszystkie juki i przywiązawszy mnie do jakiegoś dębu, chłotali owym kańczugiem nawęzłonym kośćmi bydłęcymi tak, że omal ducha nie wyzionął. Był tam jeden, co chciał mi poprzecinać ścięgną w kolanach swoją siekierą, że to tak szpetnie na szwank naraził ową jego dziewiczą wstydlivość; inni jednak – nie dla ocalenia mnie, ale na myśl o leżącym na ziemi posagu – życie mi darować postanowili. Znowu więc jukami mnie obładowali i płazem mieczy popędzając przychodzą ze mną do jakiegoś świetnego miasta. Tam jeden ze starszych miasta, człek w ogóle bogobojny, a szczególnie boginię czczący, zwabiony brzękiem cymbałów, łoskotem bębenków i miękkimi frygijskimi akordami – wybiegł nam naprzeciw ofiarowując najchętniej gościnnie bogini; nas także wszystkich umieścił w obszernych zabudowaniach domu, a bóstwu starał się wygodzić objawami najgłębszej czci i bogatymi ofiarami.

[31] Przypominam sobie, że tu groziło memu życiu największe niebezpieczeństwo. Wiśniak mianowicie pewien przysłał w podarunku owemu obywatelowi, a swemu panu część swej zdobyczy myśliwskiej: tłusty udziec ogromnego jelenia. Ten udziec zawieszono nieostrożnie za nisko za drzwiami kuchni, gdzie go pies jakiś – także, jak widać, myśliwiec – porwał i ucieszony ze zdobyczy co prędzej umknął sprzed oczu pilnujących. Kiedy kucharz tę stratę spostrzegł, jął – lejąc łzy, które na nic się nie przydały, i rozpaczając bez końca – wyrzucać sobie swą niedbałość. A tu pan już lada chwila zażąda jedzenia! Więc w rozpacz, a w jeszcze większym strachu, pożegnał się ze swym małym synkiem, porwał powrót i chciał się powiesić. Nie ukryło się przed wierną jego żoną to okropne utrapienie małżonka; chwyciła obiema rękami śmiertelny węzeł i wrzasnęła:

– A cóżeś ty z tego strapienia już tak głowę stracił, że nie widzisz tego ratunku, co ci go właśnie przypadkiem nastęrcza opatrność boska? Posłuchajże mnie bacznie, jeśliś się choć trochę opamiętał z tego wariactwa, w któreś wpadł przez to nieszczęście: tego osła, co go tu dziś przywiedli, zaprowadź w jaki kąt, zarznij, z udźca mu wytnij kawał taki, jak tamten był, wysmaż go jak najsmakowiciej z przyprawkami i podaj panu miasto jelenia!

Temu nikczemnemu łajdakowi uśmiechnęło się to, żeby się ratować kosztem mojej skóry, i nie mogąc się nadziwować rozumowi swojej współpracownicy – już nóż ostrzył do tych jatek.

KSIĘGA DZIEWIĄTA

[1] Kiedy ten rzeźnik szelmowski tak sobie łapy bezbożne przeciwko mnie szykował, ja – że to niebezpieczeństwo okrutne nagliło do decyzji – postanowiłem bez długich rozmyśłów uciekać przed grożącymi mi jatkami. Za czym w tym mgnieniu zerwawszy postronek, na którym byłem uwiązany, wyrrywam co siły w nogach – dla bezpieczeństwa jeszcze raz wraz kopytami wierzgając – przelatuję jak wichur przez najbliższy portyk i od razu wpadam do jadalni, gdzie gospodarz raczył się z kapłanami bogini ucztą ofiarną; rozpędzony wywracam i rozwalam tu wszystek sprzęt stołowy, a nawet same stoły obficie zastawione. Gospodarz, oburzony tym haniebnym spustoszeniem, jakie tam wyrządziłem, kazał co prędzej któremuś ze służących zabrać mnie i – żem to taki nieudały i wyuzdany – w jakimś pewnym miejscu mocno przywrzeć, żebym znowu swawolą jaką takową spokojnej biesiady nie zakłócił.

Tym chytrym pomysłem cudownie obroniony i wydarty z samych już łap rzeźnika, radowałem się ochroną, jaką było zbawcze dla mnie więzienie. Ale jużci, że jak Dola przeciwna, to nie może synowi człowieczemu nic wyjść na dobre: żadnemu zamysłowi roztropnemu ani sposobowi przemyślnemu nie odwrócić ani zmienić niechybnych zarządzeń bożej opatrności. Bo i ten sam pomysł, co mnie, jak się przez chwilę zdawało, ocalił, ten sam ściągnął na mnie niebezpieczeństwo okrutne, ba, omalże nie zgubę.

[2] Oto kiedy goście tak sobie przy stole pogwarzają, wpada nagle do jadalni jeden z niewolników z twarzą wzburzoną i zastrachaną i powiada gospodarzowi, że właśnie przed chwileczką wypadł z sąsiedniego zaułka jakiś wściekły kundel, wleciał jak błyskawica przez tylne wejście i ziejąc szaleńczo, rzucił się naprzód na psy myśliwskie, następnie na najbliższą stajnię, gdzie napadł z taką samą wściekłością wiele zwierząt, a w końcu nawet i ludziom nie przepuścił: oto rozszarpał – takim czy innym sposobem – mulnika Mirtylusa i kucharza Hefestiona, i pokój owca Hypateusza, i lekarza Apolloniusza, a nawet jeszcze innych domowników – wszystkich, gdy usiłowali uciekać. Najgorsze, że przez zatrute ukąszenia zaraził z pewnością wiele zwierząt taką samą wściekliwością.

Przerazili się wszyscy tą wiadomością, a myśląc, że to i ja oszalałem pod wpływem tej zarazy – łapią, co komu w rękę wpadło, i zachęcając się wzajemnie, by odeprzeć zgubę grożącą wszystkim, rzucają się za mną – raczej, jakby to oni sami się wściekli. I niewątpliwie byliby mnie posiekali w kawałki tymi włóczniami i oszczepami, a nawet obusiecznymi siekierami, które im z miejsca niewolnicy podali, gdyby nie to, że ja, zobaczywszy, jaka burza się nagle przeciw mnie zerwała, wpadłem od razu do sypialni moich panów. Wtedy tamci zatrzasnąwszy i zaryglowawszy za mną drzwi rozpoczęli oblężenie tej izby na czas tak długi, aż ja, nie narażając ich na żadne niebezpieczeństwo walki ze mną, zdechnę sam strawiony i zeżarty nieuleczalnym szaleństwem tej śmiertelnej choroby. Ale dzięki temu dorwałem się wreszcie chwili wolności i korzystając ze szczęśliwej sposobności, że mogłem być trochę sam, rzuciłem się na zasłane łóżko i po długim zaiste czasie zażyłem snu znowu jak człowiek.

[3] Słońce stało już wysoko, gdy wypocząwszy na miękkim łóżku ze zmęczenia, wstając rześki i słysząc moich strażników, co całutką noc bezsennie czuwali, jak się na mój temat sprzeczą:

– Możnaż to uwierzyć – mówią – żeby wścieklizna jeszcze dotąd rzucała tym nędznym ośliskiem, tym popychadłem? Z pewnością już go zadusił jad swoją mocą coraz rosnącą!

Za czym różnicę zdań postanawiają rozstrzygnąć zbadaniem rzeczy: zaglądną tedy przez jakąś szparę i widzą, że stoję sobie spokojnie, zdrów i całkiem trzeźwy. Więc uchylwszy już bez wahania drzwi chcieli dokładniej wybadać, czy się już uspokoilem całkowicie. Wtedy to jeden z nich – ani chybi, że przez niebo jakiś zesłany mi zbawca – wywodzi innym, że jest jeden doskonały sposób przekonania się, czym zdrów. Trzeba – powiada – podać mu do picia pełne wiadro świeżej wody, a jeżeli śmiało i jak zazwyczaj zbliży się i pić zacznie, to można być pewnym, że jest zdrów i wyleczony z wszelkiej choroby. Przeciwnie, jeżeli się będzie strachać na widok wody i płoszyć przed dotknięciem jej, to będzie to dowód, że straszna choroba trwa uparcie. Wypróbowano to wiele razy, a także stare księgi ten środek przekazały.

[4] Zgodzono się na tę radę i natychmiast podsuwają mi – choć nie bez strachu jeszcze – ogromną jakąś kadtź przezroczystej jak kryształ wody, zaczerpniętej z najbliższego źródła. Ja zaś bez wahania zbliżam się – naprzeciw im jeszcze biegnąc – i spragniony srodze schylam się, wsadzam cały łeb i łykam tę wodę, doprawdy zbawczą. I już spokojnie pozwalałem się i dłońmi poklepywać, i ciągnąć za uszy, i prowadzić za uzdę, i wszystkie próby ze sobą robić, aż wszystkim z największą pewnością dowiodłem łagodności mojej wbrew ich zwariowanym uprzedzeniom.

W ten sposób unikałem podwójnego niebezpieczeństwa; następnego tedy dnia, obladowanego fatalaszkami bogini, wypędzono mnie znowu wśród hałasu grzechotek i cymbałów na gościniec – mnie, wiecznego żebraka wszystkich dróg. Obeszliśmy tak niemało różnych chat i dworów i przybyli wreszcie do pewnej miejscowości zbudowanej – jak to opowiadali mieszkańcy – na ruinach jakiegoś bogatego miasta. Stanęliśmy w pierwszym napotkanym zajęździe i tu usłyszeliśmy ucieśzną historyjkę o tym, jak to pewnego biedaka oszukała jego żona.

Opowiem ją, bo chciałbym, żebyście ją także poznali.

[5] Był sobie mianowicie jeden człowiek, chudzina i biedota, co pracował dla kowalów i żył z takich skromniusieńkich zarobków. Miał on zaś żoneczkę, taką samą chudzinę jak i on, ale szeroko rozstawioną przez wszeteczność, jakiej prędko nie znajdziesz. Otóż pewnego razu człowiek ów poszedł raniuteńko do swojej zaczętej gdzieś roboty, a tu tymczasem wśliznął się do jego domu jakiś bezczelny gach. I kiedy oni się tam bezpiecznie miłosnymi harcami zabawiają, niespodziewanie wraca do domu mąż, o niczym nie wiedząc i niczego nawet nie podejrzewając. Widzi drzwi zamknięte i zaryglowane, więc bardzo sobie małżonki swej niedostępność chwając do drzwi się dobija, śwista wreszcie, by ją o swym przybyciu uwiadomić.

Wtedy ta niewiastka chytra i we wszystkich takich sprawkach bita i kuta, gacha z najczulszych uścisków wypuszcza i ukrywa go doskonale w kadzi do pół zakopanej w kącie i właśnie próżnej; po czym otwiera drzwi i obsiada gębą męża, nim jeszcze wejść zdołał:

-- To to tak – wrzeszczy – to ty, golcze i próżniaku, tak sobie spacerujesz z rękami założonymi na brzuchu i ani się do swojej roboty nie weźmiesz, ani nie pomyślisz, żebyśmy z czego żyć mieli, ani nie przyniesiesz czego do jedzenia? A ja tu biedna w dzień i w nocy ręce sobie przy kądzieli urabiam, żebyśmy mieli przynajmniej lampę w tej naszej norze! O ileż to szczęśliwsza ode mnie taka Dafne z sąsiedztwa, co ژه i pije od rana, że mało nie pęknie, a potem się gzi ino ze swoimi gachami!

[6] Tak przyjęty małżonek składa się, jak może:

– A cóż tam tobie znowu? – powiada. – Toż nasz majster, zajęty jakimiś sprawami sądowymi, zrobił nam na dzisiaj wakacje; ja jednak pomyślałem już o naszej strawie dzisiejszej. Popatrz no tylko na tę kadtź, co zawsze stoi próżno, niepotrzebnie ino miejsca tyle zajmuje i w gospodarstwie naszym nam przeszkadza, a do niczego się nie zda. Otóż ja ją sprzedałem komuś za pięć denarów i on się tu zaraz zjawi, aby zapłacić i zabrać ją sobie. Bierz no się tedy do roboty i pomóż mi, aby ją wyciągnąć z ziemi i móc oddać kupcowi.

Na to niewiastka chwyta się podstępu, jaki jej rzecz sama nasuwała, i powiada z bezczelnym chichotem:

– Ej, udał mi się też, udał ten mąż, z którego taki kupiec nie lada! Toż on to, co ja, niewiasta, z domu nie wychodząc dawno już sprzedalam za siedem denarów, to on sprzedał znacznie taniej!

Więc na to mąż, ucieszony tym naddatkiem, pyta:

– A któż to taki, od któregoś tak utargowała? A ona:

– Ażebyś wiedział, głupcze, że już nie wiem, od kiedy siedzi w tej kadzi, tak skrzętnie wypróbowała, czy mocna.

[7] Tamten zaś sprytnie się do słów niewiasty dostosowując wystawia co żywo łeb i powiada:

– No, jak chcecie, pani matko, żeby już tak prawdę powiedzieć, to każę już bardzo stara i okrutnie wszędzie popekana – a zwracając się do męża, jakby go to niby nie znał:

– Ejże, mój człowieku, coś tam za jeden, daj no mi tu raz dwa latarnię! Muszę zeskrobać ten osad ze środka, żeby się wyznać, czy ona jeszcze do użytku; pewnie, ja pieniędzy nie kradnę.

Za czym ten przenikliwy a wzorowy mąż natychmiast i bez cienia podejrzenia zaświecił latarnię:

– Wyłaż, brachu – powiada – i spokojnie se poczekaj chwilę, a już ja ci ją zaraz dam oglądnąć wyczyszczoną jak się patrzy.

I równocześnie zrzucając ubranie zeskoczył do kadzi ze światłem i zaczął wskrobywać z nadgniętych ścian warstwę zastarzałego osadu. A tymczasem ten gładki chłopczyk, ten gaszek, przez ramię przechylonej nad kadzią kowalichy zaglądając, spokojnie se z nią od tyłu poczynął. Ona zaś głowę w kadź opuszczając, jeszcze – po gałgańsku zaiste – krotochwile se z męża czyniła, wskazując mu palcem, że trza jeszcze oczyścić tu a tam, a jeszcze gdzie indziej [...].

Wtedy dopiero nieudały kowal dostał siedem denarów i musiał na własnym grzbiecie zanieść każdą do domu gacha.

[8] W tej miejscowości zabawili moi najświętobliwsi kapłani kilka dni, dobrze se natykając kałduny dzięki szczodrośliwości ludzi i dobrze się opychając częstymi opłatami za wróżenie. Wpadli tu bowiem na nowy sposób zarobkowania. Jedną wróżbę sobie wykombinowali na wiele różnych wypadków i tą wystrychali na dudków tłumi radzących się o najrozmaitsze rzeczy. Wróżba ta brzmiała:

Kto do jarzma na roli dobrze sprzęgnie woły,
Ten się też zbiórki kiedyś doczeka wesołej.

Przyszli się tedy przypadkiem radzić gotujący się do małżeństwa, mówiono im, że wyrocznia tłumaczy się najwyraźniej: mają się sprzęgnąć w małżeństwo, a będą mieli mnogo potomstwa. Jeśli pytał ktoś, kto chciał targować posiadłość ziemską, tłumaczono mu, że całkiem trafnie mowa o wołach i jarzmie, i polach szumiących zbiorami. Jeśli prosił o wróżby ktoś niespokojny o losy podróży, wykładano mu, że tu chodzi o zaprząg, co już na niego czeka gotowy, a składa się z najłagodniejszych w świecie bydła, zbiórka zaś z pól oznacza tu zysk z podróży. Jeśli się wreszcie ktoś, kto szedł na wojnę albo w pościg za bandą zbójceją, dowiadywał, czy wyprawa się uda, czy nie, dowodzili, że ta wyborna wróżba zapewnia zwycięstwo, bo oznacza, że karki wrogów mają być ugięte pod jarzmo, a wyprawa przyniesie zdobycz cenną i bardzo obfitą. W ten sposób, takimi wykrętnymi wróżbami, niemało pieniędzy z ludzi naskubali.

[9] Ale że na ciągle zapytania do przesytu już tę samą odpowiedź dawali, więc się to źródło wyczerpało: znowu tedy ruszają w drogę, haniebniejszą sto razy jeszcze od całej drogi

owej nocą tu przebytej, bo i wyboistą, i kałuż i dziur pełną, to znowu w skisłym bagnie tonącą albo gdzie indziej śliską od lepkiego błota. Obtłukłszy sobie wreszcie krzyże przy ciągłych poślizgnięciach i uderzeniach i namordowawszy się, zaledwie zdołałem się ostatecznie wyostać na ścieżki polne. Ale oto dopędza nas gromada jeźdźców uzbrojonych w rohatyny i z trudnością powstrzymawszy pęd rozszalałych koni, rzuca się z wściekłością na Filebusa i jego towarzyszy, za gardziele ich chwyta i od świętokradców plugawych wyzywa, pięściami tymczasem okładając. Ba, więcej jeszcze: napastnicy powrozami wszystkich kępują, bez przestanku w uszy wrzeszczą, aby co prędzej oddawali złotą krużę, ową nagrodę ich zbrodni – tę krużę, którą cichcem skradli sprzed samego siedziska Matki bogów podczas rzekomego nabożeństwa, w tajemnicy tam praktykowanego; potem zaś, jak gdyby zaiste mogli chyłkiem się wymykając umknąć karze za taką zbrodnię, wynieśli się z bram miasta, ledwie dzień poczęło.

[10] Znalazł się nawet wśród pogoni jeden śmiałek, który sięgnął ramieniem na mój grzbiet i poszukawszy za pazuchą samej bogini, którą nosiłem, znalazł i stamtąd wobec wszystkich wyciągnął złotą krużę. Ale zaiste, nawet odkrycie tak świętokradczej zbrodni nie zdołało zbić z tropu ani zastraszyć tych łbów plugawych. Przeciwnie, jeszcze śmiech udając, kpinkować se zaczęli:

– Patrzcie ino – bełkotali – na tę niegodną przewrotność losu, której ofiarą tak często padają niewinni ludziska! Przez ten jeden kieliszeczek, który Macierz bogów ofiarowała swej siostrze, Bogini Syryjskiej, jako podarunek gościnnie – przez ten kieliszeczek posądzają osoby duchowne i oskarżać o sprawę gardłową!

Na próżno jednak wyplatali takie i tym podobne brednie. Chłopi bowiem pognali ich z powrotem i natychmiast w więzach wtrącili do swego Tulianum³⁵. Krużę zaś i sam posąg, który nosiłem, złożono, jako rzeczy poświęcone, w skarbczyku świątyni.

A co do mnie, to na drugi dzień znowu na targ mnie wyprowadzają i gardłu pachola miejskiego przekazują. Od tego utargował mnie – za cenę o siedem złotych wyższą od tej, za którą niedawno kupił mnie Filebus – pewien młynarz z najbliższego miasteczka. Ten natychmiast obładował mnie, ile wlazło, zbożem, które równocześnie zakupił, i drogą spadzistą, przykrą i najeżoną pniakami popędził do swego młyna.

[11] Tutaj mnogie bydłeta wielokrotnymi deptaniami w kółko obracały młyny nie tylko we dnie, ale bez przerwy i nocą, i meły ciągle ruchliwymi obrotami kamieni tę niedospaną mąkę. Ale mnie, juźci, abym się nie zląkł ciężkich początków tej służby, nowy mój pan podjął hojnie i chędogo. Bo to i tego pierwszego dnia wakacje mi dał, i żłób zasypał obficie żarciem. Ale te szczęśliwości wywczasów i brzucha długo nie trwały, bo już dnia następnego, skoro świt, zaprzężono mnie do największego młyna, łeb mi szmatą owinięto i popędzono wąską bruzdą wygiętego ścieżu, ażebym w kolistym kręgu, krokami wstecznymi ciągle w ślady swe wracając, błąkał się w wiecznej wędrówce. Nie zapomniałem jednak o swej roztropności i dowcipie i całkiem nie okazałem się uczniem zbyt pojętnym.

Chociaż bowiem często widziałem – gdym jeszcze do człeczego należał świata – jak obracano takie młyny, to jednak tu, udając głupiego i jakby całkowicie nie wiedząc, o co chodzi, stanąłem od razu jak wmurowany w ziemię: takem se bowiem dumał, że jako niezdatnego i nieużytecznego do takiej pracy, użyją mnie do jakiejś innej lżejszej roboty albo że se bez pracy pójdę na zieloną trawkę. Ale na próżno wyteżądałem całą przemyślność – tak szkodliwą w skutkach. Zaraz bowiem obstała mnie gromada ludzi w kije uzbrojonych i w chwili gdy ja stałem niczego nie przeczuwając, bo oczy miałem związane – nagle na dany znak podniósł się krzyk i kije spadły na mnie jak grad.

To głośnie napomnienie tak mnie zbiło z tropu, że zostawiwszy wszystkie mądre zamysły z miejsca szarpnąłem co sił janowcowe popręgi i młyn co żywo obracać zacząłem.

³⁵ T u l i a n u m – lochy więzienia w Rzymie, nazwane tak od ich założyciela króla Serwiusza Tuliusza.

[12] Ta nagła zmiana w zachowaniu wzbudziła śmiech w całej gromadzie.

Kiedy w ten sposób minęła już większa część dnia i dobrze już byłem zziębnięty, odwiązano mi popręgi janowcowe, od kamieni wyprężono i postawiono przy żłobie. Lecz ja, choć zmęczony okrutnie, odpoczynku bardzo potrzebujący, a i zgłodniały co się zowie, to jednak pędzony niepokojem i wrodzoną mi ciekawością zacząłem, zaniedbując obfitą strawę, rozglądać się z jakimś dziwnym zajęciem w całym urządzeniu tego niesłodkiego warsztatu.

Bogowie dobrzy, cóż ja tam widziałem! Jakieś istoty ludzkie o skórze całej przegowanej si-
nymi bliznami, o grzbiecie obtluczonym, ocienione raczej niż okryte strzępami łachmanów. Niektórzy tak odziani, że zaledwie biodra mieli przepasane – wszyscy jednak tak wystrojeni, że przeglądali całkiem przez swoje szmaty; na czołach piętnowani, z łbami do połowy wygolonymi, z łańcuchami na nogach. Cerę mieli nieludzką, a powieki spieczone czarnymi dymami i parą, tak że ledwo co widzieli, a obieleni byli brudnym pyłem mącznym jak zapaśnicy, co walczą osypani białym proszkiem.

[13] A cóż mam opowiadać i jakimi słowy o moich bydłych koleżkach? Jakież to były te muły zestarzałe, te wałachy ochwacone! Z łbami zanurzonymi w żłobie żuły przy nim kluchy plew, sapiąc jak miechy gardzielami stoczonymi zgnilizną wrzodów; nozdrza miały poranione i popękane od ciągłego kaszlu, na piersiach jadzące się rany od ustawicznego tarcia postronków janowcowych, zebra aż po kości obnażone od nieustannego bicia, kopyta potwornie splaszczone od wiecznego biegania w kółko, a całą skórę szorstką od pleśni i parchów, które je żarły.

Myślałem ze strachem o tym, że i mnie czeka okropny los tych moich towarzyszy, i ze spuszczonego łbem stałem zgnębiony, zepchnięty do kresu upodlenia, a pamiętający jeszcze dobrze świetną dolę dawnego Lucjusza. A nie było żadnej znikąd pociechy w tym okropnym życiu, chyba tylko to, że mi je wrodzona ciekawość osładzała; wszyscy bowiem, moją obecnością mało się krępując, mówili i czynili to, do czego mieli ochotę. I nie bez słuszności boski twórca starożytnej greckiej poezji, chcąc scharakteryzować męża o najgłębszej mądrości, powiada, że najwyższe zalety swoje zdobył on wędrując po wielu krajach i poznając różne narody. Tak i ja sam z wdzięcznością wspominam moją osłą skórę, ile że pod jej okryciem – choć różną dolę doświadczonej – przecież stałem się jeśli nie mądry, to w każdym razie wielu się różnych rzeczy dowiedziałem.

[14] Z tych zasobów mych doświadczeń postanowiłem wam opowiedzieć doskonałą trefną historyjkę i oto zaczynam.

Ów młynarz, co mnie za pieniądze nabył, sam był ostatecznie człekiem dobrym i całkiem porządnym, ale los dał mu połowicę, szelmę babę, że drugiej takiej nie znajdziesz; cierpiał przez nią w małżeństwie i gospodarstwie swym tak, że – dalibóg – ja nawet nieraz w milczeniu uzalałem się jego doli. Bo zaiste nie brakowało tej łajdackiej babie nawet jednej jedynej wady, ale wszyściuteńkie nieprawości spływały do jej duszy jak do jakiegoś błotnistej ścieku: rozżarta, uparta, pijaczka, pieniaczka, przecherka, ścierka, chciwa w swej paskudnej brudocie, a rozrzutna w plugawym marnotrawstwie, wszelkiej wierności wroga, wszelkiej wstydlivosti nieprzyjaciółka. Wzgardziwszy i podeptawszy nogami święte bóstwa, zamiast jakiejś wyraźnej religii udawała bezbożnie wiarę w boga, o którym głosiła, że jest jednym jedynym, i zmyśloną i pustą nabożnością mydliła oczy wszystkim ludziom, nieszczęsnego zaś małżonka swego wciąż oszukiwała: już od rana pijana, oddawała się rozpuście bez przerwy, z kim się dało.

[15] Takie to oto babsko prześladowało mnie dziwną nienawiścią.

Jeszcze przed świtem, jeszcze z łóżka nie wstała, a już wrzeszczała, żeby nowego osła zapręgać do młyna, a od chwili gdy wyszła z komory, niepokoiło ją tylko to, żeby mi ino – w jej oczach – jak najwięcej kijów dano; kiedy zaś nadszedł czas popasu i inne bydła wypręgano, kazała mnie o wiele później puszcząć do żłobu. Ale to jej okrucieństwo zaostriło jeszcze mą ciekawość – wrodzoną zresztą – na jej prowadzenie się. Wiedziałem, że stale chodził

do jej komory pewien młodziak, którego też gębę okrutnie chciałem ujrzyć; do tego trzeba było jednak, aby mi mój kaptur choć trochę z oczu się zesunął. Dowcipu bowiem do wykrycia na jakikolwiek sposób szelmstw tej łajdaczki nie brakowało mi wcale. A miała ona tam jedną staruchę, swoją rajfurkę i pośredniczkę między nią a gachami; z tą się codziennie, od rana samego nie rozłączały. Z nią to raczyła się naprzód śniadaniem, a potem wińskiem, knując razem zdradliwe, oszukańcze plany na koszt nieszczęsnego małżonka. Ja zaś, jakkolwiek gniew srogi żywiłem w sercu do Fotis i jej pomyłki, wskutek której zrobiła mnie osłem, gdy chciała zrobić ptakiem, jednak miałem w nieszczęsnym mym przemienieniu tę – co prawda jedyną – pociechę, że dzięki mym potężnym słuchom doskonale słyszałem wszystko nawet z bardzo daleka.

[16] Tak tedy pewnego dnia doszły do moich uszu takie słowa szeptane przez tę starowinkę:

– Pomyśl ino sama, moja paniusiu, z jakimś się też – mnie o radę nie pytając – gaszkciem wdała! Toż to nędza, tchórzysko, co się haniebnie trzęsie na widok zmarszczonych brwi tego nieznośnego i obrzydłego męża, a przez to – opieszalnością swojej niemrawej miłości – utrapienie tylko przynosi twoim jurnym chęciom. O ileż by to lepszy był młody Filezyterus, i piękny, i zuchwały, i dzielny, a wobec próżnych usiłowań małżonków nieustraszony. Dali-bóg, zasługuje na to, by rozkosze, które dać mogą wszystkie mężatki, on dla siebie samego tylko zabrał; zasługuje sam jeden na złoty wieniec, choćby za to jedno, co okrutnie zgrabnie wymyślił teraz niedawno na jednego zazdrosnego męża. Posłuchaj tylko i porównaj go z twoim, byś wiedziała, jacy to różni od niego bywają kochankowie.

[17] Znałaś z pewnością niejakiego Barbarusa, dekuriona w naszym mieście, zwanego przez lud Skorpionem dla ostrości usposobienia. Ten to trzymał u siebie w domu pod najczujniejszą strażą żonę szlachetnie urodzoną i piękności nadzwyczajnej i pilnował jej, jak tylko można.

Na te ostatnie słowa wtrąca młynarka:

– Jakżeż? Znam ją doskonale! Mówisz o mojej koleżance ze szkoły, Arcie.

– Aha – powiada starka – to znasz całą historię o Filezyterusie i o niej?

– Zupełnie nie znam – odrzeczę – ale okrutnie chcę poznać i błagam cię, mamusiu, opowiedz mi wszystko po porządku! Za czym ta starka, gaduła niepomierna, tak zaczyna:

– Ten Barbarus musiał się raz udać w podróż. A że na wszelki sposób chciał ustrzec cnotę najdroższej małżonki, zwierzył się w tajemnicy służce swemu, Mirmeksowi, człecowi wypróbowanej wierności, i jemu zlecił całą straż nad panią; zagroził mu przy tym więzieniem dożywotnim, straszną wreszcie śmiercią głodową. Jeśliby ktokolwiek – chociażby w przejściu – dotknął jej palcem. Te groźby zaprzysiągł jeszcze na imię wszystkich bóstw. Tak tedy zostawiając Mirmeksa – nastraszonego co niemiara – jako najczujniejszego stróża żonie, wyrusza uspokojony w drogę. Teraz Mirmeks, któremu przerażenie dodało stanowczości, nie pozwala swej pani ruszyć się krokiem i sam nie odstępował od niej na chwilę, gdy tkwił tak przy swej domowej kądzieli. Nawet gdy musiał ją już puścić do wieczornej kąpieli, przyczepiał się do niej i przywiązywał trzymając w dłoni końce jej szat; w ten sposób okrutnie chytrze dotrzymywał przyjętego na siebie zobowiązania.

[18] Tymczasem rzadka piękność młodej mężatki nie mogła się ukryć przed czujną pożądlivością Filezyterusa. A co jeszcze najbardziej go nęciło i podniecało, to właśnie owa rozgłośna jej cnotliwość i ten zbytek czujności, jaką ją otaczano. Gotów był tedy wszystko zrobić, na wszystko się narazić i przygotowywał wszystkie siły dla przełamania twardej czujności domu. Zarazem przekonany o tym, jak kruchą jest rzeczą wierność ludzka, i o tym, że pieniądze torują drogę przez wszelkie trudności i że złoto wyważa bramy nawet diamentowe, zwierza się Mirmeksowi – dopadłszy go szczęśliwie samego – ze swej miłości i błaga go, by mu był lekarzem w tej udręce; zaklina się, że – jeśli nie będzie mógł dać co prędzej folgi swej żądzy – to śmierć sobie od razu zada, jak sobie to postanowił i jak poprzysiągł. Tłumaczy mu,

że nie powinien się niczego bać, gdy chodzi o taką błahostkę; toż on wieczorem sam, pod osłoną i ochroną ciemności, wślizgnie się do domu, a za czasu niewiele powróci.

Do tych i tym podobnych namów dołożył jeszcze coś innego, co jak potężny klin miało nie na żarty rozsadzić krzepką zaiste nieugiętość sługi: oto otwiera pięść i pokazuje mu w niej błyszczące nowością rzetelne dukaty, których dwadzieścia – mówił – przeznacza dla niewiasty, a dziesięć chętnie jemu ofiaruje.

[19] Przeraził się Mirmeks tej rzeczy niesłychanej i uszy sobie zatykając, uciekł co prędzej. Ale nie mógł już stracić z oczu ognistego połysku złota i chociaż daleko od nich odbiegł i do domu wielkim krokiem popędził, to jednak widział ciągle to urocze lśnienie pieniążków i w myślach już posiadał ten zarobek bogaty. A myśli najsprzeczniesze przelewały mu się w głowie jak morze, a on nieborak skłaniał się i przechylał to tu, to tam, to ku wierności, to ku zyskowi, to myślał o straszliwej karze, to o rozkoszy z pieniędzy.

W końcu jednak złoto zwyciężyło lęk przed śmiercią. Bowiem i na chwilę nie opuszczała go żądza tych uroczych pieniędzy, lecz nawet sny jego opanowała zgubna chciwość, tak że choć go groźby pana zatrzymywały w domu, to złoto z domu ciągnęło. Tak tedy otrząsnąwszy się z wątpliwości i przełknąwszy wstyd wyszeptuje do uszu swej pani, co mu zlecono.

Niewiasta zaś nie zaparła się płochości swego rodzaju i za przekłety kruszec wstyd swój przenajęła. Przeto Mirmeks nie posiadający się z uciechy – że na taki koniec przyszło jego wierności! – spieszy co tchu, już nawet nie aby odebrać, ale przynajmniej żeby dotknąć pieniędzy, które na zgubę swą zobaczył. Oszalały z radości donosi Filezyterusowi, że spełnia mu się – dzięki jego, Mirmeksa, niezmordowanym usiłowaniom – pragnienie, i natychmiast żąda obiecanej nagrody, i już ściska w dłoni złote dukaty, w dłoni, co miedziaków nie znała.

[20] A gdy tylko noc zapadła, wprowadza do domu zuchwałego gacha z twarzą dobrze zakrytą i wpuszcza aż do komory pani. I właśnie kiedy oni tam w uściskach pierwsze ofiary jurnemu Amorowi składali, właśnie kiedy – nadzy wojownicy – pierwszy bój Wenery staczali, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, znienacka staje przed bramą domu małżonek, co nocną porę wybrał do powrotu. Już się dobija, już woła, już kamieniem w drzwi tłucze, a coraz bardziej podejrzliwy, że tak zwlekają z otwarciem, grozi Mirmeksowi takimi karami, że włosy stają na głowie. Ów zaś, fatalną niespodzianką stropiony, stracił w przerażeniu głowę i całkiem bezradny wymawia się – bo na to tylko wpadł – że w ciemnościach nocnych nie może znaleźć klucza, tak go troskliwie, jak zapewniał, schował.

Tymczasem Filezyterus poznając ze zgiełku, co się święci, co prędzej suknie narzucił, ale już w pośpiechu obuć się nie zdołał i tak z sypialni się wymknął. Wtedy dopiero Mirmeks klucz do zamku założył, drzwi otworzył i wpuścił swego pana nie przestającego przyzywać straszliwym rykiem wszystkich bogów; kiedy jednak tamten co tchu do sypialni leciał, Mirmeks cichaczem wypuścił Filezyterusa. Gdy zaś Filezyterus znalazł się – wolny – raz za progiem, Mirmeks, uspokojony już o własną skórę, zamknął znowu dom i spać poszedł.

[21] Ale zaledwie Barbarus o świcie się podniósł, spostrzega przed łożnicą jakieś obce sandały. Były to te, w których przyszedł był Filezyterus. Barbarus domyślając się z tego, co się stało, nie zdradza jednak ani żonie, ani nikomu w domu zgryzoty serdecznej, tylko podnosi sandały, chowa je cichcem za pazuchę, każe sługom skępować Mirmeksa i wlec na rynek, gdzie i sam gna wielkim krokiem – z cicha ino jak byk ranny postępując – pewny, że po sandałach bez trudu wytropi gacha. Ale kiedy tak wali przez ulicę z twarzą zmienioną od wściekłości, z brwiami naszronzonymi, a za nim wloką skępowanego Mirmeksa – który, choć nie złapany na gorącym uczynku, zalewa się jednak wskutek nieczystego sumienia potokami łez i nędznymi jękami budzi całkiem bezskuteczne politowanie przechodniów – spotykają przypadkiem Filezyterusa. Spieszył on gdzieś w jakiejś całkiem innej sprawie, ale niespodziany widok zastanowił go, choć nie przstraszył; przypomniał sobie zaraz swą wczorajszą zgubę wskutek pośpiechu, a z tego reszty się domyślając, natychmiast z właściwym sobie zdecydo-

waniem wpada z okrutnym wrzaskiem, roztrącając niewolników, na Mirmeksa i zaczyna mu pięściami szczęki – niezbyt mocno zresztą – obkładać.

„Ty szelmo – wrzeszczy – ty pysku oszukańczy, a niechże cię ten twój pan i wszystkie potęgi niebieskie, któreś lżył zuchwale twymi przysięgami, niechże cię nędznie zakatrupią, jakieś taki łajdak! Tożes ty mi wczoraj z łaźni ściągnął sandały! Dobrze ci tak, dalibóg, doskonale, że cię w postronki wzięli. Jeszcześ powinien oprócz tego w ciemnicy sobie posiedzieć!”

Tym sprytnym podstępem zuchwałego chłopca zwiedziony, ba, całkowicie wzięty, Barbarus uwierzył na ślepo. Natychmiast wrócił do domu i przywoławszy Mirmeksa oddał mu te sandały, przebacząc z serca i radząc, by zwrócił temu, komu je ściągnął.

[22] Jeszcze nie skończyła pytlować starucha, kiedy przerwała jej młynarka:

– Takiej to dobrze – jęła wzdychać – co ma takiego zdecydowanego i pewnego siebie przyjaciela. A ja biedaczka ubrałam się w kochanka, co się boi nawet stukotu młyna i mordy tego tu parszywego osła.

Na to starka:

– Już ja ci dobrze naraję i zachęcę tego zuchowatego gaszka i sprowadzę ci go tu na schadzke.

Za czym obiecawszy, że wróci z nim wieczór, poszła z komory. Więc wstydliva żoneczka tymczasem przygotowuje ucztę salijską, kosztowne wina klaruje, świeże potrawy ze sosami przyprawia. Wreszcie stół hojnie zastawiwszy czeka na gacha jak na jakiego pana boga. Tak się zaś jej dogodnie wydarzyło, że mąż był właśnie na obiedzie u sąsiada, folusznika. Ja zaś – wyprzęgnięty wreszcie, że to dzień miał się ku końcowi, że szlei i na wypoczynek spokojny puszczony – cieszyłem się, dalibóg, nie tyle już z wytchnienia, jak z tego, że mając już oczy nie zawiązane mogłem śledzić swobodnie wszystkie sprawy zbrodniczej baby.

Właśnie i słońce zanurzywszy się w ocean oświecało podziemne krainy świata, kiedy z łajdacką ową starką przybył płochy ów gaszek – po prawdzie to półdziecko jeszcze, o policzkach gładziutkich i niezaruszonych, sam jeszcze raczej kąsek dla miłośników. Tego już na przywitanie wycalowała siarczyście młynarka i zasadziła do zastawionej uczty.

[23] Ale ledwo młodzik dotknął końcami wargi pierwszego kielicha, ledwo zdołał smak jakiś złapać, kiedy zjawia się mąż, wracający wcześniej, niż to można było przypuszczać. Za czym wzorowa żoneczka przeklina go najstraszliwszymi przekleństwami i życzy, żeby nogi połamał, zaś zbielałego ze strachu gaszka wsadza niebacznie pod drewnianą opałkę do czyszczenia ziarna i tam go ukrywa. Po czym, dzięki temu, że taka do dna duszy zakłamana, nie zdradzając się z niczym udaje beztroskliwe oblicze i małżonka wypytuje, czemu to opuścił obiadek u takiego dobrego znajomka i tak wczas przyszedł. Mąż zaś, z wielką przykrością wzdychając często, powiada:

– Ech, uciekłem, bo nie mogłem się patrzeć na ostatnią bezczelność tej zatraconej jego baby! Dobrzy bogowie, jakżeż to mężatka wierna i porządna mogła się zhańbić takim bezceństwem! Doprawdy, klnę się na tę świętą Cererę, że i teraz, choć własnymi oczyma widziałem, trudno mi uwierzyć, że może być taka niewiasta.

Te słowa męża wzbudziły w bezczelnej młynarce okrutną ochotę poznania całej historii; nie przestaje się tedy napierać, aby wszystko od początku opowiedział, i nie daje mu spokoju, aż jej zachciance uległ i nie wiedząc o brudach we własnym domu, opowiada o cudzych.

[24] – Żona mego kuma folusznika, zresztą – jak się zdawało – wypróbowanej cnoty niewiasta, niewiasta, o której zawsze i dobrze, i chwalebnie mówiono, która w poczciwości domem męża rządzić miała, uwikłała się w tajemną miłość z jakimś gachem. Z tym to ona ciągle miała schadzki miłosne i nawet w tym samym czasie, gdy my po kąpieli szliśmy na obiad, ona w ramionach tego właśnie miedziaka miłośnie się bawiła. Otóż naszym nagłym przybyciem zmieszana schowała – chwytając się pomysłu, jaki jej w tym momencie wpadł do głowy – owego jegomościa pod koszykową klatkę, utworzoną z prętów obło zagiętych, a

schodzących się w górze; służyło to do bielienia parą siarki chust, które się na tym rozwieszało. Zdawało się jej, że tam będzie najbezpieczniej schowany, za czym spokojnie zasiadła z nami do stołu. Tymczasem ciężki a przenikliwy zapach siarki otoczył młodziaka napełniając mu nos i usta, tak że tchu nie mogąc złapać zaczął się dusić; prócz tego zaczął go ten sierzdysty kruszec – jak to zwykł robić – pobudzać do kichania.

[25] Kiedy po raz pierwszy mąż usłyszał kichnięcie od strony żony – bo spoza niej – życzył jej, jak to się zwyczajnie czyni, zdrowia, sądząc, że to ona kichnęła; tak samo, gdy się to powtórzyło raz drugi i kilka razy jeszcze. Wreszcie gdy się to za często powtarzało, tknęło go coś i jak się rzecz ma, domyślać się począł. Odsunął tedy natychmiast stół, podniósł klatkę i wywłócił człowieka z trudem łapiącego oddech. Rozwścieczony swą hańbą zaczął wrzeszczeć o miecz i chciał zamordować tamtego, już i tak ledwo żywego. Zaledwie go pohamowałem w tym napadzie szału, przedstawiając niebezpieczeństwo, w jakie pakuje nas wszystkich, i zapewniając, że przecie jego wróg i tak niedługo uskwirknie – bez naszego przyczynienia się, bo go zabije jad wetchniętej siarki. Jakoż przekonany nie tyle mymi dowodzeniami, co samym stanem rzeczy, bo gach już ledwo zipał, wyniósł go w najbliższy zaułek. Wtedy jałem namawiać – i namówiłem zresztą – jego połowicę, aby się wyniosła na jakiś czas z domu do jakiej znajomki, póki czas nie złagodzi wzburzenia męża; nie wątpiłem bowiem, że on w tym rozjuszeniu i roznamiętnieniu planował coś strasznego dla siebie i swej żony. Tak mnie zmierzliły te gody u naszego kuma, że uciekłem i wróciłem do własnych kątów.

[26] Podczas tego opowiadania młynarza żona jego – której beczelność i zuchwalstwo nie było pierwszozną – sypała słowami potępienia i oburzenia na ową niewiastę folusznika. Wykrzykiwała o wiarołomstwie, o bezwstydzie, o tym, jaką to całej płci niewieściej zakała jest taka, co o cześć swą nie dbając nogami depce prawa łoża małżeńskiego, ognisko domowe męża plami hańbą zamtuza i zaprzepaszczając dostojeństwo małżonki ściąga na siebie nazwę nierządnic; dodawała jeszcze, że takie to trzeba by żywcem palić! Niepokojona jednak tajemną ździarą swojego nieczystego sumienia, a chcąc co prędzej uwolnić swego gaszka z katowni jego ukrycia, namawiała ciągle męża, aby się wczas udał na spoczynek. Ów zaś – że to uciekł od kuma w środku obiadu – porządnie był głodny i raczej zasiąść do stołu wielką miał ochotę.

Więc, choć niechętnie – bo i jakżeby? – podała mu to, co było przeznaczone dla innego. Ale we mnie się aż bebechy wywracały, kiedym myślał o niedawnych sprawkach tej szelmy i o jej beczelności teraz, i tyłkom w głowę zachodził, jak by to można wyjawić i odkryć jej zdrady i tak usłużyć memu panu, a tego jegomościa, co jak żółw pod skorupą leżał pod opalką, pozbawić jego okrywki i na oczach wszystkich postawić.

[27] I kiedym się tak biedził z powodu hańby mego pana, spojrziała na mnie wreszcie łaskawym okiem boska Roztropność.

Było mianowicie tak, że kulawy staruch, któremu piecza nad nami była zlecona, pędził nas, wszystkie bydłeta – że to już była po temu godzina – jednym stadem do najbliższego jeziora do pójła. To mi dało ową tak oczekiwaną sposobność do zemsty. Przechodząc mianowicie obok, zauważyłem końce palców gaszka sterczące przez szpary opalki. Wysunąłem więc koryto i następując na nie zgmiotłem na miazgę tak, że nie mogąc bólu wytrzymać wrzasnął jęklawie i szarpnąwszy się odrzucił koryto, stając na oczach wszystkich i odkrywając całą sztuczkę beczesnej baby.

Młynarz jednakże – nie poruszony zbyt tym szwankiem na honorze – pogłaskał spokojnie i pogodnie chłopaka bladego, jakby nie miał w sobie kropli krwi, i powiada:

– Nie bój się, synku, nic ci przykrego nie zrobię. Anim ja bowiem barbarzyniec, anim taki cham brutalny i ani cię – za przykładem nieludzkiego folusznika – nie uśmiercę morderczym dymem siarczanym, ani korzystając z surowego prawa o cudzołóstwie nie pozwę o sprawę gardłową takiego cacanego chłopaczka, a tylko się tobą z moją żoną podzielę. I nie będę żądał jakiegoś rozdziału i rozwodu w tej naszej rodzinie, lecz wspólnego używania, tak abyśmy bez

żadnych zwad i sporów zgodnie sobie spali w trójkę w jednym łóżecku. Bo to przecie ja z moją połowicą w takiej zawsześmy zgodzie żyli, że – jak przystało mądrym – to samo zawsze obojgu nam przypadało do gustu. A zawdy i sprawiedliwość sama nie dopuszcza, by mąż był upośledzony na korzyść żony.

[28] Tak z humorem wydrwił i poprowadził do swego łoża chłopca, który iść nie chciał, ale musiał; ową zaś okrutnie cnotliwą żoneczkę zamknął w innej izbie i sam z chłopcem śpiąc, użył se miłej pomsty za zbezczeszczone małżeństwo. A skoro tylko świetlane koła rydwanu słonecznego dzień przyniosły, przywołał dwu co najtęższych chłopów z czeladzi, kazał im podnieść wysoko chłopaka i różgą lędźwie jego siekąc tak mu przemawiał:

– To ty, taki głądyszek i chuchrzątko, i dzieciuch jeszcze, będziesz okradał miłośników z kwiatu twej młodości? Będziesz gonił za niewiastami? Uwodził i wolne, i związane prawem małżeńskim, i dobijał się o tytuł uwodziciela, na który ci jeszcze za wcześnie?

Tak i jeszcze obficie go napomniawszy, kazał go – prócz tego do syta wychłostanego – precz wyrzucić. Ten zaś największy zuch wśród wszystkich gachów – dorwawszy się wolności, której się nie spodziewał – uciekł żałośnie unosząc zresztą białe lędźwie dobrze nadpsute z tego, jak je obrobiono w nocy i teraz we dnie. Niezależnie od tego posłał ów młynarz do żony, że ją natychmiast wypędza ze swego domu.

[29] Ona zaś – że to z natury była niegodziwa, a ta zniewaga, choć słuszna, bardziej ją jeszcze rozjuszyła – wraca do swoich dawnych błędów i rzuca się do sposobów właściwych kobietom.

Wyszukuje dzięki wielkim staraniom jakąś okrutnie przemyślną jędzę – o której powiadano, że może swymi zaklęciami i czarami zrobić, co ino zechce – i tę uprasza, błagając co niemiarą i zobowiązując kupą podarunków, aby jej jedno z dwojga zrobiła: albo żeby jej męża przebłagała i z nim ją znowu pogodziła, albo, gdyby tego zrobić nie mogła, aby przywiodła nań jakiego upiora lub jaką piekielną siłę i nią go gwałtownie zakatrupiła. Wtedy ta czarownica – na siły boskie nawet wpływ mająca – rozpoczęła na razie orężem swej zbrodniczej sztuki wstępne walki i usiłowała przemienić i gwałtem skłonić do miłości serce zrażonego śmiertelnie małżonka. Kiedy to nie poszło po jej myśli, rozgniewana na bóstwa i rozjuszona tym, że sobie nic z jej zaklęć nie robią – nie mówiąc już, że podniecona przyrzeczoną jej nagrodą – poczęła grozić już samemu życiu nieszczęsnego męża i szcuć na jego zgubę cień kobiety, która zginęła gwałtowną śmiercią.

[30] Ale tu może, czytelniku pełen ścisłości, wstrzymasz moje opowiadanie, tak rozumując:

Skądże zasię ty, osiołku prześcipny, uwiązany w obrębie murów młynarskiego obejścia, skądże ty mogłeś się dowiedzieć, co zrobiły – jak twierdzisz: w tajemnicy – te kobiety?

Usłyszże tedy, jak – jako człek ciekawy, choć zamknięty w skórze osła – dowiedziałem się o wszystkim, co knuły na zgubę mego młynarza.

Około południa zjawiła się nagle w młynie kobieta ubrana jak oskarżona i dziwnie żałośnie wyglądająca. Oplakany jakiś łachman ledwo ją do połowy okrywał, była bosa, zzieleniała jak bukszpan, wychudzona szpetnie; rozczochrane włosy, gęsto zbielone siwizną, plugawe od nasypanej na nie masy popiołu, spadały z czoła na twarz i większą jej część zasłaniały. Ta to za rękę łagodnie wzięwszy młynarza poprowadziła go, jakby mu coś w tajemnicy miała powiedzieć, do jego komory. Zamknęli za sobą drzwi i bawili tam oboje bardzo długo. Tymczasem skoro zmielone zostało wszystko ziarno, które robotnicy mieli w rękach, i koniecznie trzeba było nowego, czeladź – stanąwszy podłe komory – poczęła zwoływać pana żądając wydania dalszej roboty.

Ale gdy im na te częste i głośnie zwoływania pan wcale nie odpowiadał, zaczęli silniej do drzwi się dobijać. Ponieważ zaś były bardzo mocno zaryglowane, przeto domyślając się, że zaszło coś niezwykłego i niedobrego, wywalają je wreszcie przysądziwszy się do nich tęgo, czy też wyłamawszy zawiasy. I widzą: z kobiety owej ani śladu, a na jakiejś belce wisi pan

ich już nieżywy! Zdjęli go z powroza, odwiązali z rzewnym płaczem i srogim zawodzeniem, umyli po raz ostatni i po spełnieniu tych żałobnych obowiązków pogrzebali, przy czym towarzyszyła im wielka ciżba narodu.

[31] Następnego dnia przybiegła córka młynarza z pobliskiego miasteczka, gdzie niedawno poszła, wydana za mąż. Przybiegła zrozpaczona szarpiąc rozburzone włosy i co chwila tłukąc się pięściami po piersiach. Wiedziała ona już o wszystkim, choć nikt jej nie doniósł o nieszczęściu w domu. Ukazał się jej jednak we śnie ojciec, straszny, ze stryczkiem jeszcze na szyi, i opowiedział jej wszystkie zbrodnie macochy: jej cudzołóstwo, sztuczki czarnoksiężskie i to, w jaki sposób za pomocą czarów wyprawiono go na tamten świat. Biedziła się ta córka długo w tych jękach, aż wreszcie ukoili ją znajomkowie, co się zewsząd zbiegli. Za czym ukończywszy jak należało dziewiątego dnia u grobu obrzędy żałobne, sprzedała wszystkich niewolników i sprzęty, i wszystkie bydła na spadkowej licytacji.

Wtedy to jedno gospodarstwo najrozmaiciej rozprószył kapryśny los przypadkowej sprzedaży. Mnie samego wreszcie jakiś biedaczysko ogrodnik kupił za pięćdziesiąt srebrników – bardzo drogo, jak twierdził, ale aby wspólną naszą pracą mógł zarabiać na życie.

[32] Wypadałoby, jak mi się widzi, opowiedzieć historię i tej mojej służby.

Rankiem zwykł mnie mój pan, obładowanego stosem jarzyn, prowadzić do sąsiedniego miasta i tam sprzedawszy przekupniom towar wsiadał na mój grzbiet i tak wracał do domu. A kiedy kopał albo polewał ogród, albo mozolił się nad jakąś taką pracą i mnie zostawiał samego, miałem chwile spokoju i używałem miłej swobody. Tymczasem jednak gwiazd obrotu regularne przeprowadziły rok znowu przez szeregi dni i miesiące, a po rozkosznej porze moszczu jesiennego – do zimowych szronów Koziorożca. Wtedy w czasie ciągłych ślot i wilgotnych nocy cierpiałem okrutnie od zimna zamknięty w koszarze bez dachu i żyjąc pod gołym niebem. Pan mój bowiem nie mógł dla przeraźliwego swego ubóstwa sprawić nawet sobie, cóż dopiero mnie, wiązki słomy albo jakiego takiego okrycia, ale żył, zmuszony zadowalać się osłoną szalasu z gałęzi. Prócz tego co rana mozoliłem się srodze, grzęznąc gołymi nogami w strasznie zimnym błocie, pełnym ostrych lodowych szczerbów, a nie mogłem nasyścić brzucha nawet zwykłymi pokarmami; wprawdzie bowiem i ja, i mój pan jedliśmy to samo, ale to jadło było serdecznie szczupłe: były to głąby starej i niedobrej sałaty, która – że nie była na czas zebrana – poszła w ślup i nabrała gorzkiego i błotnistej posmaku.

[33] Pewnej nocy zajechał do naszego ogródka pewien obywatel z sąsiedniej wsi, który przemókłszy w ulewie i ciemności – zwłaszcza że miał już konia zmęczonego – zbłąkał się z prostej drogi. Przyjęty gościnnie, jak tego okoliczności wymagały, wypoczął sobie bez wielkich może wygod, ale tyle, ile mu było koniecznie trzeba, i pragnąc odwdziaczyć się uprzejmemu gospodarzowi, obiecał mu ze swych spichrzy trochę ziarna i oliwy, a nadto dwa dzbany wina.

Za czym bez zwłoki bierze mój pan ze sobą woreczek i puste szawłoki³⁶, siada na mnie na oklep i rusza w tę drogę wynoszącą sześćdziesiąt staj. Przebywszy ją dostaliśmy się do wspomnianej posiadłości, gdzie uprzejmy gospodarz przyjął zaraz mego pana hojnym posiłkiem. A kiedy oni tak do siebie przepijali, zdarzyło się niezwykle dziwo.

Jedna kura ze stadka zaczęła dyrdać po podwórzu i gdakać. Jakby chciała znieść jajo. Pan jej spojrzął na nią i powiada:

– Moja ty służko dobra, jakaś to ty płodna! Od tak dawna już tuczysz nas codziennie twymi płodami. Już widzę, że i teraz chcesz nas uraczyć.

Po czym zawołał na parobka, żeby kosz, przeznaczony do niesienia się dla kur, postawił w tym kącie, gdzie zawsze. Ale kiedy parobek wypełnił rozkaz, kura nie dbając o zwykłe legowisko zniosła u samych stóp pana swój płód przedwczesny, ale budzący zaiste nie lada jaki niepokój.

³⁶ s z a w ł o k – worek skórzany do przechowywania płynów.

Nie było to bowiem takie, jak wszyscy rozumiemy, jajo. Kura urodziła gotowe kurczątko, ze skrzydłami, pazurami, oczami, nawet piskające, które niezwłocznie pobiegło za matką.

[34] Ale oto, niezależnie od tego, widzimy drugie, o wiele straszniejsze, złowróźbne dziwo, które zrozumiałym wszystkich napelnia lękiem. Oto tuż pod stołem pełnym resztek śniadania otwiera się w ziemi szczelina, z której wytryska tęga struga krwi; krople obficie z niej odpryskujące zboczyły cały stół. W tej samej zaś chwili, gdy wszyscy, skamieniali ze zdumienia, patrzyli z przerażeniem na ten znak boży, przybiegł człowiek z piwnicy z tym, że całe wino, złane kiedyś do gąsiorów, wrze w nich wszystkich i gotuje się jak na wielkim ogniu. Tymczasem zobaczono łasicę niosącą z podwórza w zębach nieżywego węża, z pyska psa pasterskiego wyskoczyła zielona żabka, a na psa tego znowu rzucił się baran obok stojący i zduślił go jednym kłapnięciem zębów. Te wszystkie i tym podobne zdarzenia przeraziły niesłychanie i jakby poraziły owego pana i wszystkich w domu. Nie wiedziano, co robić naprzód, co potem, czym lepiej, a czym mniej dobrze można, ubłagać groźby bóstw i iloma, i jakimi to zrobić ofiarami.

[35] Jeszcze wszyscy stali odrętwiali w oczekiwaniu pełnym potwornego strachu, kiedy nadbiegł jeden z niewolników, wiadomość o najokropniejszych nieszczęściach temu panu przynosząc.

Miał ci zaś ten pan już trzech synów, paniczów wykształconych a pocziwych; byli jego dumą. Ci chłopcy przyjaźnili się od dawna z pewnym ubożuchnym właścicielem bardzo pomniejszego dworku. A z tym małym dworkiem graniczyły wielkie i zamożne dobra młodego i bogatego sąsiada magnata, który jednak źle używając sławy świetnego swego rodu, a trzęsąc różnymi klikami, robił, co chciał, w kraju. On to nieprzyjacielską zgoła modłą prześladował ubóstwo skromnego sąsiada: trzody mu wybijał, woły uprowadzał, tratował zboże jeszcze niedoszące. Kiedy go zaś tak z wszystkich owoców pól obłupił, chciał go jeszcze z nagich skib wygnać i wszcząwszy jakiś błahy spór graniczny rościł sobie prawo do całej jego ziemi. Wtedy wieśniak, człek zresztą nieśmiały, zniszczony już i tak chciwością bogacza, chciał przynajmniej ocalić ojcowiznę, by móc w niej być pochowanym; nie wiedząc już, co począć, sprosił kupę przyjaciół, by świadczyli w owym sporze granicznym. Między innymi stawili się i owi trzej bracia, aby choć trochę pomóc przyjacielowi w nieszczęściu.

[36] Nie przestraszyła jednakże ani nie zmieszła tamtego szaleńca obecność tylu obywateli (bo to byli szaraczkowie); nie tylko nie wyrzekł się swoich zamiarów grabieży, ale nawet nie chciał pomiarkować się w słowach. I kiedy tamci łagodnie mu rzecz przedstawiali i starali się uprzejmościami ugłaskać gwałtowny temperament, on nagle, klnąc się na zdrowie swoje i swoich najdroższych, zakrzyknął, że gwizdże na obecność tylu pośredników, a tego swego sąsiada każe swym pacholkom za uszy wyciągnąć z jego dworku i z miejsca precz wyrzucić.

Te słowa oburzyły niepomrotnie wszystkich słuchaczy. Wtedy jeden z trzech braci odrzekł mu bez wahania i śmiało, że na próżno z pychą tyrańską grozi im, ufny w swój majątek: jeszcze bezstronne ramię prawa broni nawet biedaków przed niepowściągliwością bogaczy. Czym olej dla płomienia, czym siarka w pożarze, czym bicz dany w ręce Furii, tym były i te słowa dla tamtego zdziczałego człowieka. Nieprzytomny z szaleństwa wrzasnął, że każe powywieszać ich wszystkich i ich prawa, i rozkazał na zgubę ich spuścić i poszczuć na nich wsioskie, owczarskie kundle, dzikie i olbrzymie, przywykłe do rozszarpywania ścierwa po polach i do pożywania się kęsami z przechodzących podróżnych. Te, skoro tylko pastuchy zwykłymi okrzykami poszczuły je i podjudziły, rzucają się rozwścieczone ze strasliwym ujadaniem na ludzi, kaleczą ich okropnie, rozszarpują i rozdzierają, uciekającym nawet nie przepuszczają – ale tym zacieklej jeszcze ich gonią.

[37] W tych strasznych jatkach obłąkanej ze strachu gromady potknął się o kamień najmłodszy z trzech braci i obtłukłszy sobie palce u nogi upadł na ziemię, stając się ohydną strawą dla strasliwych, zdziczałych psów: natychmiast bowiem rzuciły się na zdobyc i leżącego biednego chłopaka w kawały poszarpały. Kiedy jego śmiertelny jęk usłyszeli tamci bra-

cia, nadbiegli w rozpacz na pomoc i owinawszy szmatami lewe ręce rzucili się na psy waląc je kamieniami i chcąc je odpędzić i brata obronić. Nie zdołali jednak ani odpędzić, ani pokonać rozwścieczonej zgrai, tak że nieszczęsny młodziak zginął na miejscu rozszarpany, zdoławszy jeszcze jęknąć tchu ostatkiem, aby pomścić śmierć brata młodszego na zbrodniarzu bogaczu.

Wtedy pozostali bracia, nie tyle nawet dlatego, że zwątpili w swe własne ocalenie, jak że o nim całkiem nie myśleli, na bogacza jak szaleni zuchwale się rzucają i kamieniami z nim walczyć zaczynają. Ten zaś okrutnik i morderca, wyćwiczony już w wielu podobnych krwawych sprawkach, cisnąwszy włócznię przeszył pierś starszego z dwóch braci. Młodzieniec ten jednak, choć zabity, nie upadł od razu; pocisk bowiem, który go przebił, większą swą częścią wyszedł grzbietem i – wskutek siły rzutu wbiwszy się w ziemię – podparł przebite ciało utrzymując je w równowadze. W tej chwili jeden z parobków, chłop jak dąb, spiesząc z pomocą tamtemu mordercy, cisnął z daleka kamieniem mierząc w ramię trzeciego z owych młodzieńców. Ale rzut spudłował i kamień otarłszy się o końce palców upadł szkody żadnej mu wbrew mniemaniu wszystkich nie czyniąc.

[38] Szczęśliwym zaś trafunkiem nasunął zmyślnemu chłopcu nadzieję i pomysł zemsty. Udał mianowicie, że ma rękę obezwładnioną, i tak zawołał do tego młodzieńca:

„Radujże się wytraceniem całej naszej rodziny, paś swą nienasyconą krwiożerczość posoką trzech braci i tryumfuj nad zwłokami twych współobywateli, lecz wiedz, że choć wyzuwając biedaka z jego mienia granice swe dalej i dalej będziesz posuwał, przecież zawsze będziesz miał kogoś za sąsiada. Czemuż wskutek niesprawiedliwości losu ta prawica, co by ci łeb bez ochyby ścięła, opada zmiażdżona?”

Na te słowa szalony morderca, rozjuszony do reszty, porwał miecz i rzucił się na nieszczęsnego młodziaka dysząc z żądy zamordowania go własną ręką. Ale nie trafił na słabszego od siebie, ponieważ młodzieniec niespodzianie i całkiem wbrew jego oczekiwaniu porwał się do obrony i z całej siły rękę mu gniołąc, potężnym szarpnięciem żelazo mu z niej wyważył, po czym raz po raz go nim żgając wygnał z ciała plugawą duszę bogacza. Aby zasię nie wpaść w ręce nadbiegającej czeladzi, przerznął sobie natychmiast gardło ostrzem zbroczonym jeszcze krwią wroga.

Te to były niedole zapowiedziane dziwnymi znakami, te, o których teraz doniesiono nieszczęsnemu panu. Tyłoma nieszczęściami zmiażdżony stał starzec, nie mogąc wydobyć słowa z gardła ani nawet po cichu zapłakać. Ale nagle porwał nóż, którym przed chwilą dzielił między jedzących ser i inne potrawy śniadania, i sam także, tak jak jego syn nieszczęsny, wieloma cięciami gardło sobie poderznął i twarzą waląc się na stół, zalał plamy owej złowróznej posoki strumieniami świeżej krwi.

[39] W taki to sposób w przeciągu króciutkiego czasu zniszczała cała rodzina. Mój ogrodnik uzałił się nad nią, a głębiej jeszcze westchnął nad swoim niepowodzeniem i opłaciwszy łzami śniadanie, a często załamując puste dłonie, dosiadł mnie co prędzej i ruszył w tę samą drogę, którą przybyliśmy. Ale i ten powrót nie poszedł mu gładko.

Oto spotkaliśmy jakiegoś zucha – jak cały jego wygląd i wzięcie wskazywało: żołnierza legionowego – który ogrodnika z góry i zuchwale spytał, gdzie to prowadzi tego nie obładowanego osła. Mój ogrodnik, cały jeszcze zgnębiony, a poza tym i po łacinie nie umiejący, minął go w milczeniu. Ów zasię żołnierz, nie mogąc się zdziżyć w zwyczajnym sobie zuchwalstwie, rozłoszczony jego milczeniem jak zniewagą, palnął go trzymaną w dłoni lagą z łodygi winnej i zwałił z mego grzbietu.

Za czym ogrodnik jął się pokornie składać, że ponieważ nie zna tego języka, nie mógł zrozumieć, co tamten mówił. Wtedy ów żołnierz pyta po grecku:

– Gdzie prowadzisz tego osła?

Ogrodnik odrzekł, że idzie do pobliskiego miasta.

– Ale mnie – odrzecz tamten – potrzeba jego grzbietu; trzeba, żeby zwiózł razem z innymi bydłętą z sąsiedniej fortalicji tłumoki naszego dowódcy – i zaraz wyciągnął łapę, chwycił mą uzdę i począł mnie ciągnąć.

Ogrodnik zasię, ocierając z głowy krew z rany zadanej przedtem uderzeniem i znowu zaklinając i życząc, by tamtemu spełniły się wszystkie dobre nadzieje, błagać go poczyna, aby był bardziej ludzki i względniejszy dla dawnego żołnierza.

– A zresztą – jęczał – toż to leniwe oślisko, prócz tego jeszcze paskudnie chore, zdoła unieść zaledwie parę garstek jarzyn z najbliższego ogrodu, a tak się przy tym zmorduje, że ledwo dyszy; jakżeby on potrafił nosić większe ciężary!

[40] Kiedy jednak zobaczył, że żadne prośby nie zmiękczą żołnierza, ale że ten jeszcze się rozjusza i że chcąc go ubić obrócił już łapę, żeby mu grubszym końcem łeb rozbić, ucieka się do środka ostatecznego: udając, że aby go ubłagać, chce go podjąć za kolana, schylił się mocno, porwał za obie nogi i uniósłszy cisnął co sił o ziem. I w mgnieniu tłuc go poczyna, gdzie popadnie, kułakami, łokciami, gryźć, walić nawet po całej twarzy, po rękach, po ziobrach kamieniem z drogi chwyconym. Tamten zasię, że to leżał na wznak na ziemi, nie mógł go odeprzeć ani w ogóle się bronić i tylko raz wraz przysięgał, że jak wstanie, to napastnika posieka mieczem swoim na kawałki. Ogrodnik, przestrzeżony tymi jego słowami, wyrwał mu mieczysko i odrzuciwszy je jak najdalej począł go grzmocić jeszcze mocniej. Żołnierz rozciągnięty na ziemi i okryty tyloma ranami, nie mogąc znaleźć żadnego ratunku, chwytą się tego, co mu jedynie zostało: udaje zabitego. Wtedy ogrodnik porwawszy jego miecz wsiada na mnie i galopem gna do miasta, a nie chcąc nawet zaglądnąć do swego ogródka zajeżdża do jakiegoś znajomka. Tu opowiada wszystko i błaga o pomoc w niebezpieczeństwie, błaga o ukrycie siebie i osła przynajmniej tak długo, aż po upływie dwu do trzech dni jakoś się umorzy grożąca mu sprawa gardłowa. Znajomek, pomny dawnej przyjaźni, zaraz go przyjmuje: mnie po drabinie wciągnięto na piąterko, a ogrodnik na dole, w samym mieszkaniu, włożył do jakiejś skrzyni, której wieko za nim nakryto, i tam się schował.

[41] Ów zasię żołnierz, jak się potem dowiedziałem, odzyskawszy wreszcie przytomność – jakby po ciężkim spiciu się – obolały od tyłu ran, chwiejący się i utrzymujący na nogach zaledwie dzięki kijowi, przyszedł do miasta. Ze wstydu nie powiedział nikomu z mieszczan nic o swym pobiciu i niemocy, ale w milczeniu przełknął hańbę i dopiero spotkawszy kilku towarzyszków im tylko przedstawił swoją porażkę. Razem postanowili tak, aby on ukrył się na jakiś czas w swej kwaterze – albowiem prócz sprawy zniewagi osobistej musiał się obawiać złych następstw tego, że tracąc miecz pozwolił znieważać honor żołnierski – oni zaś sami po naszych śladach zajmą się pilnie wytropieniem nas i ukaraniem. Otóż znalazł się sąsiad zdrajca, który ich uwiadomił, gdzie się ukrywamy.

Wtedy ci towarzysze przyzywają urzędników bajać im, że niby to zgubili na drodze srebrne naczynie jakiegoś swego dowódcy, bardzo kosztowne, i że je znalazł pewien ogrodnik, że nie chce oddać, ale że się ukrył u jakiegoś swego znajomka. Więc urzędnicy dowiedziawszy się o szkodzie i usłyszawszy imię dowódcy, przychodzą pod drzwi naszego zajazdu i wielkim głosem obwieszczają naszemu gospodarzowi, że winien nas, których u siebie z największą pewnością ukrywa, raczej wydać, niż narazić się na sprawę gardłową.

Ale ów ani trochę nie przestraszony, a o ocaleniu myśląc tego, którego wziął pod swą opiekę, nie przyznaje się całkiem do nas i twierdzi, że od wielu dni nie widział nawet na oczy owego ogrodnika. Żołnierze znowu ze swej strony klną się na głowę cesarską i zapewniają, że on ukrywa się nie gdzie indziej, tylko właśnie tu. Wreszcie urzędnicy postanawiają przetrząsnąć dom i tak rozstrzygnąć sprawę wobec upartego przeczenia gospodarza. Posyłają tedy liktorów i innych miejskich pacholków i każą im troskliwie każdy kąt przeszukać. Zrobiono to i doniesiono, że nie ma w domu ani żadnego człowieka, ani nawet samego choćby osła. Wybucho wtedy jeszcze gwałtowniejszy spór między obiema stronami.

[42] Żołnierze zapewniają, że wiedzą o nas na pewno, i zaklinają się znowu na imię cesarskie, a tamten przeczy zaciekle i bogów na świadków przyzywa. Usłyszawszy tę sprzeczkę, krzyki i zgiełk, ja – osioł ciekawy jak zawsze i jak zawsze wiercicki i zuchwały – wytykam łeb przez jakiś dymnik i chcę zobaczyć, co znaczy ta cała wrzawa; i wtedy właśnie czystym przypadkiem jeden z żołnierzy podnosi oczy i zobaczywszy cień mego łba na murze wszystkim naokół go pokazuje. Zrywa się wielki i długo nie milnący krzyk: natychmiast jacyś ludzie przystawiają drabinę i ściągają mnie na dół jak jeńca. A że już teraz nie było żadnej wątpliwości co do rzeczy, przeszukują wszystko dokładniej, dobierają się nawet i do owej skrzyni, znajdują, wyciągają, stawiają przed urzędnikami, a potem wiodą do miejskiego więzienia nieszczęsnego ogrodnika, co głową pewnie zapłaci całą historię. Mój zaś wygląd pobudzał przy tym wszystkich do drwin i okrutnego śmiechu.

Stąd to powstało to znane przysłowie: gdzie widać długich uszu cień, tam łącno osła poznać zeń.

KSIĘGA DZIESIĄTA

[1] Co tam następnego dnia porabiał mój pan, ogrodnik, to mi już nie wiadomo; mnie jednak ów żołnierz, który za swą popędliwość tak jak się patrzy został obity, wyprowadził z tej stajni – czemu się nikt nie sprzeciwiał – i powiódł ze sobą. W kwaterze tej – widzi mi się przynajmniej, że tam to było – obładował mnie jukami i wyprowadził na drogę, po wojskowemu zgoła ustrojonego i uzbrojonego. Niosłem bowiem i błyszczący szyszak, i tarczę jeszcze bardziej lśniącą, a przede wszystkim włócznię osobliwą o bardzo długim drzewcu, włócznię, którą teraz – pewnikiem nie dlatego, że tak kazał porządek wojskowy, lecz dla przerażenia nędznych przechodniów – umocował troskliwie na samym szczycie pakunków, tak jak się to w prawdziwym wojsku robi. Tak przebyliśmy drogę polną, nie bardzo uciążliwą, i doszliśmy do miasteczka jakowegoś, gdzieśmy stanęli nie w zajeździe, ale w domu pewnego oficera. Za czym natychmiast zdał mnie chłopcu stajennemu, a sam udał się co prędzej do swego przełożonego, który tysiącem zbrojnego ludu dowodził.

[2] Przypominam sobie, że po kilku dniach zdarzyła się tam historia zbrodnicza i okropna: abyście i wy ją mogli przeczytać, opiszę ją w książce.

Właściciel domu miał młodego syna, doskonale wychowanego, a to znaczy także: pełnego skromności i poczciwości, jakiego – albo jakiemu podobnego – każdemu można by życzyć. Matka tego młodego człeka umarła już dawno, a wdowiec pojął w małżeństwo powtórnie inną, z którą miał drugiego syna, w tym czasie już dwunastoletniego. Ale macocha, która dzięki piękności raczej niż cnotliwości zdobyła sobie stanowisko w domu kierownicze, czy to z wrodzonych jej złych żądz, czy to losem ku straszemu wiedziona występкови, zwróciła swe oczy ku pasierbowi. I teraz, mój czytelniku miły, wiedz, że czytasz historię tragiczną, nie historyjkę, i że pantofle trza tu zamienić na koturny.

Otóż kobieta owa, jak długo namiętność jej jeszcze nie rozwinęła się i nie urosła, opierała się jej niezbyt jeszcze groźnej mocy, wąty płomień bez zbytniego wysiłku tłumiąc milczeniem. Kiedy pożerający ogień ogarnął całkiem serce, kiedy rozszalał się dziko Amor, wtedy już uległa rozpętanej potędze i udając chorobę, ranę serdeczną pokrywała udawaną słabością ciała.

Nie masz nikogo, kto by nie wiedział, że wszystkie oznaki choroby objawiające się na ciele wspólne są akuratnie i chorzejącym, i zakochanym: bladość okrutna, przygasły wzrok, bezwład w nogach, sen niespokojny, westchnienia, które cierpienie powolne robi tym prędszymi. I gdyby nie jej ciągłe łzy, można było i o niej myśleć, że ją dręczą napady febry.

Ha, zakute łby lekarskie, cóż oznacza to szybkie tętno, te gorące wypieki, przerywany oddech, te latające ciężko oba boki? Dobrzy bogowie, jakżeż nietrudno jest nie lekarzowi w kunszcie swym kształconemu, ale komukolwiek obeznanemu z miłosną żądzą zrozumieć, w czym rzecz, gdy widzi kogoś płonącego, choć ciała jego nie trawi gorączka choroby!

[3] Żądzą niecierpliwą do ostateczności wreszcie doprowadzona, przerwała długie milczenie i każe do siebie wołać syna. Syna! Jakżeby chętnie zniszczyła, gdyby mogła, tę nazwę dla niego – zniszczyła, by na jej twarzy rumieńca nie wywoływała. Młodzieniec, nieleniwie wypełniając rozkaz chorej macochy, idzie – z czołem pomarszczonym jakimś starym smutkiem – do sypialni, żonie ojca swego, matce brata posłuszeństwo powinno okazując. Lecz

ona, że to tak długo cierpiała w okrutnym milczeniu, teraz jakby więznąc na mieliznach wątpliwości powstrzymuje każde słowo, które już wydało się jej było najodpowiedniejsze w tej rozmowie; wstyd jeszcze teraz zachwiewa ją w postanowieniu, że ciągle nie wie, skąd by najlepiej zacząć. Młodzieniec zaś, ciągle jeszcze się nie domyślając niczego takiego, sam skromnie ją zapytuje o przyczyny jej widocznej zgryzoty. Wtedy dopiero ona, dopadłszy w tym sam na sam fatalnej sposobności, wpada nagle w zuchwalstwo i tak się doń krótko odzywa drżącym głosem, łzami zalana i szatą twarz osłaniająca:

„Ty sam jesteś przyczyną i początkiem całej tej mojej udreki, a zarazem sam jedynym lekiem i jedynym mi pewnym ocaleniem. Te to twoje oczy bowiem przez źrenice moje zapadły mi na dno serca i tam pożogę najsroższą rozjarzyły. Przeto ulituj się ty nade mną, która ginę dla ciebie! I niech cię nie odpycha ode mnie cześć dla ojca, któremu ocalisz tylko małżonkę, co zaiste już zginąć miała. Przeto cię bowiem miłuję. Iż jego obraz w obliczu twym rozpoznaję: rzecz to sprawiedliwa. Miejsze otuchę pewną w tej naszej tu samotności, miejsze tę chwilę tajemną za sposobną do sprawy, co już nieunikniona! Wszakże o czym nikt nie wie, tego prawie nie było”.

[4] Tą nieszczęsną, a tak nagłą historią strapiiony młodzieniec, choć się taką zbrodnią od razu okrutnie przeraził, nie chciał jednak rozognić rzeczy odtrąceniem niewiasty surowym – co, zaiste, nie na czasie byłoby – lecz sądził, że ostrożnymi obietnicami wszystko odwlecze, a potem ułagodzi. Serdeczne tedy daje przyrzeczenia, nie skąpi zachęt, by nabrała otuchy, by pomyślała o sobie i przyszła do siebie – aż do czasu, kiedy podczas jakiejś nieobecności ojca nadarzy się im chwila dla rozkoszy – po czym wymyka się co prędzej z grzesznego towarzystwa macochy. Rozumiejąc zaś, że tak fatalne nieszczęście w rodzinie wymaga dojrzałszej rady, udaje się natychmiast do jednego starego swego nauczyciela, człeka znanej powagi. Długo o tym ze sobą radzili i tak im się zdało, że jedyną rzeczą zbawienną tu będzie to, aby szybką ucieczką umknąć się nadciągającej burzy losu.

Tymczasem jednak nie posiadająca się z niecierpliwości nawet wobec małej zwłoki niewiasta, wymyśliwszy pierwszą lepszą przyczynę, już była małżonka sztuczkami zmyślnymi nakłoniła, by wyruszył do swoich bardzo odległych dóbr. Zaledwie się to stało, oszalała nadzieją, co długo dojrzewiała, żąda wypełnienia przyrzeczenia mającego żądzę jej zaspokoić. Lecz młodzieniec już to tej, już to innej chwytając się wymówki, odsuwał haniebną schadzkę, i to tak długo, aż ona domyśliwszy się jasno z tych najrozmaitszych odpowiedzi, że przyrzeczenia spełnić jej nie chce, z dziwną zmiennością przerzuciła się z miłości niegodziwej w nienawiść o wiele jeszcze straszniejszą. Przybiera sobie tedy od razu jakiegoś nikczemnego, oddanego jej aż do wszelkiej zbrodni niewolnika – którego jeszcze z posagiem otrzymała – i zwierza mu się ze swymi przewrotnymi zamiarami; jakoż nic nie znajdują tu lepszego nad to, by nieszczęsnego młodzieńca pozbawić życia.

Niewzłocznie tedy zaprzęga niewiasta do dzieła tego hultaja, który przygotowuje mocną truciznę, umiejętnie zatrzuwa nią wino i przyładza je na zgubę niewinnego pasierba.

[5] Ale podczas gdy te zbrodnicze dusze rozmyślają razem nad tym, przy jakiej by mu to sposobności podsunąć, dziwnym zrządzeniem losu ów młodszy chłopak, własny syn niewiasty niegodziwej, wrócił do domu po rannych lekcjach, właśnie zjadł śniadanie i spragniony, natknąwszy się na ów kielich wina, w którym czaiła się trucizna, wychylił go duszkiem nie wiedząc o utajonej w nim zdradzie. Skoro tak wypił śmierć przeznaczoną dla swego brata i padł bez życia na ziemię, nauczyciel i pedagog jego, przerażony nagłym skonem chłopca, jął rozdzierającym głosem przyzywać matkę i wszystkich domowników. Rozpoznano niedługo, że był to wypadek otrucia, i każdy z obecnych inne miał posady co do tego, kto mógłby być sprawcą strasznej zbrodni.

Ale owej potwornej kobiety, owego wzoru złej macochy – wzoru, jakich niewiele – nie poruszyła straszna śmierć syna ani wyrzuty sumienia z powodu morderstwa, ani niedola w domu, ani rozpacz czekająca na małżonka, ani udreżenia pogrzebu; ona z nieszczęścia w rodzi-

nie wyciągnęła zysk dla swej zemsty. Oto natychmiast wysłała gońca, aby doniósł mężowi bawiącemu w drodze o stracie w domu. Zaledwie zaś ów czym prędzej z podróży powrócił, oczernia pasierba – a grała swą rolę z nie lada zuchwalstwem – że to on otruł jej syna. O tyle w tym nie zmyślała, że chłopak padł ofiarą śmierci przeznaczonej na później dla brata; ona jednak kłamała, że młodszy brat dlatego zbrodniczo przez pasierba został zamordowany, ponieważ ona nie chciała ulec haniebnej jego chuci, którą ją chciał zesromocić. Niezadowolona jednak z tych kłamstw niesłychanych, dodawała jeszcze, że i jej groził tym oto mieczem za to, że zbrodnię jego wyjawiała.

Rozszalała się burza udreki nad nieszczęsnym ojcem, rażonym śmiercią dwu synów: na pogrzeb młodszego patrzył oto własnymi oczami, o drugim zaś wiedział na pewno, że za kazirodztwo i morderstwo na śmierć skazany zostanie. Do tego przesadne a kłamane jęki umiłowanej żony podlegały jeszcze do ostateczności jego nienawiść do tego syna.

[6] Zaledwo odprawiono uroczystości żałobne i pochowano chłopca, kiedy nieszczęsny starzec wprost od jego grobu, z twarzą zalaną jeszcze świeżymi łzami – jeszcze wydzierający siwe włosy popiołem zwalane – pośpieszył na rynek, na miejsce sądu. I tu już to płaczem, już to błaganiami, za nogi nawet sędziów podejmując, z całą namiętnością wzywa ich – nie znając zdradliwości zbrodniczej niewiasty – by stracili jego drugiego syna: wszakżeż – krzyczał – to kazirodca dla ojcowskiego łoża, to morderca, co brata zamordował, to zbój, co macosze śmiercią groził! W końcu taką wzbudził litość i takie wzburzenie nie tylko wśród sędziów, ale także i wśród ludu, że wszyscy – nie chcąc procedury sądowej niecierpliwiejszej ich tylko, nie chcąc przeprowadzenia dowodów oskarżenia dla nich oczywistego i wymyślnej a chytrej obrony – iż wszyscy zakrzyknęli, że taką zarazę publiczną publicznie ukamienować trza i tak pokarać.

Tymczasem urzędnicy w strachu o własną skórę – ponieważ obawiali się, by to oburzenie rosnąc z niewielkich początków nie spotęgowało się aż do zniszczenia wszelkiego porządku publicznego i aż do ruchawki w mieście – już to zwracają się do sędziów, już to uspokajają lud przekładając, że sprawiedliwość wymierzyć należy wedle przepisów i wedle obyczajów przodków, że dopiero po wysłuchaniu wywodów obu stron można wyrok wydać, a nie skazywać kogoś, nie wysłuchawszy, jak dzicy barbarzyńcy to robią albo tyrańska zaciekłość, i że nie trza dawać tak haniebnego przykładu w wieku głębokiego spokoju i cywilizacji.

[7] Zwyciężyła ta zdrowa rada i – wedle rozkazu – od razu woźny zwołuje starszych do ratusza. Skoro zasiedli – jak zwyczajnie wedle godności swej – miejsca, znowu na głos woźnego wystąpił pierwszy oskarżyciel. Wtedy dopiero wezwano i wprowadzono także oskarżonego, a woźny zwrócił uwagę obrońcom – w myśl prawa attyckiego i za przykładem procedury Areopagu – aby nie robili długich wstępów ani nie starali się grać na litości słuchaczy.

Że to się w ten sposób odbyło, dowiedziałem się słysząc, jak wielu ludzi ze sobą o tym rozmawiało. Jakimi zasię słowy nacierał oskarżyciel, czym się bronił oskarżony, jakie były mowy i dysputy, tego ani słyszeć nie mogłem stojąc przy moim żłobie, ani wam nie mogę opowiadać tego, czego nie wiem. Opowiem w tej księdze tylko to, czego dowiedziałem się dokładnie.

Skoro tedy tylko mówcy ukończyli swą dysputę, zdecydowano, że prawdziwość oskarżeń należy poprzeć pewnymi dowodami, a nie opierać tak strasznego podejrzenia na domysłach – i że należy przede wszystkim na wszelki sposób dostawić tego niewolnika, który jedynie – jak mówiono – wiedział, że wszystko tak właśnie się stało. Ów zaś wisielec, nie zbity ani trochę z tropu tym tak poważnym sądem ani widokiem nabitej kurii, ani, zupełnie już, swoim złym sumieniem – rozpoczął wyplatać jakby prawdę jaką własne bajdy i zapewniać o ich prawdziwości: jak to młodzieniec, rozwścieczony czystością macochy, zawołał go do siebie, jak to, z zemsty za urazę, kazał mu zamordować jej syna, jak mu za milczenie przyrzekł wielką nagrodę, jak – gdy on się wzbraniał – śmiercią mu groził, jak dał mu truciznę własną ręką przyłożoną, by bratu ją podsunął, jak – podejrzewając, że niewolnik kielicha chłopcu nie poda, lecz

zachowa go jako dowód zbrodni – ostatecznie sam, własnoręcznie bratu go podał. Te zeznania łajdaka – wiele bardzo prawdopodobieństwa zawierające, a wypowiedziane z udanym przerażeniem – zakończyły ostatecznie proces.

[8] W żadnym z sędziów nie pozostało tyle życzliwości dla młodzieńca, aby go nie miał skazać na zaszcycie w worze jako przekonanego o zbrodni. I już głosy wszystkich – takie same, bo wszyscy wypisali tę samą formułę – miano, wedle odwiecznego obyczaju, wrzucać do miedzianej urny, do której kiedy tabliczki raz wpadły, los oskarżonego był rozstrzygnięty i nic go potem nie mogło już odmienić, bo głowa jego przechodziła w ręce kata – otóż w tej chwili powstał w kurii pewien starszy miasta, wyróżniający się wypróbowaną rzetelnością i szczególną powagą, lekarz z zawodu, i zakrywając dłonią otwór urny, by ktoś pośpiesznie nie wrzucił tabliczki, tak odezwał się do zgromadzenia:

„Tak dożyłem tego wieku mojego – chlubię się tym – żeście to życie moje zawsze pochwalali; nie ścierpię więc tego, byście na tym młodzieńcu, fałszywie oskarżonym, morderstwa dokonali, ni tego, byście wy, co pod przysięgą sądzicie, krzywoprzysięstwo popełnili, uwiedzeni kłamstwem nikczemnego niewolnika. I ja sam nie mogę, zdeptawszy majestat bóstw, oszukiwać mego sumienia i zły wyrok wydać. Dowiedzcie się przeto ode mnie, jak się rzecz cała ma.

[9] Nie tak dawno przyszedł do mnie ów hultaj niewolnik kłopotąc się o dobrą truciznę; chciał za nią zapłacić sto nieobrzypanych złotych, a twierdził, że potrzebuje jej dla jakiegoś chorego, co dręczony zastarzałą, nieuleczalną chorobą, chce się uwolnić od męki życia. Przejrzałem nieczystą sprawkę i to, że ten łajdak brednie baje i niezręczne pozory wymyśla; byłem pewien, że knuje coś złego, i dałem wprawdzie napój, dałem – ale żeby sobie ułatwić poszukiwanie w przyszłości, nie przyjąłem zaraz zapłaty, którą ofiarował. Powiedziałem mu tak:

«Boję się, czy któryś z tych dukatów, które dajesz, nie jest przypadkiem nic wart albo fałszywy; zostawże je przeto w tym samym mieszku, zapieczętuń swoim pierścieniem, a na drugi dzień wekslarz je sprawdzi».

Tak go nakłoniłem do tego, by opieczętował pieniądze, które potem, skoro on stawił się w sądzie, nakazałem jednemu z mych ludzi co tchu wyszukać w sklepie i przynieść. Oto one; kładę je na oczach wszystkich. Niechże się temu mieszkowi przypatrzy i rozpozna swój sygnet. A jakżeż można oskarżać o tę truciznę brata, jeśli to ten człowiek o nią się starał?”

[10] Teraz okrutne przerażenie opanowało owego szelmę; żywą barwę oblicza zastąpiła błądź śmiertelna, a zimny pot wystąpił na całym ciele; począł niepewnie występować to jedną, to drugą nogą, drapać się po głowie to z tej, to z owej strony i półgębkiem bełkocąc bredzić nie wiem już jakie bajdy, tak że zaiste nikt nie mógł mieć usprawiedliwionego przekonania o jego niewinności. Ale zaraz ocknęło się całe jego szalbierstwo i raz po raz począł zaprzeczać i zarzucać lekarzowi kłamstwo. Ten zaś słysząc, jak spotwarzają tu nie tylko jego nieskazitelność sędziowską, ale i cześć osobistą, zdwaja usiłowania, by pogrzyżać owego hultaja; trwało to dopóty, aż na rozkaz urzędników pachoty miejskie pochwyciły za ręce nikczemnego niewolnika i znalazły żelazny pierścień; porównano go z pieczęcią na mieszku, a to porównanie udowodniło poprzednie podejrzenia. Poszedł więc na męki, wśród których nie zabrakło koła ani – greczyńskim obyczajem – konika drewnianego. On jednak z dziwnym uporem przetrzymał i nie uległ ani chłości, ani nawet próbie ognia.

[11] Wtedy powiada on lekarz:

„Nie zniosę, dalibóg, nie zniosę ani tego, abyście wy wbrew sprawiedliwości na śmierć tego niewinnego młodzieńca skazali, ani tego, by ów, szydząc z naszego sądu, wymknął się karze za zbrodnię. Dam wam tu oczywisty dowód na prawdziwość tego, co tu teraz mówiłem. Oto kiedy szelma ten ostatni chciał dostać zabójczą truciznę, ja sądziłem, że nie przystoi memu zawodowi, aby komukolwiek dostarczał środków do śmierci czy zguby, bo tak mnie uczono, że dla dobra ludzi sztukę lekarską wynaleziono; z obawy jednak, abym – gdybym dać nie chciał – niewczesną odmową sam zbrodni drogi nie wyrównał, bo wszakże ten człowiek

mógł od kogo innego kupić zabójczy napój albo wreszcie dokonać niegodziwości zamierzonej mieczem czy jaką inną bronią – dałem mu płyn, ale nasenny, mianowicie z owej mandragory³⁷. słynnej z tego, że usypia niezawodnie i wprawia w stan odurzenia całkiem śmierć przypominającego. Nic dziwnego, że ten zbój – nie mający nic do strącenia, a pewien strasznej kary, jaka go, wedle obyczaju przodków, czeka – łatwo zniósł owe katusze jako daleko od niej lżejsze. Lecz jeśli chłopak istotnie wypił ten napój, który ja własnymi przyrządziłem rękami, to on żyje, odpoczywa tylko, śpi, i niedługo otrząsnąwszy się z twardego odurzenia wróci na światło dnia. Jeśli zaś został zabity, jeśli go śmierć zaskoczyła, możecie szukać innych przyczyn jego skonu”.

[12] Gdy starzec w ten sposób przemawiał, każdy mu przytakiwał. Zaczym zaraz udano się z pośpiechem wielkim do tego grobowca, w którym leżało złożone tam ciało chłopca. Nie było żadnego urzędnika, żadnego starszego miasta, nikogo nawet spośród ludu, kto by tam nie pobiegł z największą ciekawością. A tam oto ojciec własnymi rękami otwarłszy wieko grobowca spostrzegł syna, który właśnie, otrząsnąwszy się z śmiertelnego letargu, powstawał i do życia powracał; chwyta go w uścisk najserdeczniejszy, słów nie mogąc na radość swą znaleźć, i wyprowadza, i pokazuje ludowi. Niosą tego chłopaka przed sąd – jak był jeszcze skrępowany i owinięty śmiertelnymi płótnami. Teraz już bez najmniejszej wątpliwości odkryły się zbrodnie najniegodziwszego niewolnika i niegodziwszej jeszcze niewiasty i na jaw wyszła naga prawda; macochę skazano na wieczne wygnanie, niewolnika ukrzyżowano, a dobremu lekarzowi pozwolono, za powszechną zgodą, zatrzymać ów mieszek z pieniędzmi jako nagrodę za tak w porę sprowadzone uśpienie.

Owego zasię starca – złej macochy męża – historia tragiczna, wszędzie sławna i zgoła bajeczna, zakończyła się sposobem godnym dobroci bogów: wszakże on to w czasie bardzo krótkim, ba, właściwie w jednej chwili z grozy sieroctwa przeszedł nagle w stan ojcostwa – ojcostwa dwu synów.

[13] Mnie zasię w tym czasie miały fale takich oto losów. Ów żołnierz, który mnie kupił, choć nikt nie sprzedawał, i który wziął mnie w posiadanie, choć nikomu za to nie zapłacił, musiał – wypełniając posłusznie, jak to był winien, rozkaz swego trybuna – musiał udać się do Rzymu z listami do potężnego cesarza; sprzedał mnie zatem dwom braciom, niewolnikom z sąsiedztwa, za jedenaście denarów. Ci bracia byli u jednego bardzo bogatego pana. A był jeden z nich cukiernikiem, co wypiekał kołacze i słodkie smakołyki, drugi zaś kucharzem, co najsmakowitszymi sosami i nadziewkami przysmaki zaprawiał i gotował. Mieszkali oni razem i razem prowadzili gospodarstwo, mnie zaś przeznaczili do noszenia owych licznych naczyń, potrzebnych dla najrozmaitszego użytku ich często podróżującego pana. Tak tedy zostałem przyjęty między tych dwu na trzeciego kamrata; nigdy zasię jeszcze nie służył w tak dobrym miejscu. Wieczorem bowiem, po obiedzie bardzo hojnym i świetnie zastawionym, zwykli byli ci panowie moi znosić rozliczne jadalno do swojej izby: jeden obfite resztki wieprzowych pieczeni, kurcząt, ryb i wszelkich potrawek, drugi pieczywa, ciastek, kołaczy, placuszków, pierniczków i słodkich łakotków. Otóż kiedy oni zamknąwszy Izbę udawali się dla wytchnienia do łaźni, ja raczyłem się do syta tą ucztą z nieba mi zesłaną. Nie byłem bowiem takim głupcem ani takim prawdziwym osłem, aby zjadać najordynarniejsze siano, kiedy mi zostawiano owe smakołyki.

[14] I długo mi się jak najskładniej udawały te złodziejskie sztuczki, ponieważ zrazu nie śmiało i dość skromnie ściągałem z całej masy tylko to i owo, oni zaś nie podejrzewali osła o żadne takie podstępny. Skoro jednak – rozzuchwaliwszy się dzięki przekonaniu, że mnie nie wykryją – zacząłem pożerać co najlepsze kąski, a wybierając rzeczy najsmakowitsze, nie patrzyłem nawet na tylko smakowite – wzięła braci nie byle jaka podejrzliwość i chociaż nie przyszło im jeszcze do głowy, żebym to był ja, to jednak jęli pilnie śledzić za sprawą tych

³⁷ m a n d r a g o r a – roślina o korzeniu mięsistym; przyrządzano z niej napoje nasenne.

codziennych szkód. W końcu zaczęli się nawzajem obwiniać o te bezwstydne złodziejstwa i już lepiej pilnowali, i bardziej uważali, i już liczyli kawałki. Wreszcie nie zważając już na żadne względy, tak jeden do drugiego powiada:

– A to już doprawdy ani sprawiedliwie, ani słusznie, że ty co dzień to lepsze kaski ściągasz, cichaczem sprzedajesz i kabzę sobie nabijasz, a to, co zostało, to byś dopiero dzielił po równu. Nie podoba ci się ta nasza spółka, to możemy – we wszelkim innym względzie braćmi zostając – ten jeden węzeł naszej wspólnoty rozwiązać. Bo już to widzę, że z tych sporów bez końca – bo bez końca są te straty – urośnie między nami głęboka niechęć.

Na to odpowiada drugi:

– To mi się dalibóg podoba, ta twoja bezczelność, z jaką – kradnąc co dzień cichcem – uprzędziłeś moje narzekanie. Powstrzymałem się z nim nie wiem od jak dawna i w milczeniu znosiłem przykrości, aby uniknąć pozoru oskarżenia mego brata o brudne złodziejstwo! Ale już dobrze, żeśmy obaj wzięli na gadanie, to poszukamy lekarstwa na te straty, ażeby sprawa, potężniejąc tylko przez nasze milczenie, nie spowodowała między nami zwady takiej, jak Eteoklesa i jego brata.

[15] W taki i temu podobny sposób robią sobie wyrzuty, wyjaśniają i przysięgają w końcu obaj, że całkiem się nie podchodzili, że żadnych kradzieży nie popełniali, że tedy trzeba wszelkimi sposobami szukać sprawcy wspólnej ich szkody. Bo chyba osioł, który sam jeden zostawał przy tym jadle, nie mógł się na nie łakomić. a przecież co dzień kasków wybranych nie można było odnaleźć, choć niewątpliwie do izdebki ich nie wlatywały muchy tak olbrzymie, jak niegdyś harpie, co rozszarpywały ucztę Fineusza³⁸.

Tymczasem ja, racząc się tymi hojnymi ucztami i opychając ile wlażło ludzką strawą, utoczyłem sobie cielsko i stłuściłem, skórę sobie wypchałem na miękko soczystym sadłem i wyhodowałem sierść pięknie połyskującą. Ale ta uroda mego cielska była przyczyną mego wielkiego zawstyżenia. Bracia bowiem tknięci niezwykłą mą tuszą, widząc do tego co dzień, że moja porcja siana pozostaje nie tknięta, całkowicie już na mnie zwrócili swe podejrzenia. Pewnego zasię dnia, niby to wybierając się o zwykłej godzinie do łaźni, zamknęli wedle zwyczaju drzwi i przez jakąś małą dziurkę podglądając, zobaczyli, jak ja się dobieram do rozstawionego wszędzie jadła. Za czym nie myśląc już o swoich stratach, zdumieni niesłychanym gustem osła wybuchają okrutnym śmiechem i przywoławszy jednego i drugiego, a potem wielu ze służby, pokazują obzarstwo tępego bydłęcia – obzarstwo. o jakim nikt jeszcze nigdy nie słyszał. I taki w końcu, i tak nieokiełznany śmiech wszystkich ogarnął, że doszedł do uszu przechodzącego właśnie ich pana.

[16] Jał tedy pytać, z czego to tak wesołego śmieje się czeladź, a dowiedziawszy się, o co idzie, sam także zaglądnął przez tę szparę i ubawił się niesłychanie; uśmieł się tak okrutnie, że go aż boki bolały, a następnie, gdy komorę otwarto, podszedł i z bliska się przypatrywał. Ja bowiem widząc, że i mnie się wreszcie, przynajmniej w pewnym względzie, los uśmiechnął, że – co mi dodało otuchy – wszyscy widzowie tak się cieszą, jadłem dalej spokojnie ani trochę się nie strachając. Wreszcie pan domu, zachwycony całkiem nowym widowiskiem, kazał mnie zaprowadzić czy raczej może sam własnymi rękami zaprowadził do jadalni, gdzie na jego rozkaz zastawiono stół świeżymi potrawami i nie tkniętymi jeszcze misami. Ja zasię, chociażem sobie już był niezgorzej podjadł, przecie chcąc mu się polecić i przypodobać, łakomie rzuciłem się na zastawione jadlo. A oni łamali sobie tylko głowę nad tym, co by najbardziej mogło nie smakować osłu, i to właśnie mi podawali, chcąc wy badać, jak bardzo mój gust jest ucłowieczony; więc mięso zaprawiane sokiem z okrzy, ptactwo z przyprawą pieprzową, ryby marynowane w niesłychanych jakichś sosach, a tymczasem biesiada rozbrzmiewała wokół okrutnym śmiechem. Wreszcie krzyknął jakiś trefniś:

³⁸ Fineusz – oślepiiony król. Harpie porywały mu i zanieczyszczały potrawy, póki ich nie odpędzili synowie Boreasza.

– A dajcie no temu kamratowi coś do przepłukania gardła!

Podjął ten dowcip zaraz pan:

– Nie taki to głupi – powiada – ten twój żart, hultaju. Bardzo to bowiem być może, że nasz kamrat całkiem nie pogardzi także szklanicą miodku. Hej, chłopcze – krzyknął – wyszoruj no jak się patrzy ten złoty roztruchan, napełnij miodem i podaj memu pieczeniarczowi, a zarazem zwróć mu uwagę, że ja pierwszy wypilem na jego zdrowie.

Za czym oczekiwanie wszystkich biesiadników doszło do szczytu. Ja zasię, całkowicie nie zmieszany, zaokrągliłem spokojnie i – powiem – z pewnym wdziękiem końce warg na kształt języka i ogromny ten kielich jednym łykiem wychyliłem. Podniósł się jeden wielki huczek: wszyscy wznosili moje zdrowie.

[17] Wreszcie pan, okrutnie rozbawiony, woła tych niewolników, co mnie byli kupili, i każe im zwrócić poczworną moją cenę, mnie zaś samego oddaje jednemu swemu ulubionemu wyzwolencowi, człękowi dość majątnemu, troskliwie mu mnie polecając. Ów wyzwoleniec obchodził się ze mną dość dobrze i po ludzku, a chcąc się panu swemu przypodobać, starał się bardzo bawić go moimi zmyślnościami. Nauczył mnie tedy naprzód legać przy stole na łokciu, potem mocować się, a nawet tańcować na zadnich nogach i, co się zdawało najdziwniejsze, odpowiadać skinieniem na słowa, tak mianowicie, że gdy czego nie chciałem, odwracałem głowę, gdy chciałem, skłaniałem ją; gdy miałem pragnienie, spoglądałem na podczaszego i mrugałem raz jedną, raz drugą powieką, tą modłą napitku żądając. Posłuszeństwo w tych sprawach nie kosztowało mnie najmniejszego wysiłku, ile że – rozumie się – potrafiłbym to wszystko zrobić, choćby mi nie pokazywano. Bałem się jednak, żeby – jeślibym tak bez nauki jadł całkiem jak człowiek – nie uważano mnie powszechnie za jakieś złowrózbnie zjawisko i aby mnie jako potwora i złe dziwo nie zarżnięto i nie rzucono sępom na smaczną zakąskę. A już się po ludziach rozeszła wieść o mnie i pan mój, dzięki mym niezwykłym sztukom, stał się głośny i sławny. Pokazywano go sobie palcami: ten ci to jest, który ma takiego osła kamrata i współbiesiadnika, osła zapaśnika, osła tancerza, osła głos ludzki rozumiejącego i wyrażającego myśli swe na migi!

[18] Ale naprzód muszę wam opowiedzieć – co powinienem był zrobić na początku, ale zrobię przynajmniej teraz – kto i skąd był mój pan.

Tiazusą – tak się bowiem nazywał – ojczyzną był Korynt, stolica całej prowincji achajskiej. Piastował on, jak go do tego upoważniało jego pochodzenie i osobista wartość, stopniowo wszystkie mniejsze urzędy i był wyznaczony na pięcioletnie wysokie urzędowe stanowisko; ażeby zaś godnie uświęcić objęcie swego urzędu, zapowiedział trzydniowe igrzyska z walkami gladiatorów. Ale że hojność jego sięgała jeszcze dalej, a także ponieważ na rozgłos publiczny bardzo był łasy, przybył w tym czasie nawet do Tesalii, aby tu zakupić jak najpiękniejsze zwierzęta i sławnych gladiatorów, i już wszystko wedle planu załatwiwszy i zakupiwszy wybierał się z powrotem do domu. Teraz jednak rzucił owe swoje wspaniałe rydwany, zostawił piękne powozy i karoce częścią kryte, częścią otwarte, które wlokły się próżne w ogonie taborów, zostawił nawet konie tesalskie i różne inne zwierzęta galijskie – rasowe i takie drogie – a tylko mnie stroił w złote rzędy i malowane siodła, i purpurowe czapraki, i wzorzyste pasy, i dzwoneczki srebrzyście dzwoniące, i sam mnie dosiadał, i nierzadko zagadywał strasznie przyjacielsko, i mawiał – prócz wielu innych takich rzeczy – jak mu to jest miło, iż ma we mnie równocześnie i podjezdka, i kamrata przy stole.

[19] Skoro zasię po długiej lądowej i morskiej przeprawie przybyliśmy do Koryntu, ściągając się jęły tłumy ludu, nie tyle, jak mi się widziało, by uczcić osobę Tiazusa, ile z żądzy ujżenia mojej osoby. Bo nawet tam doszedł rozgłos o mnie tak niezmierny, iż stałem się niemałego zysku źródłem dla owego wyzwolenca, mego opiekuna. Ten bowiem widząc, jak tłumy ludzi cisnęły się w okrutnej chęćce, żeby figle moje zobaczyć, zamknął drzwi na zaworę i wpuszczając pojedynczo, po jednemu, brał niemałe wstępy i tak sobie co dzień ładne pieniążki stale ciułał. [...]

[20-28] [...]

[29] [...] Ale oto nadszedł dzień przeznaczony na igrzyska: z uroczystą okazałością wiodą mnie w tłumie pod zagrodzenie areny. A ponieważ początek widowiska poświęcony był igrzyskom teatralnym i tanecznym, ja przez ten czas przy bramie pozostawiony przypiąłem się całym pyskiem do pysznej trawki, wschodzącej właśnie u wejścia do cyrku; podczas tego zaś łypałem przez otwartą bramę na widowisko ciekawymi ślepiami i pasłem je wielce wdzięcznym ich widokiem.

Oto chłopcy i dziewczęta, młódź jak kwiecie świeżo rozkwitłe, o kształtach uroczych, w świetnych strojach, zachwycająca giętkością ruchów, szła do tańca greczyńskiego, pirryką zwanego, i w składne szyki ujęta, barwne zataczała korowody. Giał się ten zastęp już to w krąg kolisty, już to wiązał w ukośnie do siebie nachylone poczty, a rozszczepiał w czworoboki i strzępił w luźne gromady. A kiedy końcowy dźwięk trąby zamknął wieloskrętne przewody tam i sam rozwijanych figur tanecznych, podniosła się zasłona, rozsunęły opony i ukazała się dekoracja sceny.

[30] Była tam na niej góra z drzewa – wyobrażona na kształt owej sławnej góry, którą wieszcz Homer opiewał pod nazwą Idy – wzniesiona na wysokich rusztowaniach, zielonością pokryta i żywymi drzewami. Ze szczytu jej zlewała się struga rzeczna, ile że za sprawą budowniczego jej tryskało tam źródło. Kilka kóz zioła tam szczypało, a młodzian pewien za Parysa, frygijskiego pasterza, pięknie przebrany, w spływającej mu z barków cudzoziemskiej opończy i złotym zawoju na głowie odgrywał rolę takiego, co niby tę trzodę pasie. Za czym wkrótce pojawił się tam śliczny chłopiec, nagi, bo tylko młodzieńcza chlamida z lewego mu ramienia zwisała, wszystkich uwagę płową swą czupryną zwracający, z której wychylały się dwa złote skrzydełka całkowicie do siebie podobne; po różdżce herolda poznać było, że to Merkury. Podbiegł on z pozłaczanym jabłkiem w ręce w tanecznych podskokach i podał je temu, który Parysa wyobrażał, gestami dając poznać, jakie to zlecenia przynosi od Jowisza; za czym w kunsztownym pląsie precz odbiegł. Po nim wystąpiła młoda niewiasta o obliczu pełnym majestatu – boginię Junonę wyobrażająca: błyszczący diadem opasywał jej skronie, a i berło miała w ręku. Za czym wpadła na scenę inna; mogłeś poznać, że to Minerwa. Szyszak miała lśniący na głowie, a na samym szyszaku wieniec oliwny, i wznosiła puklerz, a potrząsała włócznią jak – ani chybi jak wtedy, gdy walczy.

[31] Po nich występuje inna, świetną urodą aż w oczy bijąca; poznać z jej bożej kraszy, że to Wenus – Wenus dziewicza jeszcze. Doskonale piękne kształty ukazuje jej nagie ciało, niczym nie osłonięte poza przejrzystą jedwabną tkaniną wstyd jej oceniającą. Ale i tę szmatkę wietrzyk ciekawski wdzięcznie wielce a swywolnie już to odwiewał, świadectwo dając jej wiekowi, co był jak rozkwitłe świeżo kwiecie – już to ciasno nią oblepiał, rozkoszne członki wyraziście zaznaczając. Dwojakie zasię uderzały w oczy barwy w zjawisku bogini: biel ciała – że to z nieba zstępuje, i lazur zasłonki – że z oceanu się wylania. Każdej teraz z tych dziewic odgrywających boginie towarzyszył jej orszak, Junonie zaś Kastor i Polluks noszący na głowach szłomy jajowatego kształtu, zdobne gwiezdnyimi ogonami; ale owi Kastorowie to była także czeladź aktorska. Ta Junona, przy wtórce fletu w jońskich tonacjach wygrywającego, w spokojnej a naturalnej mimicznej grze krocząc, pełnymi dostojeństwa ruchami pasterzowi obiecywała, że jeśli jej nagrodę piękności przyzna, to i ona da mu władztwo nad Azją. Tej zaś, którą zbrojne odzienie za Minerwę wydawało, broniło dwu młodych chłopców, giermków i towarzyszy bogini wojowniczej: Lęk i Postrach z nagimi mieczami w dłoniach tańczący. Za nią zaś fletnista wygrywał melodie wojownicze w tonacji doryckiej i przemieniając niskie tony z wysokimi i ostrymi podniecał – ni to dźwiękiem surmy wojennej – wartki i ognisty tan bogini. Ta znowu gwałtownymi ruchami głowy i oczyma miotającymi błyskawice, migająca się ino w ruchach szybkich i niespokojnych, dawała do zrozumienia Parysowi, że jeśli jej przyzna zwycięstwo w tym sporze o piękność, stanie się pod jej opieką bohaterem sławnym trofeami wojennymi.

[32] Ale oto Wenus, największym poklaskiem tłumu się ciesząca, w samym środku sceny stanęła rozkosznie z słodkim uśmiechem, całym tłumem malców roześmianych otoczona. Przysięgać mógłbyś, że te dzieciaki delikatne i mlecznobiałe – to Kupidyńki prawdziwe, co ledwo z niebios czy z mórz nadleciały; bo z tym by się jak w sam raz zgadzały skrzydełka ich i łuczki ze strzałami, i wygląd ich cały, i uroda – tym ci bardziej, że jeszcze przyświecały skrzącymi się pochodniami pani swej, nic, ino jakby się właśnie na jaką ucztę weselną wybierającej. Za czym napływają barwne dziewcząt kręgi: tu Gracje najwdzięczniejsze, tu najurodziwsze Hory, które bogini swej w dani ciskają kwiatów wieńce i naręcza i korowody tworzą najmiłsze, władczynie rozkoszy wiosennym kwieciem się przymilając. Już wielouste flety rozśpiewały się słodko melodiami lidyjskimi. Wdzięcznie pieściły one uszy słuchaczy, ale stokroć od nich wdzięczniej zaczęła chybotać się miękko Wenus, naprzód kroki wolnymi i jakby wahającymi się, ciałem się lekko przegibująca – potem z wolna płasnąć, głowy przegięciami rytm zaznaczając i w miękkie dźwięki fletów delikatnymi wpadając ruchami, zawodząca oczyma to słodko zmrużonymi, to siejącymi błyski przejmujące; chwilami zdało się, że tańczy samymi oczyma. Skoro zaś przed obliczem sędziego stanęła, ramion rozkładaniem obiecywać się zdała, że gdyby ją nad tamte przeniósł boginie, da Parysowi w małżeństwo niewiaścę tak urodziwą, że aż jej samej podobną. Wtedy młodzian frygijski już jak najchętniej oddał tej niewieście, jako przytwierdzenie jej zwycięstwa, złote jabłko, które trzymał w ręku.

[33] Cóż się więc cudujecie, kapuściane łby, czy raczej trzodo piniacza, czy najwłaściwiej: wy, krogulce, ubrane w togi, że teraz każdy sędzia frymarczy swym wyrokiem za gotówkę, kiedy w dziejów samym początku sąd przez człowieka o bóstwach wydany stronniczością był skalany, a rozmyślni wielkiego Jowisza na pierwszego sędziego wybrany wieśniak i owczarek ten sprzedał pierwszy wyrok za zysk, którym żądę jego przekupiono – a zarazem za zagładę całego swego rodu? Ale dalibóg, i potem ogłoszono niejedyn taki wyrok między sławnymi Achiwów wodzami: czy to gdy skazywano na skutek fałszywych oskarżeń za rzekomą zdradę Palamedesa³⁹, świetnego wiedzą i nauką, czy to, gdy mierność Ulissesa przenoszono nad wielkiego Ajaksa, męstwem wojennym wszystkich przewyższającego. A jakież to był i ów osławiony wyrok owych bitych i kutyh w prawie Ateńczyków, tych łepaków i mądrali w każdej wiedzy? Może starca⁴⁰, co boską posiadał mądrość, którego bóg delficki za najmędrszego uznał z wszystkich śmiertelnych – może go tam nie usidlała zawiść i podstępem zgraja łajdacka, może go nie zgładziła zgubnym sokiem jadowitego ziała jako gorszyciela młodzieży, tej, którą właśnie w ryzach chciał utrzymywać? Tej hańby zmaza ciążę wiecznie na jego ziomkach. Wszakże teraz najwięksi nawet filozofowie nauce jego jak rzeczy najświętszej hołdują i na samo jego imię się klną, gdy na największe własne szczęście chcą się zakląć! Lecz niechże się kto nie zgorszy teraz żarem mego oburzenia i nie pomyśli sobie: „Masz tobie! teraz słuchaj cierpliwie tego filozoficznego osła!” – bo ja już wracam do przerwanej opowieści.

[34] Skoro się skończył ów sąd Parysowy, Junona z Minerwą schodzą ze sceny jakoby markotne a gniewne, mimiką oburzenie z powodu odprawy wyrażające, Wenus zaś, roześmiana i zadowolona, uciechę swą tanem wraz z całym chórem wyrażała. Wtedy z samego szczytu góry wytrysnęło wysoko przez jakąś niewidoczną rurę wino z rozpuszczonym w nim szafranem i kroplami opadając, skraplało pasące się wokół kozy pachnącym deszczem, aż splamione nim tak – ale na swą korzyść – zamieniły przyrodzoną im biel na barwę złocistą. A kiedy już cyrk cały napęłnił się miłym szafranu zapachem, usunęła się cała owa góra z drzewa w olbrzymią zapadnię w ziemi. [...]

³⁹ P a l a m e d e s – syn Eubejczyka Naupliosa; zgubił go Odyseusz, oskarżając o rzekome porozumiewanie się z Trojanami na zgubę Achiwów.

⁴⁰ s t a r z e c – Sokrates.

[35] [...] Skorzystałem z chwili, gdy [...] wszyscy słudzy zajęci (byli) przysposabianiem igrzyska myśliwskiego l... – nikt bowiem nie uważał za potrzebne pilnować ściśle tak obławionego osła – skorzystałem z chwili swobody i powoli, ledwo powłócząc kopytami, dostałem się do najbliższej bramy. Za czym wyrwałem już z kopyta i ubiwszy jednym tchem całych sześć tysięcy kroków przybyłem do Kenchrei⁴¹, które to miasto słynie jako jedna z najpiękniejszych kolonii Koryntu, a oblane jest falami Morza Egejskiego i Saronńskiego. Ma ono także port dający bardzo bezpieczny schron dla okrętów, port bardzo nawiedzany. Wymijając tedy gromady ludzi i wyszukawszy sobie ciche miejsce na wybrzeżu, już prawie pod samymi fal obryzgami, legam znużonym cielskiem na jakiejś okrutnie mięciuskiej pościeli piachu i wypoczywam. A już rydwan słoneczny dobiegał do ostatnich kresów dnia; cichość wieczorna mnie ogarnęła i zmorzył słodki sen.

⁴¹ K e n c h r e j a – port Koryntu nad Zatoką Saronską

KSIĘGA JEDENASTA

[1] Około pierwszej bez mała straży nocnej zbudził mnie nagły dreszcz lęku. Otwarłem oczy i ujrzałem pełny krąg księżycy lśniącego jasnym blaskiem, krąg wynurzający się właśnie z fal morskich. Wśród milczącej tajemnie nocy cienistej uczułem głęboko, że ta wielka bogini księżycy⁴² szczególną moc posiada i że jej pieczę bożą sprawy ludzkie całkowicie są kierowane, że nie tylko bytowanie zwierząt domowych i dzikich, ale nawet przedmiotów nieożywionych od nadludzkiej mocy jej światłości i boskości jest zależne, że same nawet żywy martwe na ziemi, niebie i w morzu stosując się do tego, jak jej kręgu przybywa – rosną, z jego ubytkami zaś posłusznie się kurczą; uczułem, że Los już chyba nasycił się tyloma i tak strasznymi mymi niedolami i chociaż późno, nadzieję ocalenia mi tu jednak pokazuje. I postanowiłem uderzyć w modły korne do bogini, do tej postaci, w jakiej mi się teraz objawiła. I natychmiast, z gnuśności sennej się otrząsnawszy, rześko się zrywam i iżbym się oczyścił, w kąpiel wód morskich wchodzę. Za czym zanurzywszy w ich falach łeb siedemkroć razy – bowiem tę liczbę boski ów Pitagoras zalecił jako szczególnie się przy świętych obrzędach nadająca – tak boginię przepotęzną błagałem z rzewnym obliczem:

[2] – Niebios królowo – czyś ty Cererą żywicielką, owoców ziemi rodzica przedwieczną, która radosna córy odnalezieniem oduczylaś ludzi żywić się pierwotną dziką strawą z żołądź, pokarmy wskazawszy nie tak surowe, a ninie eleuzyńską rolę uprawiasz; czyś ty Wenerą niebiańską, co we wszechrzeczy wszechpoczątkach płci obce skojarzyła Amora zrodziwszy i rodzaj ludzki wieczną płodnością rozkrzewiając ninie w pafijskim, falami oblanym chramie, czczonaś; czyś ty Feba siostrzycą, co lekami, ból uśmierzającymi, położnice i płód ich rzeźwiąc, tyle ludów wyhodowała, a ninie w przesławnych świątnicach Efezu wielbionaś; czyś trójobliczną Prozerpiną⁴³ niesamowitymi krzykami nocnymi straszliwą, napastliwymi cieniami władnącą stróżychą zawór podziemia, błędzącą cieniami lasów, różnym obrzędem czczoną – ty, która tym światłem niewieścim oświecasz wszystkie grody i wilgotnymi promieniami żywisz bujne szczepy roślinne i miasto słońca poblaski rozsiewasz mdłe, ty, jakimkolwiek cię imieniem, jakimkolwiek obrzędem, pod jakąkolwiek postacią godzi się wzywać – ty mi bądź już ninie pomocą w najgłębszej mej niedoli, utwierdź losy moje zachwiane, pokoju zwól i odpoczynku mnie, com tyle przejść srogich ucierpiał. Niechże będzie już kres mękom, niechże kres będzie twardym próbom. Zdejm ze mnie kształt czworonoga obmierzły, wróc mnie bliskim mym, zwróc mnie mej Lucjusza postaci. Jeśli zasię bóstwo jakie obrażone nieprzebłaganą już zawziętością mnie ściga, niechże przynajmniej umrzeć mogę, jeśli mi żyć już nie wolno.

[3] A kiedym takie zanosił prośby i modły żalodne, zamgliły mi się tam, na tym samym legowisku, zmysły i znowu sen mnie zmorzył. A zaledwie powieki mi się przywarły, gdy oto spośród fal wynosić się jęła zjawa nadziemską, naprzód oblicze wynurzając podziwu bogów

⁴² b o g i n i k s i ęż y c a – tu Izyda.

⁴³ t r ó j o b l i c z n a P r o z e r p i n a – nazywając tak Izydę utożsamia ją autor z Hekata, już u Hezjoda potężną boginią, z jednej strony bliską Artemidzie, z drugiej – władczynią czarów. Ofiary składano jej na zbiegu trzech dróg.

samych godne: potem zasię z wolna wychynęła całym ciałem postać świetlana; fala opadła z niej, a ona stanęła przede mną. Będę usiłował opisać wam jej piękność przedziwną, o ile mi na to ubóstwo mowy ludzkiej pozwoli albo bóstwo samo mi ześle tak sutą obfitość zdolności wysłowienia się.

Więc naprzód włosy ogromne, gęste i nieco kędzierzawe spływały w miękkim nieładzie na boski kark. Wierzchołek głowy otaczał z różnorodnego kwiecia wieniec, co w środku nad czołem miał gładką okrągłą tarczkę – jakoby zwierciadełko czy raczej znamię bogini księżycy – białym światłem połyskującą, a otoczoną z prawej i lewej strony unoszącymi się w górę skrętami węzów, a także kłosami zbożowymi, co ponad nią się wysuwały. Suknia jej wielowzorzysta, z bisioru najcieńszego utkana, mieniła się już to bielą świetlistą, już to złocistością kwiatu szafranowego, już to róż purpurą się rozplomieniała. Co zasię najmocniej oczy me uderzało, to płaszcz czarność olśniewającej, co ją całą otaczał i spod prawego ramienia na lewy bark przesunięty, na kształt tarczy bok jej osłaniał; opadająca jego poła w wielokrotnych fałdach zwisała, wdzięcznie chwiały się na jego obrębie nawęzłone frędzle.

[4] W szparach i na całej połaci płaszcz błyskały rozrzucone mioty gwiazd, otaczające księżyc w pełni ogniście świecący. Wzdłuż zasię obwodu onego niezmiernego płaszcz ciągnęła się girlanda, w której przeplatały się gęsto ze sobą całe łodygi kwiatów i całe kiście jabłek. W rękach trzymała rzeczy zgoła różne. W prawej bowiem miała grzechotkę miedzianą, przez której wąską blachę, na kształt pasa zagiętą, przechodziły, przez środek, trzy małe różdżki szczebiotliwy dźwięk wydające, gdy bogini ramieniem w potrójnym jakimś ruchu potrząsała. Z lewej zasię dłoni zwisał roztruchan złoty w kształcie czółna; nad najwyższy łuk jego rękojeści wysuwała się żmija podnosząca płaski łeb i wydętą szyję. Boskie stopy tkwiły w sandałach haftowanych liśćmi palmy, drzewa zwycięstwa. W takiej to ona i tak wspaniałej postaci, rozkosznymi zapachami całej Arabii tchnąca, takimi słowy bożymi do mnie odezwąć się raczyła:

[5] – Oto prośby twymi, Lucjuszu, ubłagana, przychodzę ja, macierz wszechświata, pani żywiołów wszystkich, praźródło wszechwieków, ja z bóstw największa, ja, cieni podziemnych królowa, spośród niebian pierwsza, ja, której twarz obliczem jest pospólnym bogów i bogiń wszystkich, której skinienie rządzi świetlistymi sklepieniami nieba, uzdrawiającymi tchnieniami oceanów, rozpaczliwym piekiel milczeniem, ja, której jedno jedyne bóstwo cały czci świat we wielorakim kształcie, w różnym obrządku i pod różnorakim imieniem. Tam mnie Frygijczycy, na ziemi pierworodni, Pesynunką bogów Macierzą zowlą, tu Attykowie zasię, na ziemicy swej odwiecznie tubylczy, Minerwą Cekropską, ówdzie Cypryjczycy morscy Wenerą mienią Pafijską; łuczniczkowie Kreteńczycy zwać mnie Dianą Diktynną⁴⁴, Sykulowle trójjęzyczni Prozerpiną Stygijską, Eleuzynowie odwieczną Cererą⁴⁵, inni Junoną, Belloną inni, Hekata tamci, Ramnuzją⁴⁶ owi, ci zasię, na których wschodzącego słońca promienie naprzód padają: Etiopowie, Ariowle i prastarą mądrość przechowujący Egipcjanie – właściwymi mnie czczą obrzędami i prawdziwym oznaczają imieniem: Izydy królowej. Przychodzę ulitowawszy się nad twą niedolą – łaskawa przychodzę i miłościwa. Ostaw już płacze i żale, precz wyżeń rozpacz: oto ci już z łaski mej świta dzień wybawienia. Pilnie tedy zważ, co ci rozkażę, i o to się frasuj: Dzień, który noc ta z siebie urodzi, ten dzień od prawieków mojej czci jest poświęceń; tego to dnia – w którym kończą się burze zimowe i układają się pogodnie morzą rozhukane bałwany – na morzu do żeglugi już zdatnym poświęcają mi świeżo na nie spuszczone okręt kapłani moi, początki tegorocznego handlu morskiego pod moją oddając pieczę. Tej uroczystości winienesz czekać z sercem skupionym a nabożnym.

⁴⁴ D i a n a D i k t y n n a – Artemis (Diane) zrównano z kretejską Diktynną.

⁴⁵ o d w i e c z n a C e r e r a – w Eleuzis to oznaczało Demeter.

⁴⁶ R a m n u z j a – Nemezis, czczona pod tym imieniem w attyckiej gminie Rhamnus

[6] Bowiem z rozkazu mego kapłan na czele orszaku świętego kroczący niósł będzie w prawej ręce na świętym brzękadle wieniec z róż. Bez wahania tedy przez tłum ludzi się przecisnij i ufny w wiodącą cię chęć duszną, do kapłana nieznacznie się przybliż i jakoby dłoń mu chcąc ucałować, uszczknij wargami róż; za czym natychmiast z ohydnej onej skóry bydlęcia z dawien dawna mi nienawistnego się wyzujesz. I nie lękaj się spełnić niczego z tych moich wskazówek, choćby ci się to nie wiem jak trudnym zdało. W tej samej bowiem chwili, w której się objawiam tobie tutaj – i tam, kapłanowi onemu memu we śnie polecam wszystko, co jeszcze do uczynienia pozostaje. Z rozkazania mego rozstąpi się przed tobą zbita ciżba ludzka, a pośród radosnych obrzędów i widowiska uroczystego nikt nie wzdrygnie się na widok tego szpetnego kształtu, w którym tkwisz, nikt złośliwie w posady cię nie poda, mylnie sobie nagłą twej postaci przemianę wytłumaczywszy. To sobie jednak spamiętaj dobrze i w serca głębi wyryj, że do mnie należą koleje całej reszty twego żywota, aż do ostatnich twoich tchnień. I nie będzie ci to krzywdą, że do tej będziesz należał póki życia, której dobrodziejstwo między ludzi cię przywróciło. I żyć będziesz szczęśliwy, żyć będziesz pod opieką mą, sławny, a kiedy drogę żywota swego przemierzywszy zstąpisz do podziemia, to i tam jeszcze, w otchłani półkregu, będziesz – już jako Pól Elizejskich mieszkaniac – będziesz czcić zawsze mnie, która w mroku acherontowym jaśnieję i w dolinach styksowych władam, a którym ci łaskawa. Jeśli zasię posłuchem skrzętnym i służby zbożnymi a czystości zachowaniem wytrwałym na chęci cne zasłużysz, poznasz, że ja – ja jedna jedynie – potrafię nawet i żywot ci przedłużyć poza kres losem ci przeznaczony.

[7] Tak czcigodną wyrocznię zakończywszy zniknęło bóstwo wszechpotężne. Za czym bezzwłocznie, ze snu się natychmiast otrząsnawszy, podniosłem się zlany potem, bo lęk i radość przeze mnie się przewalały, i w podziwiew najgłębszym nad tak wyraźną zjawą potężnej bogini w falach morskich się obmyłem, i o jej wielkich rozkazach jedynie myśląc, przypomniałem sobie tych napomnień porządek.

A zaraz już mrok czarnej nocy rozpraszając wstało słońce złote i natychmiast w krzątaniu zbożnej i prawdziwie tryumfalnej napełniły tłumy ludzi wszystkie drogi; a mnie się zdawało, że nie tylko we mnie, ale we wszystkim wokół taka była radość, że – czułem to – zwierzęta wszelkie i domy całe, i dzień sam w pogodzie bezmiernej się radował. Bo i po ostrym chłodzie nocnym nastął niespodzianie dzień słoneczny i pogodny, że i śpiewni ptaszki, wiosennym tchnieniem owiani, we wdzięczne uderzyli pienia, pieszczotliwym przymilając się przyśpiewem rodzicy gwiazd, macierzy wszechczasów ł pani świata całego. Wszakże i drzewa także – i te, które owocami są rodne, i te, co są bezpłodne, a jego cienistym cieszą się listowiem – głaskane ciepłego wiatru tchnieniami, a pąkami liściowymi okryte, słodko w łagodnej konarów rozchwiei szumiały. I morze uciszone po łoskotach wielkich burz i po gwałtownych fal niepokojach łagodnymi podchodziło przelewy, a niebo, z którego się burzliwa starła oćma, jaśniało nagim i pogodnym blaskiem swej światłości.

[8] A oto już zaczynały się jakoby przygrywki do wielkiej uroczystości: pojawiać się jeły piękne stroje, dobrane wedle roli, jaką każdy brał w uroczystości. Tu ktoś mieczem przepasany kroczył za żołnierza przebrany, tam kusa suknia, buty i oszczepy kogoś za myśliwca wydawały, ktoś inny w złoconych pantoflach, w szacie jedwabnej, kosztownymi świecidłami obwieszony, z zaplecioną na głowie fryzurą udawał powłóczytymi krokami kobietę. O innym znowu, co się wyróżniał nagolennicami, tarczą, hełmem i mieczem, powiedziałbyś, że to gladiator wracający z igrzyska. Nie brak było i takiego, co w purpurowej szacie i z pochodnią urzędnika udawał, ani takiego, co przy pomocy opończy i kostura, i trepów, i koziej przyprawionej bródki odgrywał filozofa, ani ludzi z trzciniami różnego kształtu; jedni z nich udawali ptaszników z lepem na ptaki, inni rybaków z wędkami. Widziałem oswojoną niedźwiedzicę, którą – przebraną za matronę – wieziono na krześle, i małpę w czapce wyszywanej i szafrańcowych sukniach frygijskich, ze złotym – niby to pasterz Ganimedes – pucharem w łapie, i

osła z przyprawionymi skrzydłami w towarzystwie jakiegoś starucha zgrzybiałego; ten miał być Pegazem, tamten zasię Bellerofontem, śmieszni jednak byli obaj jednak.

[9] Pośród tych ucieszonych przebrań ludowej zabawy, tu i ówdzie się ukazujących, szykował się już uroczysty pochód bogini wybawicielki. Niewiasty, których szaty bielą swą za oczy aż chwytaly, strojne różnorodnymi atrybutami, wieńcami wiosennymi uwieńczone, uścielały kwieciami z podołków rzucanym drogę, którą szedł pochód święty. Inne niosły na plecach błyszczące zwierciadła, aby bogini mogła w nich widzieć hołdy składane przez tłum idący za nią, inne z grzebieniami z kości słoniowej w rękach ruchami ramion i palców udawały, że czeszą i zdobią włosy bogini, inne jeszcze zlewały drogę różnymi pachnidłami i opryskiwały ją wonnym balsamem. Prócz tego tłum ogromny obojej płci, który aby się przypodobać królowej gwiazd niebieskich, niósł latarnie, łuczywa, świece i wszelakie inne sztuczne światła. Dalej szły wdzięczne muzyki, piszczałki i flety rozbrzmiewające słodkimi melodiami. Za nimi postępował chór złożony z wybranej młodzieży, strojny w odświeżone a śnieżne suknie, i odśpiewywał pieśń cudną, przez biegłego poetę pod Muz natchnieniem ułożoną, w której motyw zasadniczy powtarzał się często w przyspiewach wysokich głosów. Szli i fletniści wielkiego Sarapisa⁴⁷, wygrywający na ściętej wlelopiszczalce – ku prawemu uchu aż sięgającej – melodie specjalnie temu bogu poświęcone i w jego świątyni grywane; szli wreszcie heroldowie liczni i straż torująca krzykiem miejsce dla pochodu.

[10] Za nimi napływały tłumy wtajemniczonych w obrzędy, tłumy mężczyzn i niewiast wszelkiego stanu i wieku, wszyscy lśniący bielą lnianych szat; niewiasty miały na włosach od wonności wilgotnych przezroczystą zasłonę, mężczyźni głowy zupełnie ogolone, tak że łykali bielą skóry na czaszkach na znak, że są wielkiej religii ziemskimi gwiazdami. W rękach nieśli wszyscy święte grzechotki miedziane, srebrne, a nawet złote i dobywali z nich szczebiotliwe dźwięki.

Naczelnymi zasię kapłani obrzędów, mężowie święci i dostojni, szli w białych, lnianych szatach, obcisłych na piersi i szczelnie ich aż do stóp owijających; nieśli oni symbole najpotężniejszych bóstw. Pierwszy z nich trzymał w wyciągniętej ręce lampę niezwykle jasne światło wydająca, niepodobną zasię całkowicie do owych naszych lamp, którymi świecimy przy wieczery: ta lampa miała kształt złotej łódki, z której otworu wznosił się wielki płomień. Drugi, odziany tak samo, niósł w obu dłoniach dwa ołtarzyki zwane pomocnymi dla przywiązanej do nich pomocnej pieczy najwyższej bogini. Trzeci szedł z gałązką palmową mającą liście ze złota delikatnie wyrobione i z laską Merkurego. Czwarty trzymał symbol Bezinteresowności: wyrzeźbioną lewą rękę z dłonią otwartą; wydawała się ona zdutniejsza do wyobrażenia bezinteresowności, ile że z natury swej jest mniej obrotna i wszelkiego przecherstwa i sprytu pozbawiona; ten sam niósł jeszcze złote naczynko sklepione na kształt piersi kobiecej, z którego ulewał mleka. Piąty miał złotą kobiałkę napelnioną wawrzynowymi gałązkami, a inny jeszcze kapłan amfore.

[11] Zaraz potem ukazywali się bogowie, co raczyli iść przy pomocy ludzkich nóg. Więc naprzód ów pośrednik straszliwy między niebem a piekłem, ów, co oblicze nosi już to jak noc mroczne, już to jak dzień złote: Anubis⁴⁸, podnoszący swój stromy łeb psa; laskę poselską niósł w lewej, zieloną gałęzią potrząsał w prawej ręce. Za nim zaraz postępował wół prosto na tylnych nogach stojący, symbol płodności wszytkorodnej bogini; posuwał się on wspierając się na barkach jednego z kapłanów, dostojnymi kroki idącego. Inny kapłan niósł skrzynię zawierającą przedmioty sekretne i kryjącą tajemnice wielkiej religii. Inny jeszcze niósł na swej, szczęsnej zaiste, piersi czcigodne wyobrażenie bóstwa najwyższego, nie mające kształtu ani zwierzęcia domowego, ani ptaka, ani bestii dzikiej, ani nawet człowieka nie przypominające, ale samą nowością przemyślnego wynalazku cześć nakazujące – jak to zresztą przystoi

⁴⁷ S a r a p i s – bóg pierwotnie babiloński, później czczony w Aleksandrii jako Ozyrys, Apis, Serapis.

⁴⁸ A n u b i s – egipski bożek wyobrażany z głową szakala lub psa.

symbolowi religii nad inne wyższej i osłonami wielkiego milczenia muszącej się okrywać, jak przystoi symbolowi słowami niewypowiadalnemu. Wyobrażenie to było w błyszczącym złocie w takim sposobie ukształcone: była to mała urna, wielce sztucznie utoczona, o okrągłym dnie, pokryta egipskimi hieroglifami; jej otwór niewysoko umieszczony wysuwał się na kształt wystającego dzioba; z drugiej zaś strony znajdowała się mocno szerokim odgięciem odsadzona rękojeść, na której skręcała swe pierścienie żmija, wysuwająca łuszczastą gardziel, wydetą i pomarszczoną.

[12] I oto zbliża się do mnie dobrodziejstwo przez bóstwo najpotężniejsze mi przyrzeczone: zbliża się kapłan niosący w rękach samą dolę mą i wybawienie! Zbliża się w myśl poleceń zwiastowanych mi w boskiej obietnicy i w prawej ręce świętą grzechotkę niosący, a na niej dla mnie wieniec – i dalibóg słusznie wieniec, skoro po tylu nieszczęściach przecierpianych, tylu niebezpieczeństwach przebytych miałem z pomocą najmożniejszej bogini przemóc srożącą się wobec mnie Dolę. Ale nie dałem się porwać nagłej radości i nie ruszałem ku kapłanowi z kopyta, bom się, rzecz oczywista, lękał, by dostojny porządek uroczystego obchodu nie zmaćcił się takim nagłym wpadnięciem bydłęcia – ale krokiem spokojnym, całkiem jak człowiek, nieco się w przód pochyliwszy, bez pośpiechu, nieznacznie się zbliżałem poprzez tłum, najwidoczniej za boską sprawą mi się usuwający.

[13] Kapłan zaś przypomniawszy sobie w tej chwili – jak to zaraz zauważyłem – nocną wróżbę, zdumiał się, jak się wszystko zgadza z tym, co mu w nocy polecono, stanął od razu i sam ku mnie wyciągając prawicę, pod sam pysk mi podsunął wieniec.

Wtedy ja dygocący – serce waliło mi jak młotem – chciwym pyskiem pochwyciłem wieniec, mieniący się plecionką cudowną róż, i żądny nad wszystko spełnienia obietnicy – pożarłem.

I zaprawdę nie zawiodła mnie boża obietnica: natychmiast ją opadać ze mnie szpetna i bydłęca skóra. Naprzód tedy znika twardy włos, następnie mięknie gruba skóra, kurczy się ogromny kaldun, stopy nóg przechodzą z kopyt w palce, ręce nie są już odnóżami, ale podnoszą się do usłużenia istocie dwunożnej, długi stos pacierzowy ściąga się, zaokrągla się gęba i głowa, ogromne kłapouchy odzyskują dawny drobny kształt, zęby, co były jak krzemienie, stają się ludzkie i drobne, a z ogona – z niego, co mi był zawsze największą udreką – z ogona ani śladu!

Zdumiewają się tłumy, pobożni biją hołdy przed tak widoczną najwyższego bóstwa potęgą i cudem tak wspaniałym, jak tylko te, co się w sennych widziadłach zdarzają, i przed taką łatwością przemiany, i ku niebu dłonie wznosząc, jednym wielkim głosem świadectwo dają tak bezmiernemu dobrodziejstwu bogini.

[14] Ja zaś, całkowicie osłupiały, stałem w milczeniu; w sercu pomieścić mi się nie chciała ta radość tak olbrzymia i tak nagła i stałem nie mogąc znaleźć na razie żadnego słowa, nie wiedząc, jak wziąć się do odzyskanej mowy, jakimi słowami rozpocząć odzyskawszy szczęśliwie język człowieczy, jakimiż to wyrazy dziękować tak potężnej bogini! Ale kapłan, jakby z bożego natchnienia wiedzący o wszystkich, od początku, niedolach moich, jakkolwiek sam cudem niezwykłym wstrząśnięty, naprzód ruchem wyrazistym polecił, by mi dano na okrycie szatę lnianą – bowiem od chwili gdy mnie od obrzydłej swej skóry uwolnił osioł, stałem ściskając kolana i zakrywając się rękami – jak przystało nagiemu – tą naturalną osłoną obyczajnie się zasłaniałem. Wtedy ktoś z orszaku uroczystego żwawo wierzchnią szatę zrzućciwszy odział mnie nią co prędzej, po czym kapłan, z obliczem radosnym i jakby – zaprawdę – przemienionym, wpatrzony we mnie z podziwem, tak się odezwał:

[15] – Wiele i rozmaitych nieszczęść wycierpiawszy, i burz losu, strasznymi gnany nawałnicami, przybiłeś wreszcie, Lucjusz, do portu Ukoju i ołtarza Miłosierdzia. A nie pomogło ci było w twej niedoli ani urodzenie, ani dostojność, ani nawet uczoność, która cię zdobi. Lekomyślne młode lata pchnęły cię w męty nikczemnych rozkoszy; drogo zapłaciłeś za niewczesną ciekawość. Ale jakkolwiek srożył się ślepy Los, to przecież przez najstraszniesz

niebezpieczeństwa, którymi cię trapił, doprowadził cię wbrew własnej złości do tej tu zbożnej szczęśliwości. Niechże se idzie teraz precz i niech się sroży jak chce, i niech okrucieństwu swemu innej szuka ofiary, bowiem wobec tych, których życie dla siebie zastrzegł majestat naszej bogini w służbę swoją je biorąc, wobec tych nie ma mocy zła dola. Cóż bowiem wygrał z tobą Los niegodziwy owymi łotrami, co owymi bestiami dzikimi, co tą niewolą długą, co dróg ciężkich i twardych zawilościami i bezdrożami, co codzienną groźbą śmierci? Teraz już pod pieczę Losu, ale Losu prawdziwego, który blaskiem swej Jasności oświeca nawet inne bóstwa. Rozwesel tedy twarz, by pojaśniała tak, jak ta twoja szata, i kroki radosnymi przyłącz się do świętego orszaku bogini wybawicielki. Niech to ujrzą niewierzący w nią – niech to ujrzą i błąd swój poznają: oto potężną opieką Izdydy z dawnych utrapień wyzwolony Lucjusz odprawia radosny swój tryumf nad Losem. Abyś jednak czuł się tym bezpieczniejszy i pewniejszy, przystań do tej naszej świętej żołnierki, do zaprzysiężenia się której niedawno cię bogini wzywała; już teraz poświęć się służbie naszej religii i dobrowolnie weź na się jarzmo posłuszeństwa jej. BOWIEM GDY BOGINI SŁUŻYĆ ZACZNIESZ, WTEDY DOPIERO OWOCU TWĘJ WOLNOŚCI OBECNEJ SKOSZTUJESZ.

[16] Te słowa prorocze wyrzekłszy zamilknął kapłan znamienity i, znużony, z trudnością oddech łapał. Za czym ja w mieszawszy się w pochód święty kroczyłem z nim świętościom towarzysząc, a miastu całemu widoczny, przez wszystkich poznawany, palcami i głowami wszystkich wskazywany. Mówiły sobie o mnie tłumy:

– Ten ci jest, któremu dzisiaj wola miłościwa wszechpotężnej bogini postać człeczka przywróciła. O szczęśny zaiste i po trzykroć szczęśny, boć widno niewinnością i zacnością życia dotychczasowego zasłużył sobie na tak świetną niebios opiekę, że – po odrodzeniu zaraz – już służbom świętym w jakiś sposób poświęcić się może.

Pośród gwaru tych słów i zgiełku radosnych ślubów, bogini czynionych, z wolna naprzód się posuwając, zbliżaliśmy się już do brzegu morza i do tego samego przybyliśmy miejsca, gdzie dzień przedtem osioł mój odpoczywał. Tam ustawiono, jak obrządek przykazywał, bóstw posągi, po czym kapłan okręt cudowny, mieniący się wokół przedziwnymi malowidłami egipskimi, najtroskliwiej oczyścił przy pomocy jasnego łuczywa i jaja, i siarki i nieskalanymi ustami modły uroczyste zaniósłszy, imię mu nadał i bogini poświęcił. Tego szczęsnego statku biały żagiel miał na sobie wytkany napis, którego słowa wyrażały, że jest to ślub za pomyślność żegluga w tym roku.

Oto podniósł się maszt: sosna okrągłutka, dzięki bieli swej jeszcze wynioślejsza, śmigłym wierzchołem daleko widoczna. Tył statku wyginał się w kształt gęsi i połyskał złotymi blachami, którymi był pokryty, cały zaś statek jasnym drzewem wyłożony pysznił się swą krasą. Za czym tłumy ludzi – i to zarówno wtajemniczonych jak profanów – zaczęły na prześcigi znosić kobiałki pełne wonności i innych tego rodzaju ofiar, prócz tego zaczęto wylewać na fale libacje z pewnego rodzaju papki rozpuszczonej w mleku, aż wreszcie okręt, pełen hojnych darów i krasnych ofiar, spuszczonej z lin kotwicznych na pełne morze wypłynął wiatrem szczególnie pogodnym pędzony. Kiedy się tak już oddalił, że nam jeszcze zaledwo majaczył, podnieśli znowu nosiciele, każdy to, co przyniósł, i w takim samym, jak przedtem, uroczystym orszaku ruszyli rażno w pochód powrotny do świątyni.

[17] Skorośmy już tam przybyli, wszedł arcykapłan i ci, co nieśli boże wizerunki, i ci, co już przedtem wtajemniczeni byli w czcigodne tajemnice – weszli wszyscy do komory bogini i tam wedle obrządku ustawili posągi, posągi żywym istotom całkiem podobne. Wtedy jeden z nich, którego wszyscy zwali Pisarzem, stanął przed bramą i zwoławszy jakby na wiec grono pastoforów⁴⁹ – takie bowiem jest imię najświętszego kolegium – wstąpił na podwyższoną kazalnicę i ze słów księgi odczytał modły za pomyślność najwyższej osoby cesarza, za senat, za rycerstwo i cały naród rzymski, za żeglarzy i okręty, i za wszystko, co jest w naszym pań-

⁴⁹ p a s t o f o r o w i e – wyższa klasa kapłanów Izdydy.

stwie i pod naszymi rządami, i ogłosił greczyńską co do obrządku i brzmienia formułą spuszczenie statku na morze.

Wielki krzyk tłumu, jaki się na to podniósł, był dowodem, że wszyscy przyjęli te słowa jako szczęśliwe życzenie. Za czym tłumy, jak pijane radością, z wieńcami ze świętych gałązek oliwnych w dłoniach, poczęły się rozchodzić do domów, całując jeszcze stopy bogini, której posąg w srebrze wyrzeźbiony stał na podwyższeniu. Ja jednak nie potrafiłem ni na krok ruszyć się z tego miejsca, ale w wizerunek bogini zapatrzony przebiegałem myślą wszystko, co przeszedłem.

[18] Ale chyba Wieść nie miała i tym razem skrzydeł powolnych, ale natychmiast rozgłosła i w ojczyźnie mej wszędzie o opatrnościowej bogini dobrodziejstwie czcigodnym i o losach mych osobliwych. Za czym natychmiast pośpieszyli do mnie przyjaciele i domownicy, i krewniacy najbliżsi, niespodziewaną wieścią rozradowani, pośpieszyli – odłożywszy żalobę, którą na fałszywą wieść o śmierci mej przywdziali – każdy z innymi podarunkami, aby zobaczyć mnie, com na światło dzienne z piekła powrócił. Skrzepił mnie ich widok – ich, których ujrzeć więcej już się nie spodziewałem – i wdzięcznym sercem przyjąłem znaczne ofiary, w jakich mi troskliwie nanieśli, cokolwiek bym mógł ino potrzebować do wszelkiego użytku i opatrzenia.

[19] Pogadawszy tedy z każdym, jak się z nim właśnie godziło, i opowiedziawszy zaraz o moich niedawnych niedolach i o obecnej radości, powracam znowu do posągu najmilszej mi bogini; ugodziłem się też o mieszkanie w obrębie świątyni i tam tymczasowo moje ustawiłem penaty. Brałem udział w specjalnych już nabożeństwach na cześć bogini, przestawałem nierozłącznie z kapłanami i byłem najwierniejszym bogini czcicielem. Nie było zaś jednej nocy ani jednego snu, w którym by mi się nie ukazała bogini lub nauk jakich nie dała; często też świętymi słowy mi rozkazywała, abym przecież już został wtajemniczony. Mnie zaś, jakkolwiek pożądałem tego gorąco, powstrzymywał jednak lęk jakiś zbożny; długo bowiem i szczegółowo rozmyślałem nad tym, jak trudne są do wykonania obowiązki religijne i ciężki do zachowania ślub czystości, i nad tym, jaką to wielką mądrością uzbroić trzeba życie na tyle pokus wystawione. Nad tym wszystkim się biedząc, nie wiem właściwie sam jak, ale odwlekałem, choć mi samemu było spieszo.

[20] Pewnej nocy śnił mi się arcykapłan, który mi podawał różne rzeczy, jakie niósł w podółku, kiedym zaś pytał, co to ma być, odpowiedział, że to wszystko są rzeczy z Tesalii mi przysłane i że oprócz nich dostanę jeszcze stamtąd jednego z mych sług imieniem Stwosz. Zbudziwszy się, długo, bardzo długo rozmyślałem nad tym, co mógł oznaczać ten sen, zwłaszcza wobec pewności, że nigdy nie miałem sługi tego nazwiska. Jakkolwiek daleko sięgające znaczenie mogłaby jednak mieć ta wróżba, to w każdym razie pełen byłem wiary, że ofiarowanie mi owych drobiazgów oznaczało coś dobrego. W tej niepewności, nastawiony jednak na jakieś szczęśliwe zdarzenia, oczekiwałem na poranne otwarcie świątyni.

Już rozsunięto na obie strony białe zasłony, już zanieśliśmy modły przed czcigodnym bogini wizerunkiem, kapłan zaś, obchodząc różne ołtarze i skraplając je z poświęconego naczynia wodą z tajemnego źródła zaczerpniętą, odprawiał nabożeństwo z przepisanyymi błaganiami. Już wszystko to wedle obrządku ukończono i pobożni z powitaniem nowego dnia na ustach, pierwszą jego godzinę obwieszczający, z miejsc się ruszają. I w tej chwili przybywają z mej ojczyzny Hypate słudzy moi, których tam pozostawiłem w tym czasie, kiedy to okrutna pomyłka Fotis nałożyła mi była uździenicę – przybywają usłyszawszy widocznie o całej mojej historii, ze sobą zaś przyprowadzają także owego mego podjezdka, którego po różnych kolejach, jakie przeszedł, odzyskali poznawszy go po znaku na grzbiecie. Toteż zdumiewałem się okrutnie nad tym, jaki to ten mój sen był zmyślny: sprawdziła mi się jego zyskowna obietnica, prócz tego zaś obrazem jakowegoś sługi Siwosza przepowiedział mi zwrot konia, który był istotnie maści siwej.

[21] Po owym zdarzeniu tym gorliwiej i wytrwalej przykładałem się do nabożnej służby, bo mi te dobrodziejstwa, które mnie teraz spotykały, były obiecującym zastawem przyszłych nadziei. Z dniem każdym również rosło moje pragnienie, by mnie wyświęcono, i raz wraz nachodziłem arcykapłana błagając go jak najgoręcej, aby mnie wreszcie wtajemniczył w tajniki świętej nocy. Ów zaś, mąż zresztą powagi wielkiej pełen i rozślawiony tym, że bardzo ściśle przestrzegał surowej religii, powstrzymywał mą gorliwość łagodnie i wyrozumiale i powściągał ją tak, jak zwykle powściągają rodzice niewczesne zachcianki dzieci, i uśmierzał niepokój, jaki był przy tym we mnie, pociechą i nadzieją, że wszystko będzie dobrze. Mówił mi, że to bogini naznacza jakimś znakiem dzień, w którym każdego z osobna można wtajemniczyć, że jej to opatrność wybiera kapłana, który ma wtajemniczenia dokonać, i że ona tak samo określa nawet wydatki na ten obrzęd. Przestrzegał mnie, abym i ja odczekał to wszystko z uważną cierpliwością, ponieważ winienem wystrzegać się wielce i zbytniej nagłości, i oporności i unikając jednego i drugiego błędu ani nie zwlekać, gdy mnie zawezwą, ani nie spieszyć się, gdy mnie nie wołają. Poza tym – mówił – pośród jego pocztu kapłańskiego nie ma nikogo tak szalonego ani pragnącego własnej zguby, aby się odważył, nie otrzymawszy specjalnego od Władczyni rozkazu, lekkomyślnie i świętokradczo dokonać takiego obrzędu i ściągnąć na siebie karę śmierci. W rękach swych bowiem trzyma bogini klucze i do wrót piekielnych, i do bram zbawienia, a samo oddanie się jej jest jakby święceniem dobrowolnej śmierci, aby życie z jej ręki jako łaskę otrzymać. Dlatego wybór bogini zwykł padać na tych, którzy koleje swego życia już przebyli i u samego kresu skończonego żywota już stają, którym tedy bezpiecznie wielkie tajemnice religii zawierzone być mogą; takich to opatrność bogini jakoby na nowy wskrzesza żywot i na jego nowe drogi kieruje. Tedy i ja także winienem wyczekiwać z pokorą spełnienia boskich przyrzeczeń, zwłaszcza że najwidoczniejsza łaska potężnego bóstwa dawno już wskazała i wezwała mnie do tej szczęsnej służby. I już teraz winienem się wystrzegać – całkiem tak, jak wszyscy wtajemniczeni – pokarmów świecących i zakazanych, by mi tym łatwiej potem zbliżyć się było do najskrytszych tajemnic tej najczystszej religii.

[22] Tak mówił kapłan, moje zaś posłuszeństwo nie ugięło się przed niecierpliwością. Z całą uwagą a w łagodnym spokoju i chwalebny milczeniu uczestniczyłem przez szereg dni w nabożeństwach. I nie zawiodła mnie ani nie udreńczyła zbyt długą odwłoką zbawienia łaska potężnej bogini. Tak jasno i wyraźnie, jak mroczna była noc, gdy to się stało, obwieściła mi, że nadszedł dzień od tak dawna mi upragniony, dzień, w którym spełni największe me życzenie; określiła też, jaką kwotę winienem złożyć na ofiary, i oznaczyła samego owego Mitrasa, swego arcykapłana, jako tego, który miał dokonać obrzędu, ponieważ – jak mówiła – w konstelacjach naszych – moich i jego – za sprawą bożą losy nasze jakoś były połączone.

Tymi i tym podobnymi łaskawymi naukami potężnej bogini w sercu skrzepiony, natychmiast, zanim jeszcze na dobre szarzyć zaczęło, ze snu się otrząsnąwszy pośpieszyłem do mieszkania kapłana i spotkałem go właśnie, gdy wychodził z komory. Pozdrowiłem go i już gotowałem się, by go natarczywiej jeszcze niż zwykle błagać o wtajemniczenie, jak o rzecz, która mi się już należała. On zaś spostrzegłszy mnie krzyknął natychmiast pierwszy:

– Lucjusz, ty szczęśliwco, ty błogosławiony człowieku, którego bóstwo dostojne tak niezwykle zaszczyca chęciami swymi łaskawymi! – I czemuż ty – mówił mi – jeszcze teraz stoisz tu z założonymi rękami i sam sobie odwłokę stanowisz? Toż nadszedł dla ciebie dzień w najgorętszych pragnieniach wymarzony, w którym te moje ręce najkorniej wtajemniczą cię za bożym rozkazem w tajnie religii wieloimiennej bogini – i za ramię mnie ujawszy natychmiast powiódł starzec przyjaźnie do samych bram świątynicy, odprawił tam obrządek uroczysty otwarcia ich, po czym – po porannym nabożeństwie – dobył ze skrytki miejsca najświętszego jakieś księgi, znakami mi nie znanymi pisane.

Były tam wszelkiego rodzaju wyobrażenia zwierząt podające w skrótach słowa tajemnej mowy, były znaki powęzłone i kolistościami zakrętne, i widlastymi kreskami splecione i tak

przed ciekawością czytelników profanów uchronione. Z nich mi odczytał, co należy koniecznie przygotować do uroczystego obrzędu.

[23] O zakupno tego wszystkiego postarałem się natychmiast z gorliwością wielką i kiesy nie szczędząc, już to sam, już to przez moich przyjaciół. Za czym w pokorze, którą uznał za stosowną, zawiódł mnie kapłan w otoczeniu religijnego pocztu do najbliższej łaźni; gdy się tutaj naprzód – jak zwyczajnie – ukapał, wezwał dla mnie łaski bogów i oczyścił mnie zbożnie, skraplając strugą czystej wody, po czym odprowadził znowu do świątyni. A minęły już były dwie części dnia, gdy mnie tak w świątyni postawił u stóp posągu bogini i nauki mi pewne dał sekretne, nauki, które są ponad język człowieczy; potem zaś polecił mi głośno wobec wszystkich, bym przez dni dziesięć z rzędu wyrzekł się rozkoszy jadła i nie spożywał żadnego zwierzęcia ani nie pił wina. Wszystkiego tego, wedle obrządku, z godziwą wstrzeźliwością dochowałem. Tak nadszedł dzień stawiennictwa mego przed boskie oblicze.

Chylące się ku zachodowi słońce wiodło za sobą wieczór. Teraz zaczęły napływać ze wsząd tłumy pobożnych, aby mnie – jak tego stary obrządek wymagał – uczcić również podarkami. Potem wszystkich profanów precz usunawszy wziął mnie kapłan – surową lnianą szatą okrytego – za rękę i zawiódł w głąb samego przybytku świętego.

Czytelniku życzliwy! Spytasz może z pewnym niepokojem, co następnie słyszałem, co ze mną robiono?

Powiedziałbym – gdyby mi powiedziec się godziło; dowiedziałbyś się, gdyby tobie słuchać tego było wolno. Ale tak samo winne byłyby płoczej ciekawości uszy, co by słuchały, jak wargi, co by mówiły. Ale już nie będę długo trapił twej ciekawości, co może z religijnego pragnienia pochodzi. Słuchaj tedy, lecz wiedz, że są to słowa prawdy:

Do granicy śmierci doszedłem i progów Prozerpiny dotknąłem. a wróciłem przez bezdnie wszystkich żywiołów. W głębokiej nocy widziałem słońce ślepiącym blaskiem jaśniejące, patrzyłem w oczy potęgom piekielnym i niebieskim potęgom i do stóp ich czołem uderzyłem⁵⁰. Usłyszałeś tedy, ale choć-eś usłyszał, trzeba, abys nie rozumiał.

A teraz wam opowiem, co nastąpiło potem, a co jeszcze bez świętokradztwa można pojęciu profanów zawierzyć.

[24] Gdy nastał ranek, a ja byłem po ukończeniu nabożeństwa, odziano mnie dwunastoma świętymi sukniami kapłańskimi; strój to był obrzędowy wielce, ale nic mi o nim mówić nie zakazuje, ponieważ wtedy już patrzył na mnie tłum obecnych. Tak kazano mi wstąpić na podwyższenie drewniane w samym środku świętej nawy, naprzeciw posągu bogini ustawione. Wprzód jeszcze okryto mnie kwiecistą szatą z byssusu; z barków opadała mi na plecy aż po pięty kosztowna chlamida. Z której strony było na mnie popatrzeć, byłem okryty wizerunkami zwierząt, różnymi barwy wyobrażonych – z tej strony indyjskimi smokami, z tamtej gryfami hiperborejskimi, potworami, które – skrzydlate jak ptaki – zrodził świat jakiś inny. Tę suknię kapłani zowią szatą olimpijską. W prawicy pochodnię trzymałem rozpaloną, na głowie zaś piękny wieniec z jasnych liści palmowych, co jak promienie ją otaczały.

Kiedym tak stał ustrojony niby posąg słońca, odsunięto nagle zasłony, a ja ukazałem się oczom tłumu.

Następnie obchodziliśmy w radości wielkiej te – jakoby – urodziny wtajemniczonego, święciliśmy je miłą ucztą i pełną wesołości i dowcipu zabawą. Takie same ceremonie religijne obchodzone były przez trzy dni i przez trzy dni powtarzała się biesiada na ich cześć; wszystko to należało do obrzędu wtajemniczenia.

Przebywałem tam jeszcze potem kilka dni, zobowiązany nie dającym się wypłacić dobrodziejstwem bogini i napawający się niewypowiedzianą rozkoszą płynącą z wpatrywania się w jej posąg. Ale wreszcie wypłaciwszy się jej kornymi podziękami – nie tak wprawdzie, jak by

⁵⁰ Opis przejścia przez żywioły i potęgi piekielne i niebieskie jest jedyną w starożytności wzmianką o tej części obrządków misteryjnych.

należało, ale tak przynajmniej, jak mnie stać było – na jej własne zlecenie do drogi powrotnej, do domu – i tak zresztą spóźnionej wielce – gotować się zacząłem. I, zaiste, ledwie się od niej tym sercem gorącym oderwać zdołałem. Na końcu upadłem przed jej posągiem na twarz i całując długo jej stopy, tak się wśród łez, wśród szlochań częstych, co mi mowę przerywały i słowa tłumili, tak się do niej modliłem:

[25] – O ty, święta i wieczna rodzaju człowieczego opiekunko, ty, co swą szczerą opieką śmiertelnych zawsze otaczasz i słodkie matki współczucie masz dla niedoli nieszczęśliwych! Nie masz dnia ani nocy, ani chwili nawet najdrobniejszej, która by twych dobrodziejstw była próżna. Ty ludzi na lądach i morzach osłaniasz, burze ich życia zażegnujesz i dłoń im zbawczą podajesz, tę dłoń, którą rozplątujesz wątki przez Los nierozwikłalnie – zdawałoby się – poplątane, która uciszasz huragany, jakie naszczuwa Dola, i która unieszkodliwiasz gwiazd zgubne obroty. Czczą cię niebianie, czołem przed tobą biją mieszkańcy podziemia. Ty dajesz ruch światu, jasność słońcu, pod twoją dłonią układa się wszechświat, pod twoją stopą lega Tartar. Na twój to głos odpowiadają gwiazdy, na jego zawołanie powracają korowody czasów, od niego zależy bogów wesele, przed nim korzą się żywioły. Na twój rozkaz dmą wiatry, czerpią karmę chmury, kielkują nasiona, pną się w górę latorośle. Przed majestatem twym drżą powietrzne ptaki, bestie w ostępach górskich, węże pełzające po ziemi i morskie potwory. Za przyziemny jest duch mój, by cię wychwalić zdołał – za nędzna ma ojcowizna, bym cię uczcić mógł ofiarami, jakie ci należne, ani mi starczy słów, bym opowiedział, co przed twym majestatem odczuwam, aniby mi nie starczyło na to tysiąc ust i tyleż języków, i nie kończąca się, niewyczerpana struga wymowy. A przeto mi ino troską będzie, co jedynie człękowi pobożnemu, lecz ubogiemu być może: abym wiecznie zachował w serca tajnikach najgłębszych boskie twe oblicza i majestat największy i aby wiecznie mi one były przytomne.

Takie modły zaniósłszy do najwyższego bóstwa uściskałem kapłana Mitrasa, jego, co mi już jak ojciec był bliski, i długo w jego ramionach leżałem, błagając go wśród pocałunków o przebaczenie, że mu się nie mogę tak odwdziaczyć za jego dobrodziejstwa, jak one tego byłoby godne.

[26] Wreszcie, długo się jeszcze tą rozmową wielu słów podzięki pełną zabawiwszy, rozłączyłem się z nim, za czym nie minęło już czasu małowiele, a wyruszyłem wprost do ojczyzny i domu mego, wreszcie je ujrzeć pragnący.

Ale tu już po dniach kilku uczułem tchnienie woli potężnej bogini; spakowawszy tedy co rychlej manatki wsiadłem na okręt i ruszyłem do Rzymu. Cało doniosły mnie tam pomyślne wiatry, tak że nader prędko dobiłem do portu Augusta, skąd szybkim wózkiem dostałem się do tego świętego miasta. Było to w wigilię Idów grudniowych.

W Rzymie codziennym mym najmiłszym zajęciem było składać modły gorące królewskiemu majestatowi Izydy, którą z przydomkiem Polnej – pochodzącym od położenia jej świątyni na Polu Marsowym – wielce tu czczono. Byłem też jej czcicielem wytrwałym i choć w tej świątyni świeżym przychodniem, to w kulcie jej przecież zadomowionym.

Już wielkie Słońce przebiegłszy koło zodiacyjne dopełniało roku, kiedy pewnego razu pojawiło mi się we śnie znowu bóstwo, zawsze na mnie swą troskliwością łaskawe, i mówiło mi znowu o wtajemniczeniu, o nowych misteriach. Zachodziłem w głowę, o co też to mogło chodzić, co mi to miało zwiastować, bo przecież zdawało mi się, że mnie we wszystkie tajemnice już wtajemniczono.

[27] Ale kiedym się nad tymi wątpliwościami religijnymi biedził już to sam ze sobą, już to wypytywał się i radził o to kapłanów – rzeczy nowych i zgoła zdumiewających się dowiedziałem: oto, że wtajemniczono mnie jedynie w misteria bogini, a nie wtajemniczono jeszcze w tajemnice wielkiego boga i wszystkich bogów rodziciela najwyższego: niezwykłego Ozyrysa⁵¹ – że, chociaż sobie pokrewne, ba, nawet te same są te dwa bóstwa i ich religia, jed-

⁵¹ O z y r y s – małżonek Izydy, sędzia dusz w podziemiu.

nak jest bardzo wielka różnica między wtajemniczeniem w misteria jedne a drugie. Powinienem tedy ten sen zrozumieć tak, że jestem powołany na sługę także i tego wielkiego boga. I niedługo trwały wszelkie w tej mierze wątpliwości. Oto najbliższej nocy ujrzałem we śnie jakiegoś kapłana w lnianych szatach, który niósł w rękach tyrsus bluszczem opleciony i pewne symbole, których nie wymienię; wszystko to złożył u samych stóp mych larów i usiadłszy na mym zwykłym miejscu zapowiedział mi ucztę powitalną na przyjęcie me do wielkiej religii. Ułatwić mi zaś rozpoznanie go w rzeczywistości miał pewien określony znak: oto miał on piętę lewej nogi nieco krzywą i lekko wskutek tego kulał.

Wobec objawienia tak oczywistej woli bożej ustały wszelkie wątpliwości i niepewności; za czym natychmiast odprawivszy poranne modły do bogini, z największą ciekawością przyglądałem się każdemu z kapłanów, czy nie kuleje tak jak ów we śnie. Jakoż zaiste, nie zabrakło takiego.

Ujrzałem mianowicie od razu jednego z pastoforów, który – prócz tego, że kulał – także i całym wyglądem na włos przypominał zjawę nocną. Potem się dowiedziałem, że go wołano Asinus Marcellus – nazwisko przypominające moją przemianę. Przystąpiłem do niego bez zwłoki, ale on już był sam uprzedzony o tym, co mu powiem, ponieważ i jemu także udzielono już w podobny sposób pouczenia, że mam mnie wtajemniczyć. Nocy poprzedniej mianowicie śniło mu się, że przygotowywał wieńce dla wielkiego boga i że podczas tego usłyszał z jego ust – ust los każdego człowieka dyktujących – że zgłosi się do niego pewien Madaureńczyk⁵², którego natychmiast winien wtajemniczyć w swoje świętości, jako też że będzie to człek wprawdzie ubogi, ale który dojdzie do wielkiej sławy dzięki swej uczoności, z czego on, kapłan, za sprawą opatrności boga zysk będzie mieć niemały.

[28] Choć mi jednak w ten sposób obiecano wtajemniczenie, odwlekało mi je, wbrew mej ochocie, moje ubóstwo. Te drobne bowiem grosiki z mej ojcowizny pożarte zostały przez koszta podróży, a życie w Rzymie było o wiele droższe od życia na prowincji. Ta twarda moja bieda była tu wielką zawadą, tak że cierpiałem – jak mówi przysłowie – między młotem a kowadłem, podczas gdy oznaki woli bożej ciągle mnie w ten sam sposób nagliły. Raz po raz nimi popędzany kłopotalem się niemało, aż wreszcie, na wyraźne już ich rozkazy, odzież moją, choć i ubożuchną wielce, sprzedalem i w ten sposób potrzebną zdobyłem sumę. Otrzymałem nawet specjalną w tym względzie wskazówkę.

– Gdyby – powiedział mi bóg – chodziło o środki na jaką rozkosz, nie oszczędzałbyś pewnie tych swoich łachów i nie wahałbyś się przed ich sprzedażą, teraz zaś lękasz się ubóstwa – którego zresztą nie pożałujesz – gdy na cię takie czekają wtajemniczenia?

Należycie tedy wszystko przygotowawszy, znowu przez dni dziesięć od wszelkich pokarmów z istot żywych pościłem, prócz tego zaś ogolono mi głowę i przypuszczono do nocnych orgii najpierwszego z bóstw; ja zaś, pełen już ufności – że to była przecie religia mojej dotychczasowej siostrzana – pokornie cześć temu bóstwu oddawałem. I ta rzecz była największą mi pociechą w tym pobycie na obczyźnie, a niemniej utrzymanie lepsze mi zapewniała, bo przecież jej zawdzięczałem, że Przypadek łaskawy dostarczał mi jakiegoś zarobku w zawodzie adwokackim, który mogłem uprawiać znając język łaciński.

[29] Ale oto, bardzo niedługo później, przemówiły do mnie znowu całkiem niespodzianie i zdumiały mnie niemało rozkazy bogów nakazujące mi, bym się poddał trzeciemu jeszcze wtajemniczeniu. Zatraskało mnie to nie byle jak, a nawet bardzo zatrwożyło, tak że się w głębokich pograżyłem rozmyślaniach, do czego zmiierzają te nowe i zgoła niezrozumiałe zamysły bóstw, i co jeszcze pozostało, w co mógłbym być wtajemniczony, skoro mnie już dwa razy wtajemniczano.

Ani chybi – myślałem sobie – i Mitras, i Asinus musieli fałszywie albo nie całkiem dobrze ze mną się załatwić.

⁵² M a d a u r e ń c z y k – częściowe odsłonięcie maski autora, który wydał to dzieło anonimowo.

I już, dalibóg, zaczynałem powątpiewać o ich rzetelności. Ale kiedym się błąkał w tym rozmyślań odmęcie i zgoła głowę już tracił, tak mnie znowu pouczyła wieszczbą łaskawa nocna zjawa.

– Nie lękaj się – powiedziała mi ona – tą wielością następujących po sobie wtajemniczeń i nie sądz, że w poprzednich czegoś nie dopełniono. Raczej ciesz się i raduj ciągłą troską bogów o ciebie, i wesel się, że po trzykroć będziesz tym, czym innym zaledwie raz dano zostać, a liczba ta słuszną cię może napełnić nadzieją trwałego szczęścia. Poza tym to czekające cię wtajemniczenie jest dla ciebie – z innych jeszcze względów – rzeczą konieczną; zważ mianowicie, że owe twoje uroczyste szaty, które na cześć bogini na prowincji przywdziałeś, w tamtej świątyni pozostały złożone, tak że ty w Rzymie ani nie mógłbyś w dniu świąteczne w nich się modlić, ani nie mógłbyś się w szczęsną tę suknię ustroić, gdyby cię do tego wezwano. Niechże ci się tedy szczęści, wiedzie i darzy; z weselem w sercu dostap za poręką bogów tego jeszcze jednego wtajemniczenia.

[30] Tyle rzekł mi łaskawie majestat boży we śnie i pouczył, czego bym do tej sprawy potrzebował. Natychmiast tedy bez żadnych odkładań i niespiesznej odwłoki opowiedziałem memu kapłanowi o całej zjawie, a potem poddałem się rygorowi postu od wszelkich pokarmów z istot żywych, a czas jego, stałym przepisem na dziesięć dni określony, w dobrowolnej wstrzeźliwości jeszcze przedłużyłem. Z całą też hojnością dokonałem przygotowań do uroczystości wtajemniczenia, kierując się raczej nabożnością niż majątkową możliwością.

I, dalibóg, nie pożałowałem zgoła ni trudów moich, ni wydatków, bo przecież z łaskawej bóstw opatrności wkrótce się, dzięki mym zajęciom adwokackim, dobrze opiórkowałem.

Tymczasem po dniach zaledwo kilku bóg od bóstw wielkich potężniejszy, nad potęgi święte świętszy, wśród najwyższych najmożniejszy, a najmożniej szych wszechwładca: Ozyrys – we śnie mi się ukazał nie pod kształtem jakiejś tam innej istoty, ale bez osłonek, we własnej, i zaszczycił mnie tymi łaskawymi słowy: że mi teraz bezzwłocznie sławnej się trzeba ino oddać pracy adwokackiej, a nie lękać potwarzy ludzi zawistnych, znieść nie mogących uczoności mej, skrzętną pracą zdobytej. Aby mi zasię służb jemu wśród tłumu całego pełnić nie musiał, powołał mnie w grono swych pastoforów, a nawet w poczet samych ich dekurionów pięcioletnich.

Jeszcze raz tedy głowę sobie ogoliłem i tak z tym znakiem powinności członka onego kolegium starodawnego, za Sulli czasów jeszcze założonego, chodziłem, łysiny mojej nie zakrywając ani jej nie zatajając, ale spojrzeniem ją wszystkich radośnie i wesela pełen wydajacy.